

Carrie Pilby

(Nieznośnie
genialna)



Caren Lissner

Caren Lissner

Carrie Pilby

(Nieznośnie genialna)

Tłumaczenie:
Adriana Celińska

Rozdział 1

W sklepach spożywczych zawsze wciskają mi torbę, nawet gdy zupełnie nie ma takiej potrzeby, bo kupuję na przykład tylko gumę do żucia, banana czy chipsy, które już przecież są w opakowaniu. Wtedy na myśl o górach plastikowych odpadów czuję się naprawdę paskudnie, ale nim zdążę zareagować, moje zakupy już znajdują się w siatce, dlatego nie protestuję. Za to w wypożyczalni filmów zawsze pytają, czy zapakować płyty, i choć teoretycznie mogłabym obejść się bez torby, bo to przecież kolejny zbędny śmieć, biorę ją z powodów, które wkrótce staną się oczywiste, uważam bowiem, że każde DVD powinno być zakryte.

Obecnie sztuka kamuflażu jest na wymarciu. Po wyjściu z wypożyczalni nawet nie zdążyłam dojść do skrzyżowania, kiedy zauważyłam zbliżającego się do mnie RONALDA NIEŚMIAŁEGO POTARGAŃCA, który pracował w kawiarni za rogiem.

- Cześć, Carrie - przywitał się ze wzrokiem wbitym w mój film. - Co wypożyczyłaś?

Choć nienawidziłam tego powtarzać, nie miałam wyjścia:

- Nie mogę ci powiedzieć, ale nie bez powodu. Widzisz, pewnego dnia wybiorę film, do którego oglądania będę się wstydziała przyznać, i wcale nie mam na myśli pornosu. Może to być infantylna bajka, krwawa jatka czy faszystowska propaganda; w celach naukowych, rzecz jasna. Nawet gdybym po-

kazała ci płytę, którą teraz trzymam w ręku, bo należy do klasyki kina i nie mam najmniejszego powodu do zażenowania z jej powodu, to następnym razem w razie mojej odmowy na pewno założyłbyś, że mam coś do ukrycia. Jeśli jednak nigdy nie zdradzę ci, co wypożyczyłam, to i tak będziesz mnie podejrzewał o nieczne zamiary, dlatego bez chwili wahania sięgnę po porno, animacje, filmy dla nazistów czy cokolwiek innego, na co będę akurat miała ochotę, bo zniknie dręcząca mnie obawa przed wyjawieniem komukolwiek swojego wyboru. To samo dotyczy lektur. Chcę nieskrępowana sięgać zarówno po durne czytadła, jak i Dostojewskiego. Zamierzam także wypożyczać książki, o których istnieniu nikt nie słyszał. W większości przypadków gdy ludzie pytają, co czytam – a nie jest to *Moby Dick* – i podaję im tytuł powieści, której nie znają, jestem zmuszona tłumaczyć, o czym to jest. A przecież w przypadku słabszych pozycji nie da się streścić fabuły w dwie sekundy, wtedy przyparta do muru wygłaszam dwudziestopięciominutowy wykład, a w efekcie po skończeniu przemowy nie mam już czasu na czytanie. Reasumując, o książkach i filmach, które wypożyczam, nie rozmawiam. Nie bierz tego do siebie.

Przez chwilę Ronald tylko mrugał oczami, potem zaś ruszył w swoją stronę.

Zasady, którymi się kierowałam, z mojego punktu widzenia były jak najbardziej racjonalne, choć innym wydawały się dziwaczne. Mimo to nie potrafiłam bez nich żyć. Nie do końca ogarniałam ten świat, ale on też nie pozostawał mi dłużny. Ludzie uważali, że mój sposób bycia nie pasuje do dziewiętnastoletniej dziewczyny – czy technicznie rzecz biorąc, kobiety –

którą byłam, choć nie zachowywałam się ani specjalnie dziecinnie, ani zbyt dziewczęco. Prawdę powiedziawszy, przez większość czasu czułam się totalnie aseksualna niczym chodzący mózg w okularach, z długimi ciemnymi włosami i całym sprawnie działającym aparatem mowy. Jeśli chodzi o seks, który ostatnio wydaje się zajmować wszystkich, powiedziałabym, że nie należy do moich obsesji. Nawet gdy byłam młodsza, chłopcy niezbyt mnie interesowali. To sprawiało, że wyróżniałam się z tłumu. Na studiach podkochiwałam się w dwóch moich profesorach, jedna historia miała nawet dalszy ciąg, ale to dłuższa opowieść. Cała przygoda tylko namąciła mi w głowie. Obecnie wszechobecność seksu sięga zenitu, ale prawdziwą skalę zjawiska uświadomić sobie może dopiero osoba aseksualna. Seks stoi za niemal każdym ludzkim działaniem, jest sednem żartów i siłą sprawczą sztuki, a kiedy nie czuje się go w podobnym stopniu, zaczyna się podważać własne prawo do istnienia. Jeśli to seks kręci światem, to czy dla osób aseksualnych świat powinien się zatrzymać?

Skończyłam studia rok temu, o trzy lata wcześniej niż moi rówieśnicy, i teraz przez większość czasu przesiaduję w wynajętym mieszkaniu. Ojciec opłaca mój czynsz. Mogłabym częściej wychodzić, a nawet znaleźć sobie jakąś pracę, ale brakuje mi motywacji. Ojciec wolałby, żebym pracowała, ale nie ma prawa do narzekań. Przypominam mu, że to z jego inicjatywy przeskoczyłam dwie klasy w podstawówce i jedną w gimnazjum, a w konsekwencji już zawsze zajmowałam pierwsze miejsce w kategorii ocen, piąte - wzrostu, a dwudzieste drugie pod względem towarzyskim.

Także mój ojciec był autorem tego, co nazywam Wielkim Kłamstwem. To jednak, podobnie jak historia z profesorem, opowieść na później.

Kiedy weszłam do mojego budynku, dozorca Bobby zapytał, jak leci, a potem skorzystał z okazji, aby zlustrować mój tyłek. Nie zwracając na niego uwagi, weszłam po schodach prowadzących do drzwi wejściowych. Od zawsze gapił się na moją pupę. Zresztą był za stary, aby nazywać go Bobbym. Po ukończeniu dwunastu lat należałoby przestać używać pewnych imion. Na przykład Sally. Jeśli masz na imię Sally, powinnaś je zmienić przed rozpoczęciem okresu dojrzewania. Dorośli mężczyźni nie powinni przedstawiać się jako Joey, Bobby, Billy, Jamie czy Jimmy. Można mieć na imię Harry do ukończenia dziesiątego roku życia i potem po pięćdziesiątce, ale nie w międzyczasie. Natomiast Mike, Joe i Jim to imiona dobre na całe życie. Nastolatek o imieniu Bob. Au, aż zaboląło. Dla gejów dobrym wyborem jest Stuart, Stefan lub Jonathan. Żaden żyd nie powinien mieć na imię Christian. W chrześcijańskich domach nie do przyjęcia jest imię Mojżesz. Herbert jest nie do przyjęcia dla nikogo. Buddy to imię dobre dla psa. Matt natomiast to termin szachowy. Fox^[1] to świetne imię dla lisa, nie dla faceta. A Dylanów namnożyło się ostatnio jak psów.

Minęłam drzwi wejściowe, potem otworzyłam drzwi do klatki i wreszcie stanęłam pod drzwiami mojego mieszkania. Weszłam do środka i nagle doznałam olśnienia. Mieszkania w Nowym Jorku przypominały buteleczki ketonalu, nie tylko było się do nich trudno dostać, ale także miały niemal identyczną wielkość.

Raz w tygodniu chodziłam na terapię do doktora Petrova. Był znajomym ojca z czasów dzieciństwa, kiedy obaj mieszkali w Londynie. Miał siwe włosy, spiczastą bródkę, a w jego głosie wciąż rozbrzmiewał delikatny brytyjski akcent. Tak naprawdę to wcale nie potrzebowałam terapii, ale chodziłam tam raz na tydzień, żeby sensownie wydać pieniądze ojca.

Rankiem po wizycie w wypożyczalni wyszłam z domu na terapię. Mżyło. Momentalnie moje policzki zrobiły się mokre od wiszącej w powietrzu wilgoci. Kilka pozostałych na drzewach liści ugięło się pod ciężarem kropli, które po sekundzie wahania opadały samobójczo. Część kończyła żywot na jezdni przed moim budynkiem, w kałuży, w dźwiękach dżdżystej symfonii.

Pewien szczegół wizyt u Petrova wprost uwielbiałam: jego gabinet mieścił się na jednej z tych małych, staromodnych przecznic, dzięki którym prawie zapominało się, jakim obskurnym miastem potrafi być Nowy Jork. Po obu stronach ulicy ciągnęły się rzędy czerwono-brunatnych kamienic, których jasne okiennice okalały kolorowe skrzynie z kwiatami. Ich pnącza opadały, wijąc się wokół przewodów elektrycznych i drewnianych krat. Tablice informacyjne były wzorem uprzejmości: „Psy wyprowadzamy na smyczy” albo „Za zakłócanie ciszy grozi grzywna w wysokości 500 dolarów”. To idylliczne miejsce emanowało spokojem. Ale na mieszkanie tutaj stać było jedynie ludzi, których bogate babcie, za życia obwieszane kilogramami biżuterii i grywające w tenisa z Robertem Mosesem^[2], zapisały im w spadku owe kamienice z regulowanym czynszem.

Poczekalnia Petrova z królewskimi fotelami i wytartym dy-

wanem w kolorze złota przypominała przytulny salon. Całą ścianę zajmował regał wypełniony klasyką literacką – totalnie nietrafiony pomysł, bo któż by zdążył przeczytać *Ulissesa* w oczekiwaniu na wezwanie lekarza. Trzeba by ponad trzystu wizyt, aby ukończyć lekturę, co tylko dowodziło, że jedynie szaleniectwo mogłoby zgłębić Joyce’a. Zresztą żadna poczekalnia nie była odpowiednim miejscem na czytanie. Każda książka wymagała bowiem szczególnego czasu i okoliczności. Wszystko, co wyszło spod pióra Henry’ego Millera, na przykład, dopraszało się atmosfery zadumy i samotności. Powieści Carson McCullers domagały się okna i gorącej letniej nocy. Sylvia Plath była dobrym wyborem dla przyszłego samobójcy lub osoby, która chciała za takowego uchodzić.

Na stoliku u Petrova leżały zgoła inne lektury: katalogi ze sklepów odzieżowych, prasa psychologiczna i raporty finansowe firm farmaceutycznych. Podziwiałam doktora za umiejętne łączenie ulotek i pracy zawodowej.

Drzwi do gabinetu otworzyły się i wyszedł z nich niski mężczyzna, który szybko mnie minął, nawet na chwilę nie podnosząc wzroku. Żaden z pacjentów, wychodząc z sesji terapeutycznej, nigdy nie nawiązuje ze mną kontaktu wzrokowego, jakby zawstydział ich fakt, że zostali nakryci przez osobę, która podobnie jak oni szuka porady u psychologa.

Petrov przywitał mnie na progu, gestem dłoni zapraszając do środka.

- Jak się dzisiaj miewasz, Carrie?

Na jego biurku piętrzyły się książki, ściany były obwieszane dyplomami. Petrov usiadł w czerwonym fotelu, a ja naprzeciw-

ko. Na kolanie położył żółty kołonołatnik.

- Dobrze, dziękuję.

- Czy w minionym tygodniu zdobyłaś jakichś nowych przyjaciół?

Pomyślałam, że to mój ojciec podrzucił mu ten wątek. Nie miałam wielu znajomych, jednak nie bez powodu, o czym wkrótce.

- Przez ostatnie dni padało - odpowiedziałam - dlatego głównie siedziałam w domu.

Ręka Petrova zatrzepotała nad kartką. Co on mógł tam pisać? Że padał deszcz?

- Nie wychodziłaś zatem z domu. Co zamierzasz robić w tym tygodniu? Masz jakieś plany towarzyskie?

- Dziś czeka mnie rozmowa o pracę - poinformowałam go. - Tuż po naszym spotkaniu.

- Świetnie! - pochwalił mnie. - Co to za praca?

- Nie wiem - odpowiedziałam. - Mam się spotkać ze znajomym ojca. Jestem pewna, że chodzi o bezsensowne i bezcelowe zajęcie.

- Może twoje nastawienie sprawi, że tak będzie.

- Jeśli sugeruje pan, że to zadziała jak samospełniająca się przepowiednia, to uważam to za pospolity psychobełkot - uniosłam się. - Kiedy mówię, że praca może być pozbawiona sensu, to może się tak okazać, choć może być zupełnie inaczej. Rzeczywistość nie ma żadnego związku z moimi słowami.

- Może mieć - upierał się Petrov. - Sugestia, którą wyrażasz, działa paralizująco. - Oparł się wygodnie i kontynuował: - Uważam, że bardzo często w podobny sposób udaremniaasz

wiele spraw. Przeanalizujmy twoje podejście do przyjaźni. Opowiadasz mi o nowo spotkanej osobie i, oczywiście wyszczególniając powody, przypisujesz jej łatkę hipokryty lub pół-inteligenta. Być może używasz zbyt szerokich lub przeciwnie, zbyt wąskich definicji tych słów. Ludzie bez dyplomów też bywają mądrzy.

- Z takimi osobnikami nie da się prowadzić inteligentnej rozmowy - stwierdziłam. - Poza tym nawet jeśli udałoby się spotkać wystarczająco bystrych, naprawdę niegłupich ludzi, to najprawdopodobniej okazałoby się obłudnikami i kłamcami.

Taka była prawda. Na studiach miałam do czynienia z mnóstwem rzekomo inteligentnych osób, których zajmowały jedynie durne, niebezpieczne rzeczy: picie na umór, narkotyki i nieskrępowany seks z kim popadnie. Na początku każdy trzymał się od tego z daleka, ale z czasem pokusa narastała, dlatego wszyscy moi koledzy i koleżanki szybko jej ulegali, a potem próbowali usprawiedliwiać się sami przed sobą. Nawet osoby o spokojnym usposobieniu, bardzo religijne, wynajdowały absurdalne wymówki. Szanowałam osoby wierzące, a tym bardziej ateistów, ale nie powinno się oszukiwać samego siebie w kwestii przyczyn zmiany przekonań. Zresztą poza kampusem hipokryzja aż kwitła, szczególnie w Nowym Jorku.

- Chciałbym usłyszeć teraz coś pozytywnego - poprosił Petrov. - Cokolwiek. Powiedz, co sprawia ci przyjemność. Zdanie typu: „Kocham zachody słońca” albo „Uwielbiam spacerować po plaży”.

- Uwielbiam, kiedy ludzie słodzą jak przy składaniu życzeń. Petrov westchnął.

- Spróbuj jeszcze raz.

- Dobrze. - Zastanawiałam się przez chwilę. - Uwielbiam ciszę i spokój.

Popatrzył na mnie.

- Kontynuuj.

- Chyba nie o to chodziło.

Kolejne westchnięcie.

- Podaj jeszcze jeden przykład.

- Uwielbiam... kiedy przeciągam się w łóżku, a wokół panuje cisza: bez trąbienia klaksonów, odgłosów rozmów czy telewizji, nie słycać nic poza buczeniem prądu w gniazdkach. Czasem jednak lubię odgłosy ulicy, muszę być tylko w odpowiednim nastroju.

- Świetnie - ocenił Petrov. - Teraz powiedz, co cię zasmuca. Tylko inny przykład niż hipokryci i ludzie o niewystarczającym ilorazie inteligencji. Opowiedz, kiedy ostatnio zdarzyło ci się płakać.

Zamyśliłam się.

- Już dawno nie płakałam.

- Wiem.

Nie cierpiałam, kiedy Petrov uważał, że ma wiedzę odnośnie mojej osoby na tematy, o których mu nawet słowem nie wspomniałam.

- Skąd pan o tym wie?

- Ponieważ zawsze masz się na baczności. Ponieważ wysłało cię na uniwersytet, kiedy miałaś piętnaście lat, a to wiek, w którym kompetencje społeczne i świadomość seksualna nie są jeszcze dostatecznie rozwinięte. Na studiach ludzie nie

mają hamulców: alkohol leje się strumieniami, ludzie sypiają ze sobą na prawo i lewo i eksperymentują, z czym popadnie. Większość próbuje się dostosować do schematu, ale ty wolałaś się wypisać, i to całkowicie. To było zupełnie zrozumiałe. Teraz jednak upłynął już rok, odkąd skończyłaś studia, a wciąż nie podejmujesz żadnych prób wejścia w społeczne interakcje. Inteligencja i towarzyskie obycie nie zawsze idą w parze. Nikt nie powiedział, że łatwo być geniuszem.

Rozpadało się na dobre. Petrov wstał, aby zamknąć okno, po czym wrócił na miejsce.

- Kilkakrotnie wspomniałaś o Wielkim Kłamstwie twojego ojca - powiedział. - Uważam, że powinniśmy poruszyć ten temat.

- Tak...

- Ale nie dziś. Teraz mam dla ciebie zadanie.

Popatrzyłam na dywan, mozaikę cieniutkich nici i splecionych włókien.

- Chciałbym, abyś choć przez krótką chwilę postarała się być bardziej towarzyska. By sprawdzić, jak to jest, i ocenić, czy istnieje złoty środek gwarantujący poczucie twojego komfortu. Nie namawiam cię wcale do robienia rzeczy niebezpiecznych czy niemoralnych, ale chciałbym, żebyś poszła na imprezę, zapisała się do jakiejś organizacji czy przyłączyła do klubu. Potem oczekuję, że opowiesz mi o swoich odczuciach. Nie musisz tego robić od razu. Możesz poczekać chwilę, aż poczujesz się dostatecznie pewnie.

- Dobrze. Może w przyszłym roku?

Petrov uśmiechnął się.

- To wcale niegłupi pomysł - stwierdził. - Sylwester to idealny czas na wspólną zabawę z przyjaciółmi. Mogłabyś iść na imprezę z tej okazji.

- Może mogłabym zarzygać Times Square - odgryzłam się. - Wtedy wtopiłabym się w tłum.

Petrov pokręcił przecząco głową.

- Nie namawiam cię przecież do rzeczy niebezpiecznych. Ale chciałbym, żebyś zadbała o swoje życie towarzyskie. Powinnaś tak ułożyć plany sylwestrowe, żeby spędzić ten wieczór z ludźmi. Zacznijmy po kolei. Przygotowałem dla ciebie listę pięciu zadań.

Petrov sięgnął po notatnik z logo Prozacu. Niektórzy ludzie skuszają się na każde badziewie, pod warunkiem że jest za darmo.

- Po pierwsze, chciałbym, abyś napisała listę dziesięciu rzeczy, które sprawiają ci radość. Podoba mi się przykład z odgłosami ulicy, ale pomyśl jeszcze nad dziewięcioma innymi. Po drugie, proszę, abyś zapisała się do jakiejś organizacji lub klubu. Dzięki temu będziesz mogła poznać ludzi o podobnych zainteresowaniach, może nawet niektórych uznasz za inteligentnych. - Wszystko zapisywał. - Po trzecie, umówisz się na randkę...

- Dobrze...

- Po czwarte, chciałbym, abyś powiedziała ważnej dla ciebie osobie, że ci na nim lub na niej zależy. Tylko bez sarkazmu.

- Kto tu niby jest sarkastyczny? Ja?

Petrov wyrwał kartkę z zeszytu i mi wręczył.

PROZAC ®

1. Zrobić 10 rzeczy sprawiających radość.
2. Zostać członkiem jakiejś organizacji lub klubu.
3. Iść na randkę.
4. Wyznać komuś, ile dla ciebie znaczy.
5. Bawić się w sylwestra.

- To pomoże ci się dostosować - powiedział. - Nie namawiam cię do niczego złego. To ma ci pomóc w doświadczaniu pozytywnych stron interakcji międzyludzkich.

- Nie miałabym problemu z dostosowaniem się, gdyby świat był bardziej sensowny - odpowiedziałam. - Ale nie jest. Już nieraz się o tym przekonałam. Może to świat powinien dostosować się do mnie.

Kiwnął głową.

- Zobaczymy.

Och, uwielbiam, kiedy mnie ktoś rozśmiesza. Tak, to właśnie to, co sprawia mi ogromną radość. Bycie rozśmieszoną, zachody słońca i spacer po plaży.

Kiedy wyszłam na zewnątrz, naciągnęłam kołnierz płaszcza na głowę, aby uchronić się przed deszczem, i popędziłam do metra. Marzyłam o domu, ciepłym łóżku i drzemce, ale nie mogłam jeszcze wracać, czekała mnie rozmowa o pracę.

Nieopodal wejścia na stację jakiś facet w płaszczu przeciwdeszczowym krzyknął do mnie:

- Uśmiechnij się!

Tylko pogorszył mój nastrój. Szłam zatopiona w myślach, zabsorbowana własnymi sprawami, a ktoś nagle zakłóca mój spokój. Czy on nie rozumie, że wywołując we mnie poczucie

winy, odbiera mi zupełnie ochotę na uśmiech? Odniósł przeciwny skutek. Zupełnie tak jakby spróbować przerwać atak histerii wrzeszczącego dziecka, wymierzając mu klapsa. Wszyscy doskonale wiemy, do czego to prowadzi.

Zresztą nie rozumiałam, czemu się przyczepił. Nigdy nie wymagałam, aby inni zmieniali wyraz swojej twarzy. Dlaczego obcy ludzie roszczą sobie prawo nakazywania mi, co powinnam robić, choć sami nie ścierpieliby nawet jednej dziesiątej podobnych uwag odnośnie własnej osoby?

Kawiarnia, w której miałam się spotkać z Bradem Nickersonem, leżała dwie stacje metra dalej. Kiedy przyszłam na miejsce, już na mnie czekał, siedział przy stoliku. Miał jasne, zaczesane do tyłu włosy, a twarz kompletnie bez wyrazu. Był też młodszy, niż się spodziewałam, dlatego zastanawiałam się, czy to czasem nie randka w ciemno pod pozorami biznesowego spotkania.

Na mój widok wstał, uśmiechnął się.

- Cieszę się, że możemy się poznać - przywitał się.

- Ja również.

Usiedliśmy. Założył nogę na nogę - miał długie nogi - i zapytał, czy bez problemów dotarłam na miejsce. Potem skierował wzrok na trzymane przed sobą papiery.

- Zadam ci teraz kilka pytań, żeby bardziej zorientować się w twoich umiejętnościach.

- W porządku.

- Twój ojciec powiedział, że dobrze radzisz sobie z obsługą komputera - stwierdził.

- To prawda.

- Jakich edytorów tekstu używasz?

- W szkole używaliśmy programów WordPerfect cztery zero, cztery jeden, pięć zero, pięć jeden, sześć zero, sześć jeden i tak dalej i MicrosoftWord cztery zero, cztery jeden, pięć zero, pięć jeden... Jak myślisz, o co chodzi z tymi wersjami? Jakby mówili: „Usprawnienia, które wdrożyliśmy, pozwalają nam przejść na poziom pięć jeden, ale jeszcze nie na sześć zero. Gdy tam dotrzemy, damy znać”.

Zmrużył oczy. A mnie naprawdę to nurtowało już od bardzo dawna.

- Mówiłaś, że ile masz lat? - zapytał.

- Dziewiętnaście.

- Jesteś strasznie poważna jak na swój wiek.

Nie znalazłam na to odpowiedzi. Poczułam się podle, podobnie jak wtedy, gdy ten facet, krzyżąc, próbował wymusić na mnie uśmiech. Jakby sam fakt mojego istnienia był niestosowny.

Brad nie dodał nic więcej, tylko wpatrywał się we mnie i czekał. Czekał. Wysyłając osobę na przeprowadzenie rozmowy o pracę, trzeba się upewnić, że będzie to człowiek obdarzony przynajmniej połową kompetencji posiadanych przez kandydata.

- Mógłbyś, jeśli nie masz nic przeciwko, opowiedzieć mi więcej o samej pracy - przerwałam milczenie.

- A, tak - zaczął. - Na początku byłoby to stanowisko w rodzaju sekretarki, czyli przepisywanie dokumentów plus ogólne obowiązki biurowe. Ale z czasem mogłabyś awansować. - Sięgnął po kawę. - Co o tym sądzisz?

Przypuszczałam, że wcale nie zależało mu na szczerej odpowiedzi.

- Brzmi super - powiedziałam.

- Hm. - Pił kawę małymi łykami. - Mmm. - Zastanawiał się przez chwilę. - Wymień, proszę, swoje mocne i słabe strony.

Wreszcie sensowne pytanie!

- Staram się zawsze słusznie postępować i twardo trzymam się wybranych zasad. Nie angażuję się w rzeczy szkodliwe dla mnie i innych. Staram się nie oceniać ludzi.

- Ja cię nie oceniam - powiedział ni stąd, ni zowąd.

- Przecież nic podobnego nie twierdzę.

Znów utknęliśmy. Kolejny impas. Skierował rozmowę na bezpieczniejsze wody.

- Jak szybko piszesz?

- Od sześćdziesięciu do sześćdziesięciu pięciu słów na minutę - odpowiedziałam.

Zero komentarza z jego strony.

- Czy przeliczyć na system metryczny? - zapytałam.

Wzruszył ramionami.

- Pewnie.

- Od sześćdziesięciu do sześćdziesięciu pięciu słów na minutę.

Uśmiechnęłam się, był to według mnie wzorowy przykład, jak skutecznie udowodnić, że wcale nie jestem nad wiek poważna. Nie zadziało. Dopił kawę.

- Tak, naprawdę miło było cię poznać - pożegnał się z uśmiechem i wstał. - Odezwiemy się niebawem.

- Świetnie - powiedziałam, a w myślach pogratulowałam mu

rozwagi, która nakazała szybko zakończyć rozmowę.

Kiedy wreszcie wróciłam do domu, ogarnęła mnie niesamowita ulga. Bogu dzięki, że już mnie tam nie ma.

Zamknęłam drzwi do sypialni, rzuciłam torebkę na podłogę i ściągnęłam wilgotne ubrania. Gumka od majtek odbiła się czerwoną linią wokół bioder. Pomasowałam skórę, żeby ślad zniknął. Potem rzuciłam ubrania na krzesło i podeszłam do łóżka.

Teraz mogłam całkowicie oddać się ulubionej czynności.

Spaniu.

Na moim szerokim jak morze łóżku leżały trzy ogromne wykrochmalone poduchy. Powoli wsunęłam się pod kołdrę. Pościel była przyjemnie chłodna. Bawełniane prześcieradło pieściło moje nagie plecy. Zamknęłam oczy, czując, jak mój kręgosłup rozluźnia się centymetr po centymetrze.

W głowie miałam pustkę. Każdą cząstką ciała zapadałam się coraz głębiej w siebie, uwalniając się od świata. Od myśli, odgłosów, uczuć, trosk. Wszystko odpływało, aż zrobiło się zupełnie przejrzyste.

Dach mógłby się zapaść i przysypać mnie odłamkami betonu. Rozdwajająca się szczelina na ścianie mogłaby pęknąć, aż do samego sufitu. A i tak leżałabym bez ruchu tak długo, jak bym chciała. Nikt nie mógł tego zmienić.

Moje łóżko było wolne od psychoterapeutów, rozmów o pracę, hipokryzji. Nie było w nim zadań rozwijających moją socjalizację. Nie musiałam się uśmiechać. Nie musiałam uzasadniać swoich przekonań. Nie musiałam nosić butów na obcasach. Nie musiałam uroczyście ślubować. Nie musiałam używać

ołówka HB. Nie musiałam czytać informacji podanych drobnym drukiem. Nie musiałam zdobywać wszystkich skautowskich sprawności. Nie musiałam mierzyć metr sześćdziesiąt, aby wsiąść na motor. Nie musiałam iść z czasem, z postępem, z osiągnięciami.

Prawdą było, że leżenie w łóżku nie wymagało myślenia. Stanowiło zajęcie mocno bezproduktywne.

Ale jeśli dziewięćdziesiąt pięć procent czynności, które wykonywałam poza łóżkiem, niesło w sobie ryzyko cierpienia, działanie wolne od bólu stawało się najwspanialszą rzeczą pod słońcem.

Leżałam przez godzinę, wsłuchując się w deszcz wystukujący na szybie smętne wiadomości. Kiedy burza nieco ustała, podniosłam głowę.

Moje nozdrza pobudził ledwie uchwytny zapach wiśni. Nie wiedziałam, skąd dochodzi, może z za okna. Przypomni mi smak wiśniowej oranżady, której już całe wieki nie piłam. Pomyślałam o jej oszałamiających bąbelkach, które długo jeszcze musowały w brzuchu.

Wyobraziłam sobie wysoką szklankę i ciemne smugi napoju spływające po ściankach. Pamiętam sylwestra, którego urządził mój ojciec, kiedy byłam mała. Dorośli raczyli się koktajlami, a dzieciom podawano ciemną wiśniową oranżadę. Jeden chłopiec, Ted, popisывał się przed nami. Wrzucił do swojej szklanki emememki, chrupki kukurydziane i orzeszki. Jego groźby, że wypije tę mieszankę, chyba dostatecznie nas wystraszyły, więc w końcu nawet nie musiał ich spełniać.

Sięgnęłam po notes leżący na radiu i zaczęłam zapisywać

„rzeczy sprawiające mi radość” dla doktora Petrova. Szybko udało mi się wymyślić kilka punktów listy.

1. Wiśniowa oranżada.
2. Odgłosy miasta.
3. Moje łóżko.

Najlepsze łóżko, w którym spałam, było z bladoniebieskim baldachimem. Miałam wtedy osiem lat i wspaniały pokój. A w nim: czarny, miękki dywan, planszę do gry w chińczyka, wielką tablicę okresową pierwiastków chemicznych, książkę do nauki Basica, wszystkie tomy *Zmierzchu i upadku cesarstwa rzymskiego*, plakat ze schematem dialektyki heglowskiej, trójwymiarowy model układu słonecznego, kilka abstrakcyjnych obrazów i sekstant.

4. Zielonobłękitny odcień wody w krytym basenie.
5. Rozgwiadzy.
6. Cykl dokumentalny BBC o epoce wiktoriańskiej *The Victorians*.
7. Kolorowa posypka do ciasta.
8. Deszcz w ciągu dnia (ułatwia zasypianie).

Przez chwilę się jeszcze zastanawiałam. Ale to był koniec pomysłów.

Gdybym miała napisać listę rzeczy, których nie cierpię, to z łatwością zapełniłabym trzy notesy. To byłaby zabawa. Lista rzeczy, których nienawidzę...

Na pierwszym miejscu umieściłabym sąsiadów z naprzeciwka.

W mieszkaniu pod drugiej stronie ulicy mieszkała para trzydziestolatków. Oboje wysocy, o całkiem przyzwoitej prezencji. Częściej widywałam ich w kuchni niż na ulicy. Zawsze kręcili się wokół garnków, podszczypując się i poszturchując, a nim się człowiek spostrzegł, zaczynał się seans wolnej miłości i wtedy szybko znikali w głębi mieszkania. Można było oczekiwać, że z szacunku dla sąsiadów mogliby oszczędzić im widoku ekscesów w swoim wykonaniu. Nie był to jednak główny powód mojej niechęci.

Nie cierpiałam ich, bo kiedy mijaliśmy się na ulicy, nigdy nie mówili mi dzień dobry. Musieli wiedzieć, że mieszkam naprzeciwko. Byłam ich sąsiadką od blisko roku.

Ale sama też nigdy nie pozdrowiłam ich jako pierwsza.

Jeszcze przez chwilę wysilałam umysł, ale nie udało mi się wymyślić ostatnich dwóch punktów. Odłożyłam notes, potem rozciągnęłam się na łóżku, a ręce skrzyżowałam tak, że przypominałam doga niemieckiego.

Pomyślałam o pięciopunktowym planie Petrova. Organizacja. Randka. Petrov musiał uważać, że to ponad moje siły. Problem jednak nie polegał na tym, że nie potrafiłam, po prostu świadomie z nich rezygnowałam.

Samotność bywała nudna, ale dlaczego miałabym się zmuszać do wychodzenia i spotykania z ludźmi, którzy zdecydowali się na obniżenie moralnych, etycznych i intelektualnych standardów, by dostosować się do większości o niskim poziomie moralnym, etycznym i intelektualnym? Bo to właśnie czekało na mnie na zewnątrz.

Mogłam udowodnić Petrovowi, że nie ma racji. Mogłam po-

kazać, że nie ja stanowią problem, ale cała reszta. Mogłam to zrobić tylko po to, żeby zobaczyć, jakie to absurdalne.

Chodzenie na randki czy członkostwo w klubie wtłoczyłoby mnie w zawiłości układów towarzyskich, w których większość ludzi egzystowała na co dzień. Byłam przekonana, że to wcale nie jest takie trudne. Ale choć Petrov uważał, że istniała jedna dziesięciotysięczna szansy na spotkanie osoby, która by mnie zrozumiała, to po prostu pokazałabym, że próbowałam.

Zapowiadało się bolesne, ale znów wcale nie tak trudne, doświadczenie. Po raz kolejny udowodniłabym sobie, jak również Petrovowi, że samotność służy mi lepiej niż życie towarzyskie.

Wieczorem zadzwonił telefon. Czyżby złe wiadomości? To mógł być ojciec z informacją, że nie dostałam tej pracy. Albo gorzej, mógł mi przekazać, że jednak się zakwalifikowałam. Mogli też dzwonić z komitetu MacArthura w sprawie stypendium dla geniuszy. Wyskoczyłam z łóżka i odebrałam po trzecim dzwonku.

To był ojciec.

- Rozmawiałem z Bradem - powiedział. - Uznał, że nie wyglądałaś na zainteresowaną pracą.

- Kto taki? Ach, przypominam sobie. Ten mdły, infantylny koleś - wyzłościwiłam się.

- Odnoszę wrażenie, że nie byłaś dla niego miła.

- Nie prosiłam o to spotkanie.

- Chciałbym wiedzieć, jak zamierzasz sobie radzić. W przyszłości.

- Już teraz dobrze się odżywiam i należycie wysypiam.

- Carrie!

- Byłam dziś rano u doktora Petrova.
Moje słowa sprawiły mu radość.
- Świetnie. Co ci powiedział?
- Namawia mnie do towarzyskiego eksperymentu. Mam się umówić na randkę. Zapisać do jakiejś organizacji.
- I co ty na to?
- Powiedziałam, że spróbuję.
- To właśnie chciałem usłyszeć.
- Wiesz przecież, że jesteś moim dłużnikiem - powiedziałam.
- Dlaczego?
- Doskonale wiesz dlaczego.
Chodziło mi o Wielkie Kłamstwo.
- Tak, wiem - przyznał.
- Dobrze.
- Powiedz, jaka praca mogłaby cię zainteresować?
- W której mogłabym wykorzystać swój potencjał - odpowiedziałam. - O elastycznych godzinach pracy. Chciałabym spać, podczas gdy inni pracują, i na odwrót. W której ludzie nie zaniżałiby własnych standardów...
- Tak?
- I której nie nienawidzę.

Rozdział 2

- Czy już u nas byłaś?

- Nie.

Kobieta za biurkiem rzuciła mi uważne spojrzenie przez drobne, okrągłe okulary. Nie rozumiałam, o co jej chodziło. Każdy w tym biurze w którymś momencie zjawiał się po raz pierwszy.

Podawała mi trzy formularze do wypełnienia, w tym druk ze skarbówki i oświadczenie o poufności. Dwudziestominutowa strata czasu. Chciałabym, żeby tak wyglądała reszta moich obowiązków.

Dostałam do ręki dwa ogromne pliki wydruków na śnieżnobiałych kartkach.

- Twoim zadaniem jest porównanie obu dokumentów. Słowo po słowie. W całości - wyjaśniła. - To zajmie kilka godzin.

Ojciec załatwił mi pracę przy korekcie dokumentów prawnych, bo według niego było to nieźle płatne zajęcie na zlecenie. Mogłam pracować zarówno w dzień, jak i nocą. A skoro byłam mądrzejsza od dziewięćdziesięciu dziewięciu procent prawników, to nie powinnam napotkać w niej żadnych problemów.

Wróciłam do swojego boksu, w którym stało proste biurko bez szuflad. W korporacyjnej hierarchii plasowało się niżej niż stół kreślarski. Za mną starszy facet w kwadratowatych oku-

larach porównywał dwa dokumenty. Jego spojrzenie biegło od jednego do drugiego pisma.

Był za stary, żebym mogła rozważać jego kandydaturę pod kątem potencjalnej randki. Choć kto wie? Łysy, ale z wyglądu raczej niegroźny. Może warto rozważyć mały flirt, którego finałem byłaby wspólna kolacja, i tym samym spełniłabym jeden z wymogów Petrova. Zostałyby mi wtedy jeszcze trzy.

Popatrzyłam na blat biurka, na którym znajdowało się mnóstwo rzeczy. Ktoś pokolorował dużą kartkę żółtego papieru w linie naprzemiennie równymi paskami czerwonym flamastrem i białym korektorem - starannie wypełniając przestrzeń. Następnie z lewej strony narysował kwadrat, który zamalował niebieskim atramentem. Przypominało to flagę i musiało zająć dobre pół godziny pracy.

Moja przełożona podeszła, aby wyjaśnić mi zasady pracy. Pierwszy dokument, który miałam czytać, był oryginałem. Drugie pismo natomiast to wydrukowany skan pierwszego. Czasem zdarzało się, że podczas druku pojawiały się, na skutek zabrudzenia skanera, dodatkowe przecinki, litery lub inne znaki.

Moja praca polegała na porównaniu słowo po słowie obu dokumentów, aby upewnić się, że są identyczne. Miałam do przejrzania dwieście dziesięć stron.

Wydawać by się mogło, że w czasach zaawansowanych technologii istnieje szybszy sposób na tego rodzaju zadania. Nie dziwiło mnie, że prawnicy kasowali czterysta dolarów za godzinę. Musieli przecież opłacić korektorów, których zajęcie przypominało grę w koncentrację.

Usiadłam na twardym krześle i zamknęłam oczy. Nie minęła minuta, a wpadłam na rewelacyjny pomysł. Ale mogłam wprowadzić łatwiejszy sposób dopiero wtedy, kiedy siedzący za mną Staruszek pójdzie po kawę. Okazało się, że nie musiałam długo czekać, bo chodził do ekspresu co dziesięć minut. Kolejne dziesięć minut zajmowało mu przygotowanie kawy. Mój ojciec uważał, że to ja nie chcę pracować, a tak naprawdę to nikomu się nie chce. To był jeden wielki szwindel. Nikt się głośno nie przyznawał, ale każdy tak właśnie robił. Gdyby z przeciętnego amerykańskiego dnia pracy wyciąć cały ten humbug, okazałoby się, że przeciętny Amerykanin pracuje zaledwie trzy godziny dziennie. Świat jest pełen tajemnic, o których dopiero z wolna zaczynałam się dowiadywać.

Kiedy Staruszek poszedł po kawę, podniosłam pierwsze strony oryginału i kopii, przyłożyłam je równo do siebie i uniosłam pod światło. Były identyczne, nie różniły się ani jedną linią, słowem czy przecinkiem. Pierwsze strony wyglądały w porządku. Odłożyłam je na bok i wzięłam kolejne. Każdą parę podnosiłam pod światło. Ani jednej zgubionej linii, smugi czy plamki. Tym sposobem zużywałam około dwóch procent czasu, który zajęłoby mi czytanie tekstu.

Kiedy skończyłam, ułożyłam dokumenty w sposób sugerujący, że jestem w trakcie pracy, a dokładniej w jednej trzeciej zadania.

Zaoszczędzony czas wykorzystałam na rozmyślanie o rozmaitych sprawach.

Na przykład: skoro najwyższe ograniczenie prędkości na amerykańskich drogach wynosi sto dwadzieścia kilometrów na

godzinę, dlaczego sprzedaje się samochody, które mogą rozwinać dwukrotnie wyższą prędkość?

Zastanawiałam się, czy bardziej adekwatną nazwą dla płynu zawartego w orzechu kokosowym było mleczko czy może raczej sok.

Dlaczego w Nowym Jorku i Marylandzie mają dworce kolejowe o nazwie Penn Station, natomiast ani jeden nie nosi takiej nazwy w stanie Pensylwania?

Rozważałam teorię Michela Foucaulta, a szczególnie jego panoptyczny model władzy. Czy jego idee są dostatecznie zrozumiałe? Czy kiedykolwiek będą?

Za moimi plecami Staruszek podniósł słuchawkę i wybrał jakiś numer. Zapytał o Ednę. Była jedna szansa na sto, że to nie okaże się nudne, dlatego cała zamieniłam się w słuch.

- Przypomniało mi się, co chciałem ci powiedzieć - zaczął. - Dzwoniłem dziś rano do Jackie, ale już jej nie było i telefon odebrał Raymond. Poinformował mnie, że siedzi w domu, bo ma mnóstwo dni do odebrania, bo nie wiem, czy wiesz, ale w przypadku nauczycieli chorobowe kumuluje się analogicznie jak urlop. Trzeci piątek z kolei nie poszedł do szkoły i właśnie wybierał się na narty w góry Pocono. Chełpił się tym. Powiedziałem mu wtedy: Słuchaj, Raymond, to jest nieuczciwe, chorobowe się bierze, jak się jest chorym. Tak, tak, oszukuję dzieci. Wiem, wiem. Usłyszałem, jak się wycofywał, a na koniec tłumaczył: Wiesz, ale robię tak tylko od czasu do czasu. Przerwałem mu: Raymond, przepraszam, ale właśnie sam powiedziałeś, że to trzeci piątek, nie zaprzeczaj teraz. Czy możesz mi powiedzieć, dlaczego nasza córka wyszła za niego za mąż?

To niewyobrażalne, żeby tak się tym chełpić. Niewyobrażalne. Wiem. Powiedziałem mu wtedy: To przykład postawy etycznej, która doprowadzi Amerykę do upadku. Każdy stara się tylko uszczknąć coś dla siebie.

Wreszcie odłożył słuchawkę.

Musiałam się odwrócić.

- Przepraszam - powiedziałam. - Niechcący podsłuchałam pana rozmowę. Denerwuje pana, że zięć jest obibokiem. Ale przecież pan sam przed chwilą przez dwadzieścia minut prowadził prywatną rozmowę w miejscu pracy. Czy to nie przykład obłudy?

Nie było nic bardziej budującego niż wyraz twarzy osoby, która dała się zapętlić we własnoręcznie utkaną grubą i lepką sieć hipokryzji.

Zatkało go.

- Mamy prawo do przerwy - odpowiedział, ale głos mu drżał.

- Uznam to za przyznanie się do winy.

Prychnął.

- To nie pani sprawa. - I wrócił do pracy.

Nie miałam już nic do zrobienia, dlatego siedziałam na krześle z zamkniętymi oczyma. Dobiegly mnie warkot faksu i odgłosy zmieniania częstotliwości radia. Niedługo potem mężczyzna z burzą ciemnych włosów zajrzał do pokoju. Rozejrzał się, ale najwidoczniej nie zastał tego, kogo szukał. Już się wycofywał, kiedy jego wzrok zatrzymał się na mnie.

- Och, cześć - przywitał się. - Jesteś studentką?

- Nie - zaprzeczyłam. - Absolwentką. Pracuję na zlecenie.

Z trudem hamowałam euforię. Nieoczekiwana rozrywka. Staruszek obrzucił nas spojrzeniem pełnym szyderstwa.

- Tylko dziś wieczór?

- Jak na razie.

Wyciągnął rękę.

- Douglas P. Winters. Facet z recepcji.

Pociągnął nosem i otarł go ręką. Zakończenie wypowiedzi prychnięciem miało pewien urok. Wydał mi się bystry i niesamowicie znudzony. Wszędzie potrafiłam wypatrzyć leniącego się intelektualistę zatrudnionego na stanowisku poniżej kwalifikacji.

- Carrie Pilby - przedstawiłam się.

- Zostajesz do rana?

- Tak sądzę.

- Gdzie studiowałaś?

To zawsze stanowiło dla mnie dylemat. Zresztą takie pytanie było niedogodne dla wszystkich absolwentów Harvardu. Problem polegał na tym, że szczerą odpowiedź narażała na posądzenie o przechwałki lub wręcz przeciwnie, żarty. Wielu absolwentów Harvardu odpowiadało, że w Bostonie. Kiedy zaś rozmówca dopytywał się, gdzie konkretnie, uściślali, że w Cambridge. Dopiero przyparci do muru przyznawali, że chodziło o Harvard.

Postanowiłam iść na całość.

- Na Harvardzie.

- Naprawdę?

Pokiwałam głową.

- Powiedz coś mądrego.

Znowu zniechęcać. To tak jakby na informację o pochodzeniu czyichś przodków z Puerto Rico zażądać od człowieka wypowiedzi po hiszpańsku. Fakt, że studiowałam na dobrej uczelni nie oznaczał, że zawsze miałam pod ręką jakiś aksjomat matematyczny. To znaczy, miałam, ale nie z powodu ukończonych studiów.

Jednak postanowiłam się nie zniechęcać.

- Uważam, że nie doceniono wpływu, jaki Kierkegaard wywarł na Camusa. Myślę, że Hobbes to Rousseau w czarnym zwierciadle. Wierzę, podobnie jak Hegel, że transcendencja jest fascynująca.

Doug z podziwu na chwilę oniemiał.

Nie wyjaśniłam, że to cytat z opasłej powieści autorstwa Davida Fostera Wallace'a *Infinite Jest*, którą kiedyś dla zabicia czasu przeczytałam w trzy godziny.

Staruszek popatrzył na nas.

- Czy w ogóle zamierzacie dziś jeszcze pracować?

- Czemu nie zadzwoni pan do telewizji, żeby zadenuncjować swojego zięcia i dzięki temu wziąć udział w reality show? - zapytałam.

Westchnąwszy, wrócił do pracy.

- Chodźmy stąd - zaproponował Doug. - Za mną.

Postanowiłam w razie kłopotów zrzucić całą winę na niego i ruszyłam za nim. Minęliśmy szklane drzwi i usiedliśmy na miękkich fotelach w recepcji. Nazwę firmy wypisano złotymi literami na jednej ze ścian. Bajer-szmajer. Doug zajął miejsce tuż przy blacie recepcyjnym, a ja obok niego.

- Szukasz stałej pracy?

- Kiedyś na pewno.

Rozmowa zaczęła schodzić na mało interesujące tematy.

- A ty gdzie studiowałeś?

- Na stanowym w Hempstead.

Och, trudno. Jednak nie był aż tak bystry. Choć może zbyt szybko szufladkowałam ludzi. Przynajmniej według Petrova.

- Harvard mi nie leżał - dodał, otwierając paczkę pistacji.

Wysypał kilka orzeszków na stół.

- Jasne.

- Masz chłopaka?

Czy zapytał dlatego, bo mu się spodobałam, czy po prostu chciał sobie zażartować, w głębi ducha przekonany, że nikt nie chce ze mną chodzić?

- Nie - odpowiedziałam.

Rozłupał jeden orzeszek, skorupka przypominała kwiat tulipana.

- Badasz teren?

- Głównie śpię.

Doug się roześmiał.

- Też bym spał, gdybym mógł. Chwile spędzane w łóżku nigdy nie należą do zmarnowanych.

Przez chwilę milczeliśmy. Doug schrupał orzeszek, a potem otworzył następny.

- Wiedziałaś, że pistacje są jak orgazm?

Obrzydliwość! Odwróciłam głowę i spojrzałam na wiszący w recepcji obraz. To chyba Edward Hopper.

Doug wyciągnął zielonkawy orzech z łupiny i wrzucił go do ust. Porządnie rozgryzł, przełknął i kontynuował:

- Jeden jest słony, kolejny maślany, trzeci okazuje się pomarszczony i dziwnie cierpki. Podobnie ma się rzecz z orgazmem. Jeden do drugiego niepodobny, ale wszystkie wspaniałe.

- Fascynujące. - Dalej uciekałam wzrokiem.

- Zawstydzilem cię? - Roześmiał się. - Przepraszam, proszę, nie krępuj się.

Podniosłam rękę w geście odmowy.

- Nie jestem w nastroju na orgazm. - Spojrzałam na niego.

- Żartowałem. Proszę. - Podał mi orzeszka.

Nie wierzyłam, że opowiada o doświadczeniu tak intymnym, jakby to była rutynowa czynność typu szczotkowanie zębów. Wymruczałam „dziękuję” i wróciłam na swoje miejsce.

Przez resztę nocy czytałam słownik terminów prawnych, aż moje powieki zrobiły się ciężkie jak z ołowiu. Teraz przynajmniej mogłam ubarwić rozmowę wyrażeniami: *ex aequo et bono* oraz *de minimus non curat lex*.

Moja zmiana skończyła się, kiedy pierwsze promienie słońca przebiły się przez szyby, przyciemnione chyba tylko po to, żeby zniszczyć jedyną możliwą przyjemność z pracy w tym biurze: widok z okna. Zrobiło się małe zamieszanie, kiedy jedni wchodzili, a drudzy wychodzili. Plotki, przeglądanie nagłówek gazet, parzenie kawy. To wszystko trwało dobre pół godziny. Chyba nie dość dokładnie oszacowałam skalę oszustwa, do którego dochodziło w miejscach pracy.

Po całonocnym czuwaniu miałam w ustach niesmak, oczy piekły. Zwilżyłam językiem wargi, wstałam i przeciągnęłam się porządnie. Cała byłam zdrętwiała.

Zarzuciłam plecak na ramię i ruszyłam w stronę wyłożonego dywanem lobby. Wymieniliśmy z Dougiem uścisk dłoni i ponownie się przeciągnęłam. W windzie jakiś facet trzymał metalową skrzynkę pełną pączków. Wspaniale pachniały. Te z różnym nadzieniem były pokryte lukrem lub posypane cukrem pudrem, miał też pączki z czekoladowym kremem na wierzchu, a także z truskawkową polewą i posypką. Jeden by wystarczył, żeby zabić niesmak. Dostawca z piekarni wysiadł jednak na trzecim piętrze. Zjechałam na parter i wyszłam na skąpaną w słońcu ulicę.

Dzień zapowiadał się znacznie lepiej niż cały miniony tydzień. W parku bezdomni wysuwali się z pudeł stłoczonych jedno przy drugim. Miasto z tektury. Ruszyłam przed siebie, mijając skomplikowany układ metalowych schodów. Ponad moją głową widniały rusztowania, podarte reklamy gazet i rozświetlone słońcem gładkie marmurowe posągi odbijające się w wszechobecnym szkle. Tłumy przechodniów w szarych lub granatowych garniturach opanowały ulice, wszyscy szli – jak to zazwyczaj bywało – w kierunku przeciwnym niż ja.

Na rogu łysiejący, nieco wystraszony facet, rozdawał ulotki. Ludzie omijali go szerokim łukiem; gdy próbował wcisnąć im żółtą kartkę, odwracali się do niego tyłem. Obiecałam sobie, że jeśli poda mi broszurę, to ją wezmę. Musiał się czuć okropnie, kiedy tak stał ignorowany przez wszystkich. Jednak mężczyzna, obrzuciwszy mnie spojrzeniem, wręczył ulotkę osobie idącej obok mnie.

Zatrzymałam się i czekałam.

Wreszcie, cicho westchnąwszy, podał mi broszurę.

Nagłówek głosił: Kościół Pierwszych Proroków. Poniżej zaś znalazła się długa historia o tym, jak to anglikański pastor Joseph Natto w 1998 roku doznał objawienia i poczuł, że jego kazaniom czegoś brakuje. Niespodziewanie w jego głowie pojawiła się lista dziesięciu zasad.

To była doprawdy wyjątkowa historia.

Podniosłam wzrok znad ulotki. Tonsurogłowy bardzo p-o-w-o-l-i zwracał się do kobiety, ewidentnie Hiszpanki, która patrzyła na niego z oczami szeroko otwartymi ze zdziwienia, tak jakby pomagało jej to w rozumieniu angielskiego. Zauważyłam już, że nawiedzone typy zawsze nagabywały obcokrajowców. Każdy inny zbyt szybko rozeznawał się w ich bajdurzeniu. Kuśiło mnie, żeby zapytać, czemu rozmawiał tylko z ludźmi, których znajomość angielskiego znajdowała się zaledwie na poziomie podstawowym. Ostatnio moje życie polegało na mówieniu dokładnie tego, co myślałam, szczególnie ludziom, którym przydałaby się poważna metamorfoza. Niestety fanatycy religijni uwielbiali takie uwagi. Przyjmowali wyzwanie i z rozmarzonym uśmiechem rozświetlającym rysy ich twarzy udzielali odpowiedzi typu: „Och, każdy z nas potrzebuje wiary, kiedy przyjmiesz [tu należało wstawić imię danego zbawiciela] do swojego serca, wtedy dopiero zrozumiesz”.

Następnie, można było być tego pewnym, opowiadali historię swojego życia, o tym, jak kiedyś byli tacy sami jak ty, ale doznali łaski i wtedy właśnie ich życie zmieniło się na dobre.

Wszystkie religie świata opierały się na tym samym: należało wierzyć w to, co ci mówiono, oraz nie pozwalać sobie nawet na cień racjonalnego zwątpienia. Nikt z nas nie żył dwa tysią-

ce czy pięć tysięcy siedemset lat temu (albo sto siedemdziesiąt trzy i pół roku, jeśli było się mormonem – no bardzo mi przykro, mormoni), aby wiedzieć, co dokładnie się wydarzyło, dlatego ludzie decydowali się na wybór swoich przekonań oraz nieugiętych zasad na podstawie takich bezdyskusyjnych kryteriów, jak wpływ rodziców w czasie dorastania oraz wpływ krewnych podczas dorastania. Jedynie mormoni wstrzymywali się z chrzczeniem dzieci, aż do ukończenia przez nie siódmego roku życia. Czy jednak siedmiolatek może mieć więcej do powiedzenia niż niemowlę?

No dobrze, Johnie Tucker, niech będzie po twojemu. Nie ochrzczimy cię. Doprowadziłeś do łez twoją matkę i twoją drugą matkę, i trzecią matkę, i jeszcze jedną matkę.

Zgoda, przepraszam, poligamia została zniesiona przez mormonów w 1896 roku, wiedziałam o tym. Nie powinnam utrwalać niezgodnego z prawdą mitu.

Patrzyłam jak Tonsurogłowy mówił *mas des-pac-i-o* do Hiszpanki i czekałam, aby się przekonać, czy mnie też spróbuje nawracać. Byłoby straszne, gdyby okazało się, że potrafi udzielić sensownych odpowiedzi na dręczące mnie pytania dotyczące religii. Jeśli tak by się stało, dałabym mu szansę. Jeśli oczywiście spełniłby ten warunek.

Nagle zawładnęło mną dziwne uczucie, które nachodziło mnie od czasu do czasu. Głęboko w sobie poczułam ziejącą lodowatą pustkę. Pragnęłam ogrzać się od wewnątrz. Popatrzyłam na niego, zastanawiając cię, czy jego wiara nie jest może wszystkim, co ma. Kim byłam, żeby się z niego naśmiewać? A jeśli religia stanowi sens jego życia? Może jest samotny?

Mnie smuci coś innego, ale nie do końca wiem co.

Potem, po kilku sekundach, dziwaczne wrażenie ulotniło się. I dobrze.

Czekałam, aż Tonsurogłowy odezwie się do mnie, ale totalnie mnie ignorował. Zastanowiłam się, czy był świadomy, że sam nigdy by nie zaczepił na ulicy siebie, bo nie należał do mniejszości etnicznej. Hipokryzja w czystym wydaniu.

W końcu odpuściłam, zabrałam ulotkę do domu i przykleiłam ją do wystającej szafki. Na dole znajdował się adres kościoła.

To była organizacja, dlatego przyłączając się do tej wspólnoty, wypełniłabym kolejne polecenie z listy Petrova. Ale gdybym poszła na nabożeństwo, przyświecałby mi inny, ukryty cel: infiltracja środowiska i zdemaskowanie grupy jako sekty. Nie chciałam, żeby wykorzystywali ludzi. Zamierzałam chronić zbyt łatwowiernych.

Kilka dni później z wielką satysfakcją przedstawiłam moją dziesięciopunktową listę Petrovowi, choć gwoli prawdy znalazło się na niej jedynie osiem punktów.

Nim jednak ją przedyskutowaliśmy, Petrov znów zapytał, czy zdobyłam nowych przyjaciół. Zaprzeczyłam, ale chcąc sprawić mu przyjemność, wspomniałam o rozmowie z Douglasem P. Wintersem.

- Wygląda na to, że flirtował z tobą - skomentował Petrov.
- Ech.
- Podoba ci się?
- Ma lekką... obsesję na punkcie seksu.

Petrov odchylił się w fotelu.

- Uważasz, że większość ludzi ma obsesję na punkcie seksu

- stwierdził. - Nie wątpię, że często masz rację. Ale zakładam, że gdybyś była starsza i sama miała doświadczenia na tym polu, nie wydawałoby ci się to aż tak rażące.

Petrov oczywiście uważał mnie za dziewicę. Jeśli posądzasz świat o obsesję na punkcie seksu, to wszyscy z góry zakładają, że nigdy z nikim nie spałaś. Jak gdyby było to tak niezwykle zajęcie, że doświadczając go raz, można usprawiedliwić fakt jego dwudziestoczwierogodzinnej obecności w umysłach wszystkich ludzi. Ponadto uważa się, że osoba wyrażająca całkowicie racjonalną krytykę sposobu funkcjonowania społeczeństwa jest albo pruderyjna, albo potrzebuje bzykanka. Jakby seks był lekiem na całe zło.

Nigdy nie opowiedziałam Petrovowi o moim związku z profesorem Harrisonem.

Zakładałam, że ze względu na tajemnicę lekarską nie powtórzyłyby tego mojemu ojcu, co poczytywałam mu za plus. Ale nie widziałam powodu, dla którego miałyby się dowiedzieć. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Przez całe studia nikomu nie pisałam ani słówka. Byłam dobra w dotrzymywaniu sekretów.

- Skąd pan wie, że brakuje mi doświadczenia? - zapytałam.

- A jest inaczej?

- Nie rozumiem, jakie to ma znaczenie w dyskusji na temat obsesji seksualnej innych osób. Mogę mieć na ten temat własną opinię niezależnie od tego, czy uprawiałam już seks czy nie.

- To prawda - zgodził się. - Ale trudno mieć zdanie na temat latania samolotem, jeśli się nigdy do żadnego nie wsiadło. Jeśli jednak miałaś doświadczenia seksualne i chciałabyś o nich po-

rozmawiać...

- Nie - przerwałam mu. Zdecydowałam, że czas na szybką zmianę tematu: - W zeszłym tygodniu rozważałam przyłączenie się do organizacji.

- Naprawdę? - zaciekał się.

Opowiedziałam mu o Tonsurogłowym i jego kościele. To może być sekta, którą należy rozpracować.

- I tak wzięłabyś ulotkę - skomentował Petrov.

- Co pan przez to rozumie?

- Nawet gdybyś nie planowała udowodnić, że ten kościół jest sektą, wzięłabyś ulotkę. Zachowałabyś ją z tych samych powodów, dla których przychodzisz do mnie, chociaż twierdzisz, że tego nie potrzebujesz.

Och, czy za każdym razem nie oświecał mnie na temat moich sekretnych motywacji odnośnie każdej rzeczy, którą robiłam? Byłam gotowa się założyć, że krył w zanadrzu błyskotliwe wyjaśnienie swojej tezy.

- Przychodzę tutaj, żeby sensownie spożytkować pieniądze ojca - powiedziałam.

- Przychodzisz ze mną rozmawiać - stwierdził Petrov. - Płacisz mi za słuchanie. Być może brakuje ci pewności siebie i uważasz, że inni cię ignorują. Ze mną jest inaczej. Jeśli naprawdę nie chciałabyś przychodzić, to nie byłoby naszych spotkań. Jednak kontynuujesz terapię i z tego samego powodu wzięłaś ulotkę. Co robisz?

- Patrzę na zegar - poinformowałam. - Wcześniej go nie zauważyłam. Rozmyślnie został ustawiony na półce nad moją głową, dlatego kiedy pan sprawdza, ile czasu zostało do końca se-

sji, pacjentowi się wydaje, że patrzy pan na niego. Zegar jest ogromny. Zakładam, że nie dopuszcza pan do przekroczenia czasu spotkania ani o sekundę.

- Nie jest to całkowicie samolubne - wyjaśnił. - Gdyby pacjent przekroczył wyznaczony czas, ucierpi na tym reszta przychodzących do mnie osób.

- Zawsze się zastanawiam, co pan robi, gdy pacjent jest w trakcie niezwykle istotnej opowieści, a tu niestety czas dobiega końca. Czy przerywa pan nagle, mówiąc: „Do samobójczych myśli wrócimy za tydzień”?

- Staram się nie poruszać ważkich tematów podczas ostatnich minut sesji.

- Ach, to zwyczajne oszustwo. Jeśli tylko czterdzieści minut z czterdziestopięciominutowej sesji można przeznaczyć na poważne tematy, to okrada pan własnych pacjentów.

- Carrie, jesteśmy tu, aby rozmawiać o tobie - upomniał mnie Petrov.

- Kiedy mówię o panu, pomaga mi to wyjść z mojej skorupy.

- Naprawdę?

- Nie - zaprzeczyłam. - Pomyślałam tylko, że sprawi to panu przyjemność. Odrobina samoanalizy. Pomaga mi odwracanie uwagi od mojej osoby i rozmowa o panu. Wydawało mi się, że moja hipoteza przypadnie panu do gustu.

Petrov tylko westchnął.

- Czy masz ze sobą dziesięciopunktową listę rzeczy, które kochasz?

Podalam mu kartkę.

- Tak, ale zapisałam tylko osiem punktów.

- Zawsze na przekór.
- Nie, nie zawsze. Cha, cha, cha. Zrozumiał pan?

1. Wiśniowa oranżada.
2. Odgłosy miasta.
3. Moje łóżko.
4. Zielonobłękitny odcień wody w krytym basenie.
5. Rozgwiadzy.
6. Cykl dokumentalny BBC o epoce wiktoriańskiej *The Victorians*.
7. Kolorowa posypka do ciasta.
8. Deszcz w ciągu dnia (ułatwia zasypianie).

- Powiedz, proszę, kiedy ostatnio piłaś wiśniową oranżadę - zapytał.

Odpowiedziałam po krótkim namyśle.

- Jak byłam dzieckiem.
- A kolorowa posypka? Kiedy ją ostatnio jadłaś?

Na plaży, chyba. Razem z tatą chodziliśmy na lody waniliowe serwowane w płaskich złocistych waflach.

- Tak samo, w dzieciństwie.
- To miała być lista twoich ulubionych rzeczy.
- Widać nie ułożyłam ich w odpowiedniej kolejności.
- Według mnie to jedna z przyczyn twojej depresji. Nie dopuszczasz do siebie lub nie szukasz rzeczy, które dają ci prawdziwe szczęście - stwierdził Petrov.

- A kiedy ustaliliśmy, że mam depresję? Żadne z nas nigdy nie użyło tego terminu. Wspominaliśmy o tym, że świat jest pełen obłudy, że ludziom brakuje inteligencji albo że nie podej-

mują w rozmowie naprawdę istotnych tematów. Ostatnim razem przyznał pan, że z powodu mojego wieku studiowanie ze starszymi mogło być dla mnie ciężkim doświadczeniem. Teraz nagle słyszę, że mam depresję. Czyżby pana przyjaciel Glaxo Smith Kline przesłał panu kilka darmowych opakowań prozacu?

Wyglądał na znużonego.

- Za szybko to nazwałem. Sądzę jednak, że byłabyś nie tylko szczęśliwsza, ale też spokojniejsza, gdybyś rozejrzała się za rzeczami, które sprawiają ci przyjemność. Siedzenie w domu przez cały czas nie daje za wiele radości. Na studiach zaliczanie testów i zdobywanie dobrych ocen motywowało cię do działania i na pewno czułaś, że to cię rozwija. Teraz z dyplomem w kieszeni jakby zastygłaś. Gdybyś robiła więcej rzeczy, które lubisz, najprawdopodobniej spotkałabyś ludzi o podobnych zainteresowaniach i nawiązała wartościowe znajomości i przyjaźnie. Dlatego wydało mi się dobrym pomysłem namówienie cię, żebyś dołączyła do jakiejś organizacji.

- Czy powinnam poszukać klubu miłośników wiśniowej oranżady?

- Rozbudujmy twoje pierwsze zadanie - zaproponował Petrov. - Miałaś napisać listę rzeczy, które kochasz. Teraz dodajmy kolejny podpunkt. Zdobądź je. Kup lody z kolorową posypką. Poszukaj sklepu, gdzie sprzedają wiśniową oranżadę.

- Zgoda.

Jeszcze raz rzucił okiem na moją listę.

- Wspomniałaś także o spaniu i deszczu.

- Lubię spać, kiedy pada - powiedziałam i dodałam: - Tym

zajmę się od razu.

- Bardzo dobrze.

Czasami wydawał się nieobecny duchem.

Po powrocie do domu sięgnęłam do skrzynki na listy, którą uwielbiam na równi z moim łóżkiem. Subskrybowałam czternaście czasopism i na widok kalejdoskopu barw, kiedy je otrzymywałam, zalewała mnie wielka fala radości. Co więcej, każdy dzień był obietnicą niespodzianki. Nadzieja, że czekało mnie coś zaskakującego, dawała siłę do życia, kiedy wszystko inne zawodziło. Może w skrzynce leżał list w sprawie grantów dla geniuszy MacArthura.

Tamtego dnia znalazłam jednak tylko cienką białą kopertę.

To był prawdziwy list, ogromna rzadkość w świecie, który zwariował na punkcie e-maili. Na białej gładkiej kopercie moje imię i nazwisko zostało napisane równą czcionką, jakby nadawca używał maszyny do pisania, a nie komputera i drukarki. Zauważyłam adres dziekanatu w Harvardzie. Wreszcie ten łajdak odpowiedział na moją propozycję.

Droga Carrie!

Mam nadzieję, że u Ciebie wszystko dobrze. Przepraszam, że tak długo zwlekałem z odpowiedzią na twój list. Jak zawsze doceniam twoją troskę. Jednak chciałbym Ci przypomnieć naszą rozmowę na zeszłorocznym przyjęciu u twojego ojca, bo wciąż nie zmieniłem w tym temacie zdania i naprawdę nie widzę potrzeby powoływania programu dla tych spośród naszych absolwentów, którzy otrzymali dyplom z wyróżnieniem. Choć w liście napomknęłaś, że ważne jest, aby

umożliwić kontakt „najlepszym z najlepszych”, to w naszych oczach każdy student Harvardu jest już „najlepszym z najlepszych”...

Bzdura. Też tak myślałam przed rozpoczęciem studiów, że każdy tam okaże się geniuszem i nikt nie popatrzy na mnie jak na dziwoląga, kiedy podczas imprezy czy w części wspólnej akademika będę chciała rozmawiać o filozofii lub bieżących wydarzeniach z kraju i ze świata. Część z nich była w porządku, ale inni tylko śmiali się i unosili ręce w obronnym geście, kiedy tylko użyłam terminu w ich przekonaniu zbyt naukowego. Spotkałam tam też ludzi z wynikami testów znacznie niższymi od moich. Mimo to świetnie radzili sobie w lacrosse'a lub w nurkowaniu. Ich rodzice byli majątynymi absolwentami Harvardu, i to pewnie były powody, dla których ich przyjęto. Większość jednak scharakteryzowałabym jako pustogłowych amatorów piwa, gadających ciągle o seksie, co naprawdę szokowało, bo przecież, żeby się tam dostać, trzeba było nieźle zakuwać. Podejrzewałam jednak, że ich gonady eksplodowały, gdy tylko oddalili się o osiemdziesiąt kilometrów od domu. Uważałam, że program dla absolwentów, którzy ukończyli studia z wyróżnieniem, umożliwiłby spotkanie naprawdę inteligentnym osobom.

Zdarzało mi się spotkać czasem bystrych ludzi. Niekiedy trafiała się impreza, na której wpadałam na inne genialne dzieciaki. Rozmawialiśmy wtedy o tym, jak trudno mieć piętnaście lat wśród dwudziestojednoletnich nadużywających alkoholu podrywaczy. Czułam, że łączyła nas niezwykła więź, ale szybko, w odróżnieniu ode mnie, rozsmakowywali się w poczu-

ciu bezkarności.

Wtedy właśnie zainteresowanie profesora Harrisona moją osobą przestało być czysto akademickie.

Złożyłam list od dziekana Nymczika na pół i wrzuciłam go w szczelinę między komputerem a drukarką. Nie zrozumiał mnie. Niewielu potrafiło. W rzeczywistości ogromna rzesza ludzi uważała się za inteligentnych – trudno byłoby znaleźć takich, którzy myślą inaczej – jednak żaden z nich nie był wystarczająco mądry.

To właśnie Wielkie Kłamstwo mojego ojca.

Dokładnie brzmiało, jeśli dobrze pamiętałam, tak: „Kiedy pójdziesz na studia, poznasz ludzi, którzy są dokładnie tacy jak ty”.

Przyznawał, że w gimnazjum było mi ciężko, w liceum też. Na studiach jednak miałam spotkać ludzi takich jak ja.

Poczekaj, aż dostaniesz się na uczelnię.

Wcale tacy nie byli, ani wtedy, ani teraz. To trwało cztery lata, a teraz koniec. Obecnie z rzadka spotykałam ludzi, ale i tak zazwyczaj okazywało się, że jazdę na snowboardzie traktowali jako wydarzenie kulturalne, a ich główną lekturą był program telewizyjny. Nie wiedziałam, jak na to reagować.

Dlatego zazwyczaj zostawałam w łóżku.

Rozdział 3

Nie mam żadnych przyjaciół w okolicy i jest ku temu dobry powód. Większość ludzi w dorosłym życiu spotykała się ze znajomymi ze studiów. Na studiach zazwyczaj przyjaźnie nawiązuje się na pierwszym roku. Na pierwszym roku natomiast najwięcej ludzi poznaje się w pierwszych tygodniach nauki.

Sama także nawiązałam kilka przyjaźni na pierwszym roku. Zakolegowałam się ze współlokatorką Janie, która jednak w listopadzie rzuciła studia i nawet nie wiedziałam, gdzie jej szukać. Kolejną przyjaciółką była Nora, także cudowne dziecko. Na tydzień przed rozpoczęciem roku akademickiego urządzano imprezy zapoznawcze dla młodocianych geniuszy. Na jednej z nich stałam przy oknie, trzymając w dłoni kubek z napojem, i wyglądałam na zewnątrz, kiedy podeszła do mnie.

- Wyglądasz na znudzoną - powiedziała. - Znasz tu kogoś? Bo ja nie.

Zaciągnęła mnie do grupki ludzi i stałyśmy przy nich tak długo, aż włączono nas do rozmowy. Po chwili Nora brylowała w nowym towarzystwie. Szybko zawierała znajomości, więc błyskawicznie poznała mnóstwo ludzi. Zaczęła organizować całą masę rzeczy, szczególnie w pierwszych tygodniach nauki. Kiedy wpadła na pomysł, aby połączyć po Bostonie czy iść do kina, obdzwaniała wszystkich znajomych, do których się zaliczałam, umawialiśmy się i szliśmy razem. Ale przyjaźń z taką

osobą nie trwa długo. Ten typ – towarzyski, głośny i powszechnie lubiany – szybko gromadzi wokół siebie podobnych. W takiej konkurencji szybko odpadłam. Nora dzwoniła do mnie coraz rzadziej. Chyba miała chłopaka. Widziałam ich razem na kampusie. Na początku, gdy już przestałyśmy się umawiać, mijając się na uczelni, machałyśmy do siebie. Potem pozdrawiałyśmy się skinieniem głowy. Wreszcie obie udawałyśmy, że się nie zauważamy. To przerażające, że spadek z pewnego poziomu towarzyskiego czynił koniecznym udawanie, że się kogoś nie widzi, aby uniknąć niezręczności. Może było to związane z ryzykiem. W braku pewności, czy uzyskasz odpowiedź na swoje powitanie, wolisz uniknąć niepotrzebnego wstydu. Pamiętam, że podobnie rzecz się miała z niektórymi profesorami. Studenci obecni w ogromnej sali wykładowej z pewnością wiedzieli, kto prowadzi zajęcia, ale nie mieli pewności, czy jest odwrotnie. Powiedzenie dzień dobry wykładowcy narzucało na niego presję, bo musiał zastanawiać się, skąd nas zna, kiedy jednak nie powiedziało się nic, a on nas rozpoznał, mógł uznać, że student zadziera nosa. To był twardy orzech do zgryzienia.

Wspominając Harvard, miałam mieszane uczucia. Pamiętałam początek każdego zimowego semestru, kiedy robiło się coraz chłodniej i patrzyłam przez okno w akademiku na studentów w karmazynowych bluzach z kapturem spacerujących po opadłych liściach. Byłam podekscytowana na myśl o czekających mnie zajęciach i nowych możliwościach. Moje nadzieje jednak w miarę upływu czasu szybko gasły. Nikt się do mnie nie odzywał. Sama jadłam posiłki, a w sobotnie wieczory patrzyłam przez okno na innych, zupełnie jak rok wcześniej. Nie

chodziło mi o to, żeby towarzyszyć ludziom w tym, co robili; chciałam, żeby oni robili to, na co ja miałam ochotę. Najbardziej bolało to, że studiowałam w miejscu, dla którego większość ludzi na świecie jest gotowa dać sobie rękę uciąć, żeby tylko tam się dostać, czyli powinnam być szczęśliwa, a jednak czułam, jakby wszyscy inni byli u siebie, z wyjątkiem mnie.

Teraz mieszkam w Nowym Jorku, w absolutnie kultowej dzielnicy. Większość ludzi na świecie jest gotowa dać sobie rękę uciąć, żeby tylko tu żyć, a ja czuję się tak samo jak na Harvardzie.

Inaczej było tylko w trakcie związku z profesorem Harrisonem. Nie przypominałam sobie żadnych szczególnych wrażeń z naszego pierwszego spotkania. To był wykład z literatury angielskiej. Modernizm, sala 203, drugi rok studiów. Na zajęcia zapisało się dwanaście osób i podzielili nas na dwie grupy. Pierwszą prowadził doktorant, moją dostał profesor z krwi i kości. Mieliśmy szczęście.

Harrison miał około czterdziestki, był średniego wzrostu, a jego brązowe włosy z lekka oprószyła już siwizna. Lubił nosić sweterki w serek. Na pierwszych zajęciach oznajmił, że ma zamiar wyłamać się ze schematu ćwiczeń z literatury, podczas których czyta się książki, a potem przekrzykuje jeden drugiego, żeby dokonać lepszej dekonstrukcji. Powiedział, że poprosi nas o napisanie własnych modernistycznych utworów, jednego lub dwóch. Zdenerwowałam się, bo pisanie szło mi gorzej niż inne dziedziny. Większość ludzi preferuje pisarstwo osobiste, podczas którego otwiera własne wnętrza, we mnie opowiadanie o prywatnych szczegółach życia, by przyciągnąć

uwagę czytelnika, budzi niesmak. Poza tym literatura nie jest aż tak precyzyjna jak inne przedmioty. W szkole średniej czasem próbowałam sił na zajęciach z kreatywnego pisania i za każdym razem czułam się, jakbym stała na łyżwach bez żadnej podpory na samym środku lodowiska. Najlepiej szła mi matematyka i fizyka. Z filozofii i literatury też miałam niezłe stopnie, ale pisanie nigdy nie było moją pasją.

Harrison podszedł do każdego z nas, prosząc o przedstawienie się i opowiedzenie, z czego planujemy pisać licencjat. Chciałabym, żeby każdy wykładowca tak robił, bo ludzie często na zajęciach zupełnie się nie znali. Dostałam swoją szansę. Powiedziałam, że lubię czytać i obserwować innych. Kiedy skończyłam, Harrison uśmiechnął się, kiwnął głową i powiedział:

- Witam na moich zajęciach.

Tamtego dnia dostaliśmy pierwsze zadanie. Mieliśmy napisać o sobie, a zwłaszcza o tym aspekcie własnej osobowości, który nas drażni. Harrison powiedział, że pławienie się we własnych ułomnościach jest charakterystycznym rysem pisarstwa modernistycznego. Chciałam od razu mu zaimponować, dlatego planowałam właściwie podejść do tematu. W akademiku położyłam się na łóżku i uchyliłam okno, pozwalając, by chłodne powietrze lekko oziębiło pokój. Godzinę męczyłam się nad pierwszym zdaniem.

Wreszcie stanęło na: „Z trzech klas, które przeskoczyłam, najbardziej odczułam ominięcie drugiej klasy podstawówki”.

I proszę. W pierwszym zdaniu umieściłam najważniejsze rzeczy. Obnażyłam się. Na pewno to doceni.

Dodałam: „Nagle ołówek zastąpiłam długopisem, szlaczki literami, słuchanie bajek wzywaniem do odpowiedzi, zabawę w berka obserwacją kolegów i koleżanek. Przeskoczenie klasy czwartej i ósmej to już była pestka”.

Tak, podobało mi się.

Napisałam o sobie jeszcze więcej, ale dużą trudność sprawiło mi znalezienie cechy, której nie lubiłam. Pomyślałam o pierwszej prawie modernistycznej książce, jaką przeczytałam. *Notatki z podziemia* Dostojewskiego. Miałam wtedy dziewięć lat i właśnie odwołam lekcję francuskiego. Bohater musiał, jak to rozumiałam, doświadczyć fizycznie i werbalnie najbardziej ekstremalnych rzeczy, które przychodziły mu do głowy, aby sprawdzić, jaki to wywoła efekt. Podobne dziwactwa były mi obce. Wyteżyłam umysł. Co mogłabym napisać, żeby stworzyć porządne modernistyczne wypracowanie? Mogłam coś wymyślić. Czasem czuję się... jak karaluch. Czasem czuję się jak huśtawka. Nie. Postanowiłam napisać, że uważam się za zbyt sumienną. Nie było to ani błyskotliwe, ani szalenie metaforyczne. Niech to szlag! A to dopiero pierwsze wypracowanie.

Podczas drugich i trzecich zajęć Harrison nie wspominał o oddanych pracach. Dyskutowaliśmy o różnych modernistycznych pisarzach. Jeden ze studentów w naszej grupie, Brian Buchman, był największym lizusem, jakiego w życiu spotkałam, a byliśmy przecież na Harvardzie, toteż było to nie lada osiągnięcie. Ciągłe powtarzał, że ta czy inna książka jest naprawdę „rewelacyjna”. Wydawało się, że nikomu oprócz mnie to nie przeszkadzało. Po prostu kolejna grupa osób, z którymi

nic a nic mnie nie łączyło. Gdyby Brian był szczery, podziwiałabym go, ale w tonie jego głosu pobrzmiwał fałsz. Połowa jego wynurzeń to były rzeczy, o których uczyłam się w szkole średniej, a przedstawiał je niczym wiekopomne odkrycia.

Na koniec trzecich zajęć, kiedy każdy wrzucał książki do wytwornych, czarnych plecaków, Harrison poprosił, żebym do niego podeszła.

Stałam przy biurku w chwili, gdy Brian Buchman mówił do widzenia.

- Masz teraz czas czy może się spieszysz? - zapytał Harrison. - Miałabyś ochotę na kawę?

- Tak, jestem teraz wolna.

Przeszliśmy korytarzem do pięciokątnego zaułka z parą drewnianych drzwi na każdej ze ścian. Niektóre z nich były oklejone blaknącymi, pożółkłymi gazetowymi komiksami. Na drzwiach biura Harrisona nie wisiało nic poza tabliczką z jego nazwiskiem. Weszliśmy do środka. Profesor usiadł na rdzewiejącym metalowym biurku. Na pomalowanych na biało surowych ścianach wisiało kilka wycinków z czasopism, a połamane krzesło ugięło się pod ciężarem stosu papierów. Słyszałam, że wykładowcy nie cieszyli się należyty szacunkiem, a rozmiar gabinetu Harrisona był tego świetnym przykładem.

Harrison odchylił się na krześle.

- Bardzo podobał mi się początek twojej pracy.

- Dziękuję. - Zauważyłam, że na biurku nie było żadnych zdjęć.

- Napisałaś, że uczysz się tak dużo, że aż do przesady.

- Może nie do końca tak jest. - Staralam się nie denerwo-

wać. - Ale niektórzy tak uważają.

Pamiętam, że zwróciłam uwagę na kolor jego swetra. Ładnie mu było w brązach. Miał falujące włosy, a oczy o intensywnej kasztanowej barwie.

- Rozpoczynanie studiów w wieku piętnastu lat należy do trudnych doświadczeń - stwierdził.

-To znaczy, nie mam problemów z nauką. Ale...

- Życie towarzyskie może nastęrczać problemów.

Przytaknęłam.

- Jesteś pewna, że nie musisz gdzieś teraz iść?

- Nie - odpowiedziałam. - To znaczy tak. W czwartki nie mam więcej zajęć.

- Jesteś najstarsza z rodzeństwa?

- Nie mam rodzeństwa.

- Mhmm - zamruczał. - Ja miałem młodszego brata. Bywały napięcia. Mali geniusze zazwyczaj mają normalne rodzeństwo, a to prowadzi do niezdrowej rywalizacji.

- Był pan cudownym dzieckiem?

- W mniejszym stopniu niż ty. Przeskoczyłem tylko jedną klasę. I było mi ciężko. Ty przeskoczyłaś aż trzy... to musiało być wyjątkowo trudne.

Znów przytaknęłam.

- Jak ci się podoba na studiach?

Popatrzył mi prosto w oczy. Od czasu egzaminu wstępnego nikt się tak mną nie interesował.

Rozmawialiśmy przez godzinę. Opowiedziałam mu o rzeczach, o których jeszcze nikomu nie mówiłam. Zwierzyłam się z chwil na pierwszym roku, spędzonych samotnie w akademiku

po tym, jak moja współlokatorka przerwała studia. Czułam się wtedy podle, choć każdy twierdził, że byłam wielką szczęściarą, bo miałam cały pokój tylko dla siebie. Wspomniałam o dzieciństwie i o moich błyskotliwych komentarzach, które wprawiały w osłupienie dorosłych, na przykład, gdy w wieku siedmiu lat podeszłam w bibliotece do kobiety trzymającej w dłoni *Szklany klosz*, mówiąc: „To świetna książka”.

Powiedziałam mu, że jako pięciolatka sama nauczyłam się grać na pianinie *Dla Elizy*. Kilkakrotnie przerywałam z obawy, że go nudzę, ale zachęcał mnie do dalszych zwierzeń. Czasem odwzajemniał się opowieścią o swoim dzieciństwie małego geniusza albo przyznawał, że często czuł się wyobcowany. Miałam wrażenie, że to on starał się mi zaimponować. Dziwiło mnie to.

- Pewnego dnia chłopak z sąsiedztwa czytał przed domem komiks - powiedział Harrison. - Nie chciał mi go pokazać, dlatego stanąłem przed nim i zacząłem czytać do góry nogami, ale na głos. Był zachwycony, choć to wcale nie jest trudne. Uznał, że jestem geniuszem. Potem pobiegł po swoich kumpli i każdy z nich chciał, żebym czytał do góry nogami. Sprawili, że poczułem się jak superbohater.

Opowiedziałam mu wtedy o moim sąsiedzie z dzieciństwa.

- Kiedy byłam w pierwszej klasie - zaczęłam - szóstoklasista mieszkający w moim bloku podszedł do mnie na placu zabaw, oznajmiając, że ma w pracy domowej wyszczególnić przypadki, w których nie można zastosować pierwszej poprawki do konstytucji. Wszystkie dzieciaki zawsze prosiły mnie o pomoc w zadaniach domowych, nawet ci, którzy się mnie czepiali. Po-

wiedziała mu, że mimo gwarantowanej konstytucyjnie wolności wypowiedzi nie wolno bezpodstawnie krzyknąć „pożar!” w zatłoczonym teatrze. Następnego dnia w stołówce szkolnej ten chłopak podbiegł do mnie, dysząc, i wykrzyknął: „Carrie! Carrie! Nie uwierzysz! Sprawdziłem w encyklopedii. Zamieścili tam twój przykład!”.

Profesor Harrison odchylił głowę do tyłu i się zaśmiał. Wtedy uświadomiłam sobie, że to naprawdę zabawne i też wybuchnęłam śmiechem. Śmialiśmy się oboje. To było zaraźliwe. Już nawet nie śmieszył nas sam dowcip, śmialiśmy się dla samej przyjemności. Fajnie było poczuć, że wydarzenie z dzieciństwa, które uznałam za dziwaczne, teraz okazuje się zabawne. Spojrzeć wstecz na swoje życie i śmiać się razem z przeszłości. Tyle niedobrego mi się przydarzyło, och, gdybym tylko mogła wyciągnąć minione zdarzenia na światło dzienne i przerobić je w zabawne anegdoty! Profesor Harrison by mnie zrozumiał.

Musieliśmy się pożegnać. Harrison popatrzył na mnie i powiedział:

- Tak, pewnie już musisz się zbierać.

- Nie bardzo, ale... - odpowiedziałam, a on zaśmiał się tylko i wstał.

Uścisnęliśmy sobie dłonie. Miał ciepłe ręce. Podziękowałam za rozmowę i wyszłam.

Wracając do siebie, miałam w głowie kotłowaną myśl.

Był bystry. Nie. Był genialny.

Lubił mnie słuchać.

Zachęcał do zwierzeń i zawsze miał odpowiedź.

Nasza rozmowa wprawiła mnie w ekscytację, której nie odczuwałam od lat. Ale wiedziałam, że pewnie to już się nie powtórzy, bo prawdopodobnie w podobny sposób traktował wszystkich studentów, omawiając ich prace, i każdy musiał odczuwać identyczny zachwyty. Sprawy potoczą się analogicznie jak w przypadku mojej przyjaciółki z pierwszego roku, zainteresowanie Harrisona szybko przesunie się na inne osoby, głośniejsze i bardziej „zabawne” ode mnie. Poza tym z pewnością w jego życiu, poza uczelnią, jest mnóstwo ludzi, z którymi był związany. Absolwenci, krewni, koledzy. To wspaniały człowiek. Ludzie się do niego garną.

Wciąż wiedziałam o nim mało, ale wystarczająco, aby się zachwycić. Miałam ochotę zaciągnąć go w kąt i maglować godzinami. Chciałam też, aby mnie pytał o mnóstwo rzeczy. Latami gromadziłam wspomnienia, aby otworzyć się przed kimś, kto mi okaże zainteresowanie, komu będzie na mnie zależać.

Harrison nie wyśmiał mnie, kiedy mu opowiadałam o sobie. Nie dziwił się. Nie uważał, że się wymądrzam. Zgadzał się ze mną, a czasem rozwijał wątki, które podejmowałam. Do najbardziej zadziwiających rzeczy w życiu należy spotkanie z człowiekiem, który rozumie nas bez zbędnych wyjaśnień.

Mój czas jednak dobiegł końca.

Podejrzenia potwierdziły się podczas kolejnych zajęć. Harrison ani nie mrugnął do mnie, ani nie posłał porozumiewawczego uśmiechu. Nie wyróżniał mnie w żaden sposób. Byłam rozczarowana. Wciąż uważałam, że powinnam więcej dla niego znaczyć. Czy nie dzieliliśmy sekretów? Nie zaprzyjaźniliśmy się? Zwierzył mi się, że jako chłopiec czuł się samotny i wyob-

cowany. Czy to są rzeczy, które opowiada się wszystkim wokół? Czy powiedział o tym także innym?

Tamtego dnia najwięcej uwagi poświęcił Brianowi Buchmanowi. Nie miał wyboru. Buchman był nadaktywny, a Harrison zachwycony – kolejny geniusz. Dusił mnie zazdrość. Chciałam wygłosić równie błyskotliwy komentarz, ale ani ja, ani nikt inny nie był w stanie przerwać potoku słów Buchmana.

Rozwodził się nad *Obcym*.

- Niestety angielskie tłumaczenie w ogóle nie oddaje głębi francuskiego oryginału – stwierdził, a Harrison zgodził się z nim kiwnięciem głowy.

Buchman mówiąc, że Camus jest „rewelacyjny”, podkreślił słowa gestem dłoni, łącząc kciuk i palec wskazujący. Zastanawiałam się, czy wymiotując, zasłużę na piątkę. Pustogłowe dziewczę o imieniu Vicki przez cały patrzyło na Briana jak ciebie na malowane wrota. Nie można powiedzieć, że Buchmanowi czegoś brakowało. Poza tym, że był bufonem.

Harrison ani razu na mnie nie spojrzał. Czułam się okropnie.

Po zakończeniu zajęć profesor wciąż rozmawiał z Brianem. Żaden nawet nie spojrzał, kiedy wychodziłam.

Byłam w fatalnym nastroju.

Ruszyłam w stronę głównego dziedzińca, wszyscy na kampusie się świetnie bawili. Dwóch chłopaków w puchowych kurtkach grało we frisbee. Grupa członków bractwa goniła się z ociężałym bernardynem. Przed wejściem do biblioteki para zakochanych siłowała się na niby.

Na korytarzu akademika uśmiechnęłam się do dwóch dziewczyn, które minęłam, one jednak były tak pogrążone w rozmo-

wie, że mnie nie zauważyły. To zabolalo. Weszlam do pokoju, rzucilam ksiazki na szafke i opadlam na lozko.

Lezalam moze z pol godziny zwinieta w klebek, zle sie czulam. Juz minal miesiac od rozpoczecia roku akademickiego, towarzyskie układy zostaly juz dawno określone.

Wsluchiwalam sie w rytmiczne drapanie galęzi po moim oknie.

Zadzwonil telefon.

- Carrie? - ktos zapytal. - Tu profesor Harrison.

- Cześć - przywitalam sie.

- Zastanawialem sie, czy nie chcialabyś sie ze mna wybrac dzis na kolacje. Pewnie masz juz jakies plany...

Az mnie scisnelo w srodku. Kolacja we dwoje? Czy to juz randka czy tylko akademickie spotkanie? Czy zaprosil tez innych studentow? Jakie sa jego motywy? Co powinnam zrobic? A jezeli powiedzialam cos glupiego? Przynajmniej przeczytalam polowe zalecanych lektur, tego powinnam sie trzymac. Poza tym nasza pierwsza rozmowa sprawila mu przyjemnosc, tak? Nie powinnam sie denerwować.

- Pewnie - zgodzilam sie.

Glos mi sie jednak lamal.

- Jaką kuchnię lubisz?

- Zdaje sie na pana.

Roześmial sie.

- Bylas kiedyś w marokańskiej restauracji?

- Nie.

- Zatem postanowione.

Wydawalo mi sie, ze lubil, kiedy czegoś nie probowalam.

Wkrótce miałam się o tym przekonać. Uwielbiał wcielać się w rolę nauczyciela.

Odłożyłam telefon i zaczęłam się zastanawiać, w co się ubrać. Nie wiedziałam, czy powinnam się stroić dla mężczyzny, który mnie zaprasza na kolację. Jest nie tylko starszy, lecz także jest moim wykładowcą, czyli na pewno nie powinien być postrzegany w kategoriach kandydata na romans. Zresztą i tak nie wiedziałam, jak trzeba się ubierać. Dobra prezencja była wynikiem starannego naśladowania innych, a śledzenie mody nie należało do moich ulubionych zajęć. Włożyłam bluzkę, którą miałam na sobie przed rokiem podczas eleganckiej kolacji z ojcem. Wzięłam też szykowne wełniane palto. Zbiegłam po schodach, uradowana, że podobnie jak inni mam plany na wieczór. Wiał zimny wiatr. Byłam jednocześnie zdenerwowana i podekscytowana.

Czekałam na trawniku, bo Harrison jeszcze nie przyjechał, spojrzałam na akademik. Przypominał trzykondygnacyjny dom kolonialny. W kilku oknach świeciło się światło. To były pokoje tych, którzy utknęli w środku, i na pewno nie stali, tak jak ja, na progu fascynującej przygody.

Harrison miał tak małe auto, że nie zauważyłam, kiedy podjechał. On też mnie nie widział, bo patrzył we wsteczne lusterko. Gdy się odwrócił, już szłam w jego kierunku. Wysiadł i otworzył mi drzwi. To nie było konieczne, ale stanowiło miły gest z jego strony.

- Cześć - przywitał się.

- Cześć - odpowiedziałam.

Wsiadłam do samochodu, Harrison z trzaskiem zamknął

drzwi. Wewnątrz panowało niemiłosierne gorąco. Ogrzewanie działało na pełną moc. Harrison, wracając na miejsce kierowcy, przez sekundę przeciął snop reflektorów. Wśliznął się do środka.

- Masz ulubioną stację? - zapytał, wskazując radio.

- Cokolwiek... - zaczęłam, ale przerwałam, uświadomiwszy sobie, że może jestem zbyt pasywna. On przecież wybrał restaurację. - Z muzyką klasyczną?

Harrison znalazł odpowiednią częstotliwość, a ja ukradkiem zerknęłam na jego profil. Nos delikatnie się zaokrąglął, a cała twarz miała przyjemny kontur. Rozmawialiśmy o kompozytorach. Bardziej znał się na ich życiu niż na samej muzyce. Zawsze podziwiam osoby, które wiedzą wiele na tematy niezwiązane z ich pracą. Nie było to pewnie aż tak niezwykle, ale dla osoby, która spotykała ludzi pozbawionych jakichkolwiek pasji, rozmowa z kimś, kto biegle orientował się w trzech czy czterech dziedzinach, zaliczała się do kategorii cudów. Zeszliśmy na Edwarda Griega, którego od zawsze ubóstwiałam. Harrison napomknął, że kompozytor był w moim wieku, gdy uczęszczał do konserwatorium. Przez pół godziny mówiliśmy tylko o nim. Wszystko, co wiedziałam, nie było Harrisonowi obce.

Zaparkował na tyłach restauracji. Wewnątrz panował półmrok, było pełno ludzi. Kiedy podszedł do nas kelner, Harrison poprosił o stół w głębi. Przeszliśmy przez drzwi przesłonięte sznurami bordowych paciorków. Sala okazała się kameralna, a jej ściany pokrywała miękka czerwona tapeta z filcu. Wszystkie cztery stoliki były wolne.

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko - powiedział

Harrison. – Cenię sobie prywatność.

– Ja również.

– Nie chciałbym, żeby ktoś nas zobaczył i pomyślał, że cię faworyzuję – wyjaśnił.

– Nie zaprasza pan wszystkich swoich studentów na kolację?

Puścił do mnie oko.

– Tylko najlepszych i najbystrzejszych.

Popatrzyliśmy na menu, z którego zwisał złoty chwost.

– Szkoda, że jesteś za młoda na alkohol – stwierdził. – Mają tutaj wyborne słodkie wino...

Przejechałam wzrokiem po liście przystawek, nic nie wydawało się zachęcające.

– Czy lubisz słodkości? – zapytał.

Kiwnęłam głową.

Kelner nalał nam wodę do szklanek, a David zamówił colę dla mnie i lampkę czerwonego wina dla siebie.

Kiedy podano napoje, podał mi swój kieliszek, zachęcając:

– Spróbuj tylko.

Wahałam się przez moment, ale upiłam mały łyk. Wino było jednocześnie ostre i słodkie.

– Dobrze – przyznałam.

David też się napił. Przyłożył usta dokładnie w tym miejscu, gdzie ja. To było ekscytujące. Znów podał mi kieliszek. Kelner wrócił w chwili, gdy piłam wino, wymienił spojrzenia z Davidem, ale żaden z nich nic nie powiedział.

Kiedy oddałam mu kieliszek, David oparł podbródek na złączonych dłoniach i przyglądał mi się przez minutę.

- Pasuje ci.
- Co takiego?
- Wino. Zaczerwieniło ci usta.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Ponownie wczytałam się w menu. Dziwne, że tak na mnie patrzył w ogóle niezmiyszany.

Oderwał ode mnie wzrok dopiero wtedy, gdy kelner przyszedł po nasze zamówienia. David zapytał, czy jestem gotowa, a kiedy zaprzeczyłam, zaproponował, że wybierze za mnie, bo chce mi polecić kilka dobrych dań.

Kiedy kelner wyszedł, zapytał:

- Co myślisz o naszej grupie? Tylko szczerze.
- Jest fajnie - odpowiedziałam. - Myślę, że pomysł, abyśmy sami pisali, to ciekawa metoda...
- Nie - przerwał mi. - Nie chodzi o treść zajęć, tylko o studentów.

- Och. Myślę... są w porządku.
- Vicki też?

Wzruszyłam ramionami.

- Wydaje się miła.
- Nie krępuj się, bądź szczerą.
- Tak...
- No, dalej. To będzie nasz sekret.
- Uważam, że jest trochę...
- ...pustogłowa? - dokończył za mnie.

Uśmiechnęłam się.

- Zgadzasz się?
- Właśnie tak o niej myślałam.
- To zostanie między nami - obiecał. - Oboje potrafimy do-

chować tajemnicy, prawda?

- Tak. Całe moje życie to jeden wielki sekret.

Uśmiechnął się.

- Jesteś naprawdę wyjątkowa - powiedział. - Genialna, a przy tym wciąż młoda i pełna zapału. To fascynujące.

Spuściłam wzrok i napiłam się coli.

- Co myślisz o Brianie Buchmanie? - zapytał. - Zdolny chłopak, prawda?

- Tak, jest bystry.

- Czy nie jest czasem największym lizusem w historii naszej uczelni?

Zaśmiałam się uradowana.

- Wydawało mi się, że to twój ulubieniec!

Przewrócił oczami.

- Och, Camus jest rewelacyjny.

- Niestety angielskie tłumaczenie w ogóle nie oddaje głębi francuskiego oryginału - powtórzyłam, naśladując głos Buchmana.

- *Oui* - przytaknął Harrison.

Przyszedł kelner. Obrzuciłam go niechętnym spojrzeniem, bo jego obecność zaczynała mnie drażnić.

David powiedział, że jestem młoda i pełna zapału, ale jemu też go nie zbywało, mimo że był szacownym profesorem. Z niektórych jego opowieści wywnioskowałam, że wciąż, podobnie jak w dzieciństwie, czuje się zagubiony, i to było urocze. Najbardziej jednak podobało mi się, że wspólnie, z poczuciem wyższości, wyśmiewaliśmy tych, którzy nie dorastali nam do pięt, czyli pozostałych studentów z grupy.

Kiedy podano nam zamówione potrawy, David widelcem przesunął wszystkiego po trochu na mój talerz.

- Jedz - zachęcił. - Smacznego!

Oboje jedliśmy z apetytem, dzieląc się kolejnym kieliszkiem wina. Cały czas się śmialiśmy. David zamówił jeszcze jedną lampkę.

Jedliśmy, piliśmy i śmialiśmy się - wiedziałam, że zachowywałam się dziecinnie głupio, ale po raz pierwszy w życiu miałam to w nosie. Byłam w towarzystwie wybitnej osoby, człowieka, który ochroniłby mnie w razie konieczności, dlatego niczym się nie przejmowałam.

Po wyjściu z restauracji przywitał nas powiew zimnego powietrza.

- Nie martw się - uspokoił mnie. - W samochodzie włączę ogrzewanie.

Na sekundę położył dłoń na moich plecach. Po kręgosłupie przeszedł mi dreszcz. Targały mną najróżniejsze uczucia nie składające się niestety w spójną całość. Czekałam, nie wiedząc na co. Nie wiedziałam, jak się zachować, bo wszystko było dla mnie zupełnie nowe.

Wyjechaliśmy z parkingu, w samochodzie zaczęło robić się ciepło. Przez okno popatrzyłam na pogrążony w mroku rząd choinek przywodzący na myśl krzywą sinusa. Na niebie świeciły gwiazdy. Wydawało się, jakbyśmy byli oddaleni od kampusu o cały wszechświat.

- Wiesz, naprawdę się dobrze z tobą bawiłem - powiedział David, wjeżdżając na szosę.

- Cieszę się - odpowiedziałam, niepewna, jak inaczej mogła-

bym to skomentować.

- Nie kłamię - uśmiechnął się.

- Czy zazwyczaj bawisz się gorzej?

- Nie wiem, czy którekolwiek z nas na co dzień dobrze się bawi.

Popatrzył na mnie, przeszył mnie kolejny dreszcz.

David włączył radio i skomplementował moją wiedzę muzyczną. Przyznałam, że przez cztery lata chodziłam na lekcje gry na pianinie. Pamiętam, że ojciec kupił w pobliskim sklepie muzycznym ogromny plakat z wujem Samem wymierzającym w moją stronę wskazujący palec. Pod spodem było napisane: „Chcę, żebyś ćwiczyła codziennie!”. David opowiedział o recitalu swojego kuzyna, podczas którego, kiedy wciąż jeszcze rozbrzmiewały ostatnie dźwięki V symfonii Beethovena, oderwał się fragment sufitu, a na słuchaczy opadły tumany kurzu. Sposób, w jaki opisał biednego Steviego, który stał w ciemnym garniturze z muchą pod szyją, obsypany pyłem niczym pączek cukrem pudrem, sprawił, że wybuchnęłam śmiechem. Wymienialiśmy wrażenia na temat dobrych i złych stron naszego wychowania muzycznego, wspominaliśmy dziwacznych nauczycieli ze szkół i z prywatnych lekcji, potem zeszliśmy na temat innych zajęć pozaszkolnych i nim się spostrzegłam, zajechaliśmy przed mój akademik.

Nie wiedziałam nawet, która godzina. Wypiłam mnóstwo wina. Musiało być dość wcześnie, ale miałam wrażenie, że zrobiło się bardzo późno. Światła paliły się jedynie w dwóch czy trzech oknach. Siedziałam, czując alkohol krążący w żyłach. Czekałam, aż przestanie mi wirować w głowie.

- Było naprawdę miło - powiedział.

- Zgadza się.

- Masz klucze?

- Mam nadzieję - odpowiedziałam, grzebiąc w torebce.

David złapał mnie za rękę, przerywając poszukiwania. Podniosłam na niego wzrok.

- Czy naprawdę musisz wracać? - zapytał.

Kciukiem wolno, okrężnymi ruchami masował moją dłoń. Spuściłam wzrok na torebkę.

- Jeśli mogłabyś teraz zrobić cokolwiek, co by to było?

Wiedziałałam, że chce, żebym to ja zaproponowała kontynuację wieczoru. Gdyby to wyszło ode mnie, stałoby się mniej naganne. Nie wiedziałam jednak, co powiedzieć.

Tymczasem on pochylił się, ujął moją głowę w obie dłonie i pocałował mnie. Na sekundę przerwał i niepewny popatrzył na mnie. Odwzajemniłam spojrzenie, wtedy pocałował mnie jeszcze raz. Dobiegł mnie warkot silnika. Jego dłonie zsunęły się na mój kark. Potem odsunął się.

- Zaraz po naszej rozmowie w moim gabinecie obiecałem sobie, że to się nie stanie.

Czyli myślał o tym od tygodnia! I nie potrafił mi się oprzeć! Nie mogłam w to uwierzyć. Po raz pierwszy w życiu ktoś mnie tak mocno pragnie, i tym razem nie chodzi o udział w drużynowym konkursie ortograficznym.

- Słuchaj - powiedział. - Możesz wracać do siebie albo możemy jeszcze gdzieś wyskoczyć.

Milczałam. Nie miałam wyboru.

- Jedźmy.

W jego salonie wisiały identyczne obrazy jak w mojej dziecięcej sypialni. Nim jednak miałam szansę mu o tym powiedzieć, był już w korytarzu i wołał, że mnie oprowadzi. Jego mieszkanie okazało się najprzytulniejszym miejscem, w jakim przebywałam od opuszczenia rodzinnego domu. W salonie stał kominek, miękkie dywany zdobiły podłogi, a na kanapach i łóżku spoczywały ogromne poduchy. Rzuciliśmy okiem na sypialnię i przeszliśmy do kuchni.

- Czego się napijesz? - zapytał, stając przy blacie.

- Wydaje mi się, że to już przerabialiśmy - odpowiedziałam.

Wino wyostrzyło mi język i poczucie humoru.

Roześmiał się, odkręcając butelkę. Nalał tylko sobie.

- Czy w ogóle zdarza ci się palić w kominku? - zapytałam, przechodząc obok.

Usiadałam w rogu kanapy. Na ciemnej popielatej tapicerce w miejscach, gdzie pod wpływem dotyku podnosił się włos, rysowały się jasne smugi.

- W tym roku jeszcze ani razu - odpowiedział. - Czekałem na dobry moment.

Jak to się zacznie?, zastanawiałam się. Czy sięgnie do arsenału sztuczek uwodziciela, żeby zaciągnąć mnie do łóżka? Czy wieczór zakończy się inaczej? Zakładałam, że tak właśnie będzie, choć nie byłam pewna, czy naprawdę tego chcę. Wiedział przecież, że nie mam w tych sprawach doświadczenia, prawda? Musiał wiedzieć. Nie mógł chyba zbyt wiele oczekiwać. Ale może brak doświadczenia mu nie przeszkadzał.

- O czym myślisz? - zapytał.

Nikt nigdy mnie tak wprost o to nie zapytał. David odstawił

teraz już pusty kieliszek na blat i podszedł do mnie. Był poważny, spięty. Zauważyłam, że lekko się zatacza.

- O twoich zajęciach - skłamałam.

- Ach - westchnął i usiadł na drugim końcu kanapy. - To mi przypomniało o artykule odnoszącym się do *Pisma i różnicy*, który opublikowałam...

Zaczął się rozwodzić na ten temat i spodobało mi się, że nawet w chwili relaksu, w salonie na kanapie, wciąż myśli o pracy. Ale po naszym pocałunku w samochodzie wydało mi się dziwne, że wciąż trzymamy taki dystans, jakby nic się nie stało.

Wyobraziłam sobie, że przenocuje mnie na kanapie, otuli kocem i przeczyta bajkę na dobranoc. Wbrew sobie, zmroziła mnie ta wizja.

- Posłuchaj, kiedy prawie ci komplementy i mówię, że jesteś genialna albo że wino pięknie podkreśla zarys twoich ust, to naprawdę tak myślę - powiedział. - To nie są czcze pochwały.

Wskazałam pustą szklankę na blacie.

- Jestem pod wrażeniem, jak to świetnie działa - skomentowałam.

Zaśmiał się.

- Alkohol nie ma tu nic do rzeczy - powiedział. - Po prostu jesteś taka...

Odwróciłam głowę.

- Denerwujesz się? - zapytał.

Nie czekając na moją odpowiedź, przysunął się, ujął mnie za podbródek, obrócił moją twarz ku sobie i mnie pocałował.

Przesunął dłońmi po mojej bluzce, potem spodniach, aż

wreszcie chwycił mnie oburącz za kolana. Potem mocno mnie przytulił, siedzieliśmy tak chwilę, aż poczułam, że tracę dech. Potem poszliśmy do sypialni.

Po fakcie wydawał się usatysfakcjonowany, ja za to nie czułam się zaspokojona. Nic mnie nie zaskoczyło, ani trochę. Po-deszłam do tego jak do naukowego doświadczenia. To było coś, co należało przeżyć, aby wiedzieć co i jak. Kiedy zasnął, popatrzyłam na niego, przejechałam dłonią po kołdrze i poczułam się szczęśliwa.

Od tamtej pory każde zajęcia z nim stały się wyjątkowe. David wykladał, przechadzając się po sali, od czasu do czasu zatrzymywał się, przebiegając wzrokiem po ławkach i nieznacznie się uśmiechając, jakby nic się nie wydarzyło, choć oboje wiedzieliśmy, że jest zupełnie inaczej. Prowadziliśmy taką grę. Czasem, kiedy czułam, że nic nam nie grozi, posyłałam mu znaczące spojrzenie, wtedy on, ale bardzo rzadko, mrugał do mnie. Patrząc, jak spaceruje po klasie w miękkich swetrach, zdarzało mi się odczuwać ekscytację na myśl, że nikt poza mną nie wsuwał dłoni pod ich wełniane sploty. Wiedziałam też, że wieczorem znów będziemy razem. Kiedy więc Brian Buchman przynudzał bez końca, a Vicki omdlewała w zachwycie, zamiast irytacji czułam radość, bo byłam pewna, że później oboje z Davidem będziemy sobie z nich stroić żarty.

Któregoś razu David spóźnił się na zajęcia. Wtedy zaczęło się narzekanie.

- Może sobie pójdziemy, jeśli zaraz nie przyjdzie - zaproponował chłopak o imieniu Rob, który zresztą zjawiał się na ćwiczeniach tylko co drugi tydzień.

- To fajne zajęcia - zauważyła jakaś dziewczyna.
- Też je lubię - powiedział Brian.
- A on luuuubi ciebie - zaczął się z nim droczyć Rob.
- Tak, i całą resztę ma w poważaniu - wyżaliła się inna dziewczyna.
- Na pewno ma mnóstwo na głowie - stwierdziła Vicki.
- Jest żonaty?
- Nie sędzę.
- Może jest gejem.
- To byłaby wielka szkoda. Przystojniak z niego.

Kiedy powtórzyłam Davidowi rozmowę jego studentów, oboje parsknęliśmy śmiechem.

Na pozostałych zajęciach siedziałam z głową w chmurach. Udawało mi się mimo wszystko robić notatki, ale byłam nieobecna duchem. Kiedy wracałam do akademika, odsłuchiwałam pocztę głosową i zazwyczaj już czekała na mnie wiadomość od niego, zapraszał mnie do siebie albo tylko mówił, że tęskni. Jeśli nie dzwonił w ciągu dnia, wtedy kładłam się na brzuchu i przeglądałam notatki, czekając na jego telefon. To nigdy nie trwało zbyt długo. Potem podjeżdżał pod akademik i razem jechaliśmy do restauracji albo prosto do niego. W niektóre wieczory pracował, wtedy zostawałam w pokoju i się uczyłam. Wciąż dostawałam dobre oceny dzięki temu, że zanim go poznałam, nie robiłam nic poza studiowaniem. Nic więcej nie było mi potrzeba. Koniec ze zmuszaniem się do wyjścia na spotkania, kawę czy piwo i mozolnym tworzeniem życia towarzyskiego. Skończyły się samotne włóczęgi po głównym dziedzińcu, podczas których tylko widziałam, że inni dobrze

się bawili, i zastanawianie się, jak mogę do nich dołączyć. Teraz, gdy znalazłam kogoś, kto mnie słucha i o mnie dba, nie potrzebowałam nic więcej.

Tamtej zimy wirowałam niczym płatek śniegu między zajęciami, żarem kominka a nim.

W kwestiach łóżkowych muszę przyznać, że Główny Punkt Programu był dla mnie dość uciążliwy, ale na szczęście przebiegał w błyskawicznym tempie. Nigdy mnie nie zachwycał, jednak nie dbałam o to, bo poza tym wszystko inne było cudowne. W weekendy objeżdżaliśmy kolonialne miasta, historyczne wioski i odludne drogi stanu Massachusetts, zatrzymując się na cydr, zupę rybną czy zapiekankę. Spacerowaliśmy po porcie, trzymając się za ręce i rozmawiając o miejscach, jakie chcielibyśmy zobaczyć, w których nigdy nie byliśmy, a o ich zwiedzeniu marzyliśmy w dzieciństwie. Podczas kolacji w położonej nad wodą restauracji, kiedy patrzyłam na pomarańczowy poblask portowych latarni, on zanurzał kawałek chleba w mojej zupie rakowej i radził się, którą książkę dodać do listy lektury w nadchodzącym semestrze. Nie mogłam w to uwierzyć. Nie tylko miałam wpływ na kształt jego zajęć, ale uważał mnie za na tyle mądrą, żeby wziąć pod uwagę moje sugestie. Zawsze z uwagą mnie słuchał, w odpowiedzi potakując lub otwierając przed mną nowe perspektywy. To było niesamowite.

Każdy powinien doświadczyć choćby raz w życiu obcowania z osobą tak nami oczarowaną, że nawet nieistotny szczegół naszej osobowości przeobraża się w przedmiot fascynacji. Kiedy najdrobniejszy okruch naszej duszy jest żarłocznie po-

chłaniany.

Wspólnie ubolewaliśmy nad ciemnymi stronami bycia wybitną jednostką, która zbyt wiele myśli. Pewnego razu, gdy przejeżdżaliśmy przez miasteczko, a szarobure gałęzie nagich drzew łączyły się ponad nami niczym skrzyżowane miecze, opowiedziałam mu, jak w siódmej klasie nie mogłam kichać.

- To przyszło znikąd. Siedziałam na zajęciach z wiedzy o społeczeństwie i poczułam, że kręci mnie w nosie, ale kiedy o tym pomyślałam, już nie mogłam kichnąć. Strasznie swędziało mnie w nozdrzach, ale nic nie mogłam z tym zrobić. Od tamtej pory za każdym razem, gdy kręciło mnie w nosie, starałam się nie myśleć o kichaniu, ale im bardziej się starałam nie myśleć, tym więcej myślałam, i w rezultacie się blokowałam. Wreszcie opowiedziałam o wszystkim ojcu, który umówił mnie ze szkolnym psychologiem. Podejrzewano zaburzenia obsesyjno-kompulsywne. Przez miesiąc musiałam chodzić na konsultacje psychologiczne. Ale w końcu udało mi się zapomnieć o kichaniu i mój problem zniknął równie szybko, jak się pojawił.

David uśmiechnął się.

- Tak, nadmierne myślenie może cię zniszczyć - stwierdził. - Na przykład całowanie się, czyli kiedy dwoje ludzi, łącząc usta, porusza nimi w najróżniejszych konfiguracjach, gdy się na tym zastanowić, wydaje się totalnie dziwaczne.

- Założę się, że jest jeszcze gorzej, gdy o tym pomyślisz w trakcie pocałunku - zauważyłam.

- Trzeba to sprawdzić - oznajmił, zjeżdżając na pobocze.

Po mniej więcej miesiącu regularnych spotkań w sypialni David zaczął prosić, żebym robiła różne rzeczy.

To nieznacznie naruszało ustalone reguły, ale uznałam, że powinnam się trochę poświęcić. Zrobiłabym wszystko, żeby się mną nie znudził. Oczywiście w pewnych granicach.

Wkrótce jednak zaczął prosić o rzeczy, które chciał, abym mówiła.

Nie czułam się z tym komfortowo. Nigdy wcześniej nie używałam takich słów i jeśli miało to ode mnie zależeć, to nie zamierzałam tego robić w przyszłości. Nie chodziło o to, że były to przekleństwa, a ich chropowate brzmienie drażniło uszy. Czułam, że zwyczajnie nie dam rady ich wymówić. Nie chciałam jednak okazać się nieposłuszna.

- Zaczniemy powoli - delikatnie mnie zachęcał pewnej nocy.
- Podobnie jak ze wszystkim innym. Chciałbym, abys to powiedziała.

Milczałam.

- Carrie?

Co się z tobą dzieje?, pomyślałam. To tylko słowa. Przecież wiesz o tym. I co z tego?

Wiedziałam jednak, że nawet jeśli to powtórzę, wyjdzie bardzo nienaturalnie. W ten sposób nie przyniesie oczekiwanego efektu. Byłam o tym przekonana.

- Śmiało - ponaglał mnie, a na jego czole pojawiły się krople potu. - Powiedz to.

- Ale nie... nie czuję tego.

- Po prostu to powiedz - błagał szeptem. - Tylko raz.

Całował mnie w usta, po szyi. Pieścił dłońmi piersi, potem zsunął rękę na moje krocze, wsunął do środka palec wskazujący i zaczął nim wykonywać koliste ruchy.

- Powiedz to. Co chciałybyś, żebym ci zrobił?

- Chcę... Chcę, żebyś...

- Dalej.

- Nie potrafię.

Usiadł. Jego wyraz twarzy nie był już tak przyjazny.

- O co chodzi?

- Nie czuję tego. Nie potrafię tego powtórzyć.

- Powiedz to byle jak.

Znów się położył i zaczął mnie całować.

- No, dalej.

Tylko na niego popatrzyłam.

- Co się z tobą dzieje?

- To nie... nie potrafię.

Usiadł ze spojrzeniem utkwionym w przestrzeń.

- David...?

Zignorował mnie.

- Chodź. Ja...

Położył się na swojej stronie łóżka plecami do mnie. Przykrył się kocem.

- Zapomnij o tym. Po co to wszystko?

- Czy jesteś na mnie zły?

Znów mnie zignorował.

Odwróciłam się, ale nie mogłam zasnąć.

Leżałam tak plecami do niego, milcząc, i marzyłam, żeby zmienił zdanie. Chciałam wstać, aby poszukać kołdry, ale uznałam, że im będzie ciszej, tym bardziej poczuje się skrępowany i w końcu przerwie milczenie. Bałam się nawet głośniej odetchnąć. Patrzyłam, jak zmieniają się czerwone cyfry na ze-

garze.

W końcu zamknęłam oczy. Obudziłam się w środku nocy, włożyłam podkoszulek i na nowo zasnęłam.

Rano, kiedy się obudziłam, David był już w kuchni i szykował kawę. Gdy tam weszłam, przywitał mnie bez słów zaledwie kiwnięciem głowy i uruchomił ekspres. Całą drogę na kampus milczeliśmy.

Poszłam na zajęcia w podłym nastroju, ale starałam się skupić uwagę na nauce. Po powrocie do akademika sprawdziłam pocztę głosową. Zero wiadomości.

Zaczęłam czytać w łóżku lektury ze wstępu do filozofii. Minęła godzina, a telefon milczał. Wpadłam w popłoch. Czemu byłam taka głupia?

Ale chyba powinien dać mi jeszcze jedną szansę, prawda?

Próbowałam czytać *Medytacje o pierwszej filozofii*, ale tylko przebiegałam wzrokiem ciągle te same słowa, jakbym oczami kładła na zdania warstwy lakieru. Nic nie rozumiałam. Co kilka minut patrzyłam na zegar. Zbliżała się pora kolacji. Będę musiała zejść do stołówki, żeby coś przekąsić w samotności. Siedząc przy stole bez towarzystwa, zawsze czułam w środku pustkę. Nie chciałam tam iść, bo przecież mógł w tym czasie zadzwonić.

Byłam głodna. Staralam się zagłuszyć ssanie w żołądku. Wróciłam do lektury *Medytacji*, ale uznałam, że może lepiej mi zrobi lżejsza lektura. Sięgnęłam po *Tako rzecze Zaratustra*.

Zadzwonił telefon.

Odbierając, starałam się mówić neutralnym tonem.

- Słucham. - Nie powinnam się przyznawać, bo to potworny

frazes, ale kiedy usłyszałam jego głos w słuchawce, moje serce aż zamarło.

- Przyniosłem drewno do kominka - oznajmił David. - Przydałaby mi się pomoc w rozpalaniu.

Chciałam mu powiedzieć, że jestem teraz szczęśliwa, że bardzo się bałam, że strasznie tęskniłam i że będę mówić, czego tylko zażąda. Nie zrobiłam tego jednak. Powiedziałam, że będę czekała przed akademikiem za dziesięć minut.

Tamtego wieczoru na kolację zjedliśmy kopiaсте talerze makaronu we włoskiej knajpie, a potem pojechaliśmy do Davida. Leżeliśmy w salonie na dywanie przed kominkiem, obok stała butelka wina. David odstawił kieliszek na brązowe płytki i wyciągnął się, lekko zginając nogi. Oparłam głowę o jego uda wpatrzona w tors. Bogu dzięki, że wszystko wróciło do normy, pomyślałam. Leżąc przy nim i wsłuchując się w jego oddech, czułam się cudownie. Zamknęłam oczy. Przez chwilę leżeliśmy w milczeniu. Nagle poczułam, jak palcem muska moje zaczerwienione od wina wargi.

- Chodź do mnie - szepnął, podciągając mnie za podbródek do swojej twarzy. - Zostańmy tutaj dla odmiany.

Zgodziłam się, kiwając głową.

Wkrótce poprosił:

- Powiedz to. Powiedz to, o co cię prosiłem wczoraj. Proszę.

Nim zadzwonił, obiecałam sobie, że będę posłuszna. W drodze do jego mieszkania obiecałam sobie, że będę posłuszna. Ale teraz nie potrafiłam tego zrobić. Słowa nie przystawały do kontekstu. Nie pasowały ani do mnie, ani do nas. Dlaczego chce, żebym to powiedziała, skoro wie, jaki to dla mnie pro-

blem?

- Powiedz to!
- Chcę... chcę - zaczęłam.

- Tak?

Miał zamknięte oczy.

Nie potrafiłam.

- Dalej - ponaglał mnie. - Mów!

- David... - powiedziałam.

I zamilkłam.

Usiadł.

- Czy to koniec?

- Ja...

- Czy to wszystko, na co cię stać? Nawet nie spróbujesz?

Popatrzyłam na niego.

- Postaraj się.

Czułam potworną sprzeczność.

- Czy nie nauczyłem cię? Czy nie powtarzałem tego ciągle i ciągle? Dlaczego nie potrafisz tego przyswoić?

Nie wiedziałam, jak mu odpowiedzieć.

- Czy tak trudno się tego nauczyć?

Wreszcie odezwałam się:

- To nie są słowa, których używam.

- Możesz się ich nauczyć.

- Nie jesteśmy w szkole.

- Po prostu to powiedz!

Spuściłam wzrok na dywan.

- Ale to nie będę ja...

- Czy zawsze musisz się zachowywać jak cholerna cnotka?

Nim zdążyłam odpowiedzieć, wstał, ruszył do łazienki i zatrzasnął za sobą drzwi. Zamarłam. Siedziałam na dywanie i nagle poczułam, że jest mi bardzo, bardzo zimno.

Po chwili wrócił, oznajmiając, że odwiezie mnie do domu.

Drogę do akademika przebyliśmy w milczeniu. Nie odezwał się nawet wtedy, gdy wysiadałam.

W pokoju w ciemności zwinęłam się na łóżku w kłębek ze wzrokiem wlepionym w telefon, pewna, że zadzwoni. W głowie odbyłam kilka wersji rozmowy, w której przekonywałam go, abyśmy znaleźli sposób na ominięcie tej przeszkody. Może były rzeczy, które jemu nie przeszłyby przez gardło. Poza tym już nieraz się dla niego poświęcałam, oczywiście cieszyło mnie, kiedy mogłam go uszczęśliwić, jednak tym razem sprawiało mi to ogromny problem. Gdybyśmy nie potrafili przejść nad tym do porządku dziennego, chciałam mu wytłumaczyć, dlaczego tak trudno mi spełnić jego żądanie.

Nigdy jednak nie miałam takiej szansy. Nie zadzwonił.

Od tamtej pory rozmawialiśmy tylko na zajęciach, kiedy w grupie dyskutowaliśmy o przeczytanych lekturach. Nic poza tym.

Rok akademicki wreszcie dobiegł końca. Nigdy więcej nie rozmawialiśmy na tematy osobiste.

Na zaliczenie dostałam piątkę. Pewnie David bał się postawić mi niższą ocenę.

Tak czy siak, zasłużyłam na najwyższą notę.

Po tych wydarzeniach patrzeć na całujących się ludzi na kampusie sprawiało mi ból. Oni wiedli normalne życie, a mnie zawsze musiało się przytrafić coś dziwnego, dlaczego? Czy ci

beztroszy zakochani zdawali sobie sprawę, że nie wszyscy mają życie usłane różami? Czy doceniali własne szczęście?

Najgorsze było to, że znałam wiele par, które chodziły ze sobą tylko ze względu na seks. Mnie przynajmniej z Davidem łączyły także książki, muzyka i jego praca. O czym rozmawiali ci ludzie przez cały dzień siedzący na fejsie? Część dziewczyn z mojego akademika chodziła z chłopakami, których największym osiągnięciem było strzelenie gola lub oblanie egzaminu z astronomii.

Przez resztę studiów nic szczególnego się nie wydarzyło. Dużo się uczyłam, dostałam dyplom, a potem wprowadziłam się do mieszkania, które wynajął mi ojciec.

Wspominając związek z Davidem, czułam się obolała i niespełniona, czyli podobnie jak często po naszych spotkaniach.

Postanowiłam, że pójdę do sklepu po lody i kolorową posypkę.

Przemierzałam ponure ulice, aby po chwili wkroczyć w przeziąknięty czosnkiem i zapachami jedzenia świat marketu D'Agostino. Wyciągnęłam z zamrażarki pokryte szronem pudełko wiśniowych lodów, a potem mijając kolejne półki, sięgnęłam po posypkę i oranżadę.

W domu pomieszałam napój z lodami. Spieniona oranżada przelewała się ze szklanki. Po pierwszym łyku uświadomiłam sobie, że źle robiłam, odmawiając sobie tej przyjemności przez tak długi czas. Przełykałam lody, które mroząc gardło, spływały do żołądka. Fantastyczne uczucie. Nie ma nic lepszego.

Mijając lustro w drodze do sypialni, zauważyłam, że wiśnie

zaczerwieniły mi usta.

Rozdział 4

Rano miałam chandrę. Nie wiedziałam, co robić. Czekala mnie wizyta u Petrova. To nic nie da. Choć kto wie.

Chodnik był mokry, ale świeciło słońce. Szłam ze spuszczo-
nym wzrokiem, czując się podle. Po zejściu na stację metra za-
uważyłam, że oprócz mnie czeka jeszcze tylko jedna osoba.
Nie mogłam się powstrzymać i obrzuciłam ją wzrokiem.

Wygląd męczyzny zrobił na mnie niespodziewanie duże
wrażenie. Nosił na głowie szary melonik. Wyglądał na trzy-
dzieści kilka lat. Ubrany był w długi prochowiec, miał gładko
ogoloną twarz i wydawał się niesamowicie schludny. Jednak to
jego nakrycie głowy tak mnie poruszyło. Nikt już dzisiaj nie
chodzi w kapeluszu, a już na pewno nie w szarym meloniku.
Męczyzna wyglądał jak żywcem wyjęty ze starego filmu
szpiegowskiego.

Spacerował wzdłuż plakatów anonsujących spektakle: *Koty*,
Nędznicy, *Upiór w operze*. Od czasu do czasu coś mrucał
pod nosem. Kolejny nowojorczyk na skraju załamania nerwo-
wego.

Oparłam się o ścianę ze wzrokiem wbitym w posadzkę, na
której spłaszczony placki zużytej gumy do żucia poczerniały
od brudu. Patrzyłam na śmieci, kurz i pył. Melonik wciąż spa-
cerował i mrucał, ale odwróciłam wzrok, bo nie chciałam,
żeby zauważył, że na niego patrzę. W wielu miejscach szuka-

my zaczepienia dla naszych oczu, żeby tylko nie wpatrywać się w nieznajomych. Na przykład w windach. Tam jest najtrudniej, bo nie ma nic, na czym można na dłużej zawiesić wzrok. Powinnam rozkręcić biznes polegający na produkcji okrągłych, niebieskich naklejek z napisem: „Patrz na mnie, nie będziesz musiał rozmawiać z ludźmi stojącymi obok”. Zbiłabym majątek.

Zastanawiałam się, o czym można rozmawiać ze współpasażerami w windzie.

- Tobo dopiero było zabawne, gdyby okazało się, że brajlem wypisano tu same soczyste przekleństwa, nie sądzi pani?

- Czy zdaje pan sobie sprawę, a dowiedziono tego statystycznie, że dziewięćdziesiąt procent przycisków do zamykania drzwi windy nie działa?

- Hej, może zamówimy pizzę przez telefon alarmowy?

- Większość budynków nie ma trzynastego piętra, bo pracownicy na budowach są niezwykle przesądni. Ten budynek jednak miał trzynaste piętro, tylko że zawaliło się w zeszłym roku podczas burzy.

Po chwili namysłu wybrałam ostatni przykład jako najbardziej przydatny w życiu.

Najpierw z tunelu wyłoniła się smuga światła, za którą wjechało metro. Melonik wskoczył do środka i równocześnie zajęliśmy przeciwległe kąty wagonu niczym bokserzy na ringu.

Mężczyzna wyciągnął długą, cienką książkę z płaskiej papierowej torby, cały czas mruczając pod nosem. W metrze nie ma za bardzo na czym zawiesić wzroku, z wyjątkiem reklam prywatnych uczelni. Według mnie poziom nauczania w danej szko-

le jest odwrotnie proporcjonalny do liczby plakatów zachwalających daną placówkę. Nie spotyka się przecież żadnych reklam Yale. Inne plakaty reklamowały premiery filmowe w stacjach kablowych. Przed laty wielkim szczęściem było znalezienie przyzwoitego programu na jednym z trzech kanałów telewizyjnych. Teraz cud kablówki sprawił, że trzeba rozszerzyć poszukiwania o kilkadziesiąt stacji.

Dotarłam do Petrova na kilka minut przed czasem. Podeszłam na palcach do zamkniętych drzwi gabinetu i przyłożyłam do nich ucho.

Usłyszałam dobiegający z wnętrza męski głos.

Mężczyzna: Tak jest za każdym razem. To się powtarza w każdej mojej fantazji erotycznej. Kiedy jesteśmy tuż przed... hm... tym, dzwoni telefon.

Petrov: W pańskich fantazjach telefon dzwoni w chwili, kiedy właśnie macie uprawiać seks.

M: Tak.

P: Czy pan odbiera?

M: Nie, ale to kompletnie psuje nastrój i tym samym to koniec fantazjowania.

P: Czyli jest pan podniecony i gotowy do stosunku z kobietą, a wtedy dzwoni telefon.

M: Właśnie.

P: Według mnie ma pan problem z intymnością.

M: Dlaczego pan tak sądzi?

Idioci. Petrov powinien przyjmować mnie za darmo po słuchaniu przez cały dzień podobnych bzdur.

Usłyszałam, że ktoś ruszył w stronę drzwi i natychmiast od-

skoczyłam. Wychodzący ze środka mężczyzna miał niespełna metr pięćdziesiąt. Zastanowiłam się, jak ludzie jemu podobni w ogóle uprawiają seks. I wcale nie żartuję. W jaki sposób osoby o dużej różnicy wzrostu odbywają stosunek? Widziałam niewysokie dziewczyny chodzące z facetami o wzroście metr dziewięćdziesiąt. Czy najpierw wspinały się, aby pocałować partnera, a potem zsuwały i odbywały stosunek, by na koniec znów powędrować w górę po finalne złączenie ust?

- Cześć, Carrie - przywitał się Petrov. - Jak się miewasz?

- Dziękuję, dobrze.

Weszłam i usiadłam.

- Czy chciałaś dodać jakieś „ale”? - zapytał, zajmując fotel naprzeciw mnie. - Wyczuwam wahanie w twoim głosie.

- Tak, mam pewien problem - przyznałam.

- Słucham.

- Za każdym razem, gdy mam fantazję erotyczną, dzwoni telefon.

Petrov aż podskoczył.

- Wolałbym, żebyś nie podsłuchiwała moich pacjentów.

- Nie mogłam się oprzeć. Drzwi same się prosiły, żeby do nich przyłożyć ucho.

- Zobaczmy raczej, jak się sprawy mają z twoją listą zadań.

PROZAC ®

1. Zrobić 10 rzeczy sprawiających radość.
2. Zostać członkiem jakiejś organizacji lub klubu.
3. Iść na randkę.
4. Wyznać komuś, ile dla ciebie znaczy.
5. Bawić się w sylwestra.

- Zjadłam lody. Możemy odhaczyć punkt pierwszy.

- Świetnie - mówi. - Kupiłaś kolorową posypkę?

- Tak, i zrobiłam sobie mrożoną oranżadę.

- Jak się potem czułaś?

Postanowiłam być szczerą.

- Całkiem nieźle - przyznałam.

Uśmiechnął się, jakby wygrał jakieś zawody. To mnie zirytowało, dlatego dodałam:

- Niestety w sprawie randki brak postępów. To samo dotyczy członkostwa w klubie.

- Co z chłopakiem, który flirtował z tobą w pracy?

- Nie flirtował. Poza tym nie widziałam się z nim od tamtej pory. Ale pewnie jeszcze się spotkamy.

- Dobrze. Pamiętaj, żeby nie wycofywać się, gdy tylko wyczujesz, że chciałby cię lepiej poznać. Nawet jeśli bardzo się różnicie, zawsze możecie zostać przyjaciółmi.

- W porządku.

- Czy znalazłaś już organizację lub klub, do których chciałaś dołączyć?

- Rozglądałam się - odpowiedziałam. - Cały czas rozważam tamten kościół.

- Mieszkaś przecież w Nowym Jorku. Wystarczy, że weźmiesz do ręki weekendowy dodatek jakiejkolwiek gazety. Tam znajdziesz całą listę różnych wydarzeń.

Olśniło mnie wtedy. W dodatkach weekendowych była też sekcja ogłoszeń towarzyskich. W ten sposób mogłabym się umówić na randkę. Zamieściłabym własne ogłoszenie. Dzięki temu mogłabym wspomnieć, że charakteryzuje mnie wysokie

morale i ponadprzeciętny iloraz inteligencji. Zawęziłabym też grupę odbiorców, pisząc o swoich wymaganiach. W rezultacie mogłabym rzeczywiście poznać kogoś na poziomie i o szerokich horyzontach intelektualnych.

Postanowione, tak zrobię. Ogłoszenie w gazecie było lepsze niż portale randkowe. Nie musiałam zamieszczać zdjęć. Tak, to dobry punkt wyjścia.

- Wszystko w porządku? Zdaje się, że jesteś dziś w kiepskim nastroju - zauważył Petrov.

Przeszliśmy zatem do rozmowy o minionym tygodniu, samopoczuciu mojego ojca i ogólnie o Nowym Jorku, słowem jednak nie wspomniałam profesora Harrisona. Poinformowałam Petrova, że po sesji zamierzam wypożyczyć kilka starych filmów. Ostatnio tak właśnie spędzałam wieczory, bo klasykę literacką już opanowałam, ale niestety miałam ogromne braki w znajomości sztuki filmowej. Tytuły wybierałam według listy stu najbardziej popularnych filmów Amerykańskiego Stowarzyszenia Krytyków Filmowych. To nie jedyna ich lista, był też ranking stu najlepszych filmów, stu najbardziej kasowych filmów, stu najlepszych aktorów, stu najlepszych aktorek i stu najlepszych bohaterów filmowych. Gdybym miała ułożyć własny ranking ulubionych postaci z filmów, na pierwszym miejscu umieściłabym C.F. Kane'a. Drugie przyznałabym siostrze Ratched. Trzecie dostałby doktor Strangelove. A od czwartego do dwudziestego pierwszego królowałaby Sybil. W filmach można spotkać wybitne osobowości, których w prawdziwym życiu jak na lekarstwo.

Po sesji postanowiłam wrócić na piechotę do domu, dzięki

temu mogłam wstąpić do wypożyczalni filmów, nie wspominając o tym, że dzień bez metra równa się dniowi bez motłochu. Wcale zresztą nie było daleko. Poza tym to dobre ćwiczenie, skoro planowałam nie spać w sylwestra.

Kilka przecznic dalej zauważyłam znajomą postać. Melonik. Zniknął za rogiem. Czy mnie śledził? Spotkanie nieznajomej osoby dwa razy w ciągu tego samego dnia wzbudziło mój niepokój.

Zastanowiłam się, czy czasem nie śledził mnie z polecenia mojego ojca, ciekawego, co porabiam. Postanowiłam przez chwilę iść za nim. Przyspieszyłam kroku i skręciłam na rogu ulicy. Znowu mi zniknął z oczu. Rozglądałam się, ale na próżno.

Może tylko mi się przywidziało.

Wracając do domu, minęłam Bobby'ego pochylającego się nad piwnicznym okienkiem oblepionym zaschniętym błotem i wilgotnymi liśćmi. Jego głowa zwisała nisko między nogami, ale oczywiście mnie zauważył.

- Witaj, ślicznotko - przywitał się.

Bez słowa odwróciłam głowę. Pchnęłam frontowe drzwi i wbiegłam po schodach, czarna guma na krawędziach stopni była wytarta od setek tysięcy stóp, które tamtędy przechodziły. Wykładzina, kiedyś żółta, miała teraz ziemisty odcień.

Na szczycie schodów przystanąłam. Znowu poczułam w środku pustkę. Bobby tylko się przywitał. Był stary i może nazwanie mnie ślicznotką sprawiło mu radość. Dlaczego zachowałam się tak głupio? Może on naprawdę uważa, że jestem ładna. Może tylko chce być miły.

Od nikogo innego nie słyszałam nigdy, że jestem piękna.

Zalała mnie fala mdłości.

Nieprzyjemne uczucie wkrótce minęło. Jak zawsze.

Wieczorem zadzwonili z nowym zleceniem. Tym razem praca okazała się jeszcze mozolniejsza niż poprzednio. Siedzieliśmy we czworo w kompletnie ogołoconym pokoju. Biurka wyglądały, jakby je wyniesiono ze szkoły podstawowej: jasnobrązowe blaty na metalowych zielonych nóżkach. Białe ściany, kurz na podłodze i przeraźliwe zimno. Na pewno nie przyprawdzali tu klientów.

Pozostali korektorzy byli znacznie starsi ode mnie. Przyglądałam im się, ale niestety, żaden nie zapowiadał się na idealnego kandydata do randkę. Nie miałam innego wyjścia, tylko szukać dalej i szybko zamieścić ogłoszenie w gazecie.

Przypominaliśmy studentów nudzących się w czytelni. Czekaliśmy na pracę. Pozostali w rozmowie poruszali rozmaite tematy. Czy Walt Disney naprawdę został zamrożony? Próbowali wymieniać wszystkie składniki zupy minestrone. Opowiadali o tym, jak wypuścili psa na dwór i zapomnieli o nim. Informowali się, że ich dzieci codziennie w szkole piją na drugie śniadanie mleko czekoladowe. Porównywali postaci z japońskich mang do bohaterów amerykańskich komiksów. Narzekali na słabą jakość programów telewizyjnych. Dwoje z nich, mężczyzna i kobieta, zauważyło, że dzisiejsza telewizja jest zdecydowanie na słabszym poziomie niż w czasach ich dzieciństwa. Ludzie zawsze tak mówią, nie zdając sobie sprawy, że telewizja zawsze będzie wydawać się gorsza teraz, niż kiedy się miało dwanaście lat. Tak czy siak, lubiłam oglądać telewizję. Zdarzało mi się spotykać ludzi, którzy z wyższością deklaro-

wali, że nie mają telewizora, jakby dzięki temu zdobyli moralną przewagę nad innymi. Jakby równało się to stwierdzeniu, że nigdy nie skłamali albo nie złamali prawa. Posiadanie telewizora to przecież nie jest nic niemoralnego. Telewizja nie szkodzi zdrowiu. Być może jest ogłupiająca i nudna. Ale każdy od czasu do czasu tego potrzebuje. A już na pewno ja. Mój umysł tak ciężko harował przez pierwsze osiemnaście lat życia, że teraz potrzebuje odpoczynku, ba, nawet na niego zasługuje. Telewizja była wirtualną poduszką, na której mógł spocząć mózg.

Okolo trzeciej nad ranem w pokoju panowała cisza. Pozostali czytali gazety. Umierałam z głodu. Przynajmniej tak sobie wmawiałam. Najprawdopodobniej bardziej umierałam z nudów niż z głodu. Wstałam, poszłam do kuchni, wrzuciłam kilka monet do maszyny z przekąskami i wyciągnęłam paczkę precelków. Wróciłam na miejsce i zaczęłam jeść. Niektórzy odwrócili głowy w moją stronę. Nie moja wina. Precelki były chrupiące.

Miałam wrażenie, że wszyscy na mnie patrzą. Odłożyłam więc torebkę i siedziałam bez ruchu. Ale widziałam precelki, które każdym zaokrągleniem wołały do mnie. Aż mi zaczęła lecieć ślinka. Wiedziałam, że nie przestanie, dopóki nie schrupię wszystkich, co do jednego. Z punktu widzenia psychologii było to bardzo interesujące zjawisko. Kiedy nie mogłam dłużej wytrzymać, złapałam torebkę i pobiegłam do kuchni, gdzie pochłonęłam resztę precelków. Nienawidziłam presji otoczenia.

Po powrocie na miejsce postanowiłam napisać ogłoszenie do rubryki towarzyskiej gazety „Weekly Beacon”.

Wyciągnęłam długopis i blankiet.

CUDOWNE DZIECKO SZUKA GENIUSZA - niezwykle bystra biała dziewiętnastolatka szuka bardzo mądrego, nieżonatego partnera w wieku 18-25 lat, bez nałogów, do rozmów o filozofii i życiu. Hipokryci, fanatycy religijni, kobieciarze i psychole niemile widziani.

Nie mogłam się doczekać odpowiedzi. Wyciągnęłam kalendarz i zapisałam sobie przypomnienie na przyszły tydzień: „Wysłać ogłoszenie do gazety”. Dałam sobie siedem dni na mniej desperacki sposób poznawania ludzi. Jeśli jednak nic się nie wydarzy, zamieszczę ogłoszenie i odpowiem tym, którzy do mnie napiszą.

Następnego wieczoru wysłali mnie do firmy, w której pracował Douglas P. Winters. Byłam bardzo podekscytowana. Postanowiłam działać zdecydowanie i zbywać jego lubieżne komentarze, bo jak na razie był moją jedyną szansą na sylwestrową randkę. Miałam nadzieję, że nie rzuci mnie przed Nowym Rokiem, gdy zauważy, podobnie jak David, że w życiu kieruję się twardym kodeksem moralnym.

Kiedy profesor Harrison mnie zostawił, przez długi czas zastanawiałam się, czy wszyscy mężczyźni są do niego podobni. Czy będą mnie zmuszać do robienia rzeczy, których nie pochwalam, a gdy odmówię, zostawią mnie bez słowa? Nienawidziłam kobiet, które z zasady łatwo ulegały, bo to z ich powodu mężczyźni sobie na wiele pozwalali. Teraz jednak już nie twierdziłam, że wszyscy mężczyźni są złem wcielonym. Bywa-

ją też dobrzy, którzy wiążą się z pięknymi kobietami, dlatego mniej urodziwe muszą zaniżyć swoje standardy, aż do samej podłogi. To niesprawiedliwe, ale takie jest życie. Czasem wydawało mi się, że to kobiety są największymi hipokrytkami na świecie. Od dziewiątej do siedemnastej tylko narzekają, że wszyscy mężczyźni to świnie, a potem od siedemnastej do dziewiątej spełniają ich każde żądanie. Nie mogłam jednak twierdzić, że kieruje nimi zła wola, ale raczej paląca potrzeba. Feministki głosiły, że kobiety „nie potrzebują mężczyzn”, ale wcale nie chodziło o to, że potrzebują. Po prostu w większości przypadków jeden człowiek potrzebuje drugiego, a gdy jest heteroseksualną kobietą, wybór partnera ogranicza się do mężczyzny. Jeśli na dodatek kobieta nie grzeszy urodą, aby przebierać, wtedy jest skazana na towarzystwo egocentryków. Zgoda, może brzmi to zbyt posępnie, ale po prawdzie byłoby lepiej, gdyby ludzie twardo trzymali się własnych zasad, podobnie jak ja, gdy odmówiłam spełnienia próśb Davida.

Przestępując próg firmy Pankow, Hewitt i Wspólnicy, zauważyłam, że Douglas P. Winters jest w dobrym humorze.

- Mam pistacje! - oznajmił, zanosząc się śmiechem.

- Nie mogę się doczekać, aż mnie poczęstujesz - odpowiedziałam.

Następnie ruszyłam ciasną alejką między biurkami do menedżerki, która podała mi jakiś dokument. Moim zadaniem było sprawdzenie, czy maszynistka naniosła wszystkie uwagi korektora. Siedział w innym boksie, dlatego przynajmniej nie musiałam mieć z nim do czynienia.

W trakcie lektury dokumentu uświadomiłam sobie, że jego

treść jest dość zajmująca. Opieczętowano go jako „poufny”, bo dotyczył fuzji dwóch dużych banków. Ciekawe, czy mogłabym zarobić na takiej informacji.

Kiedy skończyłam, menedżerka poinformowała mnie, że na razie nie ma dla mnie więcej pracy. Poszłam więc do Douga.

Jego włosy były mokre od potu. Gestem zachęcił mnie, że-
bym usiadła.

- Gorąco ci tutaj? - zapytałam.

- Przeziębilem się - odpowiedział.

- Czy ostatnim razem też nie byłeś zakatarzony?

- Mam alergię na pracę.

- To idź do domu.

- Mam alergię na głodowanie.

- Właśnie przeczytałam dokument o fuzji ważnych banków -
wyjawiłam mu.

- To musiała być pasjonująca lektura.

- Zastanawiam się, czy taka informacja jest coś warta.

- Pewnie tak, ale to byłoby przestępstwo - ostudził mój za-
pał. - W latach osiemdziesiątych niejeden kombinator trafił za
kratki za podobne wykroczenie. Czy przed rozpoczęciem pra-
cy nie podpisałaś oświadczenia o poufności?

- Tak.

- Prawdziwym nazwiskiem?

- Tak.

- Nierozważne posunięcie.

- Chciałam, aby na czekach też widniało moje prawdziwe
nazwisko.

- A widzisz - stwierdził Doug. - Ja nic nie podpisywałem.

Możesz mnie wtajemniczyć.

Gdybym chciała, żeby się ze mną umówił, powinnam dodać aksamitnym głosem, że są jeszcze inne tajemnice, którymi chętnie bym się z nim podzieliła. Nie byłam jednak jeszcze aż tak zdesperowana. Mogę zamieścić ogłoszenie w gazecie i odpowiedzieć ludziom, którzy się ze mną skontaktują. Uśmiechnęłam się do własnych myśli.

- Co? - zapytał Doug.

- Nic.

- No powiedz.

- Nie.

Całe życie sama śmiałam się z własnych niewypowiedzianych żartów. Dlaczego miałabym to zmieniać? Rozumiałam je lepiej niż ktokolwiek inny.

- No nie bądź taka - naciskał.

Musiałam skłamać, widać Doug należał do osób, które nigdy się nie zrażały.

- Przypomniał mi się dowcip - powiedziałam. - Usłyszałam go wczoraj w metrze.

- Zamieniam się w słuch - oznajmił.

- No, dobrze... Puk, puk.

- Kto tam?

- Puk.

- Jaki Puk?

- Puk Puk.

Doug wybuchnął śmiechem.

- Dobry. Przyzwoity dowcip bez przekleństw i podtekstów to rzadkość.

- To prawda.
- Też znam dobry kawał - powiedział.
- Bez podtekstów?
- Niestety nie, ale bez przekleństw.
- W porządku.
- Czy wiesz, co powiedział Czerwony Kapturek, siadając na twarzy Pinokia?
- Nie mam pojęcia.
- Kłam, Pinokio, kłam! Nie kłam, nie kłam!

Przerwała nam menedżerka.

- Carrie, mam dla ciebie kolejne zadanie.

Praca zabrała mi godzinę, potem znów miałam przerwę. Sięgnęłam po leżące nieopodal gazety, kompletnie wymiętoszone przez pracowników etatowych (którzy mieli czas na krytykowanie własnych zięciów oraz, sądząc po maskotce zostawionej na biurku, produkcję piesków z gumki i kilku pinezek). Na pierwszej stronie zobaczyłam artykuł o wirusie brodawczaka ludzkiego. Dowiedziałam się, że większość kobiet przechodzi zakażenie HPV, że jest przenoszony drogą płciową, że może być przyczyną raka szyjki macicy, że stosowanie prezerwatyw nie zmniejsza ryzyka infekcji. Zgadywałam, że to taki dowcip Pana Boga, bo kiedy ludzie zaczęli się zabezpieczać przed AIDS, to pojawiło się coś, przed czym nie można się ochronić. Byłam gotowa się założyć, że pewnego dnia pojawi się śmiertelna choroba, która będzie dopadać ludzi tuż po stosunku, ale to i tak nie skłoni nikogo do wstrzemięźliwości. Może rząd ogłosi dziesięcioletnie moratorium, aby zaradzić epidemii. Ktoś powinien o tym napisać. Co ty na to, Kurcie Vonnegucie?

W czasie „przerwy na lunch” o drugiej w nocy usiadłam w kuchni z Dougiem. Wyglądał na wycieńczonego. Nie przestawał poprawiać mankietów koszuli, a jego krótkie włosy znajdowały się w nieładzie. Przy suficie świeciła mocna jarzeniówka. Doug nic nie jadł, tylko pił kawę. Niesamowite, ile osób, choć na pewno nikt by się do tego nie przyznał, jest uzależnionych od kofeiny. Kawowa obsesja niektórych jest równie silna, jak uzależnienie od seksu. Choć podejrzewałam, że nikt nie uważa tego za problem, skoro dotyczy to większości. Stwierdzenie, że z rana przed wypiciem kubka kawy jest się nieprzytomnym, zalicza się do najzupełniej normalnych.

Zabawne, że potępialiśmy, w poczuciu moralnej wyższości, niedawne uzależnienie Chińczyków od opium, podczas gdy współcześnie przeciętny Amerykanin nie jest w stanie stanąć na nogi bez porannej dawki kofeiny ani przeżyć wieczoru bez porcji alkoholu. Zdawałam sobie sprawę, że wcale nie jesteśmy lepsi od mieszkańców Państwa Środka. Być może obie substancje były niezbędne i konieczne. Lecz stosowanie wspomagaczy tylko po to, żeby zwyczajnie funkcjonować, nie należy do normalnych zachowań.

Tak czy siak, musiałam odłożyć powyższe rozważania na bok, aby sobie udowodnić, że potrafię umówić się na randkę. Rzuciałam Dougowi ukradkowe, oceniające spojrzenia i zastanawiałam się, czy mogłabym się z nim całować. Miał ładne włosy i uroczy szorstki podbródek. Wciąż jednak za mało o nim wiedziałam, żeby dać się zauroczyć. Ale to dopiero początek. Wcale nie musieliśmy się całować na pierwszej randce.

Opowiedziałam mu o artykule na temat brodawczaka.

- Czy możesz sobie wyobrazić chorobę, która doprowadzałaby do śmierci każdego, kto nie potrafi się ustrzec przed uprawianiem seksu? - zapytałam.

- Okropne - stwierdził Doug. - Już bym nie żył.

- Może wprost przeciwnie.

Napił się kawy.

- Czy brodawczakiem może zarazić mężczyzna mężczyznę?

- Chyba tak.

- Cholera. A już miałem się przekonać do prezerwatyw.

Czy to oznacza, że jest gejem?

Rzuciłam mu uważne spojrzenie. Jak się nad tym dłużej zastanowić, to musi być prawda. Poczułam się jak skończona idiotka.

- Może tak właśnie wyglądał pierwszy koniec świata - powiedział. - Może nasza cywilizacja była równie zaawansowana jak teraz, a wtedy seks nas wybił. Łatwiej nam kontrolować bomby atomowe niż popędy...

Ciągnął temat, a ja udawałam zainteresowanie, choć naprawdę mentalnie godziłam się z faktem, że jest gejem. W podobnych przypadkach musiałam tak długo maglować szokującą mnie informację, aż osłabł efekt rażenia. Mnóstwo rzeczy mnie paraliżowało, choć nie powinno. To, że ktoś jest gejem, nie powinno mnie tak rozstroić. Zastanawiałam się, czy wspólna kolacja z Dougiem liczyłaby się jako randka? Co sprawia, że randka jest randką? Konieczny jest element romantycznej obietnicy. Jak zatem nazywa się wyjście z gejem? Gejdka?

Tak, byłam gotowa zamieścić ogłoszenie w nadchodzącym

tygodniu.

O czwartej nad ranem skończyłam pracę. Firma zamówiła mi taksówkę, która miała mnie zawieźć do domu. Zastanawiałam się, co by się stało, gdybym podała adres w Chicago? Jak daleko pojechałby kierowca bez kontaktowania się z przełożonym? Należało chyba stopniowo wydłużać trasę. Warto zaryzykować dla samej zabawy. Może górna granica to Atlantic City. Choć było to ostatnie miejsce, do którego chciałabym się wybrać. Wyobraźcie sobie tylko bandę siedemdziesięciolatków namiętnie atakujących jednorękiego bandytę i wrzeszczących na ciebie, gdy tylko ośmielisz się podejść za blisko.

Siedzenie z tyłu taksówki nocą było jedną z największych przyjemności życiowych. Z mojego punktu widzenia miasto wyglądało jak pogrążony we śnie złoczyńca. Ogrzewanie pracowało pełną mocą. Koła równo toczyły się po gładkiej nawierzchni. Radio milczało, najprawdopodobniej z powodu jednej z zasad ustanowionych przez burmistrza Giulianiego. W tej chwili cały świat istniał tylko i wyłącznie dla mnie oraz pozostałej garstki osób, które jeszcze nie spały. O tej porze na ulicach nie pojawiały się nawet samochody dostawcze i inne ranne ptaszki.

Po powrocie do domu rozebrałam się w sypialni i zauważyłam, że w mieszkaniu sąsiadów z naprzeciwka palą się światła. Mieli szerokie i przestronne okno odsłaniające stół, kuchenkę i kwiaty doniczkowe. Nigdzie nie było jednak widać lokatorów. Pewnie poszli do sypialni. Przez sekundę doświadczyłam poczucia wspólnoty z moimi sąsiadami. O tej nietypowej porze nie spali, podobnie jak ja. Chciałam, żeby stanęli w oknie, wy-

mienilibyśmy uśmiechy, pomachalibyśmy do siebie, zaintrygowani, że łączy nas sekret nocnej ciszy.

Rozebrałam się do bielizny, bo zostawiłam włączone ogrzewanie. Miałam sucho w gardle, napiłam się wody, a potem wsunęłam się pod kołdrę i zasnęłam. Kiedy się obudziłam kilka godzin później, w mieszkaniu naprzeciwko światła już się nie paliły.

O dziewiątej rano byłam zbyt zmęczona, żeby się podnieść z łóżka. Położyłam się na plecach i podciągnęłam kołdrę aż po szyję. Patrzyłam na błękitnawe promienie porannego światła. Postanowiłam poleżeć przez chwilę i, wsłuchując się w uliczne odgłosy, pozwolić myślom na swobodny bieg. Podobne uwalniające umysł wylegiwanie zdarzyło mi się już parę razy w życiu. Niesamowite, jak wiele odległych i nietypowych dźwięków da się zarejestrować przy odpowiedniej dozie skupienia.

Ostatnio rozmaite bodźce budziły odległe wspomnienia z dzieciństwa. Częste powracanie w myślach do wczesnych lat życia prawdopodobnie brało się stąd, że choć sama wkroczyłam już w dorosłość, to jeszcze nie miałam własnych dzieci i dlatego jedynym sposobem na odczuwanie dziecięcego entuzjazmu było fantazjowanie i sięganie w przeszłość. Podejrzywałam, że Petrov znalazłby na to odpowiednie wytłumaczenie.

Rozluźniłam się maksymalnie i zamknęłam oczy. Wokół panowała cisza.

Nagle dobiegł mnie świergot ptaków. Wysokie staccato płynęło z dwóch opierzonych gardeł. Przypomniałam sobie, że gdy miałam trzy lata, byłam z ojcem u dziadków i spacerowałam po zacienionym ogrodzie ich londyńskiego mieszkania.

Wśród kępek trawy i poskręcanych korzeni dojrzałam popękane jajo rudzika. Miało tak piękny odcień błękitu, że aż zapłakałam. Dorośli namówili mnie, żebym je podniosła. W środku skorupka była biała najczystsza odmianą bieli, jaką w życiu widziałam. Potem za każdym razem, gdy odwiedzałam dziadków, przeczesywałam ogród w poszukiwaniu jaj, ale już nigdy żadnego nie znalazłam.

W tamtym czasie fascynowały mnie różne rzeczy: drzwi obrotowe, lustra, zegary, pociągi, wachlarze, windy i hydranty. Chciałam się dowiedzieć, jak to wszystko działa, podobnie zajmowała mnie przyroda, ptactwo, zwierzęta, dlatego nasz dom wkrótce wypełnił się książkami naukowymi, które pochłaniałam w błyskawicznym tempie. Dla równowagi sięgałam po powieści, nie przypominam sobie jednak czytania książeczek dla dzieci, które podobno, według słów mojego ojca, czytałam w wieku dwóch lat, musiałam widać szybko przestawić się na poważniejsze lektury.

Na zewnątrz panowała cisza zakłócana jedynie odległym warkotem silników autobusów. Nagle usłyszałam brzęk tłukącego się szkła. Ktoś musiał wyrzucić do kosza worek pustych butelek. To przypomniało mi ogrodowe wietrzne dzwonki, które nasza sąsiadka zawiesiła na tarasie z tyłu domu, kiedy byłam młodsza. Pewnego dnia podczas huraganu wściekle kręciły się przez cały dzień, dzwoniąc i wirując niczym oszalała karuzela. Tamtego popołudnia ugrzęzłam przed telewizorem. Leżałam na brzuchu, szkicując prawdopodobną trajektorię burzy, a za pomocą pomiaru prędkości i kierunku wiatru próbowałam ocenić, kiedy dotrze do lądu i jak długo się utrzyma.

Wieczorem odcięli prąd i ojciec zapalił świece. Przez godzinę siedzieliśmy w półmroku, rozmawiając. Deszcz bębnił w szyby, a wiatr mocował się z dachem, wewnątrz jednak byliśmy bezpieczni. Opowiadałam o początku roku szkolnego, a ojciec wspominał czasy, kiedy sam był uczniem. Rozmawialiśmy o naszym pierwszym nowojorskim mieszkaniu, do którego wprowadziliśmy się po przyjeździe z Londynu. Miałam wtedy dwa i pół roku. To była najdłuższa rozmowa, jaką przeprowadziłam z ojcem, jedna z niewielu, jakie w ogóle odbyłam w życiu. Dawno już nie myślałam o tamtym dniu.

Leżałam z wciąż zamkniętymi oczami. Dobiegło mnie odległe wycie wozu straży pożarnej. Kiedy byłam mała, święty Mikołaj co rok przyjeżdżał na naszą ulicę w towarzystwie strażaków. Patrzyłam przez okno z mieszaniną litości i odrazy na dzieciaki goniące wyjący wóz. Nigdy nie wierzyłam w świętego Mikołaja, nawet jako dwuipółlatka. Wtedy właśnie ojciec próbował mi o nim powiedzieć, ale udowodniłam mu, w dwunastu punktach, że to niemożliwe. Od tamtej pory uważał, sam mi to zresztą powiedział, że jestem nad wyraz inteligentna. Zamyśliłam się. Czy jednak nie byłoby zabawniej być ciut głupszą? I wierzyć w Mikołaja choćby przez chwilę? Gdybym tylko mogła odjąć kilka punktów z mojego IQ w zamian za odrobinę błogiej niewiedzy. Ale szczerze mówiąc, wcale tego nie chciałam. Jeszcze nie.

Na zewnątrz znów zrobiło się cicho. Ulica należała do mnie. Wszyscy pozostali poszli już do pracy.

Ludzie, którzy nie leżą w bez ruchu, pozwalając, aby myśli przenosiły ich w różne miejsca, nie wiedzą, co to życie. Nie

wyobrażam jednak sobie, że da się to robić, pracując. Etat zabiera mnóstwo czasu.

Jednak jaki jest ostateczny cel myślenia? Zawsze uważałam, że pewnego dnia mój intelekt przysłuży się światu, jednak im więcej mijało dni, tym mniej się to wydawało prawdopodobne. Rozważałam stworzenie rejestru moich myśli i pomysłów, ale obawiałam się, że zmusiłoby mnie to do systematycznego odnotowywania nawet najdrobniejszych spostrzeżeń i szybko przeobraziłoby się w obsesję. Może mogłabym się ograniczyć do dziesięciu najbystrzejszych uwag dziennie. Ale wybór tylko części z ogromu myśli może okazać się zbyt ciężki.

Wciąż nie byłam gotowa, żeby wstać. Wpatrywałam się w sufit, na którego środku wokół kabla z nagą żarówką znajdował się kwiecisty wzór. Kilka koncentrycznych okręgów zdobionych płatkami róż, a na północnym i południowym krańcu dwie lilie. Niczym królewski herb. Zastanawiałam się, kto tu mieszkał przed stu laty. To świetny pomysł na książkę. Opisać, kto zajmował manhattańskie mieszkania przed obecnymi lokatorami. Historia mogłaby połączyć losy socjalisty z lat dwudziestych z żołnierzem z lat czterdziestych, aby dotrzeć do młodzieńczego asystenta redaktora, gońca czy obiboka, który mieszkał tam przed tobą. Może to właśnie pomysł dla mnie, zostać autorem takiej książki. Gdzie najlepiej szukać informacji o poprzednich lokatorach? Na pewno mieszkali tu obcokrajowcy, bo kiedy się wprowadziłam, na najwyższej półce szafy znalazłam kilka starych płyt, większość nagrań to były polki. Może wcześniej mieszkanie należało do Polaków.

Chwileczkę, czy polka to polski taniec, czy to tylko przypad-

kowa zbieżność słów zaczynających się od tych samych głosek? Musiałam sięgnąć po słownik, żeby sprawdzić.

Oto twarde dowód na to, że warto, tak jak ja to robię, znaleźć w ciągu dnia czas dla siebie. Gdybym spędzała osiem godzin w jakiejś ogłupiającej pracy, zabrakłoby mi sił na poszukiwania etymologiczne.

W słowniku znalazłam taką definicję, słowo honoru, to nie żart: „Polka - osoba narodowości polskiej, f. żeńska od Polak, pot. lekcew. polaczek.” Polaczek? Mój ojciec powiedział mi, po seansie *Tramwaju zwanego pożądaniem* wystawianym przez uczniów szkoły teatralnej, kiedy dyskutowaliśmy o Stanleyu Kowalskim, że słowo „polaczek” to obelga, której używano, nim świat stał się politycznie poprawny.

Sprawdziłam słowo „polka” pisane wielką literą, teraz zaś przeczytałam kolejne, pisane małą - polka, czyli „taniec ludowy o szybkim tempie lub muzyka do tego tańca”. Brakuje jednak informacji etymologicznej, to najnormalniejsze cygaństwo, moim skromnym zdaniem. Zaraz, nie powinno się używać słowa „cygaństwo”, bo ma związek z Cyganami i w naszym politycznie poprawnym świecie uznano je za obraźliwe.

A termin „cygańskie ziele”? Skąd pochodzi? Nie mogłam się oprzeć, musiałam zajrzeć do słownika. Miałam z tym problem, co tu kryć.

Oto, co wyczytałam: „to potoczna nazwa rośliny z rodziny psiankowatych (bieluń dziedzierzawa), która ze względu na swe narkotyczne i trujące właściwości dawniej była nazywana także czarcim lub diabelskim zielem”. Same pozytywy! Gdybym była Cyganką, mogłabym się poczuć niezbyt komfortowo.

Naprawdę musiałam odłożyć słownik na półkę. Mieściło się w nim tyle skarbów, że nie mogłam przestać wyciągać jednego za drugim. Deklarację, że zamierzam sprawdzić tylko jeden termin, można porównać do powiedzenia, że zjem tylko jednego chipsa lub zamówię tylko jeden zestaw pióra i oprawionego w skórę notesu ze świątecznego katalogu artykułów papierniczych.

Nieoczekiwanie rozległ się dzwonek telefonu. Nieznany numer. Liczyłam, choć nie miałam wielkich nadziei, że to mimo wszystko będzie mój znajomy. Zazwyczaj jednak nieznany numer oznacza pomyłkę lub telemarketera.

Odczekałam do trzeciego dzwonka. Przy odpowiadaniu na telefon obowiązywała niepisana zasada. Po jednym dzwonku odbierali tylko desperaci, dwa dzwonki to wciąż zbyt wcześnie, ale czekanie na cztery mogło okazać się ryzykowne. Ciekawe, czy już się ukazał artykuł na ten temat w „Cosmo”?

- Dzień dobry. Czy mógłbym rozmawiać z właścicielem mieszkania?

- Niestety - odpowiadam. - Duży Damian jest już na budowie, ale może ja, mimo sędziwego wieku, mogę panu pomóc.

Seksista!

- Oczywiście. Nazywam się John B. Robertson i dzwonię, aby przedstawić pani niezwykle ofertę. Jest pani naszą oddaną klientką i dlatego mam przyjemność zaprosić panią na darmowy obiad, podczas którego podarujemy pani nową kamerę marki Sony albo wyjazd weekendowy dla dwóch osób. Wystarczy, że odpowie pani na kilka pytań i weźmie udział w trzygodzinnej sesji. Czy mogę prosić o nazwisko?

- Mary Jane.

Roześmiał się.

- A nazwisko?

- Mary to imię, a Jane nazwisko.

- Och. - Zmieszał się. - Przepraszam. Ludzie często stroją sobie z nas żarty. Czy mogę prosić o pani adres?

- Ulica Błotna numer zachłapany.

- Tak jak przypuszczałem, nie podała mi pani prawdziwych danych.

- Jeśli to pana pocieszy, to wcale nie kłamałam. Tylko sobie żartowałam.

- Rozumiem. Czy mimo wszystko mogę prosić o pani prawdziwe nazwisko?

- Tak sądzę.

- Poproszę.

- Anne Sexton.

- Dziękuję.

Pewnie to zapisał.

- A adres?

Podalam mu adres kawiarni, w której pracował Ronald Nieśmiały Potarganiec. List od fana powinien go ucieszyć.

- Teraz muszę zapytać, jak plasują się pani dochody. Czy to będzie a, mniej niż trzydzieści tysięcy dolarów czy b, trzydzieści tysięcy dolarów i więcej?

- Trylion dolarów.

- W takim razie zakreślam odpowiedź b. Trzydzieści tysięcy i więcej. Kiedy wyjeżdża pani na wakacje, to podróż zabiera pani: a, do pół godziny, b, do dwóch godzin, c, do ośmiu godzin

czy d, ponad osiem godzin?

- Pytanie jest źle sformułowane, bo jeśli odpowiem a, to odpowiedzi b i c także będą dobre. Jeśli twój cel jest w zasięgu trzydziestu minut, to można tam dotrzeć także w dwie lub osiem godzin. Poza tym odpowiedź a jest kompletnie niezyciowa, bo nikt nie jeździ na wakacje do miejsca oddalonego o pół godziny. Zwłaszcza w mojej dzielnicy. W godzinach szczytu w pół godziny nie przejedzie się nawet dwóch kilometrów. Czy ktokolwiek wybrał pierwszą możliwość?

- Nie jest to najpopularniejszy wybór.

- Powinniście to zmienić.

- Bardzo dobry pomysł. Przekażę pani sugestię przełożonemu.

- Będę ci wdzięczna, John - podziękowałam. - Powiedz mi, skąd dzwonicz?

- Z Arizony.

- Tak myślałam, większość takich firm ma siedzibę na Zachodzie. Już pewnie macie zimno o tej porze roku. Czy to ładna okolica?

- Nie narzekam.

- Ile ci płacą?

- Hm...

- Czy masz dzieci?

- Nie...

- Jaki jest twój stosunek do religii?

Usłyszałam kliknięcie. Rozłączył się.

Podejrzewałam, że byłam pierwszą osobą w historii telemarketingu, która spowodowała, że pracownik rzucił słuchawkę.

To powinno wystarczyć do przyznania mi stypendium MacArthura.

W gruncie rzeczy wolałabym, żeby się nie rozłączył. Jak na telemarketera był całkiem w porządku. Może połączenie zostało przerwane przez przypadek. Może jeszcze zadzwoni.

Chwilę później znów odezwał się telefon. Tym razem był to jednak mój ojciec.

- Jak się masz? - zapytałam.

- Nieźle - odpowiedział. - Jestem teraz w Luksemburgu. A co u ciebie?

- Wszystko dobrze - poinformowałam go. - Jestem teraz w domu, w Stanach Zjednoczonych, na małej wyspie, która nazywa się Manhattan.

- Jak się mają pozostali jej mieszkańcy? - zapytał. - Czy poznałaś kogoś nowego... mam na myśli kolegę lub koleżankę?

Ojciec nigdy nie pytał mnie wprost o relacje damsko-męskie, sama też nigdy mu się nie zwierzałam, a już na pewno nie piśniełam słowa na temat profesora Harrisona.

Zastanawiałam się przez chwilę, jak to jest być ojcem córki. Życ z świadomością, że pewnego dnia zostanie zdeprawowana. Jako trzynastolatka, siedemnastolatka albo trzydziestojednolatka, prędzej czy później, jednak na jedwabnej podusi księżniczki mają spocząć klejnoty księcia. Podejrzywałam, że trzeba próbować o tym nie myśleć lub udawać, że się nie wie. Jak z salcesonem.

- Nikogo szczególnego - odpowiedziałam.

- Próbujesz jednak zdobyć nowych przyjaciół, prawda?

- Jasne - uspokoiłam go. - Kiedy dokładnie przyjeżdżasz na

Święto Dziękczynienia?

Chwila wahania.

Och, och.

- Posłuchaj, skarbie, nastąpiła zmiana planów - zaczął się tłumaczyć. - Cały tydzień jestem w podróży, a w Europie nie obchodzi się Święta Dziękczynienia. Obiecuję ci jednak, że będę w domu na Boże Narodzenie.

Byłam rozczarowana. Na studiach przez dwa lata nie wracałam do domu na Święto Dziękczynienia, bo ojciec podróżował za granicę. Pracował w banku inwestycyjnym, w dziale analiz międzynarodowych przedsiębiorstw, dlatego nieustannie wyjeżdżał służbowo. Wtedy mi to nie przeszkadzało, bo udało mi się poznać całkiem fajnych ludzi z akademika, którzy też zostawali, głównie z Zachodu, nie chcieli bowiem jechać do domu tylko na cztery dni. Nie powinnam jednak narzekać, ojciec zawsze dokładał starań, aby wrócić na święta. Wiedział, że nie utrzymywałam kontaktu z dalszą rodziną, poza tym był to dla mnie szczególny czas.

- Słowo honoru, na Boże Narodzenie będę w domu. Bez względu na wszystko. Na Gwiazdkę nigdy cię przecież nie zawiodłem.

- To prawda.

- Nie chcę jednak, żebyś była sama w Święto Dziękczynienia. Moi znajomi chętnie cię ugoszczą.

- Nie jestem w nastroju na urzeczywistnianie czyichś zapędów charytatywnych.

- Przestań. Zadzwońię do nich.

- Szczerze mówiąc, to na myśl o spędzeniu tego dnia we

własnym towarzystwie czuję radość – oznajmiłam.

Do Święta Dziękczynienia było jeszcze kilka tygodni, można coś wymyślić.

- Na pewno?

- Tak. Miło będzie odpocząć.

Wszystko jedno. Po prostu miło.

- Zgoda.

Kiedy się rozłączałam, pomyślałam, że być może mój ojciec zawsze był daleko, bo męczyło go poczucie winy w związku z niedotrzymanymi obietnicami, na przykład Wielkim Kłamstwem. Mogłam podrażnić temat w Boże Narodzenie.

Dziwnie będzie sterczeć w oknie w Święto Dziękczynienia, gdy ulicami będą sunąć samochody bliskich i dalekich krewnych wszystkich dokoła. Wypadałoby upichcić porządny obiad. Mogę kupić kurczaka z rożna w supermarkecie. Dawniej to było nie do wyobrażenia. Ludzie sami piekli drób. W domowych piekarnikach. A podobno moje pokolenie miało dzieciństwo usłane różami.

Melonik tym razem też miał na sobie nakrycie głowy, ale był bez płaszcza. W słoneczny dzień z pewnością go nie potrzebował. Siedział w oknie kawiarni, w której pracował Ronald Nieśmiały Potarganiec. Zauważyłam go, przechodząc obok. Nie mogłam wiedzieć, że będę tamtędy szła. Prawda?

Odplacę mu pięknym za nadobne.

Zawróciłam, weszłam do środka i zamówiłam herbatę żurawinową. Obsłużył mnie Ronald. Wręczając mi kubek, uśmiechnął się.

- Jak leci? - zapytał.

Byłam zbyt zaaferowana, aby wdawać się w rozmowę, toteż wymruczałam „dzięki” i zajęłam stolik przy oknie. Usiadłam za plecami Melonika. Teraz to ja miałam na niego oko, nie on na mnie.

Choć chyba wcale mnie nie śledził, bo gdy tylko dopił napój, zmiął kubek i wstał. Udało mi się dostrzec, jakie książki trzyma pod pachą.

Na grzbiecie każdej było napisane „na pianino/gitare/wokal”. Broadwayowskie śpiewniki. Tamtego dnia w metrze musiał powtarzać słowa lub podśpiewywać sobie szlagiery pod nosem.

Podniosłam się, niby po serwetki, ale naprawdę chciałam podsłuchać rozmowę Melonika z Ronaldem.

- Jak się mieszka? - zapytał Ronald.

- Dobrze - odpowiedział Melonik. - Naprawdę dobrze.

Poprawił w dłoni śpiewniki, żeby ich nie upuścić.

- Do zobaczenia - pożegnał się Ronald, kiedy Melonik wychodził na ulicę.

Skończyłam herbatę i oddałam kubek Ronaldowi.

- To był Cy - powiedział. - Mieszka za rogiem.

Nie skomentowałam tego ani słowem.

- Niedawno się tu przeprowadził - ciągnął Ronald. - Właśnie dostał angaż jako aktor na scenie off-broadwayowej. Wcześniej za każdym razem dojeżdżał na przesłuchania aż z South Jersey.

Wciąż milczałam.

- Jest naprawdę zabawny - dodał.

Hej, koleś, jeśli będę zainteresowana, to nie omieszkać cię

poinformować.

Wieczorem w moim mieszkaniu było cicho i poczułam się samotna. Wiedziałam, że sama jestem sobie winna. Trzeba dołożyć więcej starań.

Musiał być gdzieś ktoś, dla kogo warto stawić czoło wyzwaniom.

Otworzyłam okno i wystawiłam głowę, aby zaczerpnąć świeżego powietrza. Zauważyłam spacerującego staruszka ubranego w staromodny garnitur i czapkę. Przypominał mi chłopca ze szkoły podstawowej, Jimmy'ego Millera, który w Halloween zjawił się przebrany za dyrektora szkoły – włożył niechlujną marynarkę i czapkę. Odesłano go do domu. Według mnie, nasze wspomnienia kolegów i koleżanek ze szkoły podstawowej zawsze łączą się z jakimś ich występkiem lub przykrym wypadkiem. Choć byłam piątkową uczennicą, znającą na pamięć istotne przemówienia prezydenckie oraz jedyną, która potrafiła wyrecytować wszystkie cztery zwrotki hymnu narodowego, to także pamiętałam innych tylko ze względu na ich wpadki: David Rosner – chłopak, który zwymiotował na wuefie; Sandi Anthony – dziewczyna, którą odwieziono do szpitala po tym, gdy projektor spadł na jej głowę; Ken Meltzer – chłopak, który dwa dni z kolei zmoczył spodnie. Nie zapomina się tych, którym zdarzyło się zwrócić obiad lub zasikać majtki w szkole. Pewnego dnia w lokalnych ogłoszeniach pojawi się ślubny anons którejś z tych osób i będę wtedy ciekawa, czy ich przyszły partner jest na bieżąco, czy może powinnam uzupełnić informacje na temat przeszłości. Zastanawiałam się, jakie to uczucie mieć wiedzę o człowieku, której nie jest świadoma

najbliższa mu osoba, na przykład na temat wypadku z pierwszej klasy podstawówki.

Odetchnęłam głęboko. Powietrze było chłodne, rześkie i niemal namacalne, jakby kryło w sobie ledwie widoczne kontury. Odniosłam wrażenie, że próbowało przejść ze stanu lotnego w stały.

Rozdział 5

Kolejnego wieczoru usłyszałam w radiu, że czekają nas obfite opady śniegu.

Prognozy stawały się coraz bardziej złowieszcze. Na stacji jazzowej DJ łagodnym głosem zapowiedział, że powinniśmy spodziewać się od dziesięciu do piętnastu centymetrów śniegu. W wiadomościach o szóstej podano, że będzie od piętnastu do dwudziestu. O jedenastej prognoza urosła do trzydziestu. Wieści obudziły we mnie pewną ekscytację. Pamiętałam, jak mnie radowała nieplanowana przerwa w szkole związana z opadami śniegu, kiedy byłam mała, choć już w południe zawsze czułam się nieswojo. Któregoś roku napisałam pierwszą zwrotkę wiersza Keatsa na śniegu, aby szybciej nauczyć się jej na pamięć. Byłam pewna, że każdy ma jakieś szczęśliwe wspomnienia z dzieciństwa z dni, kiedy padał śnieg.

Nim położyłam się spać, popatrzyłam na snop latarni ulicznej. Nie padało jeszcze, ale lada chwila miało zacząć prószyć. Zwinęłam się w kłębek i zapadłam w spokojny sen. Byłam ciekawa, jak świat będzie wyglądał, kiedy się obudzę.

Nad ranem panowała cisza jak makiem zasiał. Tylko z oddali dobiegał nieznaczny warkot samochodów. Do pokoju wpadały oślepiająco białe strugi światła i wiedziałam, co to oznacza: wszystko zostało odwołane.

Wyjrzałam na zewnątrz. Śnieg białą cienką tasiemką położył

się na gałęziach nagich drzew. Pięknie to wyglądało. Wdrapałam się na parapet, który niedawno usłałam miękkimi czarnymi poduchami, objęłam się za kolana i oparłam plecy o ścianę. Wciąż padał śnieg tak gęsty, że prawie przesłaniał widok na ulicę, drobne płatki wirowały w zawrotnym tempie. Choć nie widziałam moich sąsiadów z naprzeciwka, pozazdrościłam im radości bycia razem, pewnie wtuleni w siebie słuchali muzyki, popijając grzańca lub czytali rozłożeni na kanapie. Wbrew sobie pomyślałam o Davidzie i kominku w jego domu. Ciekawe, co on teraz robi. Czy kiedykolwiek choć raz mnie wspomniał, rozpamiętując wspólnie spędzone chwile? Może warto zadzwonić do niego, tak na wszelki wypadek. Choć ilekroć wpadałam na niego na kampusie po naszym rozstaniu, nawet nie zaszczycił mnie spojrzeniem. Rozważałam, czy teraz, kiedy jestem starsza, mogłabym powiedzieć rzeczy, o które mnie prosił. Wciąż jednak uważałam, że nie. Ktoś inny pewnie nie miałby z tym problemu. Zresztą chodziło o zasady. Gdybym ustąpiła, robiąc rzeczy wprawiające mnie w zażenowanie, tylko ze względu na silną presję z jego strony, zachowałabym się równie karygodnie, jak wszyscy wokół.

Poza tym dla niego była to kluczowa sprawa i sądziłam, że udało mu się związać z kimś nowym. Choć może niekoniecznie. Przecież mimo czterdziestki na karku wciąż był kawalerem.

Lepiej się nie przyznawać, że za nim tęsknię. A szczególnie jak się wtedy czułam.

Przez resztę poranka czytałam, siedząc w oknie, a kiedy włączyłam telewizję, padało też w *Szpitalu miejskim*. Produ-

cenci oper mydlanych byli niesamowici, potrafili przewidzieć nawet załamanie pogody. Ciekawe, czy uciekali się do pomocy prywatnych prognostyków.

Bohaterowie dyskutowali o łączących ich sprawach, nieślubnych dzieciach i cierpiących na amnezję byłych kochankach. Zaś na pasku na dole ekranu przesuwają się pisane białym drukiem najświeższe wiadomości:

***** Ogłoszono zagrożenie burzą śnieżną obowiązujące dziś do godziny 20.00 *** Zostańcie z nami, będziemy informować na bieżąco o sytuacji pogodowej...*

Potem błysnęła czołówka programu informacyjnego. Prowadzący straszył nawałnicą, a za jego plecami wyświetlano nagranie z supermarketu, poirytowani klienci czekali w długich kolejkach przed kasami. Nie mogłam sobie przypomnieć, w całym dziewiętnastoletnim życiu, ani jednej burzy śnieżnej, podczas której skończyłyby się nam zapasy jajek i mleka albo kupienie jedzenia w najbliższym sklepie okazałoby się niewykonalne. Mimo to ludzie zachowywali się, jakby musieli zgromadzić przynajmniej miesięczne zapasy żywności. Kiedyś w latach trzydziestych rzeczywiście gwałtowne opady śniegu uniemożliwiły mieszkańcom zrobienie zakupów przez kilka dni, dlatego odtąd ledwo zaczynało prószyć, wszyscy zachowywali się, jakby nadciągał koniec świata. Przypominało to postawę starszych ludzi, którym w czasie wielkiego kryzysu banki porzuciły życiowe oszczędności, dlatego od tamtej pory trzymali pieniądze w bielizniarce. Podejrzewałam jednak, że prawdziwym powodem alarmu jest ludzka chęć popisania się. Hej!

Uważajcie, nadciąga katastrofa, ale patrzcie na mnie, jestem przygotowany na najgorsze. Okiennice w moich oknach są solidniejsze niż w twoich! Na moim podjeździe stoi terenówka, a w spiżarni półki uginają się pod ciężarem puszek i słoików z dżemem!

Nie zamierzałam się martwić, wręcz przeciwnie, postanowiłam cieszyć się ze śniegu. W prognozie pogody poinformowano, że opady utrzymają się do wieczora. Skorzystam z tego. Przygotuję sobie gęste kakao z bitą śmietaną, otulę się miękkim kocem, zapalę kilka świec i ze wzrokiem utkwionym w ekran telewizora ukryję się przed nadciągającą katastrofą.

Podczas kolejnych serwisów informacyjnych o siedemnastej, siedemnastej trzydzieści, osiemnastej i osiemnastej trzydzieści (możecie mnie zabić, jeśli się mylę, ale czy nie emitowano wiadomości zbyt często?) burmistrz nie odchodził od mikrofonu.

- Radzimy wszystkim, żeby bez wyraźnej potrzeby nie wychodzili z domu - przestrzegam. - Ulice są oblodzone i śliskie, już dziś doszło do kilku poważnych wypadków.

Miał podwinięte rękawy koszuli, jak przystało na Męża Stanu w Sytuacji Alarmowej. Dla nieobeznanych z tematem wyjaśniam, że Mąż Stanu w Sytuacji Alarmowej (MSwSA) występuje w nieformalnym stroju tak dobranym, aby widzowie przekonali się o wyjątkowości polityka, jego zaangażowaniu i gotowości do działania pomimo trudnych warunków, dlatego zawsze rękawy koszuli musi mieć podwinięte. To znak, że jest gotów, aby stanąć do akcji. Na północnym wschodzie standardowy ubiór MSwSA składa się z czapeczki bejsbolowej noszącej logo najpopularniejszej lokalnej drużyny sportowej, dżinsów

i koszuli. Na południu nosi się raczej koszulki polo. Politycy przeobrażali się w MSwSA nie tylko podczas burz śnieżnych, ale także huraganów.

Zadzwoił telefon.

Miałam nadzieję, że to ktoś znajomy. Miło by było z kimś porozmawiać podczas nawałnicy. Oczekałam chwilę i odebrałam po trzecim dzwonku.

- Halo - usłyszałam. - Czy mam przyjemność z panią Carrie Palby?

- Co znów wygrałam? - zapytałam zmęczonym głosem.

- Dzwonię z agencji pracy Lerman Temporaries. Ustalamy teraz grafik dla naszych klientów na kilka tygodni z góry ze względu na ilość zleceń. Czy jest pani dostępna na nocną zmianę w najbliższą środę lub piątek?

Ups!

- Oba terminy mi odpowiadają - odpowiedziałam szybko.

Okryłam zmarznięte stopy kocem. Zostałam zapisana na środę.

W wieczornych wiadomościach z kraju i ze świata prezenter wspomniał o burzy śnieżnej, tak jakby kraj był głównie północnym wschodem. Chciałabym przeprowadzić badania porównawcze, czy burzy w Connecticut lub Georgii przyznano by jednakową wagę i poświęcono najlepszy czas antenowy. Było wiele tematów, które przeanalizowałabym z wielką przyjemnością, gdybym dysponowała czasem, materiałami i odpowiednimi funduszami. Denerwowało mnie, że to niemożliwe. Ciekawe, czy spędza to sen z powiek także innym, ten nienasycony pęd do zgłębiania miliona spraw przy jednoczesnej niemożno-

ści całkowitego oddania się jednej z nich.

Kiedy minęła ekscytacja, uznałam, że zbyt długo odkładałam zamieszczenie anonsu. Za rogiem mieścił się automat z gazetami, w którym na pewno mieli „Weekly Beacon”. Nie przebie-
rając się z domowych dresów, tylko zarzuciłam na siebie palto i wyszłam na zewnątrz.

Było mroźno. Przez kilka sekund zamarłam w kompletnym bezruchu. Stałam na ulicy otoczona przez białe zaspy. W mie-
ście panowała nadzwyczajna cisza. Płatki śniegu, przelatując przez snop światła latarni ulicznej, przez sekundę iskrzyły na
żółto. Popatrzyłam na okna okolicznych budynków rozświetlo-
ne łagodnym blaskiem lamp i błękitną poświatą ekranów tele-
wizyjnych. W środku siedzieli moi sąsiedzi, czemu nie znałam
żadnego z nich?

Próbowałam odgadnąć, co każdy ogląda, ale to okazało się
zbyt trudne. Zauważyłam, że w mieszkaniu pary z naprzeciw-
ka światła są zgaszone.

Po powrocie do domu wsunęłam się pod koc i otworzyłam
gazetę na stronie z ogłoszeniami. Można tam było znaleźć
wszystko. Agencje towarzyskie i zdjęcia obdarzonych dużym
biustem kobiet, których poza miała sugerować, że czerpią
z tego wielką przyjemność. Jak mężczyźni mogą się nabrać na
rzecz tak nieprawdziwą? Nigdy się nie dowiem. Skoro podob-
nych ogłoszeń pojawia się na pęczki, oznacza to, że dosłownie
setki facetów są gotowe zapłacić za tanią podniecie bez zobo-
wiązań. Wśród nich mogą być moi koledzy ze studiów czy
mężczyźni robiący zakupy w tym samym supermarkecie. Nie
sposób się dowiedzieć. To dołujące, ale dowodzi, że mężczyźni

naprawdę są z innej planety. Nigdy nie chciałam w to uwierzyć. Jednak pewne rzeczy w życiu zwyczajnie nie są sprawiedliwe ani w porządku, ani takie, jak chciałoby się, aby były. Do tego zalicza się gadka o drugiej połówce, że niby na każdego ktoś czeka. Wierzyłam w to w dzieciństwie, ale nie istniały na to naukowe dowody i choć miałam jeszcze przed sobą piętnaście czy dwadzieścia lat, żeby to sprawdzić, to przez cztery lata studiów nie spotkałam nikogo takiego. Matematycznie rzecz ujmując, większy sens ma stwierdzenie, że na świecie nie ma nawet czterech osób, pasujących do mnie, ale istnieje sześć idealnie pasujących do biuściastej, wesolutkiej i towarzyskiej dwudziestodwuletniej ślicznotki. Wtedy wychodzi średnio po jednej osobie dla każdego. Ale naprawdę wcale tak nie jest.

Najbardziej namacalnym dowodem na to, że mężczyźni pochodzą z innej planety, jest różnica w redagowaniu ogłoszeń przeznaczonych dla obu płci. Przeglądając kategorię „Pani szuka pana” zauważyłam, że kobiety używają następujących przymiotników do opisanie siebie: mądra, wrażliwa, kochająca zwierzęta czy długie spacerowanie po plaży, lubiąca zwiedzać muzea, uwielbiająca czytać. Ma się wrażenie, że autorkami są miłe i zajmujące osoby. Mężczyźni raczej nie piszą o sobie, tylko wyszczególniają, co by chcieli robić z kimś „seksownym” oraz obdarzonym „inicjatywą.” Zabawne, że nawet nie starają się ukryć własnych fizycznych niedoskonałości. Dwóch napisało, że są podobni do Anthony’ego Edwardsa, czyli, jednym słowem, łysi. Mieli szczęście, że inny facet bez włosów dostał angaż i zdobył sławę na ekranie, dlatego mogli prawdę o sobie

podać w zawołany sposób. Dostrzegłam, że jeden mężczyzna szuka kobiety o „rubensowskich” kształtach. Bogu dzięki za różnorodność!

Przeglądałam różne kategorie. Była tam sekcja dla żonaty. Nie rozumiałam, jak redakcja może to tolerować. Pewnie gdzie popyt, tam i podaż. Jednak nie uważałam tego za właściwe.

Wczytałam się uważniej w ogłoszenia. Jeden szczegół wydał mi się dość osobliwy.

Sporo ludzi deklarowało, że „lubi ćwiczyć”.

Hm?

Sporty podchodzą pod hobby, z tym się zgadzam, można lubić kino czy podróże, ale - i wcale a wcale nie żartuję - w „ćwiczeniach” nie widzę nic, co mogłoby sprawiać przyjemność. Szanuję różnicę poglądów, gustów czy opinii, które jednak nie mają tu nic do rzeczy, bo ćwiczenia są sposobem na wzmacnianie mięśni. Nie jest to na pewno przyjemne dla ciała, brak w tym aspektu rywalizacji. Chodzi o monotonne powtarzanie. Nie ma w tym nic zajmującego. Przyjemność płynie z dokonań, ze świadomości, że się robi coś dobrego dla swego ciała. Można oczywiście odczuwać radość po tygodniach treningu na widok płaskiego brzucha w lustrze i fantazji na temat spojrzeń płci przeciwnej podczas urlopu na plaży. Sam proces, czyli wykonywanie ćwiczeń, nie ma w sobie nic przyjemnego. Napisanie, że lubi się ćwiczenia, można porównać do stwierdzeń, że lubi się „łykać witaminę C”, „coroczną kontrolę lekarską” czy „kolonoskopię”.

Zauważyłam także, że temat ćwiczeń jest ostatnio na ustach

wszystkich. Ludzie opowiadają, do której siłowni chodzą, ile powtórzeń wykonali, a przede wszystkim jak czuli się winni, opuszczając trening. Deklarują jednocześnie, że na pewno to nadrobą. Może zamieszczenie podobnej informacji w ogłoszeniu powinno zostać odczytane jako przekaz, że mamy do czynienia z wysportowaną osobą. Choć może jest wręcz przeciwnie.

Ogłoszenia rządzą się własnymi prawami.

Przeglądałam dalsze anonse. Mnóstwo panów szukało pań z inicjatywą, mężczyźni szukali seksownych babeczek, byli wśród nich wysportowani, interesujący się muzyką (pokażcie mi osobę, która się nią nie interesuje) imprezowicze. Nie wszystkie ogłoszenia były irytujące, ale większość okazała się tak mdła, że zlewały się ze sobą. W jaki sposób miałam kogoś wyróżnić?

Nagle moją uwagę przykuło jedno ogłoszenie.

Przeczytałam anons w całości.

Mężczyzna, 26, w związku, wciąż otwarty na nowe wrażenia. Miałem szczęście spotkać przyjaciółkę, z którą związę się na całe życie, a teraz pragnę się zabawić.

Potworność!

Biedna dziewczyna. Myśli, że spotkała swojego księcia na białym koniu. A on? Czemu planuje się z nią żenić, skoro mu się nie podoba? Czy ktoś mu przystawia lufę do skroni?

Szukałam dalej choćby jednego anonsu, który wydałby się interesujący. Nie miałam szczęścia. Kiedy skończyłam, chciałam wyrzucić gazetę, ale nie mogłam zapomnieć o tym koleśku „w związku”.

Czułam narastający gniew.

Nie potrafiłam tego tak zostawić.

Co jednak mogę zrobić?

Położyłam się na plecach i wyobraziłam sobie scenę, w której stawiam się z ogłoszeniem na ślubie zainteresowanych. Po pytaniu celebranta o przeszkody w zawarciu związku wstaję, macham kartką i krzyczę:

- Pan młody ogłosił gotowość do zdrady!

Choć pewnie już nie stawia się tego pytania. We współczesnym świecie pełnym zrad i kłamstw pojawiałoby się zbyt wiele przeszkód.

Powinno się z wyprzedzeniem zamieszczać w prasie zapowiedzi ślubne na wzór ogłoszeń prawnych dotyczących przejmowania nieruchomości przez państwo w wypadku braku sta-
wiennictwa potencjalnych spadkobierców.

Wyrwałam ogłoszenie.

Postanowiłam na nie odpowiedzieć. Udam, że jestem zaręczona, i spotkam się z tym facetem. Nie mogę zmienić wszystkich mężczyzn ani kobiet (zastanawiałam się, czy jakakolwiek kobieta odpowiedziała na to ogłoszenie i z jakich powodów), ale jestem w stanie wpłynąć na tego jednego, największego drania, jakiego w życiu spotkałam, choć jeszcze nie miałam wątpliwej przyjemności go poznać!

Wyciągnęłam telefon, nie ruszając się z łóżka. Wspomnienie z dzieciństwa, gdy w wieku pięciu lat z moją najlepszą przyjaciółką Lisą wdrapywałyśmy się na łóżko, udając, że płyniemy na statku, który osiadł na mieliźnie na środku oceanu, wróciło do mnie jak żywe. Miałyśmy ze sobą zabawkowy telefon i mi-

skę chipsów, którą przyniósł nam mój ojciec, oraz sekstans, kompas, areometr, deszczomierz, teleskop i mapy nawigacyjne z siatką kartograficzną. Lisa się na mnie zdenerwowała, bo uparłam się, aby ustalić nasze położenie za pomocą map. Poza tym powiedziałam jej, że dla uzyskania wody pitnej będziemy przelewać słoną morską wodę przez sito, że człowiek dłużej wytrzyma bez jedzenia niż picia, że w przypadku wyczerpania zapasów nasze jelita przestaną pracować i nie będziemy oddawać moczu, że następnie odwodnimy się, a w konsekwencji nasze organy po kolei przestaną pracować i wreszcie umrzemy. Ona natomiast chciała bawić się w syreny i wiadomości w butelkach. Nuda!

Wybrałam numer do redakcji ogłoszeń.

- Witamy w dziale ogłoszeń „Weekly Beacon”. Nasz serwis jest przeznaczony tylko dla osób pełnoletnich. Prosimy osoby, które nie ukończyły osiemnastego roku życia, o rozłączenie się.

Ufff. Niedawno miałam urodziny. Tak wspaniale nie czułam się od czasów, kiedy udało mi się zakwalifikować do półfinału konkursu naukowego Westinghouse.

- Po sygnale dźwiękowym rozmowa będzie płatna. Biiip. Przed wybraniem odpowiedniej opcji proszę uważnie wysłuchać instrukcji.

No nie, to miało mnie kosztować 2,5 dolara za minutę, a jeszcze wymagali wysłuchiwanie instrukcji. Zdzierstwo!

- Aby odpowiedzieć na ogłoszenie, proszę wybrać jeden.

Tak też zrobiłam.

- Przepraszamy, wystąpił błąd.

Jeszcze raz wcisnęłam odpowiedni przycisk.

- Witamy w dziale ogłoszeń „Weekly Beacon”.

Tak oto naciąga się ludzi. Należałoby zainterweniować. Jednak próbując naprawiać całe zło, które napotykam na świecie, nie miałabym czasu na nic innego. Łudziłam się, że ktoś inny wniesie skargę na ich nieczne praktyki, choć pewnie każdy tak myśli i nic się nigdy nie zmienia.

Zastanawiałam się, czym wyróżniali się ludzie starający się zmieniać świat. Może sama należę do tego gatunku. Nazwałabym to pozytywnym myśleniem. Petrov nie zamieścił takiego punktu na mojej liście, ale wydaje mi się, że poprzez szukanie sposobów na naprawę świata powoli stawałabym się jego częścią.

Zmiana zachowania tego mężczyzny z ogłoszenia będzie dobrym początkiem.

Trzymałam słuchawkę, wysłuchując dwuminutowych instrukcji, a na koniec wcisnęłam klawisz z jedyneką. Następnie zgodnie z poleceniem wpisałam numer anonsu.

- Cześć - usłyszałam miły głos. - Mam na imię Matt. Mam dwadzieścia sześć lat i jak napisałem w ogłoszeniu, wkrótce żenię się ze wspaniałą dziewczyną.

Wydawał się całkiem normalny. Nie mogłam jednak dać się omamić. Przypomniałam sobie, że mam do czynienia z draniem.

- Uważam, że jestem szczęściarzem, ale jestem też młody i nie chcę zbyt szybko rezygnować z dobrej zabawy. Być może jesteś w podobnej sytuacji. Oczywiście dyskrecja gwarantowana. Jeśli chcesz ze mną porozmawiać, zostaw wiadomość.

Biiip.

Przez sekundę zbierałam myśli.

- Cześć, Matt - powiedziałam. - Masz naprawdę uroczy głos. Doskonale rozumiem twoje położenie. Chodzę ze świetnym facetem, ale w naszym związku brakuje chemii. Chciałabym się upewnić, czy tak być powinno. Kiedy przeczytałam twój anons, pomyślałam, że byłby to... dyskretny, jak sam powiedziałeś, sposób na sprawdzenie. Zadzwoń do mnie w wolnej chwili, to porozmawiamy.

Zostawiłam swój numer i przedstawiłam się jako Heather. To dość popularne imię. Miałam pewność, że nigdy jeszcze żadna Heather nie musiała długo czekać na odpowiedź.

Podalam Mattowi swój prawdziwy numer, ale nie martwiło mnie to, bo w razie kłopotów powiem, że Heather to moja współlokatorka, która właśnie przeprowadziła się do Namibii.

Musiałam zadzwonić jeszcze do Petrova. Miałam jutro wyznaczone spotkanie. Ale z pewnością wciąż będzie śnieżyło, co niezbyt sprzyjało terapii. Zostawiłam wiadomość w jego poczcie głosowej.

- Cześć, tu Carrie Pilby. Dzwonię, żeby się upewnić, że jutrzejsza sesja jest odwołana z powodu pogody. Jeśli jest inaczej i mam przyjść, proszę o telefon dziś do dziewiątej wieczorem. Do widzenia.

Dostał całą godzinę na odpowiedź. Musiałam mieć czas na zaplanowanie dnia. Może zadzwoni Matt, który w szkole średniej najprawdopodobniej pełnił funkcję prezesa Koła Przyszłych Cudzołożników Ameryki, i umówimy się na śniadanie, podczas gdy jego narzeczona, przyszła przewodnicząca Sto-

warzyszenia Żon Przymykających Oko, będzie myślała, że poszedł do pracy.

Przed pójściem do łóżka przeczytałam swoje ogłoszenie.

CUDOWNE DZIECKO SZUKA GENIUSZA - niezwykle bystra, niezamężna, biała dziewiętnastolatka szuka bardzo mądrego, nieżonatego partnera w wieku 18-25 lat, bez nałogów, do rozmów o filozofii i życiu. Hipokryci, fanatycy religijni, kobicciarze i psychole niemile widziani.

Ostatecznie jednak wykreśliłam psycholi, bo tylko dałabym im pretekst do ukrycia swojego prawdziwego oblicza. Włożyłam ogłoszenie do koperty. Zamierzałam wrzucić ją do skrzynki z samego rana. Liczyłam na wiele obiecujących odpowiedzi, dzięki którym spotkam fantastycznych ludzi. I z tym pozytywnym nastawieniem ułożyłam się do snu.

Spychacze śnieżne pracowały całą noc, dlatego rankiem ulice były już całkowicie przejezdne. Petrov zadzwonił, przeproszając, bo nie udało mu się ze mną skontaktować wieczorem, ale nie odwołał sesji. A niech to!

Metro jeździło punktualnie. Ciekawe, co Petrov robił wieczorem, kiedy szalała burza śnieżna. Był rozwiedziony, miał dwie dorosłe córki. Widziałam ich zdjęcia na jego biurku. Zastanawiałam się, czy się z kimś spotykał. Może nie ma nikogo, tylko się we mnie podkochuje, oczywiście skrycie. To tłumaczy jego zainteresowanie moim życiem uczuciowym. A może z nim umówić się na randkę i w rezultacie razem spędzilibyśmy sylwestrową noc. To dopiero byłoby zaskakujące zakończenie.

Rzecz jasna należał do znajomych mojego ojca, a to spory mankament. Choć może potraktować to perwersyjnie jako jego zaletę. Wyobraziłam sobie, że spędzamy sylwestra na szczycie Empire State Building, powyżej tysiąca trzystu trzydziestu sześciu czerwonych, białych i niebieskich reflektorów, a potem już u niego do rana rozprawiamy o metodzie terapeutycznej Gestalt.

- Twoje wspomnienia z dzieciństwa są bardzo interesujące - ocenił Petrov podczas sesji.

- Dziękuję. Zapewne dlatego, że jestem interesującą osobą.

- To prawda - zgodził się. - Ale chciałem powiedzieć, że interesujący jest rodzaj twoich wspomnień. Są bardzo emocjonalne i sensoryczne. Powtórzę się, ale uważam to za kolejny dowód potwierdzający moją tezę. Ranisz się, odmawiając sobie rzeczy sprawiających ci przyjemność. Rzeczy głęboko przemawiających do twoich zmysłów, a nie tylko do umysłu. Rzeczy, które lubisz.

- Hm.

- Przeanalizujmy twoją listę - zaproponował. - Wiśniowa oranżada, czyli zmysł smaku. Rozgwiazdy. Pomarańczowe i chropowate. Zauważ, o czym mi opowiadasz. Błękitne jaja rudzika. Czerwone wozy straży pożarnej. Powinnaś w równym stopniu zadbać o swoje zmysły, jak o umysł.

- Może.

- To przywodzi nas do twoich pięciu zadań. Czy masz ze sobą listę?

- Tak.

PROZAC ®

1. Zrobić 10 rzeczy sprawiających radość.
2. Zostać członkiem jakiejś organizacji lub klubu.
3. Iść na randkę.
4. Wyznać komuś, ile dla ciebie znaczy.
5. Bawić się w sylwestra.

- Jak ci idzie z kolejnymi zadaniami?

- Wykonałam kilka wstępnych kroków, by umówić się na randkę - mówiąc to, myślałam o wysłaniu anonsu i nagraniu wiadomości dla Matta Cudzołożnika. - Teraz chcę się skoncentrować na wstąpieniu w szeregi organizacji.

- Dobrze. Co dokładnie zrobiłaś, żeby się umówić na randkę?

Podjeżdżałam, że mój pomysł z wysłaniem ogłoszenia nie przypadnie mu do gustu. Tym bardziej nie pochwaliliby kontaktowania się z zaręczonym chłopakiem planującym zdradzić przyszłą żonę. Mój ojciec także by to potępił.

- Nie będę się rozdrabniać - odpowiedziałam. - Randka to randka.

- Zgoda - przyznał Petrov. - Czym jeszcze się zajmowałaś? Co robiłaś wczoraj podczas nawałnicy?

- Pan pierwszy.

Westchnął.

- Miałem gościa i oglądaliśmy razem film.

- Gościa? Kobietę czy mężczyznę?

- Hm... kobietę.

- Czy to pańska dziewczyna?

- Wróćmy do ciebie.

- Jaki film oglądaliście?

Milczał.

- Porno?

- Carrie. Posłuchaj. Są pewne granice. Staram się nie wchodzić zbyt w twoją intymność, choć muszę poznać pewne minimum, żeby wiedzieć, w jaki sposób pomóc ci poznawać ludzi i cieszyć się życiem. Inaczej nie posuniemy się do przodu. Nasze spotkania nie są przeznaczone dla mnie, ale dla ciebie. Łatwiej będzie ci się otworzyć przed innymi, gdy najpierw mnie obdarzysz zaufaniem. Jednak ty uparcie zamykasz się w sobie, mimo że płacisz za każdą sesję.

- To mój ojciec płaci, nie ja. Nie zamierzam opowiadać, jak spędziłam wczorajszy wieczór ani ostatnią Wielkanoc. Nie powiem, gdzie byłam zeszłego roku w październiku ani podczas nawałnicy z dziewięćdziesiątego szóstego, ani w czasie huraganu Andrew.

- Rozumiem, że to zbyt osobiste.

- Nie, wcale nie - zaprzeczyłam. - Pyta mnie pan o to, licząc na wyznanie, że byłam sama, aby uraczyć mnie rozbudowaną analizą typu psychologicznego w formacie zero jedynekowym. Moje problemy sprawiają panu przyjemność. Moje podłe samopoczucie oznacza, że kodeks moralny i zasady, którymi kieruję się w życiu, są niesłuszne. Wtedy wzrasta pana samopoczucie i ocena własnego życia, na przykład ostatniej nocy, którą spędził pan z jakże-ona-się-nazywa. Reasumując, może byłam sama wczoraj podczas burzy śnieżnej, ale to mój świadomy wybór. Pan równie świadomie wybrał przeciwną opcję.

- Ciekawe. Nawet nie spytałem, czy z kimś byłaś - zauwa-

żył. – Zapytałem tylko, jak spędziłaś ostatni wieczór.

– Ale przecież do tego pan zmierzał.

Nic nie odpowiedział, tylko zamilkł na chwilę. Jego włosy były wciąż wilgotne od śniegu. Musiał tu przyjść tuż przed naszym spotkaniem.

– Dobrze, zatem powiem prawdę. – Zdecydowałam się. – Pan, podobnie jak pozostali mieszkańcy naszego miasta, spędził wczorajszy wieczór, tuląc się w łóżku do bliskiej osoby, planując wyprawę na narty, wspominając minione święta Bożego Narodzenia i splatając umazane kakao języki, ja natomiast siedziałam pod kocem sama jak palec. Czy to właśnie chciał pan usłyszeć?

Petrov westchnął.

– Możesz mi wierzyć lub nie, Carrie, ale chciałbym, żebyś była szczęśliwa – powiedział. – Marzę, że pewnego dnia przyjdiesz do mnie, oznajmiając, że twoje życie jest cudowne. Wysłucham wtedy, jak wspaniale ci się wiedzie. Nawet gdy będziesz szczęśliwa, wierzę, że wciąż znajdziemy tematy do wspólnych rozmów, niekoniecznie wymagające pracy z twojej strony, ale z pewnością pojawią się rzeczy, o których zwyczajnie będziesz chciała opowiedzieć, ponieważ, wbrew twoim poglądom, pragnienie wygadania się jest typowo ludzkim odruchem, niezależnie czy chodzi o problemy czy przyjemności. Ale w twoim przypadku nie wydaje mi się, by wszystko było w porządku. Drzemie w tobie ogromny potencjał, możesz zostać wspaniałą osobą i prawdopodobnie zmienisz świat na lepsze, najpierw jednak, u progu dorosłości, powinnaś odkryć, bo zwyczajnie na to zasługujesz, jak się wydostać z przykrego po-

łożenia, w którym się znalazłaś. Rozumowe analizowanie aż do bólu każdego szczegółu przy wyłączonych emocjach na pewno nic tu nie pomoże. Czy naprawdę pragniesz w wieku trzydziestu pięciu lat spojrzeć wstecz na swoje życie z pytaniem, dlaczego do diabła przez ostatnie kilkanaście lat byłam tak nieszczęśliwa?

- Nie jestem nieszczęśliwa.

- Łatwiej bym uwierzył w to, co mówisz, jeśli patrzyłabyś mi prosto w oczy - mówiąc to, patrzył na mnie. - Wiesz co? Nie tylko nie lubię, kiedy jesteś smutna, ale uważam, że sama tak myślisz. Według mnie, zwyczajnie chwytasz się brzytwy.

Spojrzałam na niego. Miał nieokreślony kolor oczu, raz wydawały się szare, innym razem niebieskie.

- Warto, abyś spróbowała otworzyć się na innego człowieka, i to w ciągu najbliższych dni - oznajmił. - Możesz zacząć ode mnie. Zaufaj mi. Nie musimy ze sobą walczyć. Nic, co mi powiesz, nie wyjdzie poza ściany tego gabinetu. Nic nie powtarzam twojemu ojcu ani twoim sąsiadom, ani moim znajomym czy przyjaciółom. Jeśli masz ochotę, możesz przeznaczyć całe spotkanie na szyderstwa czy obrzucanie mnie błotem, nie będę cię osądzał, jestem tu dla ciebie. Wykorzystaj mnie. Po to jestem. Zrób to, ponieważ cię o to proszę.

- A gdybym dopuściła się zbrodni? Wtedy musiałby pan powiedzieć mojemu ojcu.

- To prawda, nie mógłbym tego zlekceważyć, jeśli sprawa byłaby poważna - przyznał Petrov.

- Zatem nie mam stuprocentowej pewności, że pan mnie nie wyda.

- Słuszna uwaga. Umówmy się zatem. Nie wspomnę ani twojemu ojcu, ani nikomu innemu o tym, co usłyszę od ciebie, chyba że będzie to podlegało pod kodeks karny. Otwórz się przede mną.

- Zgoda.

- Wyznaj mi sekret, o którym nikomu nigdy nie powiedziałaś.

- Spałam z moim profesorem literatury.

Zamarł.

Chyba się tego nie spodziewał.

Czekał na ciąg dalszy, ale milczałam. Niech go skręca.

- Spałaś ze swoim profesorem literatury raz, tak?

- Nie, nie raz. Chwileczkę... tydzień liczy siedem dni, ale raz na jakiś czas robiliśmy sobie dzień lub dwa przerwy...

- Nie musimy wchodzić w podobne szczegóły.

Cha, cha, cha. Ty draniu.

- W porządku - odezwał się. - Chodziło tylko o wspólne spędzenie nocy...

Posłałam mu znaczące spojrzenie.

- Dobrze, odbyłaś stosunek.

Wspaniale.

- Jak się z tym czujesz?

- Dobrze.

Popatrzył na mnie.

Automatycznie założył, że nie powinnam się czuć dobrze. Automatycznie założył, że nie powinnam sobie z tym radzić. Oto przykład czystego protekcjonalizmu.

- Czy miałaś także inne... doświadczenia seksualne? - zapytał.

- Ten facet, który ostatnim razem był przede mną na terapii... ten niewysoki... wpadliśmy przez przypadek na siebie - powiedziałam. - Razem pojechaliśmy do South Street Seaport i zrobiliśmy to nieopodal doków. Na tym skwerku za galerią.

- Przestań.

- Przykro mi, ale tak właśnie było.

- Dlaczego?

- Ponieważ od strony wejścia do galerii widok jest nieporównywalnie gorszy, z tyłu natomiast widać most i statki...

- Carrie...

- Dobrze już, dobrze, żartowałam. Nie pojechaliśmy na wybrzeże, ale rozglądałam się za nim. Wydał mi się samotny. Podobny do mnie. Szukałam wymówek, żeby przejść koło jego mieszkania, aż wreszcie wpadłam na niego i zaczęliśmy rozmawiać. Umówiliśmy się, a potem poszliśmy do niego. W końcu, powinnam to uściślić, trafiliśmy do jego sypialni.

- Mam nadzieję, że to kolejny żart.

- Nie tym razem.

- Poszłaś z nim do łóżka?

- Więc, właśnie mieliśmy przejść do rzeczy, kiedy... zadzwonił telefon.

- Och. - Petrov przetarł oczy i się uśmiechnął.

-W porządku, żartowałam - przyznałam. - Jednak w przypadku profesora to prawda.

- Dobrze. Zapytam raz jeszcze. Czy to jedyna osoba, z którą się tak zbliżyłaś?

- Tak.

- Dobrze.

- Był jeszcze Rudy Giuliani.
- Przestań.
- W porządku.
- Jak myślisz, dlaczego już potem nie związałaś się z nikim innym? Czy on cię zranił?
- Proszę zauważyć, na czym się pan koncentruje. Na negatywnych stronach. Będąc z nim, czułam się szczęśliwa. Potem to się skończyło. Większość ludzi nie dorastała mu do pięt w kwestii odczytania i inteligencji. To tyle.
- Czy był żonaty?
- Nie.
- Czy nie uważasz – pytam tylko dlatego, że chciałbym zrozumieć, jak wpłynęła na ciebie wasza relacja – że jesteś zamknięta w sobie z winy waszej relacji?
- Myślę, że nasza relacja była wynikiem mojego zamknięcia się w sobie.
- Kiwnął głową, a potem coś zapisał w notesie.
- Co on teraz robi?
- Myślę, że wciąż tam wyklada.
- Dlaczego się rozstaliście?
- Nie byłam pewna, czy chcę mu o tym powiedzieć.
- Dlatego, że podobnie do reszty świata chciał, żebym była kimś innym.
- Zakładam, że wiążąc się z tobą, wiedział, kim jesteś?
- Na początku mu się podobałam. Nieustannie podkreślał, że jestem młoda i pełna entuzjazmu. Ujęła go moja niewinność. Potem jednak wolał, żebym przestała być aż-tak-niewinna. Każdy chce, żeby wilk był syty i owca cała. Przypomina to

skryte pragnienie wyborców oddających głos na niezwiązanego z polityką kandydata. Przecież w przypadku wygranej stanie się jej częścią.

- Rozumiem, do czego zmierzasz. Ale przespałaś się z nim.

- Byłam ciekawa. Żeby nikt nie mógł mi zarzucać, że odnoszę się do spraw, o których nie mam pojęcia. Podobnie jak pan większość ludzi zakłada, że pewne rzeczy są mi obce. Posiadanie zasad moralnych i kierowanie się nimi w życiu nie oznacza wcale, że się pewnych rzeczy nie robi z definicji.

- Masz rację.

Zaszła dziwna zmiana. Wyprostował się bardziej. Wydawało się też, że rozmawia ze mną jak z dorosłym, a nie jak z dzieckiem. Zadziwiające było to, że rzeczywiście wzrósł jego szacunek do mnie. Dlaczego? Bo uprawiałam seks?

Zdumiewające, że ludzie bardziej cię poważają, jeśli uprawiałaś seks. Jakbyś poznała ich sekrety, posmakowała ich świata, dzieliła wspólne doświadczenia, i już nie istniała potrzeba bliższego poznania się. Było to doprawdy absurdalne. Bo szerszą wiedzę na temat ludzkiej kondycji, moim skromnym zdaniem, mają żołnierze wracający z frontu, ofiary przemocy seksualnej czy świadkowie wypadków samochodowych.

Kręciłam się po domu bez celu, rozdrażniona, bo wieczorem czekało mnie kolejne zlecenie w firmie prawniczej. Praca nocą była jednak porażką, bo cały dzień się o niej myślało i w rezultacie pracowało się na dwie zmiany, dzienną i nocną. W końcu trzeba było tam iść.

W metrze było spokojnie. Naprzeciwko mnie siedziała zmęczona kobieta, miała ciemne, kręcone włosy, a w ręce trzyma-

ła przepastną, wielgachną torbę. Rozmiar kobiecej torebki wydawał się odwrotnie proporcjonalny do stanu zamożności właścicielki. Im biedniejsza kobieta, tym większe gabaryty dźwigała na ramieniu. Mikroskopijne torebeczki były zarezerwowane tylko dla zamożnych. Na zdrowy rozum powinno być na odwrót, ale pieniądze, jak widać, zajmowały niewiele miejsca. Natomiast ubrania, dokumenty i rzeczy gromadzone przez całe życie wymagały sporej przestrzeni.

Kobieta wysiadła stację przede mną. Pociąg ruszył z łoskotem, który odczułam w całym ciele, spoczywającym na twardej siedzieniu.

Opuściłam wnętrze miasta kilka ulic od celu mojej wyprawy. Nadbrzeże należało do obskurnych dzielnic. Mijałam puste, ogrodzone płotem działki, aż niespodziewanie na jednym ze starych, ceglanych budynków zauważyłam szyld Kościoła Pierwszych Proroków. Pastorem był Joseph Natto.

Przypomniałam sobie żółtą ulotkę, którą dostałam od Tonsurogłowego. Miałam ochotę zajrzeć do środka, ale okna znajdowały się dość wysoko, poza zasięgiem mojego wzroku. Na szczęście u podnóża budynku zauważyłam szarą wypukłość, na której mogłam oprzeć stopę.

Podciągnęłam się na tyle, aby rzucić okiem przez małe, zakratowane okienko. Prześwitujące różowawe zasłony były zaciągnięte, ale udało mi się dostrzec małą lodówkę oblepioną magnesami. Jeden podtrzymywał ulotkę informującą, że niedzielne nabożeństwo odbywa się o godzinie dziesiątej trzydzieści.

Postanowiłam się tam wkrótce wybrać. Zamierzałam usiąść

w tylnym rzędzie, aby wszystko bacznie obserwować. Powin-
nam zostać mianowana pełnomocnikiem rady miejskiej dzielni-
cy Manhattan do spraw oszustw religijnych. Przydałoby się ta-
kie stanowisko. Przecież na pewno nie było dziwaczniejszym
tworem niż adwokat z urzędu.

Nad okolicą górował lśniący marmurowy budynek. Firma
prawnicza mieściła się na wszystkich dziewięciu piętrach. To
się nazywa biznes. Rozpoznałam jedno z nazwisk partnerów,
bo należało do byłego członka rady miasta.

Pustą windą wjechałam na szóste piętro, wysiadłam, ale na
recepcji nie było nikogo. Na stoliku stała misa z owocami i sł-
dyczami, które pewnie zostały po zebraniu. Miałam ochotę
schrupać jedno ciastko, ale obawiałam się, że skoro nie zosta-
wiono ich tam dla mnie, to niewątpliwie ktoś mi to wypomni.
Odczekałam minutę. Nikt się nie zjawił. Rytmicznie uderzałam
palcami o blat recepcji. Minęła kolejna minuta. Sięgnęłam po
ciastko.

- Dobry wieczór - przywitała się kobieta, przechodząc
przez drzwi wejściowe.

Aż podskoczyłam.

- Przepraszam - szybko dodała.

Menedżer poinformował mnie, że jeszcze nie ma nic do zro-
bienia i zaprowadził mnie do mikroskopijnego, pozbawionego
okien pokoju, gdzie stały dwa biurka. Podłogę przykrywała ja-
sna wykładzina.

Przyniosłam ze sobą w plecaku zaległą korespondencję
i mnóstwo czasopism. Usiadłam przy biurku twarzą do ściany,
odwróciłam się, rzucając okiem na drugie stanowisko pracy,

na którym kłębiła się masa dokumentów. Jeden wielki galimatias. Część papierów spięto wielgachnymi, czarnymi spinaczami, idealnymi do ukatrupienia fretki, resztę włożono do brązowych teczek o ząbkowanych brzegach. Bałagan panował nawet w koszu na śmieci.

Przejrzałam stos ulotek, który wyciągnęłam ze skrzynki na listy, wśród nich znalazłam wydrukowane na czerwonej kartce zaproszenie na spotkanie świeżo upieczonych absolwentów mojej uczelni w Harvard Club. Nie przyszło mi to do głowy, a przecież powinno. Klub zrzeszający absolwentów. Ich siedziba mieści się w samym sercu Manhattanu. Czemu nie zostałam członkiem tuż po otrzymaniu dyplomu? Nie traciłabym czasu na szukanie gdzie indziej inteligentnych ludzi. Jeśli takowi istnieli, z pewnością musieli należeć do Harvard Club. Nie mogłam się mylić. Zresztą członkostwo w organizacji było jednym z punktów na mojej liście zadań. Ten klub wydał mi się znacznie bardziej właściwy dla mnie niż kościół Josepha Natto.

Wyciągnęłam z torebki kartkę od Petrova, aby jeszcze raz się w nią wczytać.

1. Zrobić 10 rzeczy sprawiających radość.
2. Zostać członkiem jakiejś organizacji lub klubu.
3. Iść na randkę.
4. Wyznać komuś, ile dla ciebie znaczy.
5. Bawić się w sylwestra.

Mój anons miał się ukazać w najbliższym wydaniu „Weekly Beacon”. To już coś. Powinnam otrzymać choć jedną przyzwo-

itą odpowiedź. A w materii nieprzyzwoitych ogłoszeń, to wciąż czekałam na sygnał od Matta Cudzołożnika. Czułam jednak, że to tylko kwestia czasu.

Nagle na progu stanęła dziewczyna. Na oko moja rówieśniczka. Miała długie, gładkie włosy, ujmujący uśmiech i bystre spojrzenie. Momentalnie poczułam się bezpiecznie.

- Cześć - przywitała się. - Jesteś na zleconych?

- Tak mi się wydaje.

Oparła się o framugę.

- Siedzę na końcu korytarza. Nudzi mi się.

- Też jesteś na zleconych?

- Tak, pracuję na umowę zlecenie, ale jestem tu codziennie - wyjaśniła. - To trwa już cztery miesiące. Nie chcą mnie zatrudnić na umowę o pracę, bo musieliby zapłacić agencji sześć tysięcy dolarów prowizji.

- Wcale nie sześć tysięcy dolarów, tylko prawie - uściśliłam.

- Prowizję liczy się, mnożąc stawkę godzinową przez trzysta godzin pracy, które agencja, wedle własnych kalkulacji, straciłaby, rezygnując z ciebie. Wychodzi mniej więcej pięć tysięcy osiemset pięćdziesiąt dolarów.

- Mniej więcej? - zapytała. - Przecież dokładnie wyliczyłaś całą kwotę.

- Chyba masz rację.

Dlaczego się tak denerwowałam?

- Mam na imię Kara - przedstawiła się.

Wymieniłyśmy uścisk dłoni. Miała długie, gładkie palce, identyczne jak włosy. Spojrzała na moje biurko.

- Co to jest?

- Lista - odpowiedziałam, błyskawicznie odwracając kartkę.
- Wygląda dość interesująco.
- To osobiste.
- Może kiedyś mi powiesz.
- Może.

Zapadło milczenie.

- Zadzwonili dziś po trzech korektorów - powiedziała Kara - choć praktycznie nie ma nic do zrobienia.

- Więc dlaczego nas wezwali?

- Nie chcą nas odesłać wcześniej do domu, bo gdyby się coś trafiło, a nikogo by nie było na miejscu, to zrobiłoby się nieprzyjemnie.

Spojrzała na puste obrotowe krzesło stojące przy drugim biurku.

- Mogę się przysiąść?

- Jasne.

Przysunęła krzesło do mojego i usiadła.

- Dlaczego wezwali dziś dodatkowe osoby? Nie mam pojęcia. To jednak oznacza więcej pieniędzy dla ciebie.

- Pieniądzy nigdy za wiele.

Roześmiała się, a włosy opadły jej, zakrywając ramię. Zrozumiałam, że mam do czynienia z osobą, w której towarzystwie każdy dobrze się bawi, bo uśmiech nie schodzi jej z twarzy. Jest wysoka i ładna, z pewnością nie narzeka na brak powodzenia u płci przeciwnej.

- Jak się nazywasz? - zapytała.

- Carrie Pilby.

- Mieszkasz gdzieś w pobliżu?

- W Village.

Moja odpowiedź ją podekscytowała.

- Mój były chłopak tam mieszka. Na Jones Street. Już ma nową dziewczynę, ale ona totalnie nie jest w jego typie.

Nie wiedziałam, jak zareagować na jej wyznanie, ale niewątpliwie było to znacznie bardziej zajmujące niż przeglądanie zaległej poczty.

- Widujecie się jeszcze?

- Niestety nie, ale w najbliższy weekend gra w klubie, w CBGB - poinformowała.

Byłam pod wrażeniem, że uznała mnie za wartą wysłuchania intymnych szczegółów z jej życia.

- Szukam chętnego, który by się ze mną tam wybrał, ale moi znajomi mają już po dziurki w nosie słuchania o nim. Pójdę sama, jeśli nie będzie wyjścia. W związku z tym jutro i w piątek zamierzam spędzić po dwie godziny w siłowni.

Biedactwo. Naprawdę wierzy, że to pomoże. Nawet gdyby cztery godziny treningu pozwoliły jej na utratę dwudziestu gram masy ciała, czy poprawiły w jakiś inny sposób wygląd, co było przecież niemożliwe, to nie wpłyną na decyzję jej chłopaka w sprawie łączącej ich relacji, a dokładniej jej braku. Mimo że moja wiedza na temat płci przeciwnej była mniej niż nikła, uważałam, że męska fascynacja kobietami nie jest powiązana z wagą. Dwa kilogramy w jedną czy drugą stronę nie mają żadnego znaczenia.

- Jak on ma na imię?

- Mark - odpowiedziała, a jej usta ułożyły się w śliczny grymas. - Jest taki cuuudowny. - Pochyliła się w moją stronę. -

Wiesz, jak to jest, kiedy więź jest tak silna, że nie ma nic, czego byś mu odmówiła w łóżku?

Założyłam, że było to pytanie retoryczne.

- To znaczy, nie powinnam się przejmować tym, co zrobił, choć wiedział doskonale, do czego zmierza. Ale mam to w nosie. Kobiety znacznie lepiej od mężczyzn doceniają moje ciało.

Nie tylko zdradzała mi łóżkowe upodobania byłego chłopaka, ale przyznała się do biseksualności. Ciekawe, co wyzna za chwilę. Może się okaże, że cierpi na tyłozgięcie macicy.

- Masz chłopaka?

- Nie - odpowiedziałam.

Posłała mi wyczekujące spojrzenie. Jakbym musiała się wytłumaczyć.

- Wiem, że to dziwne, ale podobają mi się tylko...

Chciałam powiedzieć „mądrzy faceci”, ale słowo „faceci” ugrzęzło mi w gardle. Nie chciałam zabrzmieć zbyt infantylnie, jak nastolatka. Choć, technicznie rzecz biorąc, wciąż nią byłam. Z drugiej strony słowo „mężczyźni” też było nieodpowiednie. Pasowało do czterdziestoletniej kobiety.

- Podobają mi się tylko mądrzy mężczyźni - dokończyłam. - To dość osobliwe.

- Pewnie dlatego, że sama jesteś inteligentna.

Wzruszyłam ramionami.

- Też lubię mądrych facetów - przyznała. - Mark jest bystry. Nie jest odcytany, ale jest życiowo mądry. Nie przypadkiem jego zespół wystąpi w CBGB. Może jednak wcale tam nie pójdę. Jak każdy artysta jest straszliwie egocentryczny.

- Czy siedząc tu ze mną, nie wpadniesz w kłopoty?

- Nie. Wiedzą, że jestem na miejscu. Zresztą szkoda czasu na bzdury, trzeba opracować plan i szybko znaleźć ci mądrego chłopaka. Albo dziewczynę. Nie chciałabym z góry zakładać, że jesteś hetero.

- Jestem - przyznałam. - Nie umawiałam się jednak... z nikim od czasu... mojego profesora literatury.

Nigdy wcześniej nikomu nie zwierzałam się z mojej relacji z Davidem, a tu nagle powiedziałam dwóm osobom, i to tego samego dnia. Wiedziałam jednak, że zrobi to na niej wrażenie. Powinno to także, gdyby wszystko inne zawiodło, zwiększyć moje szanse w jej oczach.

- W porządku - powiedziała, wyciągając przed siebie dłoń, w którą niepewnie uderzyłam własną. - Wciąż studiujesz?

- Skończyłam studia rok temu.

- Wyglądasz bardzo młodo - zauważyła, przyglądając mi się. Zawstydzona odwróciłam wzrok.

- Skończyłam wcześniej jak na swój wiek.

Uśmiechnęła się.

- Jesteś bystra. Z tego powodu lubisz niegłupich facetów. Gdzie studiowałaś?

- Na Harvardzie. Nie kłamię.

Wybuchnęła śmiechem.

- Czy zazwyczaj ludzie ci nie wierzą?

- Czasem myślą, że żartuję.

- Pewnie dlatego, że w ich głowach świeci pustką. Masa ludzi nie słyszała o mojej uczelni, mimo że jest dość znana.

- Gdzie studiowałaś?

- Na Smith.

Kiwnęłam głową.

- Nie wiem, co mnie naszło, że wybrałam szkołę tylko dla dziewczyn. Różnorodność lepiej by mi zrobiła.

- Aha.

- Moja mama tam chodziła, dlatego się zdecydowałam. Studiowałam tylko przez dwa lata. Potem to rzuciłam. Nie, żebym była głupia, ale... umierałam tam z nudów. Interesowały mnie inne rzeczy, za które nie musiałam płacić chesnego. Co to za lista?

Wzruszyłam ramionami.

- Nic takiego.

- Nie myślisz chyba, że odpuszczę. - Jej oczy były niesamowicie ciemne. - Niełatwo mnie zniechęcić. Szybko, powiedz, co tam napisałaś?

- Nic ciekawego.

Nagle, drażniąc się ze mną, udała, że sięga ręką w kierunku kartki. Podniosłam się, by temu zapobiec, i na sekundę jej ręka zetknęła się z moim biustem. Usiadła z powrotem na swoim miejscu.

- Zobacz tylko, miło sobie plotkujemy, a w tym czasie zarobiłyśmy każda po pięć dolarów - zauważyła. - Czy to nie wspa-
niałe?

Spodobał mi się jej tok myślenia. Zastanawiałam się, czy nie podzielić się z nią moimi spostrzeżeniami odnośnie pracy. A nawet pozostałymi życiowymi refleksjami. Choć pewnie wprowadzając ją w temat moich moralnych krucjat, mogłabym z góry przekreślić szanse na naszą przyjaźń. Lepiej własne myśli zachować dla siebie. Czy jednak nie jest to równoznacz-

ne z kłamstwem? Dlaczego mam czekać z dzieleniem się tym, co stanowi istotną część mojej osobowości?

- Według mnie bumelowanie w pracy jest ogólnoświatową normą - stwierdziłam. - Nawet więcej, to postawa, której się oczekuje od pracowników, bo stanowi część całego systemu. Jeszcze nie byłam w pracy, w której ludzie nie przeciągaliby do maksimum czasu na parzenie kawy czy przeglądanie gazet.

- To fakt - przytaknęła Kara. - Niewykonywanie pracy jest cholernym obowiązkiem każdego pracownika. A szczególnie tutaj.

Wsparła łokcie o blat nachylona w moją stronę. Nasze twarze niemalże się stykały.

- Dobra, teraz powiedz mi to, na co naprawdę czekam. Jaki był ten pan profesor? Wszystko od a do zet. Ze szczegółami i bez ściemy.

Czy uważałyby mnie za równie wartościowego rozmówcę, gdybym nie podzieliła się tym doświadczeniem?

Opowiedziałam jej wszystko od początku do końca. Byłam nawet gotowa się tłumaczyć z romansowania z profesorem literatury, bo był to straszny banał, nikt przecież nie wiąże się z profesorami matematyki. Pewnie wynika to z tego, że wykładowcy przedmiotów ścisłych na swoich zajęciach nie opowiadają nic atrakcyjnego seksualnie. Oczywiście poza historią o linii prostej łączącej punkty A i B, która z wielką gracją przecina oś rzędnych.

Przechodząc do przyczyn naszego rozstania, nieco zwolniłam tempo zwierzeń.

- Poczulałam, że kiedy to powiem, nie będę sobą - wyjaśniłam.

- Niedobrze - oceniła Kara. - Pieprzyć go. Jest taki film, w którym bohater na pytanie, czy seks deprawuje, odpowiada, że tylko wtedy, jeśli dobrze się przyłożysz. Osobiście uważam, że w seksie nie ma nic amoralnego, chyba że pojawi się czynnik przymusu. W cielesnej relacji łączącej dwoje dorosłych nie powinno być żadnych z góry ustalonych zasad poza jedną. Masz się czuć komfortowo z tym, co robisz. W innym wypadku nie należy się przejmować opinią innych. Nie lubisz gwizdać, to nikt nie powinien cię do tego zmuszać.

Przytaknęłam.

- Mimo wszystko podejrzewam, że wasze rozstanie musiało być dla ciebie bolesne - zauważyła. - Na studiach bez chłopaka czy dziewczyny człowiek czuje się samotny.

- To prawda.

- Całowałaś się kiedyś z dziewczyną?

- Nie...

- Mam przyjaciółkę, która całowała się z dziewczyną, a potem za każdym razem podkreślała, że stało się tak tylko dlatego, że była pijana. Ale w dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach na sto alkohol jest tylko wymówką, by robić rzeczy, na które i tak ma się ochotę.

- To powszechny mechanizm - przyznałam. - Ludzie decydują się na to, co zawsze nosili w sobie, a potem tylko wysilają się na mętne usprawiedliwienia. Niekiedy są obłudni aż do bólu. Zdarzyło mi się spotkać ludzi robiących rzeczy, które dwie sekundy wcześniej nigdy nie przyszłyby im do głowy, ale po fakcie zawsze mieli gotowe racjonalne wyjaśnienie. Strasznie mnie to irytuje.

- Ludzie są cholernymi hipokrytami - przyznała Kara.

- To prawda.

- I dzięki temu świat jest taki wspaniały.

- Słucham?

Pochyliła się jeszcze bardziej.

- Nigdy nie wiesz, co cię czeka - wyjaśniła. - Jednego dnia czujesz się tak, drugiego zupełnie inaczej. Masz prawo do pomyłek. Możesz sobie uświadomić, że nie miałaś racji. Wszystko jest dla ciebie. Chcesz być zuchwałą, nieprzyzwoita? Proszę bardzo. Masz prawo do zmiany zdania, do eksperymentów, zanim w dogodnym dla ciebie momencie uspokoisz się i ustabilizujesz. Nie znamy wpływu rozmaitych sytuacji na naszą osobowość, dopóki się w nich nie znajdziemy.

Jej twarz była bardzo blisko mojej. Chciałam się z nią popierać, ale wolałam jej słuchać.

Zamilkła jednak.

- Jeśli według ciebie coś jest niewłaściwe lub niebezpieczne i jesteś o tym absolutnie przekonana, to nie powinnaś pod żadnym pozorem tego robić. Jeśli jednak twoim postępowaniem kierował słuszny powód, a nikomu nie stała się krzywda, to znaczy, że to wcale nie było złe. To proste. Nie twierdzą, że nieprzyzwoite zachowanie jest z definicji niedopuszczalne. Nieprzyzwoite przecież nie znaczy złe. Nikt cię nie powstrzyma, jeśli będziesz chciała zjeść lody z bitą śmietaną. Jeśli jednak potępiasz kradzież, to mimo wielkiej ochoty na lodowy deser, nie odbierzesz go dziecku sprzed nosa, bo twoje pragnienie nie jest w tym wypadku żadnym usprawiedliwieniem. Tak właśnie uważam - powiedziałam.

- Zgoda. Ale powiedz, czy wierzysz w istnienie prawdy absolutnej?

- Tak.

- Czy według ciebie aborcja jest dobra czy zła?

- W niektórych okolicznościach jest bardziej słuszna niż niesłuszna - odpowiedziałam. - Na przykład w przypadku gwałtu ofiara może nie chcieć urodzić dziecka swojego oprawcy.

- Czy to jednak nie będzie wciąż zabójstwo niewinnego dziecka?

- Może - przyznałam. - Pewnie masz rację. Pozwolę sobie zatem zmodyfikować wcześniejszy pogląd. Wierzę, że istnieją prawdy obiektywne, ale nie jestem pewna, jak je rozróżnić. Nigdy nie zajmował mnie temat nienarodzonych dzieci. Nie wiem, kiedy dokładnie zaczyna się życie. Ale może istnieje odpowiedź, tylko nie jestem na tyle rozwiniętą formą życia, żeby ją poznać. Musi być przecież jakiś początek.

Kara milczała, rozważając moje słowa.

- Często zwyczajnie nie wiem, co jest słuszne, a co nie - dodałam. - Nieustannie jednak dążę do tego, aby się dowiedzieć. Ale nigdy motywacją moich działań nie będzie to, że po prostu mam na coś ochotę. Gdyby mi się to jednak przydarzyło, nie miałabym problemu, aby to przyznać. Mając świadomość, że dana rzecz szkodzi zdrowiu, jest bolesna albo zwyczajnie durna, ze wszystkich sił staram się jej unikać. Jeśli wiem, że coś jest niesłuszne, niebezpieczne, sprawia ból mnie lub innym, to potrafię się przed tym powstrzymać. Dla większości ludzi wybór zasad i trwanie przy nich wydaje się niewykonalne. Są rzeczy niemoralne i rzeczy niebezpieczne, a także zarówno

takie i takie, i choć pierwsze wydają się gorsze niż drugie, to uważam, że sensownie byłoby ich nie robić. Kiedy jednak sytuacja nieco się komplikuje, ludzie od razu modyfikują tok rozumowania. Słyszałam niektórych, od zawsze na koshernej diecie, jak utrzymywali, że wieprzowina w daniach kuchni chińskiej jest akceptowalna. Na studiach spotkałam chłopaka rzucającego gromy na każdą formę piractwa komputerowego, choć przy okazji sam był właścicielem niebagatelnej kolekcji przegrywanych płyt. To może drobiazgi, ale nie trzeba długo szukać przykładów większej obłudy. Połowa ludzi przychodzi do kościoła tylko w nadziei na rozgrzeszenie zła, którego się dopuścili. Jeśli przyjmujesz jakiś pogląd, miej na tyle odwagi, aby działać wedle własnych przekonań.

- Uważam, że jest różnica między niebezpiecznym a niemoralnym - zauważyła Kara. - Naprawdę uważasz, że działanie, które rani tylko ciebie, należy z góry uznać za niemoralne?

- Nie jest aż tak złe jak to, które sprawia ból innym - odpowiedziałam - choć suma summarum może się takim okazać, choć w inny sposób. Nie w tym rzecz. Uważam, że wybór życiowych wartości powinien dokonywać się na podstawie chłodnej logiki, a nie zmiennego samopoczucia. Gdyby większość ludzi w życiu działała wedle racjonalnych przesłanek, nie wydarzyłoby się mnóstwo rzeczy, na które zdecydowali się pod wpływem chwili.

- Super. Podoba mi się nasza dyskusja - przyznała. - Jestem naprawdę pod wrażeniem. Oparła głowę na biurku. - Brakuje mi podobnych dysput intelektualnych - dodała.

- Czym się zajmujesz? Za dnia. - Również położyłam głowę

na blacie.

- Jestem aktorką - powiedziała. - Ale tylko od czasu do czasu trafia mi się angaż do reklamy. Marzy mi się jednak udział w niezależnej produkcji.

Miałam wrażenie, że chce mi zaimponować. Zmieszałam się.

- Kino niezależne nie jest złe - podjęłam temat. - Ostatnio jednak głównie zajmuje mnie klasyka.

- Widziałaś *Ich noce*? To mój ulubiony film.

- Jeśli nie umieścili go na liście stu najlepszych filmów, to pewnie nie zobaczę.

- Śledzisz takie zestawienia?

- To dobry punkt zaczepienia. Jest w końcu dziełem ekspertów.

- Jakie filmy lubisz najbardziej?

- Z rozbudowaną fabułą - odpowiedziałam. - Nie przepadam za współczesnym kinem. W jednej scenie się spotykają, w kolejnej lądują w łóżku.

- To przecież tak jak w życiu.

- Nie w moim.

Roześmiała się.

- Tym się zajmę. Bez obaw. Pójdziemy razem do CBGB i zasmakujesz w mrocznym świecie podziemnych klubów.

- Mało prawdopodobne - stwierdziłam.

Choć przez krótką chwilę rozważałam, czy jej czasem na to nie pozwolić. Dla celów naukowych oczywiście. Ze względu na listę Petrova.

- Wiesz, myślę o twoim związku z panem profesorem... Wydaje mi się, że byłaś za młoda, to stanowiło główny problem -

powiedziała, unosząc głowę. - Wszyscy popełniamy błędy, zwłaszcza w pierwszych relacjach. Dopiero potem uczymy się, jak odmawiać przy jednoczesnym utrzymaniu zainteresowania mężczyzny. To tylko kwestia odpowiednich umiejętności. Trzeba znaleźć taki sposób, żeby nie udało mu się odwrócić kota ogonem i zrzucić winy na ciebie.

- Rozumiem...

- Podam ci przykład. W jaki sposób zgrabnie odmówić facetowi domagającemu się oralnej pieśczozy?

Wzruszyłam ramionami.

- Najeść się masła orzechowego?

Pokręciła głowę.

- Zgaduj dalej.

- Powiedzieć „nie”?

- Nie możesz. Jeśli tak zrobisz, jesteś stracona. Musisz mieć dobry powód.

Wskazała na swój nos.

- Twój nos jest za długi?

- Nie, bynajmniej - zaprzeczyła. - Powiedz, że masz skrzywioną przegrodę nosową. Taka deformacja uniemożliwia oddychanie inaczej niż przez usta. W konsekwencji nie możesz mieć zajętych ust, bobyś się udusiła. To działa, wierz mi. Mam przyjaciółkę, która naprawdę oddycha tylko przez usta. Wizyta u dentysty, z tymi wszystkimi akcesoriami między szczękami, to dla niej istny koszmar. Może się udusić.

- Och.

- Skrzywienie przegrody nosowej. Koniec lekcji pierwszej.

Od tamtej pory myślałam o niej nie inaczej jak o Karze

Skrzywionej Przegrodzie.

Starsza kobieta o krótko ściętych włosach i mikroskopijnych, okrągłych okularach zajrzała do pokoju.

- Czy jesteś zajęta? - zapytała mnie.

- Nie.

- Pojawiło się zlecenie.

Nie spodobał mi się jej oskarżycielski ton. Przecież nie unikałam pracy, zwyczajnie nie było nic do zrobienia.

Kara wróciła do swojego biurka.

Nie mogłam się należycie skoncentrować na powierzonym zadaniu. Mój poziom koncentracji był niższy niż zazwyczaj. Docierała do mnie cała masa pozytywnych doznań, których nie byłam w stanie sklasyfikować.

Po około godzinie skończyłam pracę i znów zaczęłam się nudzić. Czerwonym ołówkiem próbowałam z pamięci odtworzyć tablicę okresową pierwiastków chemicznych. Doszłam jednak zaledwie do molibdenu. A niech to! Traciłam wprawę.

Po pewnym czasie zajrzała do mnie Kara.

- Jeśli zostanę tylko chwilę, to nic nie powinno się stać.

- Mam nadzieję.

- Jędza właśnie ma przerwę. Nie przeszkadzam ci?

- Nie, skądże.

Usiadła.

- A więc co jest na tej liście?

- Nigdy się nie poddajesz.

- Odpuszczę sobie tylko pod warunkiem, że zdradzisz choć jeden szczegół.

Równie dobrze mogłam powiedzieć jej prawdę.

- Od czasu do czasu chodzę na terapię.

Nie była to do końca prawda, bo widywałam Petrova regularnie pięćdziesiąt dwa razy w roku.

- Mój terapeuta ułożył listę mającą pomóc w mojej socjalizacji.

Opowiedziałam jej wszystko o Petrovie i jego durnej liście.

- Członkostwo w klubie to pestka - przyznałam. - Z randką jednak mam kłopot, bo jeśli mało wychodzisz z domu, to ciężko kogoś poznać.

- Znajdę ci chłopaka - zadeklarowała Kara. - Daj mi swój numer.

W porządku.

Tamtej nocy spałam kamiennym snem, co mi się nie zdarzyło od miesiący. Rankiem obudziłam się szczęśliwa. Nie byłam pewna dlaczego, ale wydawało mi się, że dla odmiany w moim życiu wydarzy się coś dobrego.

Rozdział 6

Kara nie odezwała się ani w czwartek, ani w piątek. Założyłam, że zadzwoni, aby namówić mnie na wyjście w sobotę, kiedy planowała wieczór z przyjaciółmi w CBGB. Czas mijał, a ona nie dzwoniła. Powinnam przejąć inicjatywę i przerwać pasywne oczekiwanie.

Ale może wcale nie zrobiłam na niej aż tak dobrego wrażenia. Na pewno miała o wiele bardziej fascynujących znajomych. Przypominała Norę, moją koleżankę z pierwszego roku studiów na Harvardzie. Kara była zabawną, pełną energii dziewczyną, z którą każdy lubił przebywać. Niemądrze założyłam, że się zaprzyjaźnimy.

Nie mogłam dłużej odsuwać planowania randki i czekać na cud.

Włożyłam buty i pobiegłam kupić „Weekly Beacon” w kiosku za rogiem. Moje ogłoszenie zostało wydrukowane jako czwarte z kolei w rubryce „Pani szuka pana”.

CUDOWNE DZIECKO SZUKA GENIUSZA - niezwykle bystra, niezamężna, biała dziewiętnastolatka szuka bardzo mądrego, nieżonatego partnera w wieku 18-25 lat, bez nałogów, do rozmów o filozofii i życiu. Hipokryci, fanatycy religijni i kobiciarze niemile widziani.

Usiadłam przy oknie i wybrałam podany w instrukcji numer,

żeby nagrać wiadomość głosową dla potencjalnych zainteresowanych.

- Cześć - przywitałam się. - Mam na imię Heather. Zakładam, że przeczytałeś moje ogłoszenie, dlatego proszę przedstawić się w kilku słowach. Nie zapomnij podać swojego ilorazu inteligencji w skali Stanford-Bineta. Jeśli go nie znasz, to może być też wynik egzaminów maturalnych. Dziękuję.

Obiecałam sobie, że nawet jeśli otrzymam odpowiedzi od samych neandertalczyków, to i tak z którymś się umówię. Dzięki temu odhaczę punkt na liście Petrova.

Odkładając słuchawkę, zauważyłam, że moi sąsiedzi z naprzeciwka jedzą posiłek przy kuchennym stole. Siedzieli naprzeciwko siebie i rozmawiali. Zauważyłam butelkę wina. Szkło odbijało światło. Chciałabym znaleźć się teraz na ich miejscu. Ukroiłabym sobie plaster pieczeni i nalała lampkę czerwonego wina, dyskutowałabym, rozkoszując się poczuciem ciepła i szczęścia. Muszą być niewiele starsi ode mnie. Dlaczego się nie przyjaźnimy? Czemu nigdy nie zapraszają do siebie sąsiadów?

Postanowiłam ich o to zapytać. Najpierw musiałam się dowiedzieć, jak się nazywają, żeby znaleźć ich numer telefonu.

Sprawdzenie tego nie było trudne. Miałam swoje sposoby. Włożyłam palto, buty i pobiegłam na drugą stronę ulicy, aby przeczytać ich nazwisko na skrzynce na listy.

Przystanęłam na ich czarnej, brudnej wycieraczkę, zostawiając za sobą na korytarzu grudki śniegu. Na tabliczce widniało nazwisko Guarino. Ciekawe, czy on jest podobny do Maty z ogłoszenia i czy równie łatwo zdradza swoją partnerkę?

Kiedyś jak większość dzieciaków ulegałam czarowi romantyzmu, wierząc, że małżeństwo jest kwestią przeznaczenia. Ostatnio jednak zmieniłam zdanie. Było jedynie powszechnie pożądaną społeczną konwencją. Ludzie są chyba na nie skazani, bo w tym paskudnym świecie bez bliskiej osoby, związanej z nami umową i przysięgą, która ochraniałaby nas za każdym razem, gdy inni chcą nas rozjechać rozpędzoną betoniarką, nie pozostawałoby nam nic poza chęcią odebrania sobie życia. Dlatego dobrowolnie składamy swój podpis, ślubując, że będziemy wspierać współmałżonka i niezależnie od wszystkiego nie wbijemy mu noża w plecy, nieważne, jak starzy, brzydki i pomarszczeni się staniemy, a druga strona podejmuje identyczne zobowiązania. Gdyby większość nie zdecydowała się na ten krok, świat stałby się jeszcze bardziej pusty i zagmatwany.

Wróciłam do domu, odwiesiłam palto i poszukałam ich nazwiska w książce telefonicznej. Pod tym adresem znalazłam Thomasa i Jocelyn Guarino. Wyłączyłam światło, położyłam się na łóżku, opierając głowę o parapet, tak żeby mnie nie zauważyli. Sięgnęłam po telefon. Najpierw jednak wybrałam opcję ukrycia numeru, żeby nie mogli mnie wytropić.

Tom podniósł się, aby odebrać, a Jocelyn powiodła za nim wzrokiem.

- Halo? - odezwał się.

Mówił basem, inaczej niż się spodziewałam. Z góry zakładamy całe mnóstwo rzeczy na temat innych, zaledwie rzuciwszy na nich okiem, na przykład brzmienie głosu.

- Dlaczego nie urządźcie przyjęcia dla sąsiadów?

- Kto mówi?

- Czy to ważne?

Zapadło milczenie.

Rozłączyłam się. Nie przemyślałam tego do końca. Potrzebny był mi szczegółowy plan działania.

Dziesięć minut później zadzwonił telefon.

Czy to Kara? Może mimo wszystko zaprosi mnie do CBGB. Telemarketerzy nie dzwoniли już o tak później porze. To musi być ktoś znajomy. Oby nie była to pomyłka. Ani mój ojciec. W porządku, musiałam to przyznać. Dobry Boże, czułam się bardzo samotna. Tak, to prawda. Od czasu do czasu potrzebowałam przyjaciół. Jesteś zadowolony tam na górze?

Usłyszałam męski głos.

- Cześć... Czy zastałem Heather?

Przez sekundę uznałam, że to pomyłka. Ale przypomniało mi się, że zostawiłam swój domowy numer Mattowi z ogłoszenia. Temu, który był otwarty na „nowe wrażenia”.

- Przy telefonie - powiedziałam.

- Och, cześć. Tu Matt.

Odniosłam wrażenie, że lekko się denerwował. Było to niemal urocze. Musiałam zapanować nad sobą. Jeśli dam się zbyt szybko omamić, w kategorii podłości zrównam się z resztą świata. Jednak Matt poznał swoją obecną narzeczoną już w szkole średniej albo najpóźniej na studiach, czy dlatego ma rezygnować z szansy na spędzenie czasu z kimś innym?

Co się ze mną dzieje? Czy właśnie usprawiedliwiam zdradę?

- Zostawiłaś mi wiadomość - zaczął. - W poczcie w... hm...

- Och, tak „Weekly Beacon” - potwierdziłam. - Tak. Chyba byłam ciekawa, jak to jest... sama nie wiem.

- Przyznaję, że to dziwne - powiedział. - Ale czytałaś moje ogłoszenie. W jakiej ty jesteś sytuacji?

- Mam chłopaka.

- Tak, tak. Mówiłaś.

- Sama nie wiem - zaczęłam. - Twój anons mnie zaintrygował, a ponieważ ostatnio zdarzyło mi się podobnie myśleć... Czy to już koniec naszej wolności?

- Właśnie - przytaknął. - Co zrobić, żeby wilk był syty i owca cała? Jeśli jesteś z osobą, z którą chcesz spędzić życie, ale jednocześnie od czasu do czasu masz ochotę na sekretne spotkania z kimś, kto ci się podoba, to co robić? Gdyby twój partner dowiedział się o tym, sytuacja przyjęłaby zły obrót. Ale przy zachowaniu obustronnej dyskrecji nikomu nie stanie się krzywda. Poza tym może się okazać, że cały układ ma zba-
wienny wpływ na twoje małżeństwo. Przy lawinowo rosnącej liczbie rozwodów...

- Słuszna uwaga - zgodziłam się. - Raz się żyje. Lepsze zgodne małżeństwo przy, od czasu do czasu, kilku małych skokach w bok niż rozwód albo uchylanie się przed ślubem.

- Tak! - wykrzyknął Matt. - Większość ludzi unika tematu, ale całe mnóstwo zdradza swoich partnerów na prawo i lewo. Oficjalnie każdy to potępia, a w skrytości robi mały wyjątek. Dla siebie. W swojej szczególnie wyjątkowej sytuacji.

Zatem Matt nie jest hipokrytą, sam gardzi obłudą. Choć z drugiej strony nie jest też do końca krystalicznie uczciwy. Mimo głoszonej wiary w instytucję małżeństwa nie jest gotów na dzielenie się z narzeczoną prawdziwymi poglądami.

- A co będzie, jeśli twoja przyszła żona zachowa się iden-

tycznie? – zapytałam.

– Tak... – zmieszał się.

Ha! Byłam pewna, że za chwilę usłyszę sensowne wyjaśnienie, dlaczego to jest dobre dla niego, ale już nie dla niej. Udało mi się go złapać we własnoręcznie utkaną przez niego sieć kłamstw i nieuczciwości.

Wtedy uświadomiłam sobie, że należało ugryźć się w język. Miałam umówić się z nim na randkę – taki był mój cel, a dopiero potem zamierzałam go zadenuncjować jego dziewczynie. Sama może przywołać go do porządku. Przecież nie muszę brać na siebie wszystkiego.

– Wolałbym nic nie wiedzieć – odpowiedział Matt.

– Ale uważasz, że to byłoby nie w porządku – nie mogłam się powstrzymać. – Mimo to chcesz ją zdradzić, nim się pobierze.

– Tak, ale zadbam o dyskrecję.

– Słusznie – powiedziałam.

Tak naprawdę miałam ochotę zapytać, dlaczego w ogóle chce się z nią żenić, skoro jej nie ufa i uważa, że w przeciwieństwie do niej sam potrafi zdradzać w sposób odpowiedzialny. Jeśli ona jest nierozważna, to może mają ze sobą mniej wspólnego, niż zakładał.

Ponadto nawet jeżeli deklaruje odpowiedzialne podejście do zdrady, dlaczego odbiera jej możliwość wypowiedzenia się na ten temat? Może kiedyś błędnie oceni sytuację, zarazi się od partnerki i przekaże chorobę żonie. Jeszcze nie są małżeństwem, a on już ją zdradza. Za pięć lat pewnie nie zawaha się złamać kolejnego tabu. Potem znów minie kolejne kilka lat,

a on przekroczy dalsze zakazy. Wystarczy raz przesunąć wyznaczoną granicę, a każda kolejna transgresja będzie łatwiejsza. Nim się spostrzeżesz, wszystko będzie dozwolone.

Przywołałam się do porządku, podobna wymiana argumentów tylko by go wystraszyła i tym samym uniemożliwiła nasze spotkanie. Sednem problemu był idealny obraz jego osoby, jaki najprawdopodobniej wytworzyła sobie w głowie jego dziewczyna. Zasluguje chyba, żeby poznać jego prawdziwe poglądy na małżeństwo. Ma do tego prawo. Nieprawdaż?

Rozmawialiśmy z Mattem jeszcze przez chwilę o związkach, zaangażowaniu, miłości, rozwodach i rodzicach, kiedy zapytał, czy umówię się z nim „na kawę”, aby kontynuować naszą wymianę zdań. Ciekawe, dlaczego ludzie zawsze spotykają się na kawie? Matt zapytał mnie także, jak wyglądam, niby pod pretekstem, żeby łatwiej mnie rozpoznać. Jednak liczba pytań i szczegółów, które chciał poznać, świadczyła raczej o tym, że skoro już planuje skok w bok, to chce mieć do czynienia z kimś seksownym.

Usłyszałam pikanie w słuchawce. Nieprawdopodobne. Dwa telefony, jeden po drugim. Uzgodniliśmy z Mattem, że się spotkamy następnego dnia wieczorem w meksykańskiej restauracji niedaleko Times Square. Po rozłączeniu odebrałam drugi telefon.

- Cześć! Carrie?

Na dźwięk jej głosu poczułam rosnącą ekscytację.

- Tak?

- Tu Kara. Z firmy Dickson, Monroe.

- Tak. Cześć!

- Czy masz już plany na piątek?

- Najbliższy? Raczej nie.

- Umawiamy z koleżanką babski wieczór na mieście. Nie chciałabyś może do nas dołączyć? Ona często w ostatniej chwili zmienia zdanie i zostawia mnie na lodzie, ale i tak planuję gdzieś wyjść, choćby w pojedynkę.

- Z przyjemnością ci potowarzyszę.

Niesamowite! Byłam umówiona nazajutrz z Mattem, a w piątek z Karą.

Zapisałam sobie adres, gdzie mamy się spotkać, i wtedy poczułam, że ruszyłam do przodu. Naprawdę! Tak jak przypuszczałam, nie było to aż tak trudne.

Kolejnego ranka obudziłam się targana emocjami, wśród których dominował lęk. Wcałe nie cieszyłam się na wieczorne spotkanie z Mattem. Czekałam jednak na wyjście z Karą. Pewnie dlatego, że nie będzie to kolacja z zaręczonym chłopakiem, którego prawdziwe intencje planowałam obnażyć przed jego narzeczoną. Jeśli jednak nie wezmę na barki tego ciężaru, to czy znajdzie się inny chętny?

Uklękłam na łóżku, rozsunęłam zasłony i wyjrzałam na ulicę. Oślepił mnie słoneczny blask. Okna odbijały się jedne w drugich.

Popatrzyłam w dół, na chodniku stał chłopak, na oko punk, w obcisłym ubraniu i wygolonych do skóry włosach. Czekał na nadchodzącą z oddali dziewczynę, która miała ognisto czerwona, krótką fryzurę, a ubrana była w wąskie, skórzane spodnie w pomarańczowo-różowe pasy. Podobne kobiety często stawały się obiektem moich rozważań. Przecież obecnie płęć pięk-

na, w większości, nie szczędzi wysiłków, by upodobnić się do supermodelek. Jednak można spotkać całe mnóstwo dziewczyn stających w szranki do konkursu na najbardziej odjechany wygląd i każda z nich prawie zawsze ma chłopaka, więcej nawet, to jest pewniejsze niż w przypadku pierwszej grupy. Oczywiście ich faceci wyglądają równie dziwnie, jak one same, ale przecież chłopakowi z przekłutą wargą nie zawsze podoba się piercing u dziewczyny, tego nie można z góry przesądzać. Czy da się w ogóle przewidzieć, co lubi druga osoba? To dopiero pytanie. Należy po prostu być sobą, choć nie zawsze to takie oczywiste.

Obserwowałam ulicę. Para punków zniknęła za rogiem, a na horyzoncie pojawiło się dwóch chłopaków w towarzystwie ślicznej dziewczyny. Nosili grube okulary, tak zwane kujonki, które ostatnio robią furorę w hipsterskich kręgach. Nie jest to zbyt sprawiedliwie wobec kujonów z krwi i kości, którzy nacierpieli się niemało, nosząc je w szkole, a teraz, gdy wreszcie mogą się ich pozbyć, moda podstępnie zwędziła ich atrybut, zmieniając źródło upokorzeń w lśniący przedmiot pożądania. Ciągle słyszę o zwierzeniach celebrytów zdradzających, jak to w szkolnych czasach wiedli żywot brzydkich kaczątek. Gdyby to była prawda i każdy, ubolewający nad brakiem popularności w podstawówce, rzeczywiście się z tym borykał, to problem przestałby istnieć.

Kilka metrów za okularnikami kobieta wyprowadzała owczarka berneńskiego. Pies był za duży, żeby docenić życie w Nowym Jorku, na pewno lepiej by mu było... Sama nie wiem... W Alpach Berneńskich. Następnie trójka ludzi wyszła

z położonego kilka kamienic dalej budynku przez rewelacyjne drzwi obrotowe. Jedna z kobiet pchała wózek, druga, ubrana w strój do joggingu, z włosami zebranymi w kucyk, szła ze swoim chłopakiem. Truchtała i obracała się. Była w nieustannym ruchu. Reprezentowała dominujący typ kobiety z mojej dzielnicy.

Nagle moje spojrzenie przykuła znajoma postać. Melonik, znany także jako Cy, szedł pod moim oknem. Ronald wspomniał przecież, że on mieszka w pobliżu. Niósł kubek z kawą. Szedł naprawdę powoli. Był chyba w dresach. Niespodziewanie zawładnęło mną dziwne uczucie. Miałam ochotę zbiec na dół, aby go uściskać. Wyglądał, jakby przez całą noc powtarzał teksty lub coś w tym stylu.

Wciąż jednak byłam w piżamie. Nim zdążyłabym się jako tako ogarnąć, już by go nie było.

Tak czy siak, postanowiłam się ubrać. Potem w metrze już go nie spotkałam.

Petrov wyglądał na zaaferowanego. Otworzył przede mną drzwi gabinetu, ale ledwie wymruczał słowa powitania, od razu podszedł do biurka i zaczął przekładać leżące tam papiery.

Zajął ten sam fotel co zazwyczaj.

Wciąż szperał wśród książek rozłożonych na biurku.

- Czy jest pan na mnie zły? - zapytałam.

- Nie, przepraszam cię - odpowiedział. - Będę z tobą za chwilę.

Popatrzyłam na zegar, a potem sprawdziłam godzinę na własnym zegarku. Jego spieszył się o trzy minuty. Oznacza to, że

nasza sesja skończy się o trzy minuty za wcześnie. Wychodziło na to, że naciągał mojego ojca na jakieś sześć dolarów. Cygaństwo. Przepraszam, nie powinnam tak mówić. Ale to takie fajne słowo. Świetne nadaje się na haiku.

Cygan, cygaństwo.

Cygan, cygan, cygaństwo.

Cygan, cygaństwo.

- Przepraszam cię, Carrie - powiedział Petrov, odwracając głowę w moją stronę. - Przedłużymy sesję o dwie minuty.

Usiadł.

- Musi pan też cofnąć zegar o trzy minuty - poinformowałam go. - Spiesz się.

- W stosunku do czego?

- Do mojego zegarka.

- Czy twój zegarek został zsynchronizowany z zegarem z głównego urzędu miar w Waszyngtonie?

- Nie. Ma pan rację. - Wiedziałam, że odpuszczając, zaskoczę go.

- Ustawiam zegar według czasu podawanego w radiu, to niezawodna metoda. Żaden z moich pacjentów nigdy nie zgłaszał uwag w tej kwestii.

Wzruszyłam ramionami ze wzrokiem wbitym w dywan. To była mozaika złożona z miliona barw, wśród których dominował bladożółty odcień.

- Czy to jasne? - zapytał.

- Teraz to będzie sześć minut.

- Sześć minut czego?

- Zmarnował pan kolejną minutę na przedstawienie durnego argumentu, choć nie spierałam się z panem. Poza tym spóźnił się pan o dwie minuty, a pana zegar spieszy się o trzy. I jeszcze teraz zmarnował pan kolejną. W sumie sześć.

- Gdybyś zgodziła się ze mną, chodziłoby tylko o trzy minuty.

- Teraz jest już siedem.

- Siedem?

- Skończymy na pięćdziesięciu. Czas start.

Tylko na mnie patrzył, ale jego mimika zdradzała, że toczy wewnętrzny bój o to, czy warto kontynuować ten spór.

- Osiem - powiedziałam.

- Och, na miłość boską.

- Od samego rana jestem rozgoryczona - oznajmiłam, by przerwać impas.

- Skąd to samopoczucie?

- Bo nie było pana przy mnie.

Oszupiał.

- Żartowałam. Czułam się tak z powodu zobowiązania, które mnie czeka dziś wieczorem. Przyjęcie, nad którym nie będę się rozwodzić. - Nie zamierzałam wtajemniczać go w temat Matta. - Znajomy ze studiów mnie zaprosił.

- Dlaczego się na nie wybierasz, skoro nie masz ochoty?

- Z powodu ustalonego przez pana planu mojej socjalizacji. Ponieważ postanowiłam pokazać, że potrafię. Nie oznacza to wcale, że będę się dobrze bawić.

- Mam nadzieję, że na miejscu poczujesz się znacznie lepiej, niż teraz zakładasz. Jeśli jednak tak się nie stanie, będziesz wiedziała, że przynajmniej próbowałam.

- Wolałabym się jednak obudzić w lepszym nastroju.
- Zazwyczaj na co dzień niewiele rzeczy cię zajmuje, a jeszcze mniej sprawia ci radość – zauważył. – Jeśli jednak czekające cię wydarzenie budzi w tobie lęk...
- Właśnie tak. To lęk. Niewypowiedziany lęk. Jestem przerażona.
- Możesz go zwalczyć, organizując sobie inne rzeczy, na których skupisz uwagę – poradził. – Ostatnio czytałem książkę – spojrział na biurko – ale nie podejrzewam, że bym ją tu znalazł... To był poradnik, w którym napisano, że w każdym momencie życia powinniśmy mieć w głowie przynajmniej pięć rzeczy, na których nadejście czekamy. To może być posiłek, wycieczka, uroczystość, randka... Lub należy zadbać, aby je sobie zorganizować, bo to nas podniesie na duchu. Dlatego właśnie poprosiłem cię o przygotowanie listy dziesięciu rzeczy sprawiających ci radość. Żebyś przypomniała sobie, że stać cię na autentyczne przeżywanie szczęścia. Wolne od intelektualnej analizy.
- Sprawa jest bardziej skomplikowana – zauważyłam. – Nie mogę przecież ciągle objadać się lodami. Zrobiłabym się gruba jak klucha, co tylko pogorszyłoby mój podły nastrój.
- W życiu są także przyjemności wolne od wad.
- Na przykład miłość, pomyślałam. Nie można jej jednak kupić na rogu Siedemdziesiątej Ósmej i Lexington.
- A jeśli nie można przez cały czas oddawać się rzeczom sprawiającym radość? – zapytałam.
- Wtedy trzeba skupić się na drobnych przyjemnościach, których nie ma na twojej liście – poradził mi Petrov. – Na przy-

kład wczoraj rano po prysznicu włożyłem nową parę skarpetek, które dostałem od... znajomej.

- Dziewczyny - poprawiłam go.

- Tak, dziewczyny. Poczulem się wtedy dobrze. Były nie tylko w dobrym rozmiarze, ale pasowały do mojego stroju. Pomyślałem, że wkładanie nowych skarpetek jest bardzo przyjemne, a mimo to bardzo rzadko je kupuję. Zazwyczaj ograniczam się do starych i znoszonych. Czemu nie kupić sobie nowych? Stać mnie na nie. Nie są przecież drogie. Każdego ranka jednak przetrząsam szufladę w poszukiwaniu pary pasujących do siebie spranych, wyblakłych skarpetek. Tymczasem wyprawa do sklepu i zakup dwudziestu nowiutkich par nie powinny stanowić problemu. Choć nikt w Stanach nie kupuje dwudziestu par skarpetek naraz, ograniczamy się do trzypaków, a potem co rano nie możemy się nadziwić, skąd taka mnogość niepasujących do siebie pojedynczych skarpetek. Zamiast marudzić, powinno się kupić ich tyle, żeby każdego ranka mieć zapas.

Już nie chodziło nawet o to, że to ja raczej powinnam opowiadać o sobie, ale czy on na poważnie daje mi rady, jak być szczęśliwą?

- Problem polega na tym, że tłamsimy w sobie radość. Nie pozwalamy sobie na nią - ciągnął. - Nie zwracamy uwagi na drobiazgi, które sprawiają, że jesteśmy szczęśliwi. Kiedy ostatni raz kupiłaś sobie nowe ubranie?

Wzruszyłam ramionami.

- Zdejmowanie i wkładanie ubrań w przymierzalni przyprawia mnie o ból głowy.

- Nie lubisz ubierać się w nowe rzeczy?

- Lubię, ale przymierzalnia to prawdziwa męka.
- A skarpetki?
- Już dawno ich nie kupowałam.
- Kup sobie zatem skarpetki.
- W porządku.
- Stać cię na nie?
- Tak.
- Dobrze.
- Bielizna - rzuciłam. - Wkładanie nowej bielizny jest jeszcze lepsze.

Przez sekundę Petrov patrzył nam mnie tak, jak jeszcze nigdy wcześniej mu się nie zdarzało. Jakby był wygłodzony. Czy zastanawiał się, jaką bieliznę mam na sobie?

- Dziś włożyłam czarne, jedwabne majtki, które uwielbiam. Kupiłam je, bo były wyłożone na ladzie. Nie lubię zbyt długo przyglądać się bieliźnie, bo wtedy zawsze małe dzieci towarzyszące rodzicom w zakupach świdrują cię wzrokiem. Podnosisz zwiewną haleczkę z wyraźnie zaznaczonymi, miękkimi, krągłymi miejscami na biust, prześwitującą, praktycznie same koronki, patrzysz przez nie i co widzisz? Wpatrzone w ciebie oczęta małego Timmy'ego.

Petrov wyglądał na zmieszanego. Wydawało się, że od czasu, kiedy wspomniałam mu o profesorce Harrisonie, zaakceptował moją dorosłość, a teraz opowiedziałam mu o bieliźnie, którą mam na sobie. Choć nie pretendowałam do kariery supermodelki, wielu mężczyznom, zwłaszcza starszym, mój wygląd przypadł do gustu. Często słyszałam, że wyglądam młodo jak na swój wiek, a przecież i tak byłam bardzo młoda.

Nosiłam okulary, ale poza tym nie wyróżniałam się niczym szczególnym. Mój nos nie był za duży, a uszy nie były zbyt odstające. Miałam ciemne, długie włosy, trochę ponad metr sześćdziesiąt wzrostu. Moją jedyną anomalią było pragnienie prawdy i sprawiedliwości.

- Carrie, czy jest powód, dla którego podczas dzisiejszej sesji pojawił się wątek erotyczny? - zapytał.

- Nie - zaprzeczyłam. - Chyba jest późno.

- W porządku - powiedział. - Wrócimy teraz do twojej listy zadań. Jakies postępy?

- Wkrótce zapiszę się do klubu i umówiłam się na randkę - oświadczyłam. - Następnie przejdę do kolejnych punktów, czyli wyznania i sylwestra.

- Przypominam, że wyznanie musi być wolne od sarkazmu - podkreślił Petrov.

- Pamiętam o tym.

W drodze do domu wstąpiłam do kawiarni. Za kontuarem Ronald Nieśmiały Potarganiec był czymś bardzo zaabsorbowany. Podeszłam bliżej i zobaczyłam, że ustawia wieżę z metalowych kubeczków.

- Cześć - przywitał się, podnosząc wzrok. Potem się uśmiechnął.

- Bałeś się, że to ktoś inny? - zapytałam.

- Tak. Mój szef - przyznał.

- Całkiem wysoka wieża.

- W czwartek udało mi się zrobić jeszcze wyższą - pochwalił się Ronald. - Dziś jednak to wszystko, na co mnie stać.

- Może ma to związek z temperaturą otoczenia albo samych

kubeczków. Może pod wpływem płukania w zimnej wodzie poszerzyły się.

- Nie, mam za śliskie dłonie. - Wytarł ręce. - Hej, a kogo tu mamy!

Za mną stał Melonik, znany także jako Cy.

Odezwaliliśmy się równocześnie.

- Widziałam... - zaczęłam.

- ...Cię - powiedział Cy.

- Carrie mieszka tu niedaleko - Ronald poinformował Cy.

- Wynajmuję mieszkanie za rogiem - zwrócił się do mnie Cy.

- Słyszałam.

Zaczęliśmy rozmawiać. Dowiedziałam się, że mieszka trzy kamienice od mojej. Zachwyciło mnie, jak bardzo o siebie dbał. W każdym szczególe. Jego włosy były równo zaczesane do tyłu. Miał błyszczące błękitne oczy, a głębia jego spojrzenia musiała kryć równie bogate wnętrze.

- Czy zdarza ci się wychodzić na schody przeciwpożarowe? - zapytał.

- Niezbyt często. Nikt ich nigdy nie sprawdza. Boję się, że runą pod moim ciężarem i w razie pożaru nie będę miała którejś uciec.

Ronald zaśmiał się.

- A co, jeśli ogień wybuchnie na schodach przeciwpożarowych? Będziesz potrzebowała ucieczki od ucieczki.

Jego żarty były mało śmieszne. Pewnie mogłabym rozważyć jego kandydaturę pod kątem randki, ale nie wydał mi się aż tak interesujący.

- A co byś zrobił z puszką złodziejem? - zapytałam RONALDA.

Odpowiedział, zanosząc się śmiechem.

- Zapuszkowałbym puszkę.

- A jak byś zadzwonił do firmy telekomunikacyjnej w razie awarii telefonu? - teraz Cy zwrócił się do RONALDA.

- Użyłbym telefonu w kawiarni - odpowiedział mu z uśmiechem RONALD.

Wszedł prawdziwy klient, więc pożegnałam się z nimi i wyszłam. Po paru krokach poczułam się jak idiotka. Dlaczego nie zostałam, żeby kontynuować rozmowę? Ponieważ bałam się ośmieszenia i wolałam wyjść zawczasu. Idiotka, idiotka, idiotka. W ten właśnie sposób działałam na własną szkodę.

Petrov miał rację, brakowało mi towarzyskiego obycia. Znalazłam się w centrum uwagi dwóch mężczyzn i okazało się to ponad moje siły.

Spodobało mi się, że Cy zwraca się do RONALDA bez cienia protekcjonizmu. Wydał mi się naprawdę uroczy i szczery.

Odwróciłam się, aby zerknąć na nich przez szybę wystawową. RONALD wciąż mówił, a Cy słuchał go, kiwając głową z uśmiechem na twarzy.

Potrzebowałam pretekstu, aby wrócić i z nimi porozmawiać. Stałam plecami do okna kawiarni zatopiona w myślach.

Tak. Mogę powiedzieć, że coś zgubiłam. Długopis. Powiem, że zostawiłam długopis.

Wróciłam do kawiarni. Kiedy wchodziłam, Cy pochylił się, aby coś podnieść z podłogi.

- Czy to twoje? - zapytał, wskazując trzymany w dłoni długopis.

Aaaaa. Przeszedł mnie dreszcz.

Zamarłam, wbijając w Cy spojrzenie, które odwzajemnił, próbując odgadnąć powód mojego zdziwienia. Nie było najmniejszych szans, żebym się przyznała.

- Skąd go wzięłeś? - zapytałam.

- Leżał na podłodze - pospieszył z wyjaśnieniem Ronald.

- Dzięki - powiedziałam, chowając długopis.

Teraz nie miałam żadnego wytłumaczenia. Niech to licho! Skąd się tam wziął ten długopis? Jakie było prawdopodobieństwo, że to się zdarzy?

- Cy zna mojego kuzyna - poinformował mnie Ronald.

- To prawda - przytaknął Cy. - Byłem wolontariuszem w instytucji organizującej warsztaty teatralne dla dzieci i okazało się, że jego kuzyn brał w nich udział.

- Czy był podobny do Ronalda? - zapytałam.

- Niestety nie - odpowiedział Cy.

Ronald roześmiał się.

- A na pewno o tym marzy.

Wszedł kolejny klient i znów się pożegnałam, bo musiałam wracać, żeby przygotować się na spotkanie z Mattem. Podziwiałam Cy, że umiał rozśmieszyć Ronalda. Naprawdę wesoły człowiek.

Pojechałam metrem na północ, wysiadłam na stacji Port Authority, a po wyjściu na powierzchnię wolnym krokiem ruszyłam Ósmą Aleją. Dawno już nie byłam w tej okolicy. Przechodząc przez Czterdziestą Drugą Ulicę zauważyłam, że sklepy erotyczne zastąpiono ogromnym kompleksem kinowym, sklepem Disneya i restauracją meksykańską, w której umówiłam się z Mattem. Miałam jeszcze piętnaście minut do naszego

spotkania. Szłam przed siebie, mijając stojących na pudłach kaznodziejów. Ich homilie o afroamerykańskim żydostwie miejscowi zazwyczaj puszczały mimo uszu. Za każdym razem przechodząc obok, widziałam jednak dyskutującego z nimi turystę, nieświadomego, że tego dnia przed nim na ten krok zdecydowało się jeszcze stu innych. Wydawać by się mogło, że uliczni kaznodzieje są większą atrakcją turystyczną niż Empire State Building. Każdy z odwiedzających Nowy Jork uważał się za dostatecznie odważnego i bystrego, aby prowadzić z nimi dialog, a potem po powrocie do Shaker Heights w stanie Ohio (mieszkały tam trzy osoby z mojego akademika) pysznić się przed przyjaciółmi: W Nowym Jorku dyskutowałem na tematy religijne z jednym z tych czarnych facetów.

Może ulicznym kaznodziejom także sprawiało to przyjemność, wspominałam już zresztą, że fanatycy religijny uwielbiają wchodzić w dysputy.

Zauważyłam billboard, na którym czarnymi literami napisano: „Decyzja o powrocie do pracy. To najlepsze wsparcie dla twojego dziecka”, a potem poniżej białymi: „Decyzja o pozostaniu w domu. To najlepsze wsparcie dla twojego dziecka”. Na samym dole mikroskopijnym drukiem, zbyt małym, żebym mogła go odczytać, zamieszczono numer bezpłatnej infolinii. To był telefon do rodzicielskiego paragrafu 22. Mógłby być bardziej pomocny, gdyby zapisano go większymi cyframi.

Minęłam grupę wygrywającą na odwróconych garnkach, rondlach i pojemnikach na śmieci piosenkę *Soul Man*. Niektórzy z ulicznych muzyków mieli tak wielki talent, że ich brak zatrudnienia w branży wprawiał mnie w osłupienie. Może fak-

tycznie więcej zarabiali, grając na ulicy. Ciekawe, czy kiedykolwiek bezdomny opodatkował kwotę zebraną na ulicy. Byłby to wyjątkowo uczciwy człowiek. Święty. Czy w ogóle istnieją tacy ludzie? Świat, w którym nieprawdopodobne jest samo wyobrażenie sobie, że ktoś zrobi rzecz tak niebywale prawą, jest doprawdy interesującym miejscem. Choć czasami miałam wrażenie, że mój wybór i twarde trzymanie się kodeksu moralnego utrudnia mi odnalezienie się w rzeczywistości, to istniał pewien poziom uczciwości, do którego nawet ja nie mogłam aspirować. Na przykład nie zgłosiłabym dochodu w urzędzie podatkowym, podejmując pracę niani. Trudno uczciwie podchodzić do życia w każdym aspekcie. Ciekawe, czy istnieją naukowe dowody na to, że w pewnych przypadkach właściwsza może się okazać nieuczciwość? W teorii nie powinno to być możliwe, jaka jest jednak prawda? Można powiedzieć, że komplementowanie urody umierającej osoby jest nieszczerze, ale konieczne. Podobnie z przyznaniem, że zbyt krótko przycięte włosy bardzo pasują znajomemu, albo z rozwodzeniem się nad wspaniałym smakiem barszczu ugotowanego przez teściową.

A co z kłamstwami, którymi rodzice karmią dzieci? Na przykład święty Mikołaj. Czy to nie oszustwo? A na dodatek grzech? Czy w takim razie nie należy dziewięćdziesięciu dziewięciu procent chrześcijan nazwać łgarzami?

To przecież było kłamstwo. Dawanie fałszywego świadectwa.

Chrześcijańscy rodzice byli z definicji kłamcami.

Powinnam przestać. Chciałam jednak wymyślić najbardziej uczciwą rzecz, do jakiej byłby zdolny człowiek. Może byłoby

to uwzględnienie w rozliczeniu podatkowym drobnych znalezionych na ulicy. Czy wyobrażacie sobie kogoś takiego?

To powinna być prosta definicja.

Ta osoba jest bardzo uczciwa.

Jak bardzo?

Jest tak uczciwa, że zgłasza fiskusowi drobne znalezione na ulicy. [Brawa.]

Ciekawe, czy tak samo przedstawiłby to Johnny Carson.

Zawróciłam, kierując kroki do meksykańskiej restauracji, w której umówiłam się z Mattem. Wciąż miałam kilka minut do umówionej godziny. Trudno zabijać czas, chyba że chce się uniknąć pracy, wtedy miliony pomysłów same wskakują do głowy. Może on też zjawi się wcześniej. Zauważyłam, że przed wejściem dwie kobiety i mężczyzna czekają na swoich znajomych. Na jego ramieniu wisiała miękka, czarna aktówka. Był dość niski, ale przystojny. Miał ciemne, proste włosy. Kiedy popatrzył na mnie, uśmiechnęłam się, a on odpowiedział na mój uśmiech. Podszedł do mnie.

- Heather?

Już chciałam mu powiedzieć, że nie jest nikim wyjątkowym. Żaden z ciebie casanova. Lepiej byś zrobił, trzymając się swojej dziewczyny. Wbrew sobie jednak pomyślałam, że przystojniak z niego. Od razu sprawiał przyjemne wrażenie. To było niesprawiedliwe.

- Cześć, jestem Matt - przywitał się, uściskawszy moją dłoń. Nieznacznie zmarszczył brwi. - Jesteś głodna?

- Tak.

Weszliśmy do środka.

- Gdzie pracujesz? - zapytał, lustrując mnie wzrokiem.

Do stolika prowadził nas potargany kelner niemający w sobie ani kropli meksykańskiej krwi. Usiedliśmy, przypatrując się sobie nawzajem. Był przystojny. Ale bynajmniej nie w nachalny sposób.

- Zajmuję się korektą dokumentów prawnych - odpowiedziałam.

- Skończyłaś prawo?

- Nie. - Ujęło mnie, że uznał mnie za starszą. - Do tej pracy wystarczy biegła znajomość angielskiego, rozeznanie w prawnych terminach nie jest konieczne.

- Założę się, że jesteś w tym niezła. Wyglądasz na osobę, której sprawia przyjemność praca ze słowami.

Przyjęłam komplement w milczeniu. Kiedy podszedł kelner, Matt zapytał, czego się napiję. Poprosiłam o wodę.

- Mam nadzieję, że nie popsuję nam zabawy - powiedziałam.

- Nie, bynajmniej - uspokoił mnie. - Nie piję alkoholu. Jestem w nielicznej mniejszości.

- Naprawdę?

Wzruszył ramionami.

- Nigdy nie rozumiałem, po co miałbym to robić.

- Jestem pod wrażeniem. Na studiach wszyscy wokoło wywierali ogromną presję.

- Wiem - przyznał. - Nasłuchałem się przez to trochę, ale miałem ciekawsze rzeczy do zrobienia niż upijanie się.

To zabawne, że istnieli ludzie, którzy nie przejmowali się zdaniem innych. Pewnie od ukończenia pięciu lat byli wolni od wewnętrznych rozterek. Niestety nie zaliczałam się do nich.

Kelner przyniósł nam wodę i ulotnił się.

- Zatem zajmujesz się korektą - powiedział. - Gdzie studio-
wałaś?

- W okolicach Bostonu - odpowiedziałam.

- W Boston College?

- Na Harvardzie.

- Och. - Pokiwał głową. - Ja skończyłem Cornell.

Uważał się za bystrego.

- Niezła uczelnia - przyznałam.

- Tak, zwłaszcza w porównaniu do Harvardu. - Roześmiał
się. - Jestem zaskoczony, że absolwentka Harvardu czytuje
anonse w „Weekly Beacon”.

- Dlaczego? Powinam raczej dowodzić prawdziwości twier-
dzenia Fermata?

- To już zostało zrobione w dziewięćdziesiątym trzecim - od-
parł.

Roześmiałam się.

- Zazwyczaj taki tekst zamyka innym usta.

- Też się do niego uciekam - przyznał Matt. - Masz problem
ze spotkaniem mądrych ludzi?

- Tak, a ty?

- Stanowczo. Zazwyczaj.

- Co z... - przerwałam w pół słowa.

- Z moją narzeczoną? Shauna jest bardzo bystra.

Nie mogłam uwierzyć, że wspomniał jej imię na randce
z inną.

- Bardzo bystra - powtórzył. - Skończyła Binghamton i tak
dalej. Na co dzień nie jest jednak dla mnie wyzwaniem. Jestem

mądrzejszy od niej. Większość osób, które znam, to nasi wspólni znajomi. Potrzeba mi więcej... nowych bodźców.

- Skoro tak twierdzisz.

Roześmiał się, ale najwyraźniej był zmieszany. Nietypowa reakcja w przypadku osoby, która zamieściła anons w poszukiwaniu partnerki do skoków w bok.

Wyobraziłam sobie, że w każdą niedzielę budzi się u boku Shauny, wkłada gładki podkoszulek i czapeczkę bejsbolową, a potem razem kierują się do pobliskiej knajpy na późne śniadanie. Zajmują miejsca naprzeciw siebie przy oknie, a promienie słońca padają na stół, kiedy żartując, bawią się cukiernicą. Nad jajecznicą, grzankami i sokiem planują przyszłość, a potem wskakują do samochodu Matta i jadą za miasto, żeby złożyć wizytę jej rodzicom.

- Jak się poznaliście, studiując na innych uczelniach?

- W szkole średniej - odpowiedział.

- Super. I na studiach nikt inny nie zawrócił wam w głowach?

- W Cornell doskwierała mi samotność. Shauna jednak często mnie odwiedzała. Dzięki temu dałem radę, bo to było dość ponure miejsce.

- Rozumiem.

- Nigdy tam nie byłaś? - zapytał.

- Nie, ale słyszałam, że mają piękny kampus.

- To prawda - przyznał Matt. - Może któregoś dnia się tam wybierzemy.

Kelner wystraszył mnie, bo pojawił się przy naszym stoliku dość niespodziewanie.

- Czy jesteście państwo gotowi?

Matt chciał przytaknąć, ale zatrzymał się w pół gestu.

- Jesteś? - zapytał mnie.

- Proszę o... dwa taco.

- Z wołowiną czy kurczakiem?

- Z wołowiną.

- Dla mnie będzie *quesadillas con chorizo* - zamówił Matt, wolno literując nazwę dania.

- Dziękuję.

Matt popatrzył na mnie.

- Shauna nie cierpi meksykańskiej kuchni. Trzyma się od niej z daleka.

- Dlaczego?

- Zwyczajnie nie lubi. Dlatego prawie nigdy nie chodzę do meksykańskich knajp, choć uwielbiam tutejsze jedzenie.

- A Shauna pije?

- Nie. To znaczy, czasem nam obojgu zdarzy się wypić lampkę wina. Przy świątecznym stole.

- Siła społecznej presji jest zatrważająca - zauważyłam. - Nawet wśród najbliższych.

- Zgadza się - Matt podjął temat. - Ale ludzie wcale nie uważają tego za formę nacisku. Najdziwniejsze jest to, że zachowują się, jakbyś to ty był nie na miejscu, jeśli nie robisz tego, czego się od ciebie oczekuje, choć przecież wcale nie narzucasz swojej opinii innym.

- Tak! - wykrzyknęłam. - To prawda!

Podziwiałam go za jego słowa.

- Zabawne jest także to, że nie ma człowieka wolnego od

uzależnień – ciągnął Matt, zrzucając opakowanie rurki ze sto-
lika. – Nawet ludzie w szczęśliwych związkach. Są uzależnieni
od swoich współmałżonków i dzieci.

– Brzmi sensownie. A ty, od czego jesteś uzależniony?

Uśmiechnął się.

– Lubię wyzwania.

– Całkiem nieźle.

– Przyzwoicie – zgodził się.

Nie odrywał ode mnie wzroku. Miałam nadzieję, że to dobry
znak.

Kiedy obok nas usiadła grupa hałaśliwych nastolatków, Matt
posłał mi znaczące spojrzenie.

– Powinniśmy zająć stolik w kącie – zauważył.

– Chyba tak.

– W szkole średniej odnosiłem wrażenie, że wszystkim wo-
koło mózg wysiadł. Też tak miałaś?

– Tak – przyznałam. – Zachowywali się jak banda neandertal-
czyków, ale kiedy im się zwróciło uwagę, tylko odpyskiwali,
żeby się nie wymądrzać.

Matt się zaśmiał.

– Nie wymądrzaj się! Pamiętam to. Nauczycielom też się nic
nie chciało. Choć niektórzy byli w porządku. Nawet zaprosi-
łem dwóch na nasz ślub.

Puściłam mimo uszu ten wstrząsająco cudowny szczegół.

– Założę się, że nauczyciele cię uwielbiali.

Wyglądał na zmieszanego.

– Na pewno mnie nie nienawidzili – przyznał.

– Byłeś najlepszy w klasie?

Kiwnął głową.

- A ty?

- Zawsze.

Jeden z nastolatków przy stole obok nazwał drugiego ksero-boyem, cokolwiek miało to znaczyć. Posłałam Mattowi pytające spojrzenie.

- Dobrze - przyznał. - My ograniczaliśmy się do palanta.

- Do mojej szkoły chodził chłopak o nazwisku Palant. Był jednak tak przystojny, że nikt się go nie czepiał. Prawdziwy szczęściarz.

- Ale imię na szczęście miał normalne? - zapytał Matt.

- Nie.

- Tak, na pewno.

- Nie zmyślam.

Uśmiechnął się.

- Będę chyba musiał cię odwiedzić, żeby sprawdzić w księdze pamiątkowej twojego rocznika.

Dlaczego to zawsze jest tak proste, jeśli ktoś jest zajęty? Czy tylko w takim świetle staję się atrakcyjna? W roli „tej drugiej”?

- Czy musieliście wybierać motto do księgi pamiątkowej? - zapytał Matt.

- Chodzi ci o ulubione cytaty? Nie. Nie było takiego zwyczaju.

- My mieliśmy. Wszyscy cytowali fragment jakiejś piosenki, tylko ja zaproponowałam filozoficzną sentencję. Jedna dziewczyna wybrała coś Meat Loafa, inna Bobby'ego McFerrina.

Zajęliśmy się jedzeniem. Moje tacos były naprzemiennie sło-

ne i ostre, ale ich smak ledwie do mnie docierał. Byłam zbyt stremowana i jednocześnie podekscytowana.

Nagle Matt popatrzył na mnie i zapytał:

- Jakie jest twoje ulubione słowo?

Fantastyczne pytanie. Nigdy nikt mnie o to nie zapytał.

- Kruczek.

- Kruczek? - Zmrużył oczy, ale najwyraźniej się zaciekał.

- Wcale nie chodzi mi o małego kruka, ale o klauzulę prawną o nieoczywistych konsekwencjach. Pozornie mogłoby się wydawać, że termin „kruczek” wiąże się z wyrażeniem „biały kruk”, czyli z rzeczą rzadką, wyróżniającą się. Tak naprawdę to słowo pochodzi z niemieckiego i oznacza hak. Kruczki prawne są więc wybiegami, takimi haczykami, których można się chwycić. Według mnie to wspaniała metafora.

- Niezłe - przyznał Matt.

- A ty? Masz ulubione słowo?

- Morowy - powiedział. - Jest śmieszne.

- Znasz jego etymologię?

Odpowiedział po chwili wahania.

- Nie. Powinienem sprawdzić.

Ja się tym zajmę. Na mur beton.

Zamówił nam deser na spółkę - lody polane gorącym toffi ze smażonymi plasterkami bananów. Powiedział, że z Shauną, która bardzo dba o linię, nigdy nie jada nic słodkiego.

- Ma obsesję na tym punkcie - stwierdził.

- Widać nie dość silną.

- Jak to: nie dość silną?

- Żeby z nią zerwać.

Popatrzył na mnie.

- To tylko drobiazg - stwierdził. - Zawsze znajdują się rzeczy, które będą cię drażnić w drugiej osobie. Trzeba zdecydować, które są na tyle nieistotne, by je ignorować.

- Aha.

- Poza tym to prawdopodobnie dobrze, że chce być szczupłą. To znaczy, nie mam powodów do narzekań.

Nie wiedziałam, czy żartuje, czy mówi poważnie.

- Nie martwisz się, że mógłbyś kogoś bardziej pokochać? - zapytałam. - Życie dopiero przed tobą.

- Spotkałem już mnóstwo ludzi w rozmaitych miejscach i sytuacjach - powiedział Matt. - Nikogo nie pokochałem bardziej. To wcale nie jest takie proste. Może marudzę, ale nie zrozum mnie źle, kocham Shaunę. Jest cudowna. Jej troska o innych jest ujmująca. Kiedy na ulicy podchodzi do nas bezdomny, prosząc o pieniądze, to ona albo mu je daje, albo przez dziesięć minut tłumaczy, dlaczego nie może tego zrobić.

Na talerzyku została odrobina lodów waniliowych ze smugami toffi na powierzchni, ale żadne z nas nie chciało zjeść ostatniego kęsa.

- Wiem, że nie to chciałaś usłyszeć - ciągnął Matt. - Nie spodziewałaś się, że będę się o niej pozytywnie wyrażał.

- Wręcz przeciwnie - zaprzeczyłam. - Zwyczajnie próbuję cię zrozumieć. Żeby w przyszłości nie popełnić błędu, kiedy sama spotkam moją połówkę. Ciekawi mnie, skąd pewność, że to właśnie z nią chcesz się ożenić. Szczególnie biorąc pod uwagę twoją gotowość do wiązania się z innymi.

- Kiedy myślę o sobie za dwadzieścia lat, to widzę nas - wy-

jaśnił Matt.

- A jeśli za rok spotkasz kogoś, w kim się szaleńczo zakochasz? - zapytałam. - A będziesz już żonaty?

- A jeśli nie spotkam? - odpowiedział pytaniem. - Nie będzie przecież na mnie czekać w nieskończoność, mam też inne plany. Mogłbym wstrzymać się na przykład do czterdziestki, ale wtedy jest ryzyko, że ją stracę i nigdy nie założę rodziny. A to moje marzenie. Poza tym zawsze chciałem, żeby ona była matką moich dzieci. Nie znaczy to jednak, że mam nie dbać o inne potrzeby.

Potrzeby. Ja też je mam. Co się stanie, jeśli będziemy się od czasu do czasu spotykać? Jeżeli go polubię, to chciałabym zwierzać mu się ze swoich problemów i słuchać o jego kłopotach. Ale on przecież codziennie będzie już o nich opowiadał Pannie Wrażliwej. W rezultacie nie będzie miał ochoty na dalsze zwierzenia. Jedyńm jego celem będzie zaspokojenie, hm, innych „potrzeb”.

Może mogłam przekonać go, że byłoby mu lepiej ze mną. Też potrafiłam rozmawiać z bezdomnymi, to żaden problem. Byłam od razu gotowa wyjść i znaleźć jednego.

- Czym Shauna się zajmuje? - zapytałam, nabierając na łyżeczkę połowę pozostałych lodów.

- Reklamą, jest graficzką - odpowiedział. - Przez pięć lat pracowała dla agencji, ale teraz jest wolnym strzelcem. Jestem z niej dumny. Choć nie ma łatwo. Ciężko jest znaleźć pierwszego klienta. Rodzice pomagają jej spłacać kredyt.

- Ale z tobą nie będzie się musiała o nic martwić.

Uśmiechnął się.

- Jasne.

Matt uregulował rachunek, a ja zostawiłam napiwek.

- Jak myślisz, zobaczymy się jeszcze? - zapytał. - Wiem, że sytuacja jest nietypowa, ale chciałbym cię lepiej poznać, jeśli ten układ ci odpowiada. To znaczy, naprawdę chciałbym.

- Pewnie - zgodziłam się.

Wręczył mi swoją wizytówkę. Teraz, kiedy poznałam jego nazwisko, bez problemów namierzę jego dziewczynę.

Nie byłam jednak pewna, czy chcę tak od razu go wydać. Jak to możliwe, że chłopak zdradzający narzeczoną nie okazał się taki straszny? Może to i prawda, że jeśli ona o niczym się nie dowie, to nie będzie cierpieć. Może to wcale nie jest takie złe, żeby nic jej nie mówić. Z pewnością nie będę ostatnią osobą, z którą Matt wda się w romans. Może tylko pierwszą z długiego szeregu. Jeśli teraz był na to otwarty, to bez wątpienia za dziesięć lat też będzie zmieniał partnerki jak rękawiczki, podobnie jak inni faceci. I choć to potworne, to chętnych nie zabraknie. Podobnie jak ja będą myślały, że ciężko jest znaleźć kogoś równie bystrego i wrażliwego jak Matt. Jego jedyną wadą było to, że wcześniej spotkał tę jedyną, nie dawał jednak złudnych nadziei, miałyśmy szansę być dla niego tylko „tą drugą.”

Gdybym powiedziała Shaunie o jego poczynaniach, na pewno wybuchłaby między nim awantura, ale potem by się pogodzili. Ciekawe, czy Matt musiałby obiecać, że to się więcej nie powtórzy. Nie wiem, czy byłby do tego zdolny. Może chciałby postąpić uczciwie. Może by z nim zerwała. Tak czy siak, więcej by się do mnie nie odezwał.

Dlaczego tak się tym przejmuję? W porządku, musiałam przyznać, że doskonale się z nim bawiłam. Był bystry i sympatyczny, w jego towarzystwie nie czułam się dziwnie ani niezręcznie. Poza tym wydawało mi się, że mnie polubił. Kolejne spotkania nikomu nie zaszkodzą. Nie byłam jeszcze gotowa, by zerwać z nim kontakt.

Czy jednak nie bawiłam się aż za dobrze? Nie chciałam dać się łatwo omamić, bo przecież to, co robiliśmy, było niewłaściwe. Był nieuczciwy. Był uroczy. Ale to go nie usprawiedliwia, powinien za to zapłacić.

Wracałam do domu zatopiona w myślach, nie zwracając uwagi na to, co dzieje się wokół, dopiero kiedy wysiadłam z metra, poczułam na policzkach podmuch chłodnego powietrza.

Po powrocie zauważyłam, że Matt zostawił mi wiadomość na sekretarce. Powtórzył, że świetnie się ze mną bawił. Obiecał też, że odezwie się wkrótce. Musiał dzwonić z komórki tuż po naszym rozstaniu. David nigdy nie odzywał się tuż po randce, by mi powiedzieć, że dobrze się bawił. Czemu nie spotkałam na studiach kogoś takiego jak Matt? Nie miałam też tego szczęścia w szkole średniej, ale z tym już zdążyłam się pogodzić. Los się uśmiechnął do Shauny.

Postanowiłam, że pójdę na imprezę do Harvard Club. Muszą przecież zjawić się tam jacyś interesujący ludzie, dzięki którym oderwę się od rozważań o związkach w nietypowych konfiguracjach.

Miałam także spotkać się w piątek z Karą, do tego czasu powinnam również dostać odpowiedzi na mój anons. Liczyłam, że

przynajmniej jedna osoba okaże się warta zachodu.

Koniec z siedzeniem w miejscu. Postanowiłam ruszyć do przodu i zostać czyjąś Shauną, nim całkiem zaprzepaszczę swoje szanse i na zawsze utknę jako niczyja ja.

Rozdział 7

W piątkowe popołudnie na sześć godzin przed umówionym spotkaniem z Karą zadzwoniłam na swoją skrzynkę w „Weekly Beacon”.

Usiadłam przy biurku ze skoroszytem w dłoni gotowa do robienia notatek.

- Masz pięć wiadomości - poinformował mnie automat.

Całkiem nieźle. O ile były na poważnie.

Wysłuchałam się w pierwszą wiadomość.

- Hejka! Co tam?

Och, nie. Chciałam każdemu dać szansę, ale właśnie się przekonałam, że to niemożliwe.

- Mam na imię Jimmy. Metr osiemdziesiąt pięć, oczy brązowe, włosy brązowe. Szukam miłej, ładnej, cieplej - naprawdę wymówił to „cieplej” - dziewczyny, która lubi taniec, muzykę i dobrą zabawę. Jeśli jesteś zainteresowana, zadzwoń pod numer siedemset osiemnaście...

Przełączyłam na następnego uwodziciela.

- Cześć, mam na imię Michael. Zazwyczaj nie odpowiadam na anonse.

Punkt dla niego.

- Twoje ogłoszenie jednak przykuło mój wzrok. Co tu powiedzieć? Mieszkam w Queens, jestem sprzedawcą...

Pewnie w cukierni.

- Pochodzę z dużej rodziny, grywam w tenisa i piję mnóstwo kawy.

Jasne.

- Lubię chodzić do kina i generalnie dobrze się bawić. W każdym razie masz fajny głos. Może moglibyśmy się spotkać i pogadać. Zadzwoń. siedemset osiemnaście...

Zapisałam jego numer. Mimo że niewiele nas łączyło, to wydał mi się całkiem normalny. To była niestety dołująca zasada: umawiać się z każdym, chyba że sprawia wrażenia psychicznie niezrównoważonego. Michael został więc kandydatem numer jeden.

Przełączyłam na następną wiadomość.

- Cz-cześć, nazywam się A-Adam i, khm, wy-wydaje mi się, że spełniam wszystkie wymagania. Ukończyłem uniwersytet T-Tufts, w okolicach B-Bostonu, nie znam swojego ilorazu inteligencji, ale dostałem tysiąc dwieście osiemdziesiąt punktów na maturze, czyli c-całkiem n-nieźle, prawda? Mam dwadzieścia dwa lata i właśnie p-przeprowadziłem się d-do Nowego Jorku.

Chciałam się rozłączyć. Wiedziałam, że to okropne z mojej strony. Chłopak był niegłupi, więc jaki miałam problem? Oczywiście byłam równie płytka, jak cała reszta. Jakaś się, oczami wyobraźni ujrzałam kropelki śliny wydobywające się z jego ust. Chciałam go skreślić, podobnie jak mnie skreślano z powodu nieuczestniczenia w imprezach albo moich twardych zasad. Czy to było sprawiedliwe?

Nie.

Czy jednak wybór kandydata na randkę musi być sprawiedliwy? Nużyło mnie bycie odmieńcem, ale jeśli pierwsza osoba,

z którą bym się umówiła, byłaby równie społecznie nieprzystosowana, to zwiększyłyby tylko mój stopień towarzyskiego wyobcowania. Czy nie zasługuję, dla odmiany, na coś lepszego?

Tak czy siak, musiałam dać A-Adamowi szansę, byłam mu to winna. Postanowiłam twardo trzymać się swoich zasadach moralnych. Czyli po pierwsze, nie oceniać ludzi po pozorach.

- N-nie postawiłaś w-wymogów co do wy-wyglądu, pewnie dlatego s-spodobało mi się twoje ogłoszenie...

W porządku, Adam nie był powierzchowny i rzeczywiście przeczytał moje ogłoszenie. Dwa punkty dla niego.

- Ale na wszelki wy-wypadek powiem, że mam ciemne, lekko falujące włosy i mierzę metr osiemdziesiąt. M-moja m-mama twierdzi, że przystojniak ze mnie.

Kolejny punkt za poczucie humoru.

- W wolnym czasie chodzę do kina, lubię jeść na m-mieście, ale nie n-należę do bywalców n-nocnych k-klubów. Uwielbiam długie rozmowy. Mam nadzieję, że się odezwiesz. Och, chyba zapomniałem się przedstawić, mam na imię A-Adam. W każdym razie... to znaczy, tak. Znacznie zyskuję przy osobistym poznaniu. Mój numer to dwieście dwanaście...

W porządku. Randkę miałam jak w banku. Obaj byli dostatecznie zdesperowani. Nie miałam powodów do narzekania. Wciąż czekały na mnie dwie odpowiedzi.

Nacisnęłam odpowiedni przycisk, żeby wysłuchać kolejnej wiadomości.

- Cześć, H-Heather. M-mam na imię A-Adam. Właśnie z-zostawiłem ci wiadomość, ale mówiłem chyba zbyt d-długo i nagle coś mi przerwało, nie byłem pewien, czy się nagrałem. Za-

zwyczaj jestem mniej ciamajdowaty. Cha, cha, cha. Ch-chciałem tylko powiedzieć, że jestem fajny, lubię kino i naprawdę spodobał mi się twój anons, dlatego liczę na spotkanie...

Przeskoczyłam do ostatniego nagrania.

- Hej, może się wyróżnię, ale w swoim ogłoszeniu nie określiłaś ram wiekowych, i cóż, szczęśliwym trafem możemy przynajmniej zostać przyjaciółmi. Mam na imię Don i mam czterdzieści sześć lat. Prowadzę mały biznesik komputerowy. Kilka sklepów na mieście. Nie pamiętam już wyniku swoich testów maturalnych, ale całkiem nieźle mi idzie w „Kole fortuny”. W zasadzie to szukam jakiejś pani, żeby ruszyć z nią w miasto w poszukiwaniu dobrej zabawy. Lubię operę i piękne rzeczy, a najbardziej to uwielbiam wydawać kasę na taką panią z klasą jak ty. Dryndnij do mnie.

Rozłączyłam się. „Pani” nie przypadła mi do gustu. Wiem, że obecnie słowa „dziewczyna” używają tylko dinozaury, ale gdy słyszałam „kobieta”, to od razu stawały mi przed oczami skomplikowane wykresy z ulotek zatytułowanych „Twoje ciało i ty”, które wręczano nam na lekcji przygotowania do życia w rodzinie. Ale „pani” brzmiała jeszcze gorzej. Każde z tych słów powinno w swojej definicji mieć ramy wiekowe. „Dziewczyna” była odpowiednia od pierwszego roku życia do trzydziestu lat, potem aż do setki - „kobieta.” Natomiast „pani” powinna być zarezerwowana dla kobiet w przedziale od czterdziestu do stu lat pracujących w kasynie.

Poczułam, że zrobiłam dziś ogromny postęp. Miałam ochotę odłożyć kartkę z numerami telefonów na później.

Ale przypomniał mi się Matt. Był lepszy od nich wszystkich.

Musiałam przyznać, że czekam na nasze kolejne spotkanie.

Sięgnęłam po słownik, aby sprawdzić pochodzenie jego ulubionego słowa „morowy”. I tak. Obecnie nacechowane pozytywnie, synonim „porządny, godny zaufania”, miało dawnej negatywne znaczenie. Pochodziło od rzeczownika „mór”, spokrewnionego z „mrzeć”, a tym samym ze śmiercią. Nieźle. Chciałam się tym podzielić z Mattem. Wiedziałam jednak, że nie powinnam do niego dzwonić.

Może Michael lub A-Adam z anonsów okażą się równie interesującymi osobami. Warto się przekonać. Wybrawszy opcję ukrycia numeru dzwoniącego, próbowałam dodzwonić się do obu. Oczywiście żaden nie odebrał, pewnie byli w pracy. Nie zostawiłam wiadomości. Postanowiłam spróbować później.

Wieczorem nie byłam pewna, co włożyć na spotkanie z Karą. Nie zamierzałam ubierać się jak bywalczyńskie klubów, które w mikrych ciuszkach dygotały z zimna i dlatego przez cały czas spacerowały objęte ramionami. Zdecydowałam się na ciepły, lecz mało seksowny strój.

W wypełnionym ludźmi klubie panował mrok. Ogarnął mnie niepokój, ale na szczęście szybko zauważyłam Karę Skrzywioną Przegrodę.

- Tracy mnie wystawiła - pożałowała się. - I to nie pierwszy raz. Mam już dość ludzi, na których nie można liczyć. Chodźmy na górę.

Musiałśmy iść gęsiego, tak dużo było tam ludzi, bałam się, że Kara zniknie mi z oczu, ale nie przestawała się za mną oglądać. To było urocze. Wszyscy zdawali się bardzo wysocy i większość nosiła się na czarno. Na górze było nieco spokoj-

niej, choć przestrzeń tonęła w osobliwej błękitnej poświacie przetkanej smugami dymu papierosowego. Na stolikach stały okrągłe czerwone świece. Przy jednym mężczyzna i kobieta ze złączonymi dłońmi patrzyli sobie głęboko w oczy. Musieli być szaleńczo zakochani albo spici do nieprzytomności. Ale to chyba bez różnicy.

Kara zajęła wolny stolik i wyciągnęła zapalniczkę z pudełka. Podszedł do nas wysoki czarnoskóry kelner o gładko wygolonej głowie. Pochylił się i zapytał:

- Co mogę paniom podać?

Kara popatrzyła na mnie.

- Dla mnie cosmo - zamówiła, a wobec mojego milczenia dodała: - A dla koleżanki seks na plaży.

- Co to jest? - zapytałam.

- Coś pysznego. - Zgasiła zapalniczkę i zaciągnęła się papierosem. - Podejrzewam, że mają też wersję bez alkoholu, ale czy cokolwiek wtedy zostaje?

Wzruszyłam ramionami.

- Jak praca?

- Jedna wielka impreza - odpowiedziała, zanosząc się śmiechem.

- Głupie pytanie.

- Hej, szanuję twój optymizm. - Rozejrzała się wokół. - Ani śladu przystojnych facetów. Ani lasek.

- Wczoraj mi się poszczęściło.

- Z laską czy z facetem?

- Z facetem. Umówiliśmy się na kolację. Nie wiem, co z tego będzie, bo ma... dziewczynę, i to od lat.

- Zapomnij zatem - poradziła Kara. - Nigdy jej nie dorównasz. I nie wierz mu, jeśli będzie twierdził, że łączy ich już tylko przyjaźń.

Kelner przyniósł nasze drinki.

- Ten facet, z którym się wczoraj spotkałam, w ogóle nie pije - oznajmiłam.

- To dopiero ewenement - zauważyła Kara i niechętny potrąciła drinka, ale w porę go złapała. - Jak widzisz, ja już coś wypiałam.

Obejrzałam się, aby rzucić okiem na wpatrzoną w siebie parę. Nagle dostrzegłam, że jedno z nich miało na palcu obrączkę. Mężczyzna zauważył, że na nich patrzę, dlatego odwróciłam wzrok.

- Co sądzisz o ludziach, którzy zdradzają swoich partnerów? - zapytałam.

Kara pokręciła głową.

- Zdrada to podła sprawa.

- Nie pochwalasz?

Zgasiła papierosa w pustej brązowej popielniczce.

- Nie, nie pochwalam. Mam dość liberalne poglądy, jak ci wiadomo, ale ci, którzy zdradzają, to najgorsi z najgorszych. Czy mają cokolwiek na swoje usprawiedliwienie?

Tylko wzruszyłam ramionami.

- Jeśli masz zamiar zdradzać, nie żeń się, nie wiąż się. Nikt ci lufy do głowy nie przystawia. Mdli mnie na myśl o ludziach, którzy narzekają na swoich partnerów. Życie w związku to nie obowiązek.

Zaskoczyła mnie. Nawet ludzie jej pokroju, otwarci niemal

na każde życiowe doznanie, trzymali się pewnych zasad, przez których pryzmat patrzyli na innych. Pewnie ta niewzruszona wiara w ów wybiórczy kodeks moralny podnosiła ich samoocенę, a przecież tak wiele innych reguł mieli w głębokim poważaniu.

- Wiesz, jak sprawdzić, czy ktoś ma romans? - zapytała mnie Kara.

- Nie mam pojęcia.

- Trzeba zapytać, czy zna drugie imię tej osoby.

- Aha.

- To zawsze działa. Kiedy ludzie są w sobie zakochani, zawsze chcą poznać drugie imię swojej wybranki lub wybranka. Zwłaszcza kobiety. Mężczyźni rzadziej. Kobiety zawsze pytają partnerów o drugie imię, żeby potem im docinać. Jak miał na drugie twój profesor literatury?

- Lance.

- Widzisz?

Uśmiechnęłam się.

- Pewnie masz rację.

- Zapytałaś go o to?

- Jak ma na drugie? Widocznie tak.

Roześmiała się.

- Kiedyś chodziłam z jednym koleśkiem i dowiedziałam się, że ma na drugie Seymour. Od razu przestał mnie pociągać. Od tamtej pory już nie pytam.

Oparła o siebie dwa pudełka zapalek, tworząc trójkątny daszek. Niesamowite, co ludzie potrafią zrobić z papieru, kiedy nie mają innych zajęć.

- Z tym wczorajszym chłopakiem poszłaś do łóżka? - zapytała Kara.

- Nie - zaprzeczyłam.

- A miałaś ochotę?

- Sama nie wiem.

- Nie zapomnij - powiedziała, wskazując swój nos. - Krzywa przegroda nosowa.

- Pamiętam.

- Ale tobie się nie spieszy, prawda? - drążyła temat. - Nie spotykałaś się z nikim od czasu profesora... jak mu na imię?

- David. Harrison.

- Jak dawałaś radę? To było lata temu.

Wzruszyłam ramionami.

- Myślę, że jestem aseksualna. Nie mam obsesji na tym punkcie.

- Czyli w międzyczasie nie spotkałaś nikogo, na czyj widok miałabyś ochotę zedrzeć z siebie ubranie, aby skoczyć z nim do łóżka?

- Nie. Zbyt wielu ludzi tak właśnie się zachowuje. Przy tak prymitywnych motywacjach jaki to ma sens?

- Dlaczego miałoby mieć jakikolwiek?

- Bo... tak być powinno.

Kara czekała na dalsze wyjaśnienia.

- Po pierwsze, można się czymś zarazić. Po drugie, w ten sposób odbierasz temu wszelką wartość. I jeszcze można zająć w ciążę. To niemoralne nie bez powodu. Nie chodzi mi wcale o kościelne przykazania, bo nie należę do osób zbyt religijnych.

Zataczający się i podpierający o ścianę facet wpadł w moje krzesło, ale niewzruszony ruszył dalej. Muzyka na dole nieco ucichła.

Kara wzruszyła ramionami.

- Twierdzisz, że jesteś aseksualna. Jak zatem, nie mając żadnych potrzeb w tej materii, możesz uważać się za osobę moralną?

- Gdybym je miała, starałabym się je kontrolować.

Kara pokręciła głową.

- Wszystko na tym świecie opiera się na uczuciach i potrzebach. Gdyby seks cię bardziej kręcił, możliwe, że wcale byś nie oskarżała innych o obsesję na jego punkcie.

- Może tak, a może nie.

- W porządku, ale choć opieranie się w życiu na logice jest sensowne, to nikt tak nie postępuje. Nikt - powtórzyła. - Nieważne, co mówią. Gdyby ludzie najpierw myśleli, a potem działali na podstawie rozumowych przesłanek, świat byłby wolny od zbrodni. Czemu dochodzi do gwałtów, zabójstw, kradzieży? Pragnienie czy skłonności zbrodniarza okazują się silniejsze od woli. Przecież wie, że źle robi. Oczywiście zdarzają się przypadki, gdy jest inaczej, ale zazwyczaj przestępca jest świadomy granicy między dobrem a złem. Ale nawet w banalnych życiowych sytuacjach nasze zachowanie nie jest podporządkowane logice. Następnym razem, kiedy przyjdzie ci ochota na jakąś błahostkę, na przykład słuchanie radia, powstrzymaj się. Sprawdź, jak to jest. Może uda ci się poskromić pragnienie na kilka sekund. Ale jeśli naprawdę będziesz miała ochotę na muzykę, nie dasz rady zbyt długo z tym walczyć. Na

szczęście pewne fantazje udało nam się obudować moralną awersją, zintegrowaliśmy uczucia z rozważą. Uważamy, że zabójstwo dla samej przyjemności zabijania jest nie tylko okrutne i niemoralne, ale też odrażające. Gdybyś usłyszała, że zamierzam kopnąć niemowlaka, zareagowałabyś odruchowo. Nie musiałabyś tego analizować, aby wiedzieć, że to jest złe. Prawda?

- Zgadza się.

- Skąd o tym wiemy? Uczymy się tego w procesie socjalizacji? Może. Lecz równie prawdopodobne jest to, że to integralna część nas. Jesteśmy przecież składową najrozmaitszych pragnień. Niektórzy uwielbiają gotować. Inni pływać. Dzięki różnicom między ludźmi świat idzie do przodu. Są ludzie o ogromnym apetycie seksualnym. Inni żyją w celibacie. Jednych kręcą zarówno kobiety, jak i mężczyźni. Inni znów wzdychają do młodych chłopców.

- Chcesz powiedzieć, że to właściwe?

- Nie zawsze - odpowiedziała. - Bo to nie w porządku wobec dzieci. Choć pomyśl przez sekundę o człowieku, którego podnieca widok młodych chłopców. A jeśli to jedyna rzecz, która go kręci w życiu? Wyobraź sobie, że czeka go osiemdziesiąt lat życia, w trakcie których jego najskrytsze pragnienia nie znajdą ujścia. Bo wierz mi, jeśli coś cię naprawdę kręci, to kiedy rzeczywiście masz szansę urzeczywistnić własne fantazje, czeka cię najwspanialsza jazda pod słońcem. Co zrobisz, kiedy jedynym sposobem na wzniesienie się na wyżyny przyjemności jest zakazany akt? Co wtedy zrobisz?

Nie wiedziałam, jak odpowiedzieć.

- Poprosisz o wsparcie? Może. Jeśli bowiem twoje najskrytsze pragnienia skrzywdziłyby bliźniego, to nie ma wyjścia, musisz dać sobie pomoc. Ale powszechnie uważa się pedofilów za najgorszy ludzki sort. Nie mamy dla nich za grosz litości.

- Ty masz.

Pokręciła głową.

- Nie.

- To ja... już nic nie rozumiem.

- Chodzi mi o to, że w niektórych przypadkach nasze pragnienia mogą skrzywdzić niewinnych ludzi, dlatego musimy bardzo uważać, ale trzeba być świadomym istnienia swoistej ziemi niczyjej, czyli miejsca, gdzie czasami zasady moralne tracą znaczenie. Na przykład staroświecki zwyczaj czekania z seksem do ślubu. Czy można potępiać ludzi za to, że chcą się dobrze czuć?

W barze wisiały oprawione w ramy okładki nowojorskich gazet upamiętniających wielkie momenty historii. Zwycięstwo Jankesów. Lądowanie na Księżycu. Była też francuska okładka ze zdjęciem Romana Polańskiego i tytułem *Extradition?*

- Nie mam pojęcia - przyznałam.

- Powiedz mi - poprosiła - co cię najbardziej kręci.

Miałam dość ludzi, którzy próbowali wyciągnąć ze mnie szczegóły życia erotycznego. Jakbym była im to dłużna.

- To nie musi mieć związku z seksem - dodała Kara. - Cokolwiek. Co sprawia, że rano podnosisz się z łóżka?

Zamyśliłam się.

- Nie wiem - przyznałam.

Uśmiech zawitał na jej twarzy.

- Pochyliła się w moją stronę. Miała zadarty nos. Zadarty. Tak, to było właściwe słowo.

- Nie chciałaś tuż po otwarciu oczu rano poczuć, że masz powód, by unieść głowę z poduszki? - wyszeptała.

Na dole pogłósniono muzykę.

- Na przykład jaki?

- Niepohamowane, szalone pragnienie, które wymyka się wszelkiej kontroli.

Posłała mi długie spojrzenie, a potem oblizwała językiem usta.

- Odpowiedz na moje poprzednie pytanie. Czy są rzeczy, które cię kręcą? Niezwiązane z seksem. Takie, które lubisz.

Pomyślałam o liście rzeczy sprawiających radość, które przygotowałam na sesję z Petrovem.

- Rozgwiadzy. Wiśniowa oranżada.

- W porządku. Co będzie, gdybym ci powiedziała, że już nigdy nie zobaczysz rozgwiadzy, nigdy nie napijesz się wiśniowej oranżady. Co by było, gdyby zupełnie niespodziewanie trafiły na listę rzeczy zakazanych?

- Mówisz tak, jakbym twierdziła, że ludzie nie powinni uprawiać seksu - zauważyłam. - Jeśli jesteś ostrożny i nikogo nie krzywdzisz ani nie zdradzasz, to ja tego nie potępiam. Jeśli jednak nie szanujesz swojego ciała, za co zawsze trzeba później płacić, albo naciskasz na innych, narzucając im swoją opinię, i tym samym obniżasz standardy dla wszystkich, to mamy problem.

- Powiedziałaś przecież, że ludzka obsesja na punkcie seksu przechodzi wszelkie pojęcie - przypomniała. - Nie wydaje ci się, że większość ma też fioła na punkcie jedzenia? I snu?

- Obsesja na punkcie spania nikogo nie krzywdzi - zauważyłam.

- A na punkcie seksu już tak?

Czułam, że istnieje dobra odpowiedź na to pytanie, tylko akurat nie przychodziła mi do głowy.

- To też jest w porządku - ciągnęła Kara. - Jeśli dotyczy dwojga świadomych dorosłych, wtedy nikomu nie dzieje się krzywda.

- A jeśli kogoś zarazisz...

- To co innego. Nie powinno się świadomie sprawiać cierpienia innym, w tym w pełni się z tobą zgadzam się. Ale przez kilkadziesiąt lat, które człowiek spędza na tej ziemi, powinien cieszyć się życiem, nawet jeśli obraża to ludzi kurczowo trzymających się wiktoriańskich zasad ustanowionych przed stu laty, kiedy błędnie uznawano masturbację jako przyczynę nadmiernego owłosienia na dłoniach, i twierdzono, że Bóg nie przepada za stukającymi obcasami. Nie jesteś religijna. Gdybyś była, to nasza dyskusja przybrałaby inną formę, bo zawsze mogłabyś się powołać na Biblię i mówić, że kuszenie to sprawa szatana. Nie wierzysz jednak w diabła. Twardo trzymasz się rzeczywistości.

- Szatan? - powtórzył siedzący nieopodal mężczyzna.

Odwrócił się w naszą stronę, unosząc dłoń z wyprostowanym małym i wskazującym palcem, uśmiechnął się, a potem wrócił do jedzenia.

Kara wywróciła oczami.

- Chciałabyś zmienić lokal? Rozumiem, jeśli się na mnie obraziłaś...

- Nie, cieszę się, że o tym rozmawiamy.

- Słucham cię i choć nie zgadzam się ze wszystkimi twoimi poglądami, to cieszę się, że chcesz o tym ze mną rozmawiać - powiedziała. - Uważam tylko, że powinnaś odrobinę odpuścić, nie trzymać się tak mocno wyznaczonych granic. Poczujesz się wtedy o niebo lepiej.

Podniosła się, uregulowała rachunek, mimo że chciałam wziąć to na siebie. Włożyłam palto i owinęłam szyję szalikiem. Kara popatrzyła na mnie.

- Ładny szalik.

- Dzięki.

- Wygląda na drogi.

- Dostałam go od ojca.

Zeszliśmy schodami, a potem wyszliśmy na zewnątrz.

- Dogadujecie się? - zapytała.

- Jest w porządku - odpowiedziałam. - Nie widzimy się za często. Teraz jest w Europie. - Nie miałam ochoty na streszczenie całej mojej rodzinnej historii. - A ty często rozmawiasz z rodzicami? - zapytałam.

- Nie - zaprzeczyła. - Nie jest to... znaczy, nie musisz się nade mną litować, ale nie rozmawiałam z nimi od ukończenia studiów. Wykorzystywali mnie do swoich wewnętrznych rozgrywek, aż wreszcie uznałam, że zasługują na siebie bardziej niż na mnie. W pewnym momencie, kiedy byłam na studiach, cofnęli mi nawet finansowe wsparcie. Nie odzywamy się do siebie. Najtrudniej bywa podczas świąt, ale w zasadzie tak jest chyba lepiej.

- Ja też podczas świąt bywam sama - przyznałam.

Uśmiechnęła się.

- Może przy następnej okazji umówimy się i zorganizujemy wspólne święta sierotek.

Było zimno, ale bezwietrznie. Na ulicy mnóstwo ludzi zataczało się, a kilkoro na dodatek wrzeszczało.

- Czasem, kładąc się do łóżka, słyszę ludzi zmierzających do knajp i wiem, że są w moim wieku - powiedziałam. - Ich radość i zadowolenie sprawiają, że w środku pali mnie wstyd.

- Skończ z tym.

Facet w szarej bluzie z kapturem, mijając nas, niemal się potknął o własne nogi. Musiał być zalany w trupa. Albo upalony.

- Próbowalaś kiedyś narkotyków? - zapytała Karę.

Pokręciła głową.

- Paliłam tylko trawkę - przyznała.

Z góry założyła moją zgodę na powszechnie przyjęty pogląd, że marihuana się nie liczy.

- A ty? - zapytała.

Stanowczo pokręciłam głową. Roześmiała się.

- Powinnam się domyślić. Nawet trawki?

Wzruszyłam ramionami.

- To narkotyk.

- Pewnie tak - zgodziła się. - Ale nie uzależnia. Jeśli zapalisz raz na jakiś czas. Można to porównać do wyjazdu w odległe miejsce.

- Nie wierzę. Nie bez powodu jest zakazana.

- Dlatego, że wielu ludzi przesadza, a poza tym ze względu na cały biznes - wyjaśniła. - Nie ma w sobie absolutnie nic szkodliwego, oczywiście zakładając, że używasz jej w sposób

odpowiedzialny, co oczywiście nasz rząd z góry uznaje za niemożliwe. Stawia ją w jednym rzędzie z hazardem i prostytutką. A tak naprawdę to nie ma nic wspólnego z moralnością. Typowe.

- Wszyscy jednak płacimy za szkodliwy wpływ palenia i narkotyków na zdrowie - zauważyłam.

- Być może - ucięła rozmowę.

Przed jej pogrążoną w ciszy kamienicą drzewa wyrastały z małych otworów wyciętych w płytach chodnikowych. Zauważyłam kilka ręcznie malowanych tabliczek zakazujących wprowadzania czworonogów.

- Chcesz zobaczyć moje mieszkanie? - zapytała. - Nic wielkiego, ale będziemy mogły w spokoju porozmawiać. Ciszę zakłócić może tylko śpiew Pata i Stephena.

- Pata i Stephena?

- Tak. To moi sąsiedzi. Para gejów. Stephen jest wybitnie utalentowanym pianistą, raz w tygodniu wpadają do nich znajomi na wspólne śpiewanie. Mają niezły ubaw. Najlepsza część zaczyna się jednak po wyjściu gości, kiedy gospodarze zostają sami, zapada cisza jak makiem zasiał i doskonale wiesz, co się tam dzieje. To takie romantyczne. Uświadamiasz sobie, że przez cały wieczór czekali na wyjście gości, żeby paść sobie w ramiona.

Twarz wykrzywił mi grymas zgorznienia.

- Och, przestań. - Dłonią pogładziła mój policzek. - Przyznaj, że to urocze.

- Niech ci będzie.

- To tutaj. Oto moje królestwo. - Wyciągnęła dwa klucze, po-

deszła do drzwi i otworzyła dolny i górny zamek. – Zapraszam.

Na ścianach królowały blade pastelowe barwy, na jednej zauważyłam też namalowany księżyc i gwiazdy. Sypialnia była największym pomieszczeniem. Na środku stało podwójne łóżko, a we wnęce okiennej okrągły stolik. Był jeszcze telewizor. Okna wyglądały na ulicę. Kiedy Kara uchyliła jedno z nich, jasne zasłony wydeły się jak balon.

– Czego się napijesz?

– Eee...

– Przyniosę nam po małpce wina.

– Małpce wina?

Kiwnęła głową i wyszła. Rozejrzałam się. Światło było zgaszone i więcej widziałam, co się dzieje na zewnątrz niż w środku.

Kara wróciła z dwoma kieliszkami i dwoma małymi butelkami wina.

– Ach, życie w pojedynkę – powiedziała. – Tak źle i tak niedobrze.

Postawiła butelki na stoliku we wnęce okiennej.

– Sprzedają je w czteropakach – wyjaśniła. – Wino dla singli.

Otworzyłam swoje i nalałam do kieliszka. Kara poszła za moim przykładem. Wino zafalowało, muskając ścianki kieliszka. Niespodziewanie poczułam się bardzo szczęśliwa. Od rozstania z Davidem rzadko sięgałam po alkohol. Zakręciłam pustą butelkę. Kara ustawiła na parapecie malutkie świece i zapaliła je.

– Uwielbiam świece – powiedziała. – Naprawdę podgrzewają atmosferę.

- To prawda.

Za ścianą zaskrzypiały drzwi.

- Pewnie Pat i Steve są w domu - wyjaśniła.

Zapaliła papierosa, rozżarzona końcówka na sekundę wydo-
była jej twarz z mroku. Mimo że cały wieczór nie stroniła od
tytoniu ani alkoholu, jej usta wciąż były perfekcyjnie umalowa-
ne. Nie wiem, jak to się udaje niektórym kobietom. To wiedza,
którą musiały przyswoić w ósmej klasie. Niestety nie zostałam
wtajemniczona, bo wtedy przeskoczyłam rok.

Upiłam łyk wina.

- Czy naprawdę uważasz, że ludzie mają obsesję na punkcie
seksu? - zapytała.

- Nie wiem - przyznałam. - Ale wydaje się, że seks to życio-
wy priorytet.

- Rzeczywiście, ma niebywałą moc sprawczą - stwierdziła. -
Pewnie uznasz mnie za seksualną maniaczkę, bo ciągle na ten
temat gadam. Ale przysięgam, że bywają chwile, kiedy uży-
wam łóżka, aby poczytać w samotności. Tak naprawdę, po
ostatnim zerwaniu na myśl, że posiedzę w domu, pooglądam
stare filmy, zajadając się chińszczyzną i lodami waniliowymi,
czułam ekscytację. Kiedy jednak wróciłam z zestawem kome-
dii romantycznych i rozpoczęłam seans kina dla samotnych,
każda gorętsza scena pogłębiała mój smutek. - Przerwała. -
Carrie?

- Przepraszam, ale wpadłam w melancholijny nastrój - przy-
znałam się.

- Sama widzisz.

- Ale z powodu lodów. Choć wolę wiśniowe.

Zaśmiała się.

- Jesteś jedyna w swoim rodzaju.

Pochyliła się w moją stronę. Jej nos był idealny, nie miałam cienia wątpliwości. Nigdy wcześniej takiego nie widziałam. Ciekawe, czy był rezultatem chirurgii plastycznej.

- Założę się, że chciałabyś mnie pocałować - powiedziała.

- Jak myślisz, ile jeszcze powinnam wypić?

- Założę się, że więcej nie potrzebujesz.

- Chciałabym poznać Pata i Stephena.

- Założę się, że David był w porządku, ale na pewno są rzeczy, o których nie miał pojęcia.

- Był po czterdziestce. Musiał mieć doświadczenie.

- Być może tak myślał. Ewidentnie brakowało mu umiejętności, skoro nie potrafił cię zaspokoić. Niektórzy ludzie, szczególnie tacy, którym brakuje doświadczenia w długoletnim związku, w sprawach seksu osiągają jedynie średni poziom zaawansowania.

- David miał się ożenić tuż po ukończeniu studiów - dodałam. - Nic jednak z tego nie wyszło.

- Nie miał o niczym pojęcia - ciągnęła Kara. - Spotykaliście się całą zimę, a on przez cały ten czas nie nauczył się, jak cię zadowolić.

- Nasze rozmowy były dla mnie źródłem wielkiej satysfakcji.

- A nasza? Też jest?

- Tak.

Nie odrywała ode mnie oczu.

- Lubię z tobą rozmawiać - dodałam.

Wskazującym palcem przejechała wokół moich ust. Miałam

łaskotki.

- Wino zaczerwieniło ci usta.
- David też tak mówił.
- A czy robił tak?

Palcem przeciągnęła wzdłuż mojej szyi, a następnie obwiodła jedną z moich piersi. Potem pochyliła się i pocałowała mnie.

Odsunęłam ją od siebie i wytarłam usta.

- Nigdy nie umazał mnie szminką.
- Nie powinna się rozmazywać - zapewniła.
- Czas na mnie - oznajmiłam. - Najwyraźniej za dużo wypiliśmy.

- Przepraszam.

Podniosłam się.

- Miło się z tobą rozmawiało - powiedziałam.
- Już późno. Nie boisz się wracać o tej porze?
- Wezmę taksówkę.

Cofnęłam się, wpadając na plik gazet i czasopism.

- Czasopisma literackie?
- Mój były chłopak je prenumerował.
- Musiał być bystry - zauważyłam. - Masz może jego numer?

- Po raz kolejny próbujesz stłamsić swoją prawdziwą orientację.

- Nie jestem lesbijką.
- Może nie stuprocentową. Ale w dziesięciu procentach jesteś biseksualna. A może nawet w dwudziestu.
- Dzwonię po taksówkę. Dzięki za wszystko.

Wyszłam i zbiegłam po schodach, pragnąc do rana wymazać to z pamięci.

Rozdział 8

Obudziłam się w znacznie lepszym nastroju niż przed kilkoma dniami, ale nie opuszczało mnie osobliwe uczucie. Było dość zajmująco osobliwe. Niewiele się na szczęście wydarzyło ostatniego wieczoru. Nie spaliłam za sobą mostów.

Musiałam oderwać myśli od rozpamiętywania ostatniej nocy. W związku z tym postanowiłam nazajutrz wybrać się do kościoła pastora Natto. Potrzebowałam jednak planu na dziś.

Może powinnam kupić notatnik. Zapiski pomogą mi podsumować, co się stało. Od dawna marzyłam o zakupie nowego pamiętnika. Najprzyjemniejszą rzeczą mieszkania w Village była bliskość nowojorskiego uniwersytetu, na którego terenie znajdowały się najwspanialsze sklepy papiernicze, pewnie ze względu na pisarzy i studentów filmoznawstwa. Można było w nich dostać spinacze do papieru w czterdziestu dwu różnych kolorach, koperty w dwudziestu trzech rozmiarach, siedemdziesiąt sześć rodzajów długopisów i markery: złote, srebrne, odblaskowe, sympatyczne, ultrafioletowe, miętowe, brokatowe, różowe, zapachowe i kleiste. Dawno już nie robiłam zakupów papierniczych. Problem polegał na tym, że zawsze niespodziewanie wszystko okazywało się potrzebne. Przykładowo długie, różowe gumki do ścierania. Choć wszystkie moje ołówki miały gumki i naprawdę nie musiałam kupować tych różowych, ale wyglądały tak ślicznie i zgrabnie, że nie mogłam się

oprzeć, by nie dotknąć ich palcami. Zapomnijcie, co powiedział Nabokow, prawdziwą przyjemność w życiu daje muskanie artykułów biurowych. Byłam gotowa wgryźć się w te różowe gumki.

Petrov będzie dumny, kiedy mu opowiem o moich zakupach papierniczych. Uległam pokusie, w którą wpisana była obietnica szczęścia. Poza tym mogłam też przy okazji kupić nowe skarpetki. To prawdziwa przyjemność włożyć rankiem ciepłe nowe skarpetki. A niech to, byłam gotowa na zakupowy szal!

Postanowiłam także zahaczyć o delikatesy spożywcze Balducci's, w których zaopatrywali się zamożni mieszkańcy miasta. Kupię parę łakoci, choć kilogram mięsa kosztuje tam dwaście dolarów. Co z tego? Mam pieniądze.

Tak, byłam świadoma, że narażałam się na śmieszność, postrzegając zakupy papiernicze jako zryw szaleństwa. Ale każdy ma własne przyjemności. Ludzi podniecają pornosy, zaciąganie się trawą albo wdrapywanie się na dach z butelką gorzały i wycie do księżyca, ja natomiast uwielbiam MUSKAĆ PALCAMI ZGRABNE, RÓŻOWE GUMKI DO ŚCIERANIA I WZDYCHAĆ PRZY TYM Z ROZKOSZY. Przynajmniej nie grozi to kacem ani szpetnymi malinkami na szyi następnego ranka.

Ubrałam się i wyszłam na zewnątrz. Czułam się szczęśliwa. Było nietypowo ciepło jak na obecną porę roku. Uśmiechnęłam się do idącej z naprzeciwka Azjatki, której dłonie w mitenkach wystawały z rękawów płaszcza. Odwzajemniła uśmiech, a potem zawstydzona spuściła wzrok. Niesamowite. Wymiana uśmiechów między nieznanymi, ciekawe, ile ich jeszcze na

mnie czeka tego dnia. Ruszyłam w kierunku Avenue of the Americas, radośnie uśmiechając się do innych przechodniów, którzy odwzajemniali się tym samym. Moje zmiany nastrojów były zadziwiające. Czasami za dobrym lub podłym humorem krył się wyraźny powód, ale często nie było jasnej przyczyny. Zastanawiałam się, czy większość ludzi przez cały czas czuje się tak wspaniale jak ja dziś. Jeśli tak, chciałabym się dowiedzieć, co robią, aby wziąć z nich przykład. Gdyby okazało się, że to narkotyki, czy powinnam po nie sięgnąć? Czy cierpiałam na niedobór jakiegoś składnika chemicznego, który był w nich zawarty? Czy suplementacja była możliwa?

Zapach czosnku wydobywający się zza szklanych drzwi delikatesów podrażnił moje nozdrza. Nie był to Balducci's, ale mieli podobny asortyment: mętne mikstury w cenie czterdziestu dolarów za kilogram. Wśród półek kręciło się mnóstwo dobrze sytuowanych klientek. Jednym z ogromnych plusów Nowego Jorku są jego wiekowe, majątne mieszkanki wciąż wierzące w swój nieodparty urok osobisty. Malowały się identycznie jak w wieku dwudziestu pięciu lat, z grubą warstwą podkładu, raz w tygodniu chesały u fryzjera, a wytworne torebki zawsze trzymały w dłoni, nigdy na ramieniu, nosiły palta z rękawami obszytymi futrem i chodziły jak modelki na wybiegu. Miały cienkie siwe włosy, liczne zmarszczki niszczyły staranny makijaż, a przeciwsłoneczne okulary nie były w stanie ukryć ciemnych, zmęczonych oczu, mimo to promieniowały swoistym pięknem. Były istotą Nowego Jorku.

- Czy to kosztuje dwadzieścia sześć dolarów za kilogram? - jedna z klientek zwróciła się do drugiej stojącej przy szklanej

ladzie.

Wyłożono tam w metalowym pojemniku odrobinę czerwonej pasty do spróbowania. Stała przy pudełkach z herbatą ustawionych w krzywą wieżę.

- W Gristede's mają to samo, ale ciemniejsze - zauważyła kobieta.

Jej przyjaciółka zmarszczyła nos.

- Jeśli kolor jest inny, to nie może być to samo, Lucille.

Miałam ochotę wyjść z pustymi rękami. Przykro jednak opuścić dwie starsze panie. Uwielbiam seniorów. Lubię wsłuchiwać się w ich chrapliwe głosy. Podejrzywałam, że to dlatego, że miałam rzadki kontakt z moimi dziadkami. Wyjechaliśmy z ojcem z Londynu, kiedy skończyłam dwa i pół roku, i nieczęsto ich odwiedzaliśmy, choć od czasu do czasu nam się zdarzało. Przeprowadziliśmy się do Stanów niedługo po śmierci mojej matki. Wydawało mi się, że ją kochałam, choć nie byłam pewna, czy to możliwe, bo przecież zupełnie jej nie znałam. Czasem wypada dawać wyraz uczuciom do pewnych osób tylko po to, by sprostać społecznym oczekiwaniom, choć w głębi duszy czujemy zupełnie inaczej. Kiedy patrzyłam na jej zdjęcia, oczywiście kochałam ją. Miałam fotografię ślubną rodziców, na której stali obok doktora Petrova i jego żony, i obie panie wyglądały prześlicznie. Uwielbiałam słuchać opowieści o niej. Żywiłam do niej szacunek, wdzięczność i z pewnością była częścią mnie. Czy jednak mogłam z ręką na sercu powiedzieć, że ją kochałam? Dawniej co roku wysyłałam kartkę z życzeniami świątecznymi moim dziadkom, którą podpisywałam „kochająca wnuczka”, ale przecież ledwie ich znałam. Widać szafowanie

tym uczuciem na prawo i lewo jest w dobrym stylu.

Wreszcie udało mi się dość sprawnie przedstawić ten smutny fragment mojego życia. Ocieramy łzy i ruszamy dalej.

Resztę dnia spędziłam równie przyjemnie. Wyprawa po pamiętnik sprawiła, że zostałam właścicielką gustownego, oprawionego w skórę notesu z mapą świata nadrukowaną na jasnej okładce. Kupiłam także cztery pary skarpetek i trzy pary majtek. Kiedy oglądałam bieliznę, udało mi się uniknąć spojrzeń chłopczyków w bejsbolowych czapkach.

W drodze do domu niespodziewanie wpadłam na doktora Petrova.

- Dzień dobry! - przywitałam się.

- Dzień dobry! - odpowiedział.

Wyglądał na przerażonego. Nie winiłam go. Nie powinno się spotykać swoich lekarzy poza ich gabinetem. Tako rzecz Tal-mud.

- Co pana sprowadza w moje sąsiedztwo? - zapytałam. - Czy może pan mnie szpieguje?

Roześmiał się.

- Właśnie tutaj mieszkasz?

- W tym budynku.

- Ach. Nie - zaprzeczył. - Niedaleko mieszka mój przyjaciel. Już dawno się nie widzieliśmy. A co u ciebie? Jesteś cała obwieszona torbami.

- To... świąteczne prezenty - skłamałam, próbując ukryć pakunki za plecami.

Nie ma szans, żebym się przyznała do kupna skarpetek i bielizny.

- Świetnie - powiedział. - Do zobaczenia w przyszłym tygodniu.

- Do zobaczenia - pożegnałam się.

Popędziłam do mieszkania. Postawiłam torby z zakupami na dywanie.

Następnego dnia rano po przebudzeniu musiałam oddać honor Petrovowi. Z wielką rozkoszą włożyłam ciepłutkie, granatowe skarpetki i mlecznobiałe majtki. Następnie zdecydowałam się na skromny strój, gdyż kościół nie należy do miejsc sprzyjających frywolności.

O dziesiątej wraz z garstką zainteresowanych weszłam do audytorium, w którym rozbrzmiewał stukot krzeseł - jedni wstawali, inni siadali. Ludzie szeptem wymieniali uwagi. Pewnie każdego tygodnia zjawiali się nowi wierni. Zająłam miejsce w przedostatnim rzędzie u boku szczupłego czterdziestolatka o ogromnych oczach. Na scenę wszedł niewysoki mężczyzna w wyblakłym garniturze.

- Dzień dobry - przywitał się. - Chciałbym powitać wszystkich w Kościele Pierwszych Proroków. Jesteśmy jak wam wiadomo niekonwencjonalnym zgromadzeniem. Wierzymy w Boga jedyne i w Jezusa Chrystusa, ale podtrzymujemy także, że każde pokolenie potrzebuje własnej interpretacji Pisma. Zdajemy sobie sprawę, że wielu ludzi odczytuje słowo objawione wedle własnego widzimisię. Cytuje je prezydent. Przywołują baptyści. Jedna grupa korzysta, druga czerpie zyski. Joe Natto, którego za chwilę wam przedstawię, pewnego dnia doznał objawienia. Możecie o tym przeczytać w ulotce na tablicy informacyjnej albo w jego książce. Dlaczego powinniśmy mu za-

ufać? Kiedy go wysłuchacie, sami zobaczycie, że nie wykorzystuje ani Pisma, ani wiedzy, którą się z wami dzieli, do osiągnięcia lukratywnych celów. Niejednokrotnie po jego kazaniach podchodzili do mnie ludzie, mówiąc: „Eppie, on jest prawdziwy. Joe Natto jest prawdziwy. To się czuje”.

Eppie zacisnął dłonie i ciągnął dalej:

- Przemawiając, zwraca się do każdego indywidualnie. Modląc się, robi to dla każdego. I z każdym. W naszym kościele wierzymy, że wszyscy członkowie wspólnoty są integralną częścią misji ewangelizacyjnej. Głosimy Słowo Boże i przyczyniamy się do dzieła bożego. Joseph Natto był nauczycielem. Pracował w centrum kraju. Opiekował się setkami dzieci. Porzucił swój zawód, aby stanąć na czele kościoła i wpływać na setki dzieci oraz ich rodziców, sąsiadów i nas wszystkich, a dzięki zebranych funduszom pewnego dnia zbudować ośrodek dla naszej wspólnoty i wdrożyć programy dla zainteresowanych. A oto przed nami Joseph Natto.

Po podobnym wstępie można by oczekiwać werbli. Jednak, kiedy Joe powoli wchodził na scenę, panowała cisza. Dopiero potem zerwała się burza oklasków. To było niezwykle budujące. Ukłonił się. Był średniego wzrostu, miał ciemne włosy zaczesane na bok. Wyglądał na czterdziestolatka. Większość ludzi w audytorium musiała być starsza od niego. Ponad połowę zebranych stanowiły kobiety, grube i zaniedbane. Poczulałam się nieswojo, jakby wierni tego kościoła nie posiadali nic poza nim. Może podobnie działo się w innych zgromadzeniach. Postanowiłam zostać jeszcze chwilę, aby upewnić się, że nikt nikogo nie wykorzystuje.

- Witam ponownie tych, którzy wrócili - zaczął Natto.

- Witaj - odpowiedzieli zgromadzeni, kilku pokiwało głowami.

- Witam nowo przybyłych.

- Witaj.

- Na zewnątrz jest cieplej niż zazwyczaj - powiedział. - Dlatego nie musimy się dziś martwić o bezdomnych, prawda? Nikt się nie odezwał.

- Jest zima. Siedzimy w ciepłym miejscu, pod dachem. A oni nie. Jesteśmy wśród przyjaciół. A oni nie. Po wyjściu stąd, mijając któregoś z nich na ulicy, ofiarujemy kilka drobnych, aby oni także poczuli ciepło, które teraz z nas bije.

Rozległy się oklaski. Zauważyłam, że kilka rzędów przedemną siedzi mężczyzna, który najprawdopodobniej był bezdomny. Niewielka krzywa blizna biegła od jego czoła aż do oka, a przy jego boku leżała podarta reklamówka.

- Powinniśmy przestać wynajdywać wymówki - kontynuował Natto.

Sprężystym krokiem obszedł scenę, zawrócił i stanął przy mikrofonie.

- Ten człowiek wygląda nieźle. Ten jest tak gruby, że na pewno nie głoduje. To pijak. Moje dolary zostaną w moim portfelu, choćby miały w nim wypalić dziurę. Kupię za nie kilka plasterów wędliny w drogich delikatesach.

Teraz poczułam się winna. Pierwszy mówca miał rację, wydawało się, że Natto zwraca się wprost do mnie.

Nagle zamilkł. Zamarł. Potem znów chwycił oburącz mikrofon.

- To wcale nie jesteś ty! - wykrzyknął.

Wszyscy wyprostowali się czujni i gotowi.

- Skąd o tym wiem?

Po prostu stał tam.

- Skąd wiem? Skąd o tym wiem?

Kobieta trzymająca pudełko na kolanach wolno pokręciła głową w jedną, a potem w drugą stronę. Była jak sparaliżowana.

- Ponieważ jesteś tutaj - powiedział. - Wielu ludzi wynajduje tysiące wymówek, aby nie iść do kościoła. Dziś niedziela, cały tydzień pracowałem, jestem zmęczony.

Natto przybrał smutny wyraz twarzy.

- Dziś mój ulubiony program, nie chciałbym go przegapić. Cierpię na egzemę, to za mnie powinni się modlić. Mój pampers przecieka. Boli mnie noga. Syn ma urodziny. Czy pamiętacie, że kiedy byliśmy dziećmi, to w niedzielę wszystko było zamknięte?

Kilku słuchaczy pokiwało głowami.

- Ja pamiętam. Wtedy nie było wymówek. Teraz w niedzielę możesz wybudować willę z basenem i placem zabaw. Twoje dzieci mają trening, a klub książki spotyka się o trzeciej. Nie możesz iść do kościoła!

Rozejrzał się po sali. Wydało mi się, że na ułamek sekundy nasze spojrzenia się spotkały, ale jego wzrok nigdzie nie zatrzymywał się na długo. Czułam, i to bezdyskusyjnie, że jestem w mniejszości. Nie ze względu na rasę, choć tu akurat mój kolor skóry należał do mniejszości. Bardziej jednak wyróżniał mnie wiek, byłam jedną z najmłodszych. Dostrzegłam jeszcze

szesnasto- może siedemnastoletniego Latynosa, który siedział u boku potężnej kobiety.

- Przyszliście tutaj. Nie szukacie wymówek. Zależy wam. Poświęćcie godzinę lub dwie ze swojego czasu. Bóg was szanuje!

Natto przerwał.

- Bóg! CIEBIE! Szanuje!

Ktoś kichnął.

- Bóg cię błogosławi. Ciebie i ciebie, i ciebie. - Natto wskazał na kilkoro z zebranych. - Kiedy zaś stąd wyjdziecie i rozdacie ulotki, zachęćcie więcej ludzi do przyścia i będziemy wszyscy rozmawiać o słowie bożym. Ale nie tylko. Bo będziemy działać, nie tylko mówić. Kiedy zaś poprosicie o datki na kościół, na jego rozwój, aby Słowo Boże niosło się w świat, a pomoc dotarła do potrzebujących, to kiedy rozwiniemy skrzydła, nikt nie będzie wymawiał się od spotkań. Ludzie z dumą będą tu przychodzić. Z dumą będą dawać. Z dumą będą służyć wedle własnych możliwości. A Pan będzie ich szanował.

Ktoś zaczął klaskać, kilku kolejnych dołączyło i nagle salę wypełniły brawa. Zauważyłam przedmówcę Eppiego, który stał na schodkach po lewej, i od razu wiedziałam, że to on rozpoczął lawinę oklasków.

- Kocham wam wszystkich - ciągnął Natto. - Obecność tutaj to wasza ofiara dla Boga. W zamian za to On wam daje swoją miłość. Poświęćcie czas, angażujecie serca, aby tu przyjść. Przy wyjściu będziecie mieć okazję do złożenia datków i zabrania ulotek, aby zachęcić innych wiernych. Naszym głów-

nym celem jest wiara, ale nie brak też w naszej misji konkre-
tów. Nie jesteśmy kościołem, w którym przez godzinę modlimy
się za biednych, żeby potem w domu rozkoszować się dese-
rem. W naszym kościele uczymy się działać zgodnie z wolą
Boga. Szanuję was, bo tu jesteście!

Znów jako pierwszy zaczął klaskać Eppie. Tym razem nie
spuszczalam go z oka. A po nim ruszyła kolejna lawina braw.
Natto przeszedł do bardziej konkretnych rozważań. Tematem
na dziś było ubóstwo. Na końcu jednak i tak poprosił o datki.
Smutne, że nie dało się założyć kościoła z altruistycznych po-
budek. Na stołach w głębi leżały blankiety zamówień na mają-
cą się wkrótce ukazać książkę Natto. Kosztowała 12,95. Ep-
pie i jeszcze kilku innych zbierali zamówienia i pieniądze.

Zauważyłam też stos formularzy członkowskich, które rów-
nież zachęcały do otwarcia portfeli. Okres próbny kosztował
dwadzieścia pięć dolarów. Można oczywiście było się przyłą-
czyć za darmo, ale po uiszczeniu składki otwierały się możli-
wości uczestnictwa w spotkaniach grup: biblijnej, dyskusyjnej,
dla młodzieży i dla osób samotnych.

Joe Natto zniknął. Na tyłach sali wpadłam na Tonsurogłowe-
go, od którego dostałam żółtą ulotkę. Bez dwóch zdań był sa-
motny. Nie przyprowadził dziewczyny ani syna. Złożył na pół
jednodolarówkę i wsunął ją w szczelinę skrzynki, potem wy-
szedł. Chciałabym poznać historię jego życia. Dziwne. Dwa
miesiące temu żyłam w przekonaniu, że jestem jedyną samot-
ną osobą w całym Nowym Jorku. Im więcej wychodziłam, tym
więcej zauważałam ludzi w podobnej sytuacji życiowej. Każdy
miał jakiś problem. Nikt nie był do końca normalny. To mnie od

nich różniło. Jestem chyba jedyną normalną samotną osobą. Dlaczego?

Uświadomiłam sobie, że nie mogę tak po prostu wyjść. Kierował mną przecież ukryty cel, czyż nie? Zamierzałam zdemaskować Natto. Chciałam stanąć i krzyknąć:

- Jesteś tu tylko po to, żeby wyłudzić kasę na wydanie książki! Przyznaj się, grafomanie!

Miałam ochotę podejść do każdego, żeby namówić ich, by bezpośrednio ofiarowali pieniądze potrzebującym dzieciakom. A jeśli wiara w Josepha Natto naprawdę poprawia tym ludziom samopoczucie?

Po raz kolejny wymiękłam. Szukałam powodu, aby nie zaszkodzić Natto. Ciągłe mi się to zdarzało. Nie zrobiłam ani jednego kroku, by ujawnić narzeczonej Matta prawdę o nim, a teraz wahałam się w sprawie kościoła. Rzeczy, które miesiąc temu uznawałam za złe, wydały mi się teraz nie tak straszne. Czy staję się taka sama jak wszyscy? Idę na łatwiznę, a potem usprawiedliwiam się sama przed sobą? Może powinnam przychodzić tu co niedziela, aby chronić niewinnych przed zdzierstwem.

Zresztą nie pogardziłabym też odrobiną edukacji religijnej. Zawsze twierdziłam, że powód, dla którego nie chodziłam do kościoła, był generalnie taki, że uważałam religię za bzdurę. Religia była dobra dla półgłówków. To nie do końca prawda. Mówiąc szczerze, to wstawanie w niedziele na dziewiątą stanowiło dla mnie wielką uciążliwość.

- Carrie!

Odwróciłam się. Kobieta podbiegała do mężczyzny z laską.

- Harry! Pospiesz się, mamy mało czasu!
Mój słuch zaczynał szwankować.

Z powrotem w domu. Promienie słoneczne utworzyły na dywanie świetliste kwadraty. Odwiesiłam palto i zwinęłam się w kłębek na jasnej, rozgrzanej plamie. To było moje ulubione zajęcie, kiedy miałam cztery lata. Szukałam nasłonecznionych miejsc i kładłam się na nich. Miałam wtedy kota, który robił dokładnie to samo. Lubił przychodzić i wygrzewać się w słońcu przy moim boku. Był czarny i nazywał się Północ. Przyjaciele zostawili nam go pod opieką na miesiąc, ale ostatecznie nie było ich przez trzy miesiące i w końcu zaczęłam uważać zwierzaka za swojego. Potem któregoś dnia, gdy wróciłam ze szkoły, już go nie było. Właściciele go odebrali. Kiedy później kładłam się w nasłonecznionych plamach bez niego, czułam się potwornie samotna.

Po odpoczynku na dywanie poszłam do wypożyczalni. Ostatnio opuściłam się w nadrabianiu znajomości klasyki filmowej. Przechadzałam się między półkami, aż wreszcie zdecydowałam się na *Sieć*. Pół godziny zajęło mi znalezienie interesującego filmu. Zmartwiłam się na myśl, że przemysł filmowy nie działa dostatecznie szybko, aby zapewnić rozrywkę podczas moich samotnych wieczorów.

Udało mi się znaleźć jeszcze *Pożegnanie z Afryką*. Wróciłam do domu, położyłam się na brzuchu i obejrzałam filmy jeden po drugim.

Kiedy skończyło się *Pożegnanie*, poczułam się słabo. Było już ciemno. Wyjrzałam przez okno i coś zwróciło moją uwagę.

Moi sąsiedzi z naprzeciwka, Thomas i Jocelyn Guarino, ude-

korowali okna świątecznymi lampkami! Jeszcze nawet nie minęło Święto Dziękczynienia, a oni już zaczęli bożonarodzeniowy sezon. To jednak miły akcent, bo ich gest był z gruntu nieegoistyczny. Lampki świeciły raczej dla nas, sąsiadów, a nie dla nich samych. Tym samym bezgłośnie życzyli nam wszystkim wesołych świąt.

Może bożonarodzeniowy sezon poprawi dla odmiany mój nijaki i mdły nastrój. Może Tom i Jocelyn wyprawia przyjęcie dla sąsiadów i dzięki temu poznam ludzi mieszkających w okolicy.

Cieszyłam się na nadejście świąt. Nie miałam żadnych planów na Boże Narodzenie, poza spotkaniem z ojcem, ale to zawsze był przyjemny czas. Święta pozwalają poczuć się znowu tak, jakbyśmy byli dziećmi.

Nazajutrz moja wyprawa na wieczorne spotkanie w Harvard Club znów prowadziła przez Times Square. Uliczni kanzodzieje nie oszczędzali się, wyławiając z tłumu turystów gotowych do słownych potyczek. Skręciłam na rogu Czterdziestej Czwartej i mój wzrok od razu przyciągnęły bannery z logo Ivy League, powiewające nad markizą nad wejściem do klubu. Wisiała tam też harwardzka, karmazynowa flaga z ogromnym „H” w środku. Fasadę budynku zbudowano z różowej cegły, nie tej pospolitej czerwonej, dziobowatej i chropowatej, ponadto obramowano beżowym kamieniem. Była piękna. Być może ten ulotny moment radosnego zachwytu był dobrą wróżbą. Ubóstwiam stare budynki, ich fasady i wnętrza. Uwielbiam łuszczące się tapety, wysokie okna, okrągłe kryształowe klamki i kolumny w salonach. Zapowiadało się, że to wszystko czeka na mnie w środku.

Podeszłam do frontowych drzwi, które otworzył przede mną portier. Dopadło mnie poczucie winy. Jeszcze nie zapisałam się do klubu, a już mnie oczekiwano.

Wewnątrz przy złotym podium stał łysy mężczyzna w karmazynowym uniformie.

- W czym mogę pani pomóc? - zapytał.

- Przyszłam na przyjęcie.

W odpowiedzi uśmiechnął się i skierował mnie na lewo. Co sobie myślał? Że wejdę nieproszona?

Na ścianach pomalowanych na kolor raczej zbliżony do rubinowego niż karmazynowego wisiały czarno-białe fotografie mężczyzn w garniturach. Minęłam niewielką czytelnię, w której można było dostać kampusową gazetę. Przypomniało mi to, że na ostatnim roku studiów napisałam list do redakcji. Opublikowali wywiad na temat sytuacjonizmu etycznego z profesorem filozofii, który przytoczył łatwo podważalny argument. Wyraziłam się bardzo jasno, że należałoby zamieścić sprostowanie, ale nigdy mi nie odpowiedzieli. Wtedy zadzwoniłam do redaktora, a on poinformował mnie, że zdarza im się zamieszczać erraty, ale tylko przy naprawdę rażących omyłkach, czyli moim zdaniem takiej jak ta. Według niego jednak, kwestia była bardziej złożona. Pewnie redakcja uznała, że prościej będzie zostawić to ewidentne kłamstwo. Czasem nawet ludzie, którzy z zasady bronią prawdy, pragną już tylko spokoju.

Wróciłam na korytarz i ruszyłam w kierunku sali, w której odbywało się przyjęcie. Słyszałam dudnienie basów i kakofonię rozmów. W środku całą przestrzeń wypełniali ludzie w ciemnych strojach, z drinkami w dłoni. Wszyscy rozmawiali.

Nie byłam w stanie wyłonić ani jednego zrozumiałego zdania.

Rozejrzawszy się po przybyłych, poczułam, że nie jestem odpowiednio ubrana. Z pewnością wszyscy stawili się tu zaraz po pracy. Aktówki zwisały niektórym z ramienia. Ile ci ludzie mogli mieć lat? Dwadzieścia trzy?

Mimo, że uznałam, a raczej miałam nadzieję, że niektórzy zjawią się bez znajomych, wszyscy najwyraźniej dyskutowali w kręgu przyjaciół. Jedni stali w kole, inni tłoczyli się przy barze, były także grupy zgromadzone wokół czerwonych kanap.

Gdyby udało mi się stanąć w kącie, tradycyjnym miejscu dla nieśmiałych, mogłabym właściwie ocenić sytuację. Wzdłuż ściany doszłam do rogu pokoju, w którym grupka ludzi przysuwała dwie sofy do stolika.

- Opowiedz o swojej nowej pracy - poprosiła chłopaka długowłosa dziewczyna.

Obok obściskowała się jakaś para. Uświadomiłam sobie, że osiem osób siedzących na kanapach jest z mojego rocznika, a nie znałam ani jednej. Pewnie na Harvardzie studiowały tysiące ludzi, których nawet nie spotkałam. Ojciec zapytał mnie pewnego razu, czy nie byłabym szczęśliwsza na mniejszej uczelni. Nie byłam pewna, co lepsze. Studiowanie z tysiącami obcych ludzi czy kameralna uczelnia dla maksymalnie czterystu osób, spośród których z żadną nic mnie nie łączy. Przecież akurat ci, z którymi mogłabym się zaprzyjaźnić, mogli krążyć wśród tysięcy studentów innych uniwersytetów.

Zamieniłam się w obserwatora. W sali panował półmrok, a zapach papierosowego dymu mieszał się z różnymi perfumami. W Nowym Jorku było stanowczo zbyt wiele pachnideł.

Ich próbki załączano nawet w gazetach.

Najbliżej stojąca grupka ludzi, w większości mężczyzn, słuchała opowieści dziewczyny, która potrafiła wszystkich rozbawić do łez. Byłam pod wrażeniem jej umiejętności. Potrafiła skupić uwagę czterech mężczyzn jednocześnie. Na jej miejscu puściłyby mi nerwy. Rozlałabym drinka albo potknęła się o własne buty. Podeszłam bliżej, żeby ją słyszeć.

- Wtedy powiedziałam im, że nie będę biernym świadkiem niszczenia najlepszej rzeczy, jaka im się w życiu trafiła. Dlatego krzyknęłam: oddajcie mi tego pieprzonego glinianego Garfielda!

Salwy śmiechu. Nie miałam pojęcia, o co dokładnie chodziło, ale rozbawiła mnie i podeszłam jeszcze bliżej. Moja koleżanka Nora była na studiach mistrzynią wtapiania się w ludzkie kręgi. Jeden chłopak z naprzeciwka zaczął rzucać mi dziwne spojrzenia. Pozostali traktowali mnie jak powietrze. Postanowiłam policzyć do dziesięciu. Jeśli nikt w tym czasie się do mnie nie odezwie, odejdę. Dłuższe oczekiwanie byłoby zbyt upokarzające.

Nikt się nie odezwał.

Wróciłam do kąta. Rozejrzałam się. Nikt do mnie nie podchodził. Pogrzebałam w torebce, znalazłam wydruk z bankomatu, zmięłam go, aby później wyrzucić. Jeszcze raz rozejrzałam się. Wciąż nikt nie zmierzał w moim kierunku.

Zeskanowałam ciemny, wypełniony ludzkim gwarem pokój. Nie brakowało nawet kujonów w grubych szklach, z pokrzywionymi plecami, którzy brylowali w gronie znajomych. Byłam wyrzutkiem nawet wśród przegranych. Zauważyłam na podłó-

dze brudny, podeptany formularz członkowski. Podniosłam go.

Kiedy przeczytałam całość, zerknęłam nad kartkę. Podobno tyłu mężczyzn narzeka na brak partnerek, a nikt z obecnych nie zamierzał wykorzystać tej sytuacji: podejść do dziewczyny samotnie sterczącej w kącie. Nikt nawet nie spróbował.

Muzyka zrobiła się jeszcze głośniejsza. Od dymu łzawiły mi oczy. Bębenki w uszach pękały. Jak oni wszyscy potrafią dyskutować w tym hałasie? Na pewno jednak nie zamierzali zawierać nowych znajomości. Niby po co? Byli podobni do siebie, więc nie musieli zawracać sobie głowy mną czy kimkolwiek innym? Jak kogoś wyróżnić? Skąd mieć pewność, że łączyłyby nas wspólne zainteresowania? To miała być impreza integracyjna, a wyszło jak zwykle, kolejne spotkanie starych znajomych.

Utorowałam sobie drogę do baru. Przy kontuarze stało już kilka osób ponagających barmana dłońmi. Potrącana ginęłam w tłumie. Musiałam zaprzeć się łokciami, żeby mnie nie wyrugowali z miejsca przy kontuarze. Wreszcie barman zapytał, co mi podać. Zazwyczaj zamawiałam wodę na znak protestu przeciwko skandalicznie wysokim cenom drinków. Byłam jednak poirytowana, dlatego pozwoliłam sobie na czerwone wino, choć kosztowało aż osiem dolarów. Z kieliszkiem w dłoni poczułam się nieco lepiej. Nie rozmawiam z nikim, bo piję, oto wytłumaczenie. Koniec kropka.

Musnęłam ustami brzeg kieliszka i rozejrzałam się wokół. Zauważyłam, że od czasu do czasu ktoś schodzi na dół po schodach i znika. Po czwartym takim przypadku postanowiłam sprawdzić, co się tam dzieje.

Z trudem torowałam sobie drogę wśród roju garniturów, ale wreszcie zeszałam na dół. Znalazłam się w przytulnej, wyłożonej wykładziną poczekali przed toaletami. Pięć kobiet czekało do damskiej, a tylko jeden mężczyzna stał przed drzwiami męskiej łazienki. Typowe. Zająłam swoje miejsce w kolejce. Przypomniało mi się, jak w szkole podstawowej ratowałam się ucieczką do toalety, by uniknąć nieporęcznych sytuacji towarzyskich. Nienawidziłam, kiedy nauczyciele prosili, żeby usiąść w parach, wybrać drużynę i tak dalej. Dzieciaki grupowały się automatycznie niczym cząsteczki w reakcji chemicznej, a ja zawsze zostawałam sama jak palec. Wtedy szłam do łazienki i na chwilę siadałam na sedesie.

Teraz w Harvard Club mój wysiłek socjalizacyjny po raz kolejny okazał się fiaskiem.

Zauważyłam, że mężczyzna stojący przed drzwiami męskiej toalety nie wszedł do środka.

Stał oparty o ścianę z założonymi rękami i wzrokiem wbitym w podłogę. Wyglądał na przygnębionego. Niewysoki, miał jasne, lekko falujące włosy i spłaszczony nos. Widziałam, że inne dziewczyny patrzyły na niego z góry, bo był niski. Może znalazł się na dole z tego samego powodu co ja – chciał umknąć przed tłumem.

Dziewczyna na początku kolejki weszła do środka. Wkrótce moja kolej. Musiałam wymyślić, jak go zagadać, i to szybko. Uśmiechnęłam się do niego.

Odwzajemnił uśmiech, ale szybko odwrócił wzrok. Na pewno nie zadzierał nosa, był zwyczajnie nieśmiały. Mnie też pewnie często brano za snobkę, choć też zazwyczaj byłam onie-

śmielona.

- Tu wreszcie można odetchnąć - zagadałam go.

- To prawda.

- Ukrywasz się? - zapytałam.

- Na chwilę.

Zamilkliśmy oboje.

- Brałeś już udział w imprezach w Harvard Club? - zapytałam.

Pokręcił głową.

- Jestem tu pierwszy raz.

- Wydaje się w porządku - powiedziałam i uśmiechnęłam się.

- Tak, to prawda - potwierdził.

Odwzajemnił uśmiech.

- Pewnie lepiej w domu - stwierdziłam.

Wtedy z toalety wyszła dziewczyna i zwróciła się do chłopaka:

- Gotowy?

W odpowiedzi kiwnął głową.

- Do zobaczenia - pożegnał się ze mną i oboje zniknęli na schodach.

Poczułam się jak kretynka. Weszłam do łazienki w idealnym momencie i szybko przekręciłam kluczyk. Usiadłam na sedesie, utkwiłam wzrok w bazygrołach i rysach, które szczelnie wypełniały beżowe drzwi. Wpatrywałam się w nie tak długo, aż wszystko rozmyło się w jedną jasnożółtą plamę.

Czemu byłam aż tak głupia, żeby pomyśleć, że ktoś na tym świecie jest równie samotny, jak ja?

Już wcześniej zauważyłam, że ostatnio zdarzało mi się spo-

tykać mnóstwo odludków podobnych do mnie, ale każdy z nich był na swój sposób frapujący: właściciel mojego mieszkania – stary lubieżnik; łagodny i łysy staruszek; Ronald Nieśmiały Portarganiec. Ani jeden nie wydawał się normalny. Może mnie też brakowało piątej klepki. Może coś we mnie szwankowało, tylko nie byłam tego świadoma. Gdybym popadła w obłąd, to przecież nie wiedziałabym o tym, prawda? Z definicji, nie powinnam. Wariaci są nieświadomi własnego stanu, bo inaczej zmieniliby swoje zachowanie. Uważają, że wszystko jest z nimi w najlepszym porządku, a problemy dotyczą innych. Podobnie jak ja. Twierdziłam, że jestem zdrowa psychicznie, a czepiałam się całego świata.

Tak na marginesie, Unabomber również ukończył Harvard, był wybitnie uzdolniony i myślał, że ma odpowiedź na wszystko. Naprawdę sądził, że słusznie robi, wysyłając ładunki wybuchowe pocztą. Żył w przekonaniu, że nikt nie rozumie wagi jego działań, które według niego są konieczne.

Czy zwariowałam? Jeśli tak, to co powinnam zrobić?

Wystraszyłam sama siebie. Może siedzenie na sedesie i snucie podobnych rozważań to kolejny dowód potwierdzający moje zaburzenia.

Kwestionowanie własnej kondycji psychicznej mogło jedynie oznaczać, że jednak nie zwariowałam. Tylko zdrowy człowiek ma wątpliwości.

Prawdopodobnie Unabomber nigdy nie podejrzewał się o chorobę psychiczną. Gdyby jednak poddał swoje postępowanie logicznej analizie, to okazałoby się, że wiele elementów nie pasuje. Ja nie raniłam ludzi swoim działaniem. Skąd jednak

pewność, że kierowałam się logiką? Moje zasady nie wzięły się z podręcznika. Po prostu postanowiłam tak właśnie żyć. Petrov pewnie powiedziałby, że jestem zaburzona. Nie zlecił mi jednak żadnych leków. Tak, wszystko dobrze. Muszę się tylko uspokoić.

Postanowiłam wyjść z toalety z podniesioną głową. Co z tego, że tutejsze roboty nie chcą mieć ze mną nic wspólnego? Dowodzi to tylko, że miałam całkowitą rację, spędzając tyle czasu zamknięta w swoim mieszkaniu.

Weszłam na górę i, lawirując między atakującymi mnie łokciami, dotarłam do drzwi.

Kalejdoskop barw rozświetlał Times Square: purpura, pomarańcz, błękit. Ciekawe, jak się tam pracuje, kiedy fale różu czy zieleni nieustannie rozlewają się po twoim biurku. Zeszłam do metra, wróciłam do domu. Z dala od tłumów, hałasu i dymu poczułam się dobrze.

Wyszłam przez okno na zewnątrz i usiadłam na schodach przeciwpożarowych z pamiętnikiem w ręce. Wiatr niósł zapach palonych liści. Głęboko wdychałam powietrze.

Siedziałam na zimnej metalowej kratce. Świecił księżyc. Zawsze lubiłam widok z okna na podwórze. Nie znajdowało się tam nic poza tyłem przeciwległego budynku, nie miało to jednak znaczenia. Nie był to bynajmniej wymuskany krajobraz odświeżonych fasad, a raczej miszmasz kamienia i cegły, betono-metalowa dżungla w stanie niezmienionym od stulecia. Na większości schodów przeciwpożarowych zawieszono tabliczki informujące, że zastawianie przejścia grozi grzywną. Ciekawe, czy kiedykolwiek to egzekwowano.

Moje nozdrza uderzył smakowity zapach sosu pomidorowego. Ktoś na dole przygotowywał kolację. Wciągnęłam zapach nosem. Zastanawiałam się, czy byłabym w stanie odnaleźć tę osobę i zapukać do jej drzwi. Czy zostałabym zaproszona na posiłek? To by było miłe. Mogłoby się okazać, że to moja dawno niewidziana daleka ciotka. Spędziłybyśmy długie godziny na rozmowie, nadrabiając zaległości.

Mogłabym napisać o tym w moim dzienniku. Albo nawet stworzyć na tej podstawie opowiadanie. Nigdy nie udało mi się napisać nawet najkrótszej noweli od początku do końca. Na studiach też nie. Teraz moje palce ścierpły z zimna, nie dało się pisać. Trzymając notes między kolanami, postanowiłam tylko posiedzieć. Zatopiłam się we własnych myślach.

Przyjęcie w Harvard Club miało być moją przepustką do świata bystrych ludzi. Okazało się porażką. Ale wystarczyłby jeden człowiek, żeby wszystko zmienić. Gdybym na studiach spotkała jedną osobę, w której towarzystwie dobrze bym się bawiła przez cztery lata, moje życie potoczyłoby się inaczej. We dwoje, jako szczęśliwi, zadowoleni z siebie ludzie, moglibyśmy przyciągać innych jak magnes. Gdybym na dzisiejsze przyjęcie przyszła z osobą, która spędziłaby ze mną cały wieczór, przyłączanie się do innych nie stanowiłoby problemu.

Niestety nie znałam takiej osoby.

Epizod toaletowy z chłopakiem w roli głównej przypomniał mi równie fatalne zażenowanie, które było moim udziałem na pierwszym roku studiów. W jednym z barów na kampusie zorganizowano imprezę, postanowiłam się na nią wybrać. Wnętrze wystylizowano na elegancki, akademicki lokal z ciemny-

mi, drewnianymi belkami w ścianach i wysokimi oknami o zasłonach do samej ziemi. Niektórzy siedzieli przy stolikach, inni kręcili się lub okupowali szwedzki stół. Wyglądało na to, że nikt nie był sam. Nie widziałam też nikogo znajomego. Postanowiłam zająć mały, wolny stolik obok stołu z przekąskami. Liczyłam, że dzięki temu ktoś się do mnie dosiadzie.

Siedziałam, patrząc na ludzi, z podbródkiem wspartym na złączonych dłoniach, gotowa do interakcji. Z boku przy stoliku siedziało trzech chłopaków i jedna dziewczyna. Kątem oka zauważyłam, że siedzący najbliżej, zamiast słuchać znajomych, spogląda na mnie. Udałam, że nic nie zauważam, i dalej siedziałam ze wzrokiem wbitym w przestrzeń, ale byłam świadoma jego obecności.

Znów na mnie popatrzył. Nie odrywałam spojrzenia od szwedzkiego stołu.

Kolejny rzut oka w moją stronę.

Zastanawiałam się, co powinnam zrobić. Wyjęłam kosmyk włosów zza ucha, gdyż w ten sposób prezentowałam się znacznie lepiej. Upewniłam się, że stolik zakrywa moje stopy, bo włożyłam paskudne stare buty (przykro mi, ale spacer w szpilkach nie były dla mnie).

Nie spuszczałam wzroku z przekąsek.

Wreszcie ten chłopak delikatnie klepnął mnie w ramię.

- Cześć - przywitał się.

Uśmiechnęłam się.

- Czy mogę wziąć to krzesło?

I zabrał wolne krzesło od mojego stolika. Potrzebowali go dla nowo przybyłej koleżanki.

Byłam żalosna.

Ciekawe, czy kiedyś ktoś dla mnie przyniesie krzesło?
A może całe życie będę używać miejsc innym?

Wciąż się nad tym zastanawiam.

Czy to możliwe, że nikt w całym Nowym Jorku nie jest w podobnym położeniu jak ja?

Każdy potrzebuje punktu zaczepienia. Muszą przecież istnieć ludzie, którzy niedawno się tu wprowadzili i nikogo jeszcze nie znają. Jak zawierają nowe znajomości? Może znają sekret nawiązywania przyjaźni. Musieli tego uczyć w jednej z tych trzech klas, które przeskoczyłam.

Może za mało wychodziłam. Może Petrov ma rację. Może, żeby nabrać obycia, powinnam się zmuszać do udziału w wydarzeniach towarzyskich, których na studiach unikałam jak ognia. Zgoda, dzisiejsze przyjęcie najwyraźniej skusiło samych yuppie, ale na następne mogą przyjść nieśmiali samotnicy w moim typie. Nie mogę poddawać się tak łatwo. Czekają mnie kolejne wyjścia i imprezy. Potrzebuję tylko jednej przyjaznej osoby, z którą mogłabym zacząć rozmawiać, wtedy inni pojawią się już z automatu.

Ale na samą myśl, że miałabym przejść przez to raz jeszcze, cierpła mi skóra.

Czemu tak bardzo boję się imprez? Nie wiązało się to przecież z moim kodeksem moralnym. Sporo ludzi ma fatalne morale, ale nie tu leży przyczyna moich trudności w nawiązywaniu kontaktów.

Może przyjęcia budzą we mnie popłoch, bo niosą ryzyko.

To chyba właściwe wytłumaczenie. Brakowało mi doświad-

czenia towarzyskiego. W szkole nauczyciele mnie lubili i uważali za mądrą. Mieli okazję poznać mnie lepiej dzięki mojej pracy. Wystarczyło posiedzieć w domu nad zadaniami domowymi i zyskiwałam ich przychylność. Miałam wszystko pod kontrolą. Dlatego koncentrowałam się na zdobywaniu dobrych stopni z testów, bo było to istotne. Kiedyś.

Teraz nikt nie dba o takie rzeczy. W barze czy na imprezie mogę dać się poznać dopiero w rozmowie. Nie wiem jednak, jak ją zacząć.

Może powinnam zacząć słuchać Petrova. Miał kilka pomysłów.

Nie musiałam głośno przyznawać mu racji. Wystarczyło się nimi zainspirować.

Ciężko jednak było mi się zmusić do działania. A jeśli moje najgorsze obawy okażą się słuszne i nigdy nie nauczę się wchodzić w relacje z ludźmi?

W tym momencie na zimnej kratce schodów przeciwpożarowych zalała mnie fala optymizmu. Uświadomiłam sobie jeden szczegół.

Zagadałam do chłopaka w łazience.

No dobrze, miał dziewczynę i rezultat był upokarzający, ale umiem rozmawiać z nieznajomymi.

Muszę robić to częściej. Rozmawiać z ludźmi. Prędzej czy później to zadziała.

Podniosłam się. Było mroźno. Mogłam rozejrzeć się za Cy. Robił dobre wrażenie, wydawał się raczej uroczy niż obłudny. Nie siedział jednak na swoich schodach przeciwpożarowych. Byłam jednak pewna, że się wkrótce spotkamy.

Moje przeczucie nie miało racjonalnych podstaw, mimo to uczepiłam się go kurczowo. Podejrzewałam, że dla osoby stro- niącej od narkotyków, dalekiej od upojenia alkoholowego czy zauroczenia miłosnego pozostaje tylko jedna rzecz. Nadzieja. Świat przecież nie może być taki, jaki się wydaje. Tym, którzy stracili wszelką nadzieję, pozostawały jeszcze antydepresanty.

Wieczorem zadzwonił Matt i umówiliśmy się na kolację na- stępnego dnia. Byłam strasznie podekscytowana. Miałam ochotę tańczyć po pokoju. Tylko dlaczego? Przecież nie mo- głam się z nim związać. Byłaby to potworna podłość. Odrywa- łam jego myśli od Shauny, to jej powinien poświęcać całą swoją uwagę.

Powinnam zrobić to, co planowałam na samym początku, czyli odszukać ją i wyznać całą prawdę. Albo przynajmniej umówić się raz jeszcze z Mattem, żeby się pożegnać. Ale polu- biłam go. Dobrze się z nim bawiłam. Dlaczego zatem miała- bym zrezygnować z miłego wieczoru w jego towarzystwie? Inni nie mają podobnych skrupułów. Dlaczego miałabym brać na swe barki odpowiedzialność związaną z prostowaniem ży- cia ludzi jego pokroju?

Może powinnam pójść na całość. Shauna jest szczęściarą. Nigdy na przyjęciu nie stała w kącie ze wzrokiem wbitym w wydruk z bankomatu. Żaden psycholog nie przygotował dla niej listy wpierającej jej proces socjalizacji. W Święto Dzięk- czynienia nie siedziała samotnie w domu dlatego, że jej jedno- osobowa rodzina spędzała ten czas w Luksemburgu. Wybrała odpowiednie szkoły, dzięki temu jej życie układało się normal- nie. Wszystkie elementy układanki znalazły się na swoich miej-

scach. Wygrała wakacje marzeń, nowy samochód i liczne nagrody. Podczas gdy ja nie miałam nic. W zamian za dziewiętnaście lat dobrego sprawowania dostałam wielkie nic. Przepraszam.

Takie myślenie było jednak głupie. Na podobne zmartwienia jeszcze przyjdzie czas, mogłam poczekać przynajmniej dziesięć lat. Dlaczego tak szybko się poddaję? Bo najfajniejszy facet z anonsów „Weekly Beacon” jest zaręczony.

Na pewno w odpowiednim momencie podejmę właściwą decyzję. Pozostało mi jednak niewiele czasu.

Aby sprawdzić, czy mam tylko Matta, wyciągnęłam numery telefonów do Michaela i Adama, którzy odpowiedzieli na moje ogłoszenie. Zadzwoiłam do obydwóch, ale nikt nie odbierał. Tym razem nagrałam się na ich pocztę głosową.

Okolo jedenastej wieczorem zadzwonili z agencji z propozycją nocnej pracy w nieznaney mi firmie prawniczej. Było późno, dlatego przysłali po mnie taksówkę. Na miejscu usadzili mnie z jedną starszą panią przy stoliku stojącym w centralnym miejscu biblioteki. Półki wypełniały prawnicze pozycje, a kaloryfery grzały na potęgę. Przez dwie godziny tylko wpatrywałyśmy się w siebie, wsłuchane w szum odległej lodówki albo kseropiarki. Powierzone zadanie wykonałam w dwadzieścia minut, potem odesłano nas do domu.

O drugiej w nocy z tylnego siedzenia taksówki wpatrywałam się w okna, w których paliły się światła. Po raz kolejny poczułam się częścią niewielkiej, sekretnej wspólnoty ludzi nieśpiących o tej porze. Choć nie widziałam żywego ducha. Jedynym śladem obecności innych były światła w oknach. Na niektórych

parapetach stały doniczki, na innych środki czyszczące, do kilku szyb przyklejono najrozmaitsze dekoracje, zdarzyło się też kilka zakratowanych okien. Wszystkie jednak łączyła cicha i senna poświata.

Świat jest piękny. Należy tylko skupić uwagę na pełnych uroku drobiazgach.

Matt wyglądał na zdenerwowanego. Umówiliśmy się w Pel-lerico's o siódmej. Nie zauważył, że już czekam przy stoliku. Zatrzymał się tuż przy wejściu i przyglądał się swojemu odbiciu w przytwierdzonej do ściany metalowej płycie. Zaczesawał dłońmi włosy do tyłu. Nagle mnie zauważył. Musiał się poczuć niezręcznie.

Kiedy podano nam menu, powiedział:

- Wiesz, że nie piję, ale jeśli sama masz ochotę na drinka, nie krępuj się.

- Myślę, że kieliszek wina dobrze mi zrobi - stwierdziłam.

- Proszę lampkę białego wina - zwrócił się do kelnera i wtedy uświadomiłam sobie, że jego wiedza na temat trunków musi być znacznie uboższa od mojej. To było dość osobliwe spostrzeżenie.

- Jak w pracy? - zapytał.

- Nudy.

Nie był pewien, czy mówię szczerze.

- Żadnych błędów? - uśmiechnął się. - Czy to źle z twojego punktu widzenia? Stresuje cię to?

-Tak - przyznałam. - Znacznie bardziej wolę wyłapać choć kilka błędów. To straszne z mojej strony, wiem. Kiedy jednak nic nie zauważę, to boję się, że niedostatecznie dobrze się

przyłożyłam.

- Jasne - powiedział.

Nie cierpiałam tego słowa. W ten sposób zazwyczaj odpowiadają ludzie, kiedy nie rozumieją żartu albo nie mają nic do dodania. Na dokładkę Matt powtarzał pod nosem nazwy dań. Zirykowałam się. Chyba to dobrze, że nie miałam chłopaka. Jak można spędzać tyle czasu z osobą, w której masa drobniaków doprowadza cię do szaleństwa? Może mam mniejszy poziom tolerancji niż cała reszta.

- Co bierzesz? - zapytał.

Nie cierpiałam, kiedy inni sugerowali się zamówieniem drugiej osoby.

- A ty?

- Ty pierwsza.

- Nie, ty.

- Ty.

- Ty.

- Ty.

- Ty.

Matt zakrył uszy dłońmi i powtórzył głośno:

- Ty, ty, ty, ty, ty!

Rozśmieszył mnie i znów go lubiłam. Pojawił się kelner.

- Potrzebują państwo więcej czasu?

- Nie, nie trzeba - odpowiedziałam. - Ty pierwszy, kochanie.

Posłałam mu słodki uśmiech.

- Nie, ty, nalegam - droczył się ze mną.

- Zamówię po tobie - uparłam się.

Pokonany Matt tylko westchnął.

- Proszę... penni na wódce. Czy w smaku bardzo czuć alkohol?

O matko! Jedną z najlepszych rzeczy w dorastaniu z ojcem w wiecznej podróży służbowej było częste stołowanie się na mieście. Podobne doświadczenie najwyraźniej było mu obce.

- Praktycznie nie czuć - poinformował go kelner. - Wódka jest jednym ze składników sosu.

- Doskonale.

- Poproszę kanapkę z mozzarellą i pieczarkami portobello - zamówiłam.

- Z mozzarellą - przedrzeźniał mnie Matt.

- Nic nie poradzę, że wymawiam to poprawnie - odcięłam się, kiedy kelner się oddalił. - A tak na marginesie, nie mówi się „penni” tylko „penne”.

- Mam mętlik w głowie - powiedział.

- Może to u ciebie normalne - odgryzłam się.

- Tylko w twojej obecności.

Zmroziło mnie. W oczach błyskały mu iskierki. Kelner przyniósł koszyk z pieczywem i oboje sięgnęliśmy po chleb. Musieliśmy być zestresowani, bo nim przyniesiono nasze dania, zjedliśmy półtora bochenka. Wyczyściliśmy też dwie białe porcelanowe miseczki ze smarowidłem, które nie było ani masłem, ani kremowym serkiem, tylko czymś pomiędzy.

- Czy ma pani ochotę na jeszcze jeden kieliszek? - zapytał mnie kelner, stawiając na stole talerze.

- Tak, proszę - odpowiedziałam.

- A ja już się najadłem - przyznał Matt, patrząc na swoje danie.

- Pomogę ci.
- Zjesz za mnie mój makaron?
- Powinieneś się napić - poradziłam mu. - Wtedy będziesz miał usprawiedliwienie na mówienie podobnych głupstw.
- Nie ma takiej potrzeby - powiedział, kładąc pod stołem rękę na moim kolanie.

Rozejrzałam się, żeby sprawdzić reakcję innych, ale wszyscy goście byli zatopieni w rozmowach, pożądliwych myślach czy innych tego typu rzeczach.

Uświadomiłam sobie nagle, że namawiam go do picia. Co się ze mną dzieje? Z osoby twardo trzymającej się własnych przekonań zmieniałam się w kogoś narzucającego zdanie innym. W wieku dziewiętnastu lat robię dokładnie to samo, co wszyscy moi dziewiętnastoletni znajomi ze studiów. Może wtedy moim problem było to, że jeszcze nie osiągnęłam wieku, w którym człowiek staje się matolem. Gdy masz dwanaście lat, zaczynają ci rosnać piersi, rok później dostajesz pierwszego okresu, a w wieku dziewiętnastu lat robi ci się woda z mózgu - ten stan utrzymuje się do trzydziestego pierwszego roku życia. To nie może być prawda. Nie mylę się. To znaczy, wtedy się nie myliłam. Przed dzisiejszym spotkaniem zatęskniłam za dawną Carrie. Musiałam pozostać jej wierna. Nikt o nią nie dbał. Walczyła z wszechobecną deprawacją, stojąc na straży prawdy i sprawiedliwości. Dlaczego jednak jako jedyna na tym świecie miała cierpieć? Dawna Carrie nic nie osiągnęła. Jedynymi ekscytującymi momentami mojego starego życia były chwile, gdy balansowałam na granicy: z profesorem, Karą czy z Mattem. Wciąż uwielbiałam bezpieczne i spokojne zajęcia

jak czytanie, wertowanie słowników, filozofowanie i spanie. Zwłaszcza to ostatnie. Matt jest jednak bardzo interesujący. Czy powinnam go wymazać ze swojego życia? Nie wstąpił jeszcze w związek małżeński. Nie łamię więc żadnych zasad.

Wypiłam kolejne wino i zostałam z Mattem, z jednego tylko powodu; zasługiwałam na towarzystwo osoby, która mnie uszczęśliwia. Nie jest żonaty, toteż nikomu nie dzieje się krzywda. Shauna najwidoczniej nie docenia go, wierząc, że złapanie chłopaka to pestka, a samotne dziewczyny są same sobie winne. Poza tym, jeśli zachowanie Matta zasługiwałoby na powiadomienie jego przyszłej żony, to powinnam pomóc mu w realizacji jego planów. Potem mogłabym anonimowo wyjawić jej prawdę o narzeczonym.

Kelner wymienił pusty kieliszek na pełny. Wino zakołysało się, tworząc wklęsły menisk, a potem znieruchomiało. Gasnący zmierzch odbijał się w szkle. Matt nabrał kilka klusek na widelec, ale większość spadła mu z powrotem na talerz.

- Na pewno nie jestem mistrzem w jedzeniu makaronu - powiedział.

- Nie szkodzi. Założę się, że celujesz w innych rzeczach.

Tylko uniósł brwi.

Jedliśmy w milczeniu. Uwielbiałam pieczarki portobello i mozzarellę, ale okazały się niezbyt fortunnym połączeniem, dlatego zepchnęłam składniki z wilgotnego chleba i zjadłam je osobno. Matt wyglądał na zaskoczonego, ale nie komentował. Przed chwilą twierdził, że nie jest głodny, ale szybko pochłaniał makaron. Wręcz z wilczym apetytem.

Jakby czytał w moich myślach, spojrzał na mnie, uśmiechnął

się, a potem wrócił do jedzenia.

Może jeśli spędzimy razem dostatecznie dużo czasu, zerwie z Shauną. Czy nie jestem jednak równie naiwna, jak większość kobiet w podobnej sytuacji? Czy to nie pułapka, w którą wpadamy? Gdyby chciał ją zostawić, już dawno by się na to zdecydował. Z pewnością znał wiele kobiet. Ale żadna z nich nie zamierzała zostać jego zabawką. To jedyny powód, dla którego spotkał się ze mną. Warunkiem jest zgoda, że nigdy nie będę tą pierwszą.

Powinnam przestać. Zaslługuję na trochę zabawy. W imię większego dobra.

- Może deser? - zaproponował Matt z zawadiackim uśmiechem.

- Przecież już nie możesz - zauważyłam.

Zostawił połowę dania.

- Możemy zjeść na pół.

Zerknęłam na menu.

- Lubisz tiramisu?

Wzruszył ramionami.

- Nazwa obięła mi się o uszy, ale nigdy nie miałem okazji skosztować. Co to jest?

- Wilgotny biszkopt z kremem i likierem.

- Wilgotny. Zapowiada się pysznie.

Pewnie wydawało mu się, że jest uroczy. Zamówiliśmy. Po chwili podano nam tiramisu zanurzone w białym kremowym sosie, posypane wiórkami czekolady. Obok położono dwie wysmukłe łyżeczki. Najwyższa ocena za wygląd.

Matt wziął swoją łyżeczkę i zanurzył ją w miękkim biszkop-

towym sześcianie, odrywając puszysty róg.

- Hej, dobre - zauważył.

- Widzisz?

Niesamowite. Nagle to ja, dla odmiany, okazuję się osobą z większym bagażem doświadczeń.

- Najpierw wódka, teraz likier - wyliczył Matt. - Deprawujesz mnie.

- Zazwyczaj bywa na odwrót - powiedziałam. - Jestem wzorem niewinności.

- Teraz też?

- Oczywiście.

Aż zadrżałam, ale jednocześnie byłam niezwykle pobudzona. Kiedy Matt zjadł swoją część, stuknął łyżeczką o stół.

- Dobra robota - ocenił. - To była świetna praca zespołowa.

Podano rachunek, Matt wyciągnął kartę kredytową.

- Chciałabyś zobaczyć księgę pamiątkową z mojej szkoły, z tymi wszystkim durnymi wpisami?

Mimo że nasza znajomość zaczęła się od wiadomego anon-su, wciąż potrzebował pretekstu, by zaprosić mnie do siebie.

- Masz ją ze sobą?

- Nie, jest u mnie w domu.

- Nie mieszkasz czasem z...

- Shauną - dokończył za mnie. - Dziś nie wraca na noc. Pojechała do Jersey do siostry.

Wszystko jasne. Jedynym powodem, dla którego Matt się ze mną umówił, była nieobecność jego narzeczonej. Zamówiliśmy deser, bo w jej towarzystwie nie mógł tego zrobić. Ostatnim razem zaś spotkaliśmy się w meksykańskiej knajpie, za którą

Shauna nie przepadała. Byłam jej dublerką, niczym więcej.

Mieszkanie Matta mieściło się w starej kamienicy z cegły. W holu wyczułam stęchliznę, ale zielony chodnik był czysty, a przed drzwiami jego sąsiadów z parteru leżały puszyste wycieraczki z motywem liści ostrokrzewu. Matt poprowadził mnie na pierwsze piętro.

Wnętrze było urządzone bardzo gustownie. W salonie, w którym biel kontrastowała z czernią, stał stolik kawowy oraz zestaw kina domowego (prezent od jego lub jej rodziców albo znak, że w wieku dwudziestu kilku lat niektórzy mają zbyt wysoką pensję) i wszędzie wisiały wspólne zdjęcia Matta i Shauny. Młodzi i piękni na studniówce. W oficjalnych strojach podczas zakończenia szkoły. Zimą na plaży w bluzach z kapturem.

Popatrzyłam na nią i pomyślałam: doskonale wiesz, z kim spędzisz wakacje. Komu będziesz towarzyszyć podczas urodzin, u czyjego boku będziesz się budzić każdego ranka i zasypiać każdej nocy, z kim zatańczysz na złotych godach. Kiedy zaś jego firma konsultingowa odniesie rynkowy sukces, będziesz promienieć. Znasz wszystkie jego sekrety. Pamiętasz, jakim był nastolatkiem. Razem będziecie iść przez życie, dopóki śmierć was nie rozłączy. Przez całe życie. To ogromny szmat czasu. Czy powinnam im zazdrościć?

- Chodź tutaj! - zawołał Matt i weszłam za nim do sypialni.

Podwójne łóżko było przykryte dzierganą narzutą, na ścianie wisiał ogromny telewizor, a na podłodze piętrzyły się stosy książek. Matt usiadł, na kolanach trzymał otwartą księgę pamiętkową. Materac zapadł się pod jego ciężarem. Usiadłam

obok.

- Ostrzegam, jestem z Jersey - powiedział, wskazując na fikuśne fryzury niektórych dziewcząt.

- Ta chyba musiała mieć perukę - zauważyłam.

- Wydaje ci się, że wygląda fatalnie, to popatrz teraz - powiedział, odwracając stronę.

Roześmiałam się.

- Przeczytaj, jakie wybrała motto - dodał Matt.

Cytat z Bobby'ego McFerrina.

Podobał mi się sposób, w jaki jego palce muskały strony, szybko, a jednocześnie zdecydowanie.

- Dobrze, że z rozwagą wybrała hasło obdarzone głębokim przesłaniem - zauważyłam.

Następna była dziewczyna, której jedna połowa włosów była ciemna, a druga jasna.

- To dopiero ciekawa fryzura - stwierdziłam.

- Była klasową prymuską - oznajmił Matt.

- Nie żartuj.

- Naprawdę.

- Ściemniasz.

- Masz rację, skłamałem - przyznał. - To jest nasza prawdziwa prymuska.

Odwrócił stronę.

- Kolejny alf.

- Uprzedzałem, że pochodzę z New Jersey - przypomniał i popatrzył na mnie. - Podobają mi się twoje włosy. Szczerze.

- To tylko włosy - powiedziałam.

- Są takie naturalne.

Ujął kosmyk moich włosów między kciuk a palec wskazujący i zaczął się nim bawić.

- Uwielbiam gładkie włosy.

Chwycił kolejny kosmyk. Przysunęłam się bliżej. Zaczęliśmy się całować. Nagle przez przypadek spojrzałam na jedno z wielu zdjęć Matta i jego dziewczyny z sąsiedztwa, bo leżało na stojącej nieopodal laserowej drukarce, i od razu zeszywniałam.

- Czas na mnie - oznajmiłam.

- Przestań, noc jeszcze młoda - powiedział, kładąc się na plecach.

- Tak, ale jutro czeka praca.

- Mnie też. Co z tego? Nie mamy zbyt wielu sposobności.

- Tylko w twoim grafiku brakuje miejsca, mój jest całkiem wolny.

Usiadł.

- Wiem, że to nie w porządku - przyznał. - Ale wiesz, jakie są zasady. Zresztą podobno jesteś w analogicznej sytuacji.

- Niestety, rozstaliśmy się z moim chłopakiem. Uznałam, że skoro pociąga mnie inny, to znaczy, że nie jestem z właściwą osobą.

Matt przez chwilę milczał.

- Jesteś młoda - powiedział. - Z czasem nauczysz się, że w życiu nie wszystko jest czarno-białe.

- Może jednak powinno.

-To byłoby miłe - zauważył.

- Smutne, że tak szybko odpuszczasz.

- Wcale nie, właśnie o to chodzi, że z niczego nie rezygnuję.

Problem polegał na tym, że wcale nie miałam ochoty wychodzić. Chciałam, żeby przekonał mnie, bym została. Podobał mi się, poza tym chciałam sprawdzić, czy to naprawdę nikogo nie zrani. Czy to absolutnie bezpieczne dla wszystkich?

- Jesteś na mnie zła? - zapytał.

Ujął koniuszki moich palców.

- Nie mam prawa - odpowiedziałam.

To była prawda. Nie miałam żadnych praw.

- Chodź do mnie - powiedział i wróciliśmy do poprzedniej pozycji.

Jego kilkudniowy zarost łaskotał mnie. Dłońmi sunął wzdłuż moich rąk. Dotarł do ramion, a następnie musnął mnie po szyi i wreszcie oburącz ujął moją twarz. Musiałam to przerwać. Wyrwałam się, nim do czegokolwiek doszło. Obiecał, że zadzwoni za kilka dni.

Niestety, wychodząc, marzyłam o kolejnym spotkaniu. I to jak najszybciej.

Wracając do domu, minęłam na ulicy parę z naprzeciwka. Rozpoznałam ich. Pod wpływem impulsu przywitałam się:

- Cześć!

Wyglądali na zaskoczonych, Tom jednak wymruczał w odpowiedzi:

- Cześć.

Kiedy doszłam do rogu ulicy, obejrzałam się, bo sądziłam, że będą za mną patrzeć, próbując odgadnąć, kim jestem. Bingo. Roześmiałam się. Byli kompletnie zdezorientowani, a potem zirytowani, że ich przyuważyłam. Ruszyłam przed siebie z poczuciem triumfu. Przywitałam się z sąsiadami, to oznacza po-

stęp. Zrozumiałam, że w mojej obecnej sytuacji inicjatywa musi wychodzić ode mnie, inaczej będę skazana na samotność. Niestety każdy krok w kierunku socjalizacji wiązał się dla mnie z wielkim wysiłkiem. Miałam nadzieję, że pewnego dnia będę mieć tylu przyjaciół, że nie będę się musiała zmuszać do zawierania nowych znajomości. Może większość ludzi jest właśnie na tym etapie i dlatego nie zawracają sobie mną głowy. Ich koleżeńskie grono jest dobrane i czują się całkowicie spełnieni pod względem towarzyskim.

Tak właśnie musiało być. Dlatego nikogo nie poznałam na przyjęciu integracyjnym w Harvard Club. Inni już wcześniej utkali gęstą sieć kontaktów i nie byli zainteresowani jej poszerzaniem. Czy nie z tego powodu Matt oświadczył się Shaunie? Może zwyczajnie nie chciał już tracić czasu na szukanie kandydatki na żonę. Czy nie dlatego żaden z moich sąsiadów nie organizował osiedlowej imprezy?

Może każdemu przydałaby się sesja z Petrovem. Lenistwo towarzyskie dotyczy wszystkich, nie tylko mnie. W moim przypadku zresztą jest ku temu dobry powód. Nie miałam ochoty na ciągły kontakt z hipokryzją, kłamstwem i nieuczciwością. Przy okazji nadszedł czas na małe podsumowanie, do czego doprowadziła mnie lista Petrova. Z jej powodu całowałam się: po pierwsze, z zaręczonym mężczyzną, po drugie, z kobietą. Co powinnam zrobić? Trzymać się swojej samotności, tym samym zaprzestając dalszych wysiłków, czy zmusić się do wychodzenia innym naprzeciw przy jednoczesnej rezygnacji z własnych zasad?

Po powrocie do mieszkania rzuciłam się na łóżko z moim no-

wym notatnikiem w rękę. Może rozpisanie moralnych dylematów na papierze pomoże mi w ich rozwiązaniu. Z jednej strony kartki umieszczałam: „dopuszczalne zachowania”, a z drugiej „niedopuszczalne”.

Czy to ma sens? A jeśli w przyszłym roku albo za pięć lat zapragnę rzeczy z drugiej kolumny? Co chcę osiągnąć? Uczniowie drugiej klasy szkoły podstawowej, którym przedstawiało się szkodliwy wpływ palenia i picia alkoholu na zdrowie, automatycznie uznawali używki za zło i na dodatek narzucali innym swoje zdanie. Z czasem jednak ich niechęć słabła. W szkole średniej bezmyślnie sięgali po jedno i drugie. Jako dzieci nie zakładaliśmy, że pewnego dnia, gdy dorośniemy, będziemy zdradzać swojego partnera. Wiemy, że to podłość. Dlaczego zatem, skoro w wieku siedmiu lat potrafimy rozgraniczyć dobro od zła, dwadzieścia lat później mamy z tym problem? Teoretycznie z wiekiem powinniśmy stawać się mądrzejsi, a nie głupszy. Może jednak stajemy się zwyczajnie słabsi.

Nie, wcale nie, prawda? To znaczy, pod względem fizycznym wręcz przeciwnie, bo nabieramy sił. Gdzie indziej jest pies po-grzebany. Może to rzeczywiście sprawka szatana. Czy to nie zabawne, że ostatnie wyjaśnienie okazuje się najbardziej sensowne?

Dobry Boże. Fanatycy religijni mają rację. Całe zło tego świata pochodzi od szatana.

To durne, oczywiście. Jesteśmy w stanie powstrzymać się przed robieniem złych rzeczy. Przed zabijaniem, przed kradzieżą. To jednak ekstremalne przypadki.

Zawsze możemy powiedzieć, że jesteśmy tylko ludźmi. Poza tym...

To zdarza się z wiekiem.
Szatan mnie podkusił.
On mnie do tego zmusił.
Chwilowe zamroczenie.
Codzienne osłabienie.
Za dużo wypilem.
Z winy rodziców w siebie zwątpilem.
Zostałem stworzony, aby się rozmnażać.
Coś mi kazało się powtarzać.
Winię moje włoskie pochodzenie,
katolickie urodzenie,
żydowskie korzenie.
To było moje pięć minut sławy.
Zrobiłem to dla zabawy.
W Europie nie mają z tym problemu.
To zdarza się każdemu.

To trzeba zaśpiewać...

Jestem tylko człowiekiem.
To zdarza się z wiekiem.
Szatan mnie podkusił.
On mnie do tego zmusił.
Chwilowe zamroczenie.
Codzienne osłabienie.
Za dużo wypilem.

Z winy rodziców w siebie zwątpiłem.
Zostałem stworzony, aby się rozmnażać.
Coś mi kazało się powtarzać.
Winię moje włoskie pochodzenie,
katolickie urodzenie,
żydowskie korzenie.
To było moje pięć minut sławy.
Zrobiłem to dla zabawy.
W Europie nie mają z tym problemu.
To zdarza się każdemu.
Krok w prawo i masz wytłumaczenie.
Wyjaśnienie.
Twoje osobiste usprawiedliwienie.
Usprawiedliwiiiiiiiienie!

A mówią, że to bejsbol jest amerykańskim sportem narodowym.

Rozdział 9

Wieczorem po spotkaniu z Mattem spróbowałam po raz kolejny dodzwonić się do Michaela, który odpowiedział na mój anons. Mimo że już zostawiłam mu wiadomość na poczcie głosowej, nie skontaktował się ze mną. Położyłam się na łóżku z telefonem w dłoni i wybrałam jego numer. Tym razem odebrał po trzecim dzwonku. Ewidentnie był obeznany z telefonicznymi regułami, które sama stosowałam. Coś nas łączy. Na dobry początek.

- Czy mam przyjemność z Michaelem? - zapytałam.

- Zawsze - odpowiedział.

Kiepski dowcip. Pierwsza żółta kartka.

- Mówi Heather - przedstawiłam się. - Kontaktowałeś się ze mną... przez „Weekly Beacon”.

- Racja - potwierdził. - Anonse.

Kolejna żółta kartka. Przyznał to wprost, zamiast się nieco krygować, co byłoby właściwszym zachowaniem.

- Więc, co tam? - zapytał.

Dość ogólne pytanie.

- Biorąc pod uwagę, że prawie się nie znamy, oszczędzę ci szczegółów rekonwalescencji Pusi po jej niedawnej operacji.

- Super, masz kota.

- To był żart.

- Ach, przepraszam.

- Tak czy siak, zakładam, że to zawsze bywa dość krępująca. Mówiłeś, że nigdy wcześniej nie odpowiadałeś na anonse.

- Nie za często - uściślił. - Twoje ogłoszenie bardzo się wyróżniało.

- Tak, podstawowym kryterium, które podałam, był wysoki iloraz inteligencji. To dość nietypowo.

Usłyszałam skrzyknięcie, wydawało mi się, że się podniósł, czyli musiał wcześniej leżeć.

- Dużo czytam, więc pomyślałem, że to dla mnie - wyjaśnił.

- Co teraz czytasz?

- To znaczy, nie czytam przez cały czas - poprawił się. - Tylko od czasu do czasu.

- Masz ulubionych autorów?

- Tak, generalnie lubię science fiction.

- A kogo konkretnie?

- Asimova - przyznał z wahaniem.

- Czytałam *Fundację*.

- Naprawdę? Świetna książka.

- Całkiem niezła.

- Super. Dziewczyny zazwyczaj nie przepadają za science fiction.

Przynajmniej nie nazwał mnie „panią”.

Raz punktowałam go na plus, a raz na minus. Wydawał się całkiem normalny, ale niezbyt lotny. Zastanawiałam się, czy to nie ja powinnam wyjść z propozycją spotkania. Pewnie tak, bo odpowiedział na moje ogłoszenie. Nie miałam jednak takiego zwyczaju.

- Moglibyśmy jeszcze kiedyś porozmawiać - rzuciłam.

- Pewnie.
- Warto byłoby się spotkać.
- Może skoczmy na kawę? - zapytał.

A nie mówiłam? Dlaczego to zawsze musi być kawa? Czemu nikt nigdy nie proponuje rozmowy przy soku marchewkowym albo spotkania w miejscu, gdzie serwuje się wyborny napój brzoskwiniowy? Przecież soki owocowe są o niebo zdrowsze niż kawa, a przede wszystkim smaczniejsze. Jeśli kiedykolwiek mężczyzna zaprosi mnie na sok pomarańczowy, wyjdę za niego za mąż.

- To może... - zawahałam się. - Niedaleko mnie jest księgarnia Barnes & Noble, skoro lubisz książki.

- Świetnie - zgodził się. - W następny weekend nie ma mnie w mieście, to może tydzień później?

- W porządku. Sobotnie popołudnie. Może zjemy razem lunch - rzuciłam. - Mają tam dobre kanapki.

- Super.

Księgarnia, którą zaproponowałam, mieściła się przy posterunku policji, dlatego o niej wspomniałam. Przypomniałam sobie historię dziewczyny, która umówiła się z chłopakiem przez internet. To wydarzyło się kilka lat temu w Nowym Jorku. Poszła za nim do jego mieszkania, gdzie rzekomo została związana, zakneblowana i przez kilka godzin przetrzymywana wbrew własnej woli. Chłopak był niegłupi, niedawno skończył studia, spokojny z usposobienia, a proszę, jaki sprawa przybrała finał. Nigdy nic nie wiadomo.

Kiedy się rozłączyłam, w moim pokoju na nowo zapanowała cisza. Jak makiem zasiał. Nawet szum przewodów elektrycz-

nych w ścianach był ledwie słyszalny.

Moje życie wracało do normy.

Ciekawe, czemu A-Adam do mnie nie oddzwonił? Może spał? Podniosłam telefon i wybrałam numer działu ogłoszeń, aby sprawdzić, czy nie pojawiły się nowe odpowiedzi na mój anons. Automat poinformował, że jest jedna. Nagranie ograniczało się jednak do kilku sekund milczenia.

Pomyślałam, że gdybym umarła w swoim mieszkaniu tuż po sesji u Petrova, to nikt przez cały tydzień by się nie spostrzegł. Ojciec mógłby dzwonić, ale gdybym nie odbierała, to spróbowaliby jeszcze raz po kilku dniach. Wtedy dopiero zaczęłyby się martwić. Byłam pewna, że niektórzy ludzie nie mogli zniknąć nawet na kilka godzin, bo od razu ich nieobecność rzucała się w oczy. Byli też tacy, którzy mogli umrzeć w piątkowy wieczór po pracy, a nikt by tego nie zauważył aż do poniedziałku rano. W moim przypadku chodziło o cały tydzień. Czas, kiedy zauważą, że cię nie ma, może być miarą tego, jak bardzo jesteś kochany. W obecnej sytuacji zajmowałam dość niską pozycję.

Szybko nadeszła wigilia Święta Dziękczynienia. Na ulicach już po południu utworzyły się korki. Pewnie ludzie pozwalniali się wcześniej z pracy. Poszłam do marketu oddalonego kilka przecznic ode mnie. Liczyłam na upolowanie pieczonego kurczaka i dzięki temu przygotowanie nazajutrz atrapy uroczystego obiadu. Założyłam, że stoisko z rusztem będzie świecić pustkami, ale nieoczekiwanie musiałam stanąć w długiej, kilkakrotnie zakręconej kolejce, sięgającej aż do mrozonek. Czemu ci wszyscy ludzie chcą podać na świąteczny stół gotowego kurczaka ze sklepu zamiast tradycyjnego, pieczonego w domu in-

dyka? Zwyczajna profanacja. Ja przynajmniej jestem usprawiedliwiona. Czy to możliwe, że ci ludzie spędzają święta w samotności?

Po bacznych zlustrowaniu klienteli miałam co to tego spore wątpliwości. To byli dobrze ubrani, dość poirytowani czekaniem ludzie, często w towarzystwie bliskiej osoby. Może po prostu nie przepadali za indykiem albo zdecydowali się na gotowe danie na dzisiejszy wieczór, żeby uniknąć sterczenia w kuchni. Kto jednak chce jeść kurczaka przed indyczą ucztą, która miała nastąpić następnego dnia?

Wszyscy byli bardzo niespokojni. Pragnienie zrzucenia służbowych marynarek i uciskających stopy szpilek wręcz biło z ich twarzy. Przypomniało mi się, że kiedy byłam małą, rodzice zabierali dzieci do dziadków mieszkających w centrum miast, obecni zaś dwudziesto-, trzydziestolatkowie, zmęczeni miejskim życiem, podczas świąt wracali z potomstwem na przedmieścia, gdzie dorastali, aby z kolei dzisiejsze wnuki mogły pobawić się ze swoimi dziadkami. Podejrzewałam, że ów cykliczny trend będzie się utrzymywał do czasu, gdy miasta całkowicie wchłoną przedmieścia, albo na odwrót, tym samym niwelując wszelkie różnice.

Ruszyłam alejkami w poszukiwaniu sosu żurawinowego, piwa imbirowego, wina (mogłam równie dobrze pójść na całość), kukurydzy, słodkich pianek, batatów i mrożonego zielonego groszku z marchewką. Moje menu nie miało być wiernym odwzorowaniem pierwszego dziękczynnego posiłku spożytego przez pielgrzymów (którzy wbrew powszechnej opinii nie byli purytanami, tylko separatystami – fakt ten nie miał

obecnie większego znaczenia poza tym, że serce się krajało na myśl, że w szkołach wprowadzano dzieci w błąd), ale pierwszego obiadu na Święto Dziękczynienia, który jadłam z moim ojcem. Skończyłam wtedy pięć lat, wcześniej nie obchodziliśmy tego dnia, bo ojciec pochodził z Wielkiej Brytanii i nie miał takiego zwyczaju, dopiero gdy w przedszkolu zaczęto wprowadzać elementy amerykańskiej tradycji, sytuacja uległa zmianie. Tamtego roku z odrysowanych na kartkach dłoni tworzyliśmy indyki, a na wielkiej zielonej kartce w linie wypisywaliśmy, za co jesteśmy wdzięczni. Uczyliśmy się też o pielgrzymach (choć nie mówiono, że byli separatystami), Indianach (których zaczęto nazywać Rdzennymi Amerykanami dopiero wtedy, gdy byłam w drugiej klasie) i o tym, co jedli – na pewno nie był to pieczony w piekarniku drób, z wbitym w pierś termometrem. Po powrocie z przedszkola powiedziałam ojcu, że chciałabym uczcić ten dzień zgodnie z tradycją, wtedy zadzwonił tu i tam. Dzięki serdecznym radom przyjaciół przygotował nam królewską ucztę i z wyjątkiem czasu, kiedy byłam na studiach, powtarzaliśmy ten zwyczaj co roku.

W drodze do domu kupiłam jeszcze kilka kawałków pizzy, żeby zabić głód rosnący na myśl o czekającym mnie nazajutrz kulinarnym szaleństwie.

Następnego dnia, kiedy się obudziłam, wokół było bardzo cicho.

Dobiegł mnie tylko dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi do samochodu oraz odgłosy powitania. Nie warczały autobusy, nie trąbiły taksówki. Wyjrzałam na ulicę, która była tak pusta, że na lśniącej szadzi pokrywającej szosę i chodniki, bo pora-

nek był dość chłodny, odbiło się zaledwie kilka śladów.

Spojrzałam na zegarek. W pół do dziewiątej. Za wcześnie na obiad. Za wcześnie na cokolwiek.

Nie zrobiłam żadnych planów na dzisiejszy poranek. Nie miałam ochoty na telewizję. Dziś w programie można się było spodziewać tylko dwóch rzeczy: rozgrywek sportowych albo transmisji świątecznej parady, która stanowiła część tradycji. Nie przepadałam za nią jednak. Trudno było czerpać przyjemność z oglądania balonu w kształcie Snoopy'ego sięgającego piątego piętra, którego obwód pyszczka wynosił prawie dwa metry, temperatura wnętrza dochodziła do siedmiu stopni Celsjusza, a pompować musiało go aż pięciu ludzi. Sponsoring parad należałoby powierzyć sklepom z taną odzieżą na wagę, a balony powinny dostać twarz Polly Esther i Huzi Pończoszanki. Trasę trzeba by przeprowadzić przez najbardziej snobistyczne osiedla kraju.

Powyższe fantazje nie były jednak w stanie odwrócić mojej uwagi od ogarniającej mnie nudy i poczucia samotności. Poza tym byłam głodna. Burczało mi w brzuchu.

Było zbyt wcześnie na uroczysty posiłek, ale miałam straszną ochotę na mojego soczystego, mięsistego, dobrze przyprawionego i chrupiącego pieczonego ptaka.

Postanowiłam przeprowadzić gruntowne porządki w kuchni, bo moje szafki już dawno nie miały kontaktu ze ścierką. Stałam na stołku, aby zmyć lepkie plamy po keczupie i kółka po butelkach z syropem. To tylko pobudziło mój apetyt.

Wtedy pomyślałam, czemu nie?, jestem w końcu sama. Nie muszę na nikogo czekać z obiadem. Myśl o zjedzeniu obfitego

posiłku o dziewiątej rano może niektórych przyprawić o mdłości, ale nie ma w tym nic szkodliwego. Obnaża to tylko psychologiczny mechanizm uwarunkowań kulturowych. Obrzydzenie budzi czynność zupełnie normalna i bezpieczna dla zdrowia. Choć wcale nie planowałam wprowadzić tego zwyczaju na stałe.

Szybko wyciągnęłam kurczaka z lodówki – przez noc zebrała się pod nim nieokreślona, ale nie do końca odpychająca galareta – i ułożyłam go w brytfance. Wesolutka jak szczygiełek zabrałam się do otwierania puszek z kukurydzą i batatami. Ustawiłam na stole plastikowe miseczki i talerze. Przyniosłam do kuchni przenośne radio i włączyłam ulubioną stację z muzyką klasyczną. Wsłuchana w łagodny głos prezentera, opowiadającego o tradycjach Święta Dziękczynienia, poczułam się szczęśliwa. On też był sam. Teraz jest nas dwoje.

Przez ułamek sekundy pomyślałam o propozycji Kary, żeby wspólnie urządzić święta dla pseudosierot. Ciekawe, czy miała plany na dziś. Ale zbyt szybko cieszył mnie pomysł samotnego posiłku. Jeśli wprawię się w dobry nastrój, nie tak łatwo go odpuścić. Drobne ukłucie poczucia winy podrażniło moje sumienie, ale zdusiłam je falą zadowolenia wynikającego z faktu, że jednak do niej nie zadzwoniłam, bo wolałam być sama. Może za rok uda się pseudosierotom spotkać przy wspólnym stole.

Podgrzałam bataty i słodkie pianki, wstawiłam wodę, aby przygotować nadzienie. Przy talerzu położyłam złożoną serwetkę. Przyprawy do nadzienia wydzielają wyborny zapach.

Oto, moi drodzy, piękno, radość, błogostan, czyli nagroda za samotność! Nie muszę spędzać czterech godzin na kanapie

i w oparach piekącego się indyka czekać na gości, aby po ich przyjsciu umorusaną rękawicą wyciągnąć ptaka z piekarnika. Nie muszę udawać, ze wzrokiem wbitym w telewizor, między transmisją parady a meczem, że nie mam ochoty na pyszne, mięciutkie, białe mięso. Cały ptak jest dla mnie! Tylko dla mnie!

Mogę rozbierać kurczaka na części przez cały dzień. I jeść na śniadanie, obiad i kolację. To jest mój ptak. Tylko mój.

Brzęk sztućców i dzwonięcie kieliszka o talerze komponował się z fortepianową muzyką płynącą z radia. Siedziałam przy ciemnym drewnianym stole, który zabrałam z rodzinnego domu, jak zresztą większość moich obecnych mebli. (Resztę sprzedaliśmy albo rozdaliśmy znajomym). Stół nakryłam różowym obrusem, który jednak zwinęłam, aby popatrzeć na nacięcia i rysy, ślady minionych Świąt Dziękczynienia i innych uroczystości urządzanych w czasach mojego dzieciństwa, bo tylko wtedy, od wielkiego dzwonu, nakrywaliśmy do stołu w salonie. Na co dzień używaliśmy małego okrągłego stolika w kuchni, który później wyrzuciliśmy. Ten duży drewniany mebel był zbyt elegancki. Nacięcia na blacie powstawały w kolejnych latach, w różnych etapach mojego życia, niezmiennie zaś było otoczenie i osoba, z którą mieszkałam. Przesunęłam po nich palcem wskazującym.

Kurczak pachniał wybornie, był miękki i pyszny, znacznie lepszy, niż gdybym go sama przyrządziła. Moja matka podobno świetnie gotowała, toteż istniało prawdopodobieństwo, że odziedziczyłam po niej ten talent, ale nigdy nie miałam szansy tego sprawdzić. Nawet wrodzone umiejętności wymagają

odrobiny natchnienia. Nie czułam potrzeby przyrządzenia krewetek *cacciatore* z fenkułem dla jednej osoby. Nie wiedziałam nawet, jak wygląda fenkuł.

Zjadłam kukurydzę, żurawinę, nadzienie i ziemniaki. Potem pozmywałam i zaległam na kanapie w salonie jak uradowany psiak. Czasem połączenie pełnego brzucha i pustej głowy jest najlepsze pod słońcem.

W południe zadzwonił ojciec.

Życzył mi wesołego Święta Dziękczynienia. Ponownie zapytał, czy ma się skontaktować z jego znajomymi w Nowego Jorku, abym mogła ich odwiedzić. Nie. Chciał wiedzieć, co planuję na obiad.

- Chyba zjem kurczaka z różną, którego kupiłam - powiedziałam. - Także kukurydzę, sos żurawinowy, ziemniaki i nadzienie.

- Widzę, że kontynuujesz naszą tradycję - zauważył. - Chciałbym teraz być tam z tobą.

Czułam, że to nie jest tylko pusty frazes. Ale zastanawiałam się niejednokrotnie, czy jego podróże służbowe nie były mimo wszystko z jego punktu widzenia łatwiejszym rozwiązaniem.

- Może też mógłbyś kupić to wszystko i urządzić sobie świąteczną ucztę w Luksemburgu - zaproponowałam.

- Takie przedsięwzięcie aktualnie mnie przerasta - przyznał. - Jestem jednak ogromnie wdzięczny. Za to, że mam ciebie.

Po naszej rozmowie w mieszkaniu znów zrobiło się cicho. Bardziej niż zwykle, bo nie miałam żadnego powodu, żeby cze-

kać na dzwonek telefonu. Telemarketerzy mieli wolne. Matt na pewno nie zadzwoni. Spędza święta przy stole, w rodzinnej atmosferze, a ja jestem ostatnią osobą, o której by pomyślał.

Miałam tylko książki, filmy i resztki.

Chwilę poczytałam, potem umyłam wannę i zrobiłam porządek na najwyższych półkach w szafie, gdzie kiedyś znalazłam płyty z polkami.

Uświadomiłam sobie, że potrzebuję dźwięków. Poziom ciszy w moim mieszkaniu był zbyt wysoki, nawet jak na moje standardy. Poczułam, że nie dam rady, jeśli czegoś nie usłyszę.

Stałam na krześle i cichutko zanuciłam:

- Aaaaa.

Potem powtórzyłam to samo, tylko głośniej:

- Aaaaa.

Wreszcie wrzasnęłam na całe gardło:

- Aaaaa!!!

Zero odpowiedzi.

Pamiętam, że robiłam podobnie jako dziecko. Kiedy miałam dziewięć lat, przyszło mi do głowy, że każda najdrobniejsza rzecz w życiu, choćby siadanie czy nucenie, jest z góry przewidziana. Gdy tylko o tym pomyślałam, byłam gotowa zniszczyć własne prace, machać ręką, zrobić cokolwiek, byle tylko wypaść z narzuconego kursu. Potem jednak wydawało mi się, że nawet mój nagły ruch wcale nie musi być przypadkowy. Więc zawylałam. Ale uświadomiłam sobie, że to też może być z góry ustalone. Obejrzałam się zatem za siebie. To też mogło być z góry ustalone. Uderzyłam pięścią w stół. I to też mogło być z góry ustalone. Wtedy się poddałam.

Postanowiłam mimo wszystko zadzwonić do Kary. Pewnie siedziała w domu.

Usiadłam przy kuchennym stole i po chwili wahania wybrałam jej numer. Nikt nie odbierał. Przecież mogła mieć plany na dziś. Wszyscy je mieli.

Ja też mogłam mieć. Miałam możliwość złożenia wizyty znajomym ojca. Wybrałam jednak samotność. Bo wcale nie chciałam za wszelką cenę być z innymi ludźmi, moim pragnieniem było spędzanie czasu z tymi, którym na mnie zależy.

Z braku pomysłów usiadłam na kanapie. Postanowiłam wykorzystać wolny czas na rozmyślania. Jak zapisać liczbę mnogą od słowa pendrive? Dlaczego ludzie mają opory przed poproszeniem kogoś o złotówkę, a o papierosa już nie? Pomyślałam także o wielkiej zagadce Święta Dziękczynienia. Czy jest różnica między pochrzynem, czyli jamsem, a batatem? To mogłam sprawdzić od razu. Poszłam po słownik. Definicje okazały się zbyt zawile. W każdym razie to dwie różne rośliny.

Wieczorem przed zaśnięciem myślałam o świętach, rodzinie, Matcie, Karze, komiksach, batatach, zajęciach z przedszkola, separatystach, kurczaku, indyku i związku chemicznym w mięsie indyczym, który wywołuje senność. Próbowałam przypomnieć sobie jego wzór, ale do końca mi się nie udało.

W sobotę zadzwonili w sprawie zlecenia z firmy Dickson, Monroe. Od razu przypomniałam sobie, że tam właśnie pracuje Kara.

- Już raz u nich byłam - powiedziałam, chcąc potwierdzić gotowość do działania, żeby dzwoniący czasem nie zmienił zda-

nia na temat mojej przydatności.

Nie wiedziałam, czy spotkam Karę, ale moje serce było jak oszalałe. Przed wyjściem upewniłam się, że schludnie wyglądam. Nie wiedziałam dlaczego. Może chciałam jej zaimponować. A może podobało mi się, że nie zaszufładowała mnie na pierwszy rzut oka jako odludka. To było w pewnym sensie osiągnięcie. Dla mnie.

Dotarwszy na miejsce, z zachwytem skonstatowałam, że ona też tam jest. W towarzystwie dwóch innych korektorów: barczystego dwudziestokilkulatka i niskiej (maksymalnie metr pięćdziesiąt) krótko ostrzyżonej dziewczyny. Kara uśmiechnęła się na mój widok.

- Cześć, Carrie! - przywitała się.

Najwyraźniej już uraczyła oboje opowieściami o powszedniej harówie w Dickson, Monroe, bo przedstawiła mnie jako wymiataczkę.

Chłopak zapytał, czy jestem aktorką, a kiedy zaprzeczyłam, oboje z dziewczyną odetchnęli z ulgą. Okazało się, że Billy, bo tak miał na imię, starał się o angaż kabareciarza. Tina natomiast była aktorką i modelką dłoni.

Przyszedł nasz koordynator.

- Praca, którą chcieliśmy wam zlecić, nie jest jeszcze gotowa - poinformował. - Mamy jednak mniej ambitne zadanie, jeśli bylibyście zainteresowani. Zamówiliśmy druk kilkustronicowych broszur i chcieliśmy się upewnić, że nie brakuje w nich żadnego akapitu. Wystarczy zatem je przejrzeć strona po stronie. Zrozumiem, jeśli uznacie, że taki rodzaj pracy jest poniżej waszych oczekiwań. Ale zapewniam, że otrzymacie nor-

malną stawkę.

- Wchodzę w to - powiedział Billy.

- Ja też - dorzuciła Tina.

- I ja - dodałam.

- Świetne - ucieszył się, postawił na stole kilka pudełek i wyszedł.

Kara stała przy stole naprzeciwko mnie. Wyglądała oszałamiająco i bardzo szykownie w supermodnych kocich oprawkach. Billy stał obok mnie.

- Jak on ma na imię? - zapytała Tina po wyjściu koordynatora.

- Eryk - odpowiedziała Kara.

- Eryk pszczoła? - zapytał Billy.

- Eryk półpszczoła - podjęła grę Kara. - Miał wypadek.

Och nie! Byłam pewna, że chodzi o jakiś kabaretowy skecz, o którym nigdy nie słyszałam, ale żadne z nich nie miało zamiaru tego wyjaśnić. Ludzie nigdy nie chcą przyznać się do źródeł cytatów, kiedy się ich o to pyta. Trzeba powtórzyć pytanie ze trzy razy, ale wtedy wychodzi się na idiotę. Taki zresztą jest ich zamiar. Ale rozumiem, że podanie źródła może z miejsca spalić dowcip.

- Skąd to? - zapytała Tina.

Rzecz jasna, wierni schematowi, Kara i Billy zignorowali ją.

- Zaśpiewasz piosenkę? - poprosiła Kara Billy'ego.

- Pewnie - zgodził się.

- Czekał - powiedziała Tina. - Przestań. Stop. Nie możesz zaśpiewać, dopóki nie powiesz, skąd jest.

- Z Monty Pythona - zdradził Billy znużonym tonem.

Do licha! Czemu to zawsze musi być Monty Python. Chyba powinnam wypożyczyć sobie kilka ich filmów. Wszyscy je cytowali, a ja tylko stałam z boku jak skończona kretynka.

Razem zaśpiewali piosenkę. Byłam zazdrosna o łączącą ich więź.

Wrócił nasz koordynator Eryk, zostawiając nam resztę niezbędnych rzeczy.

Po jego wyjściu zabraliśmy się do pracy.

- Carrie, ile już zarobiliśmy? - zapytała mnie Kara.

- Siedem pięćdziesiąt.

Billy i Tina momentalnie parsknęli śmiechem.

- Nawet nie popatrzyła na zegarek - zauważyła ze śmiechem Tina.

- Sprawdzalam godzinę tuż przed jego pytaniem - wyjaśniłam.

- Carrie jest fenomenalna - skomplementowała mnie Kara. - A ile zarobiliśmy na tej jednej wymianie zdań?

- Około dwudziestu pięciu centów.

- Super. A teraz?

- Jeszcze dwa centy.

- Są gorsze sposoby na zarabianie pieniędzy - zauważyła Kara.

- Wiem - przyznała Tina. - Właśnie wróciłam z Detroit, gdzie wystawialiśmy Szekspira.

- Brr... Okropieństwo - wzdrygnął się Billy.

- Uwielbiam Szekspira w plenerze - przyznała Kara.

- To dopiero okropieństwo.

- Z Szekspirem wiąże się też rzecz niemożliwa - oznajmił

Billy. – Monolog Merkucja.

– To prawda – przyznała mu rację Kara. – Nigdy nie mogłam go przyswoić.

– Mój znajomy wygłasza go na przesłuchaniach.

– To tak jakby chciał przebiec swój pierwszy maraton z ciężarkami wokół kostek.

– Czysta perwersja.

– Ha!

– Hej, znacie dobrego portrecistę?

– To w temacie perwersów?

– Nie, na poważnie pytam.

Ciągnęli aktorską gadkę jeszcze przez chwilę. Obserwowałam Karę, która z równym entuzjazmem podchodziła do każdego tematu dyskusji.

Nagle posłała mi uśmiech.

– Słucham? – zapytałam.

– Ile zarobiliśmy do tej pory?

– Piętnaście dolarów.

– Super!

Przybiła ze mną piątkę.

– Moi wykładowcy z gry aktorskiej na studiach byli do bani – oznajmił Billy.

– Och, moi należeli do elity – powiedziała Kara – bo kiedy opłacasz ich z własnej kieszeni, musisz mieć pewność, na co idą twoje pieniądze.

– Sama sobie płaciłaś za studia?

– Staralam się o stypendia – uściśliła. – Moi rodzice na pewnym etapie wycofali się z finansowania mojej edukacji i nie

miałam wyjścia.

- Musiałaś być w takim razie całkowicie ubezwłasnowolniona, tak? - zapytała Tina.

Billy i Kara momentalnie podskoczyli.

- Całkowite ubezwłasnowolnienie! - Billy aż opadł na stół. - Taaa, sam Abraham Lincoln wydał oficjalny akt jej ubezwłasnowolnienia - zażartował.

- Chodziło mi o usamodzielnienie - poprawiła się Tina.

Z zaskoczeniem patrzyłam na chichoczących Karę i Billy'ego, bo sama latami ćwiczyłam się w zachowywaniu kamiennego wyrazu twarzy wobec tak rażących pomyłek.

- Nie było potrzebne żadne oficjalne orzeczenie - wyjaśniła Kara poważnym głosem. - Wystarczyło, że wyjaśniłam swoją sytuację w dziekanacie i dostałam finansowe wsparcie. Moi rodzice walczyli ze sobą i żadne nie było zainteresowane płaceniem za mnie. Oboje byli siebie warci.

- Wielka szkoda - podsumowała Tina uroczystym tonem.

Nagle Kara zmieniła temat.

- O matko! Zapomniałam nakarmić tarantulę!

- Co?

- Mój eks dał mi ją w zeszłym tygodniu. Rozmawialiśmy przez telefon, kiedy wspomniał, że musi się jej pozbyć. Byłam na niego wkurzona, za całokształt, ale potem pomyślałam: tarantula za darmo.

W jej przypadku taka zmiana tematu była całkowicie na miejscu. Uśmiechnęłam się.

- Schodzimy się z moim byłym - wyznała Tina.

- Kilka miesięcy temu próbowałam cię od tego odwieść,

ale teraz, kiedy poznałam już uroki samotności... - urwała i szybko dodała: - Nie mieć dla kogo golić nóg to jest zbyt bolesne.

Billy przewrócił oczami.

- Co? - zapytała go Kara.

- To było więcej, niż musiałem usłyszeć.

- Nie wiedziałeś, że kobiety golą nogi? Kiedy zwiążesz się z którąś na dłużej, to pewnego dnia sam zobaczysz, jak to wygląda.

- Nie mogę się doczekać - uciął z przekąsem.

Ciągnęliśmy rozmowę o życiu, a Kara otwierała się coraz bardziej.

- Mój terapeuta uważa, że za dużo mówię - zdradziła.

- Tak? Może po prostu za dużo mu płacisz - skomentował Billy.

- To była pierwsza rzecz, która mnie zaskoczyła po przeprowadzce do Nowego Jorku, że każdy szczerze przyznaje się, że chodzi na terapię - wyznała Tina.

- Bo jeśli nie chodzisz, to sygnał, że to ty masz problem - zauważyła Kara.

- Ja nie chodzę - powiedział Billy.

- Ja też nie - dodała Tina. - Choć pewnie powinnam.

- Dlaczego? Jaki masz problem? - zapytała ją Kara.

- Za każdym razem, gdy wychodzę z domu, wbiegam z powrotem po schodach, żeby się upewnić, czy zamknęłam drzwi.

- Gdzie mieszkasz? - dociekała Kara.

- Avenue C.

- Zatem... Hm. Przeprowadź się! - poradziła jej Kara. - To

będzie pięćdziesiąt dolarów. Następny! - Popatrzyła na Billy'ego. - A jaki pan ma problem?

- Zawsze, gdy widzę policjanta, mam ogromną ochotę zabrać mu pistolet.

- Ręce do amputacji. To będzie sto dolarów - powiedziała i spojrzała na mnie. - A pani problem?

- Jest ich zbyt wiele - przyznałam.

- Wygrałaś! - wykrzyknęła. - Nie ma dla ciebie nadziei. Witaj w klubie!

Podeszła do mnie, mocno mnie uścisnęła i wróciła na swoje miejsce. Poczułam się naprawdę szczęśliwa. Mimo że nie byłam ani tak głośna, ani tak zabawna jak Billy, to i tak wygrałam.

Cały czas rozmawiając, przeglądaliśmy broszurki.

- Teraz to już ledwie rzucam na nie okiem - przyznała Tina.

- Sam przez ostatnie pół godziny nie przeczytałem ani jednego słowa - dodał Billy.

- Dobry Boże - westchnęła Tina. - Na której kupce kładzicie sprawdzone?

Przerwaliśmy pracę.

- Na tej - wskazałam.

- A ja tutaj - powiedział Billy.

- Ale to jest moja pula niesprawdzonych, tak przynajmniej myślałam - stwierdziłam.

- Sprawdzałaś już sprawdzone.

- Ja sprawdzałam te tutaj - powiedziała Tina.

- To samo, sprawdzasz sprawdzone.

- No nie - zmartwiła się Kara.

Popatrzyliśmy po sobie. Przez ułamek sekundy każde z nas wierzyło, że uda nam się wydzielić choć część sprawdzonych już broszur. Ale mieliśmy na tyle przyzwoitości, żeby zacząć całą pracę od nowa. W końcu nam za to płacili.

Billy westchnął i po równo podzieliliśmy się broszurami.

W sumie zajęło nam to sześć godzin. Kara z Billym improwizowali. Potem maglowali Szekspira. Przez chwilę sądziłam, że w końcu umówią się na randkę, ale Billy miał narzeczoną. Tina trochę nie nadążała za nimi, ale za to cały czas się śmiała.

Kiedy zbieraliśmy się do wyjścia, Eryk poprosił Karę, żeby została jeszcze na dwie godziny. Byłam rozczarowana. Liczyłam, że pójdziemy razem coś zjeść, nie miałam bowiem innych planów. Była taka zabawna. Mówiła, co jej ślina na język przyniesie. Nigdy nie potrafiłabym zachowywać się tak jak ona, nawet gdybym bardzo się postarała. Nie należałam do przebojowych osób. Ale chyba dzięki niej mogłam się tak poczuć, choć częściowo.

Na pożegnanie obiecała zadzwonić.

W drodze do domu miałam mętlik w głowie. Wspominałam nasz pocałunek i myślałam głównie o niej. Mogłabym opowiedzieć o tym Petrovowi, choć z pewnością nie zdradziłabym mu szczegółów wieczoru u niej w domu. Tak naprawdę wolałam wyrzucić to z pamięci. Nie zrobiłam nic złego ani niemoralnego, nikomu nie stała się krzywda, ale było to zupełnie do mnie niepodobne. I w rezultacie po raz kolejny poczułam, że odstaję od reszty świata.

Na następnej sesji u Petrova opowiedziałam ogólnie o Karze, że fascynuje mnie ze względu na ciekawą osobowość, ale

nie pisnęłam słowa na temat pocałunku. Zrelacjonowałam mu także ostatni wieczór w pracy.

- Z twoich słów wnioskuję, że świetnie się bawiłaś - podsumował Petrov.

- Słucham?

- Słowem nie wspomniałaś o dręczącym cię poczuciu wyobcowania - powiedział. - Nie oceniałaś też ludzi, z którymi pracowałaś, ani jako lepszych, ani gorszych. Po prostu miło spędziliście razem czas.

- Pewnie tak - przyznałam. - To tylko dowodzi mojej tezy. Znaleźliśmy się w sytuacji, w której byliśmy skazani na rozmowę. Wszyscy, jako korektorzy, jesteśmy bystrzejsi niż przeciętni pracownicy. Reasumując, wygląda na to, że czuję się na miejscu tylko w nietypowych warunkach.

- Nie przeczę, ale możemy to potraktować jako punkt wyjścia - zaproponował. - Była tam przecież dziewczyna nierozróżniająca „ubezwłasnowolnienia” od „usamodzielnienia” i jej obecność ci nie przeszkadzała.

- Nie, zupełnie nie.

- Im więcej poznasz ludzi, tym chętniej pogodzisz się z tym, że się od siebie różnimy - powiedział Petrov. - Zauważysz, że inni, zupełnie do nas niepodobni, też są warci uznania.

Dzięki Karze czułam się świetnie i w drodze do domu rozważałam, czy nie to było przyczyną mojego nią zauroczenia.

Każdy, z kim się kiedykolwiek całowałam, doceniał, a nawet komplementował moją inteligencję. To uznanie było istotne z ich punktu widzenia, oznaczało to zatem, że mieliśmy wspólne priorytety.

Niedzielne kazanie w Kościele Pierwszych Proroków dotyczyło tematu Bożego Narodzenia i prezentów. Było całkiem przyzwoite. Natto, w przeciwieństwie do wielu ludzi, nie krytykował konsumpcyjnego charakteru świąt. Zauważył, że materialistyczne podejście można przełożyć na dobre uczynki, na przykład kupując dodatkowe prezenty, aby przekazać je schroniskom dla bezdomnych lub jeden z otrzymanych podarków wręczyć osobie bardziej potrzebującej. Ani słowem nie wspomniał o swojej książce.

Wciąż jednak miałam wątpliwości, czy to zgromadzenie nie jest sektą. Potrzebowałam dalszych obserwacji uczestniczących, dlatego postanowiłam regularnie przychodzić na nabożeństwa. Ponadto pozwalało mi to na wykreślenie punktu z listy. Jedno zadanie miałam za sobą. Nie byłam jednak pewna, czy moje spotkania z Mattem liczą się jako randka, bo był zaręczony, dlatego ta kwestia wciąż pozostawała otwarta. W przypadku Michaela nie miałam podobnych rozterek. Już wkrótce mieliśmy się spotkać w Barnes & Noble. Teraz zaś nadszedł czas na oficjalne wstąpienie w szeregi organizacji.

Wolnym krokiem ruszyłam do długiego stołu, wypełniłam formularz członkowski. Jedno z pytań dotyczyło chęci udziału w różnych grupach: biblijnej, dla młodzieży, dla osób samotnych. Zakreśliłam pierwszy i ostatni punkt.

Wręczyłam wypełniony formularz wraz z czekiem na dwadzieścia pięć dolarów. Kilkoma pociągnięciami długopisu w śliwkowej oprawce, z mojego ulubionego sklepu papierniczego, uroczyście przypieczętowałam członkostwo w organizacji.

- Dzień dobry. Tu Eppie Bronson z Kościoła Pierwszych Proroków. W formularzu członkowskim zakreśliła pani punkt o uczestnictwie w grupach biblijnej i dla osób samotnych, zgadza się?

- Tak.

- Zauważyłem, że jest pani młodą osobą, a właśnie planujemy otworzyć rodzaj pośredniej grupy łączącej spotkania młodzieży i osób samotnych, bo w naszej wspólnocie większość kawalerów i panien ma czterdzieści, pięćdziesiąt lat. Naszym celem jest aktywizacja dwudziesto- i trzydziestolatków, niekoniecznie samotnych, ale oczywiście spotkania byłyby otwarte dla wszystkich. Czy jest pani zainteresowana?

- Być może.

- Czym się pani zajmuje?

- Jestem korektorką. Określiłabym siebie także jako filozofa.

- Jak większość z nas - zauważył Eppie i głośno się roześmiał. - Wracając do tematu, szukamy także lidera dla nowo powstającej grupy dwudziesto-, trzydziestolatków. W naszym kościele pojawia się zaledwie garstka młodych, choć Joe chciałby ich przyciągnąć jak najwięcej. Czy nie byłaby pani zainteresowana taką funkcją?

- Być może - powiedziałam. - Najpierw jednak chciałabym lepiej poznać filozofię, którą kieruje się kościół. To znaczy...

- Rozumiem - przerwał mi Eppie. - To młoda wspólnota i na pewno nie chciałaby pani zaangażować się w działalność sprzeczną z pani światopoglądem. Joe uwielbia cyników. Nie jest bynajmniej naszym zamiarem oczekiwanie, żeby brała

pani wszystko, co głosimy, za prawdę objawioną. Czekamy na szczerą krytykę. Dla nas liczą się wyzwania. To właśnie istota naszego kościoła. Nie robimy wiernym wody z mózgu. Jesteśmy otwarci na powiew świeżości. Na osoby takie jak pani.

- Rozważę pana propozycję - obiecałam.

- Może chciałaby pani osobiście spotkać się z Joem Natto?

Działali zaskakująco szybko. Może są przyparci do muru. Albo naprawdę dopiero się rozkręcają. Czy na spotkaniu Natto byłby w stanie przejrzeć moje prawdziwe zamiary?

- Nie kryję, że jestem zainteresowana - powiedziałam.

- Naszym głównym celem jest przyciągnięcie do kościoła jak najwięcej młodych ludzi - podkreślił Eppie. - W Nowym Jorku mieszkają setki tysięcy nowo przybyłych, których gryzie sumienie, bo nie chodzą do kościoła. Dzięki naszej wspólnotie mogliby doświadczyć nowych, ekscytujących rzeczy.

Czyżby mnie nabierał? Choć jego słowa miały sens. Umówiłam się na spotkanie.

Rozłączyłam się i na nowo zapadła cisza. Z oddali dobiegał niewyraźny warkot silnika.

Rzuciłam okiem na program telewizyjny, który dołączali do gazety. Same telenowele i talk-show.

Zadzwoił telefon.

Miałam nadzieję, że to Matt. Skarciłam się za to. Może to Adam. Albo Kara. Teraz przynajmniej mogłam spodziewać się telefonu od znajomych. Poczekałam do trzeciego dzwonka.

- Czy zastałam... Carrie Pilby?

Kobieta nie pomyliła się, wymawiając moje nazwisko. Może dla odmiany tym razem nie dzwonili z jakiegoś działu sprzeda-

ży. Może to telefon, który miał odmienić moje życie.

- Słucham.

- Chciałam poinformować, że wygrała pani miesiąc darmowej prenumeraty tygodnika „Women’s Weekly”.

Kolejne rozczarowanie. Jak zwykle.

- Po gratisowym miesiącu, jeśli byłaby pani zainteresowana dalszą subskrypcją, oferujemy kolejne czterdzieści sześć magazynów, czyli roczną prenumeratę za jedyne czternaście dolarów dziewięćdziesiąt pięć centów.

- Darmowy miesiąc to cztery gazety - podliczyłam. - Jeśli zaakceptuję pani ofertę zakupu czterdziestu sześciu wydań, to w sumie na rok wyjdzie pięćdziesiąt. Jesteście chyba tygodnikiem, a rok liczy przecież pięćdziesiąt dwa tygodnie.

- Mamy podwójne numery na okres Święta Dziękczynienia i Bożego Narodzenia - wyjaśniła.

- A jeśli w tym czasie, kiedy nie publikujecie, wydarzy się nadzwyczajna rzecz z punktu widzenia kobiet? - zapytałam. - Sama nie wiem. Kobieta wyląduje na Księżycu? Albo banda dzikich Pigmejek zaatakuje Biały Dom?

- Czy jest pani zainteresowana naszą ofertą?

Nagle zrobiło mi się jej szkoda. Pracę telemarketerów podejmowali tylko ludzie w fatalnej kondycji finansowej. W innym razie poszukaliby lepiej płatnego zajęcia albo choć takiego, w którym przez pół dnia żaden klient nie odłoży słuchawki. Czemu zawsze tak ich dręczyłam?

- Tak, jestem zainteresowana - odpowiedziałam.

Kiedy przyślą mi rachunek pocztą, od razu wycofam się z umowy. Wiedziałam, że moja rozmówczyni i tak dostanie

pro wizję, wystarczy, że telefonicznie przyjmę ofertę. Będzie mnie to kosztowało tylko kilka sekund życia.

- Naprawdę? - zdziwiła się. - To znaczy, dziękuję. Czy mogę w takim razie prosić o pani adres?

- Oczywiście.

Dla odmiany poczułam, że zrobiłam dobry uczynek. Po odłożeniu słuchawki patrzyłam na siebie znacznie przychylniejszym okiem niż zazwyczaj.

Wróciłam do łóżka. Wciąż czułam się samotna. Może w sobotę Michael okaże się strzałem w dziesiątkę i już nigdy więcej nie będę sama.

Ciekawe, co teraz robi Matt. Lepiej chyba było, kiedy nie wiedziałam, co tracę. Gdybym była jego dziewczyną, zadzwoniłabym do niego do pracy, by zapytać, jak leci.

Pomyślałam o Shaunie. Czy jest fajna? Pewnie tak. Czy moje pragnienie Matta czyni ze mnie okropną osobę? Jeśli Shauna nie wystarcza mu do pełni szczęścia, to lepiej, żeby sobie to uświadomił prędzej niż później. Może zrozumie, że istnieje jedna osoba, która uszczęśliwi go całkowicie. Uszczęśliwi tak bardzo, że nie będzie potrzebował skoków w bok. Tylko to wcale nie musi być Shauna.

Jeszcze przez chwilę nie wstawałam z łóżka. Cisza budziła lęki.

Postanowiłam posłuchać starych winyli, które znalazłam w mieszkaniu. Już dawno tego nie robiłam. Włączyłam pierwszy lepszy z brzegu i zabrzmiała polka. Płyta trzeszczała i to było boskie.

Skoczna melodia wypełniła przestrzeń, pobudziła mnie do

życia. Wirowałam po sypialni, salonie, kuchni i łazience. Klep-
nęłam apteczkę, minęłam zamalowane okno i w podskokach
ruszyłam do sypialni. Muzyka rytmicznie falowała. Unosiłam
wysoko nogi, jakbym miała na sobie szeroką spódnicę. Wsko-
czyłam na łóżko, a potem wróciłam na podłogę. Muzycy trzy
razy klasnęli w dłonie. Poszłam za ich przykładem. To były Pil-
by Płasy, czyli impreza tylko dla mnie. Uwielbiałam Pilby Płasy.
Byłam jedynym gościem i zawsze czułam się świetnie.

Zadzwonił telefon. Ściszyłam muzykę i odebrałam.

- Co robisz? - zapytał Matt. - Wyprawiasz Oktoberfest
w środku grudnia?

Roześmiałam się, jego głos w słuchawce mnie uszczęśliwił.

- To stary winyl, który znalazłam w tym mieszkaniu.

- Masz gramofon?

- Tak.

- Po co?

- Lubię starocie.

- A odtwarzacz CD masz?

- Nie.

Zapadło niezręczne milczenie

- Miałem cichą nadzieję, że zadzwonisz i choć nagrzasz się
na poczcie głosowej. Masz dziś wolne?

Szybko wymyśliłam, co odpowiedzieć.

- Dziś pracuję na nocną zmianę.

- Aha. - Zamilkł na moment. - W porządku, nie będę nic
przed tobą ukrywał. Dzwonię, bo nie mogę przestać o tobie
myśleć. Naprawdę chciałbym cię zobaczyć.

Cokolwiek zrobiłam, było właściwe. Myślał o mnie, kiedy nie

było mnie przy nim! Tak jak kiedyś Harrison.

- Jesteś może wolna w porze lunchu w tym tygodniu? - zapytał. - Może jutro?

- Jutro to nie jest dobry dzień - skłamałam, bo podejrzewałam, że jedynym powodem, dla którego chce się ze mną spotkać, jest wyjazd Shauny.

- Czwartek i piątek też wchodzi w grę, jeśli tobie to odpowiada - zaproponował.

W porządku, był elastyczny.

- Wiesz co, jednak może być jutro - odpowiedziałam.

- Świetnie.

- Nie będziesz miał przeze mnie kłopotów w pracy? - upewniłam się.

- W mojej firmie nie siedzą z zegarkiem w ręku, kiedy wychodzimy na lunch - powiedział. - Zresztą jako konsultant często mam spotkania w ciągu dnia, nie tkwię cały czas przy biurku. Czasem zdarza mi się też wychodzić po osiemnastej, a przychodzić przed ósmą rano. Wiedzą, że dobrze pracuję.

Biuro Matta mieściło się nieopodal Harrigan's przy Union Square. Harrigan's to była rodzinna knajpa, więcej niż bar, mniej niż restauracja, której menu kryło cały wachlarz amerykańskich dań, od prostych przekąsek do pięćdziesięciu odmian margarity. Spotkaliśmy się przed wejściem odgrodzonym linami z aksamitu. Kelnerka zapytała, czy interesuje nas sala dla palących. Oboje pokręciliśmy głowami. W środku był tłum.

- Służbowe lunche - skomentował Matt. - Nie martw się, ja płacę. Ceny tutaj są znacznie wyższe niż gdzie indziej w okolicy.

Zajęliśmy miejsca. Matt się uśmiechał. Był autentycznie uradowany. Bez troski. Ciekawe, czy zaczyna zmieniać zdanie odnośnie Shauny, skoro poczuł, że gdzie indziej dostaje więcej. Byłam jednocześnie pełna nadziei i poczucia winy. Nie zakochałam się w nim, nic z tych rzeczy, ale naprawdę go lubiłam i moje samopoczucie poprawiłaby wiadomość, że plany co do ślubnej przysięgi i urlopu na Hawajach w towarzystwie innej osoby zostały anulowane.

Na ścianach knajpy wisiały metalowe szyldy i wywieszki znanych marek. Zauważyłam czerwony symbol kolei Reading Railroad, ogromny termometr-reklamę Pepsi, charakterystyczny niebieski okrąg soli Morton i logo Maxwell House.

- Stołował się tam Teddy Roosevelt - poinformował mnie Matt, kiedy siadaliśmy.

Z boku wisiało lustro, w którym widziałam nasze odbicia, jego w białej koszuli pod krawatem i moje w czerwonym swetrze. Razem prezentowaliśmy się całkiem nieźle.

- Gdzie się stołował? - zapytałam.

- W Maxwell House. Nazwa kawy wzięła się od hotelu Maxwell House w Tennessee, gdzie na przełomie wieków bywali sławni i bogaci. Podobno sam Teddy Roosevelt tam jadał i w kilku miłych słowach skomplementował kawę, potem zresztą zacytowali je w jednym ze spotów reklamowych.

- Czemu to właśnie musiały być słowa Teddy'ego Roosevelta? - zapytałam. - Dlaczego nie mógł tego powiedzieć, sama nie wiem, Kermit żaba?

Matt roześmiał się.

- Masz rację.

Podeszła kelnerka.

- Witam w Harrigan's. Polecam dziś specjalności szefa kuchni oraz nową margaritę tutti frutti.

- Tutti frutti? Nie będziemy się zatem długo zastanawiać - powiedział Matt.

- Dwa razy? - upewniła się kelnerka.

- Tak - potwierdził, nim zdążyłam to skomentować.

Kiedy kelnerka odeszła, odezwałam się:

- Myślałam, że nie pijesz.

- To prawda, ale jesteśmy w Harrigan's, gdzie można zamówić margaritę o smaku dzieciństwa, zresztą muszę uczcić nasz pierwszy lunch w dzień powszedni. Stąd robię wyjątek.

- Liczę na smak gumy balonowej.

- A ja lodów śmietankowych - powiedział i dodał: - Co słychać? Jak praca?

To urocze, że zapytał.

- W porządku - odpowiedziałam. - A u ciebie? Jak praca?

Wzruszył ramionami.

- Nie narzekam, choć zatrudnili jednego gościa, który jest strasznie uciążliwy, prawdziwy wrzód na tyłku. Ma na imię Tad. Czy słyszałaś, żeby ktokolwiek tak miał na imię?

- Syn Lincolna - odpowiedziałam.

- Czyli słyszałaś.

- Wystawialiśmy o nim przedstawienie w podstawówce.

- O Tadzie Lincolnie? Musiało być nudne jak flaki z olejem.

- Nie, o Abrahamie Lincolnie.

- Imię Abraham też mi nie leży - przyznał Matt.

- Wiesz, co jest dziwne? - zaczęłam. - Nauczyciele zawsze

twierdzili, że Abraham Lincoln za życia był uznawany za osobę niezbyt urodziwą. Jednak nikt w mojej klasie nie myślał, że był brzydki. Nauczyciele tłumaczyli, że nam się opatrzył i dlatego tak uważamy. Czy kiedykolwiek wydał ci się brzydki?

- Nie wiem. Musiałbym spojrzeć na jego zdjęcie, żeby to ocenić.

- Z przyjemnością bym ci je pokazała, ale nie mam zwyczaju chodzić z fotografią Lincolna w kieszeni.

- A ja tak. - Wyciągnął z portfela pięciodolarówkę. - To prawda, był całkiem przystojny.

Musiałam przyznać, że Matt jest całkiem inteligentny. Miałam pewność, że by mnie nieustannie zaskakiwał.

Kilka stolików dalej podano tort urodzinowy i musieliśmy poczekać, aż znów będzie można rozmawiać.

- Mam nadzieję, że nikt mi nigdy tego nie zrobi - powiedział Matt.

- Mam tak samo. Nie cierpię niespodzianek.

- Rozumiem to doskonale. Wszyscy moi znajomi o tym wiedzą. Rodzice raz urządzili mi przyjęcie niespodziankę. Kiedy goście nagle wyskoczyli z ukrycia, rozplakałem się.

Mówiąc to, wyglądał naprawdę słodko.

- Ile miałaś lat?

- Nie pamiętam. Chyba pięć.

Oboje zamówiliśmy nasz lunch i wtedy zauważyłam logo Esso.

- Czy wiesz, skąd się wzięła nazwa Esso? - zapytałam.

- Nie. Wiem tylko, że teraz w Stanach występują pod nazwą Exxon.

- Racja, ale wcześniej, w jedenastym roku, kiedy doszło do rozpadu kompanii Standard Oil, powstała cała masa drobnych firm paliwowych, na przykład Standard Oil of New Jersey. Końiec końców zdecydowano się na krótszą, fikuśniejszą nazwę Esso, czyli skrót - S.O., rozumiesz?

- To ciekawe - powiedział Matt.

- Było jeszcze Socony, jako skrót od Standard Oil Company of New York. Ale przebranzowali się i teraz mamy Mobil.

- Za paliwo najwyższej próby. - Wzniósł toast kieliszkiem margarity.

Stuknęliśmy się.

- Paliwo najwyższej próby - powtórzyłam.

Przypomniałam sobie, że ostatni raz ten slogan widziałam na stacji benzynowej, kiedy byłam dzieckiem, Matt musiał mieć podobne wspomnienia. Łączył nas czas, w którym dorastaliśmy, i do którego mogliśmy wracać bez dodatkowych komentarzy. To było wspaniałe uczucie. Nigdy nie doświadczyłam tego w związku Harrisonem.

- Bardzo mnie interesuje historia uchwały antymonopolowej - przyznał Matt - bo stoi w kompletnej sprzeczności z ideami kapitalizmu, a jednocześnie one zawsze idą w parze. Podwalinami naszego państwa było między innymi przekonanie, że ciężka praca to prosta droga do osiągnięcia sukcesu. Nieważne, z jakiej klasy społecznej pochodzisz czy w jakich warunkach dorastałeś. Pot, determinacja i ideały są gwarancją powodzenia. Ale istnieje pewien nieokreślony pułap, po którego przekroczeniu twoja fortuna ściąga na ciebie karę. I to jest konieczne, bo monopolista uniemożliwia swobodne działania

w ramach konkurencyjnego rynku, dlatego powstały ustawy antymonopolowe. Choć sama idea, czyli rząd dyscyplinujący tych, którym powiodło się zbyt dobrze, szczególnie w Ameryce, wydaje się kuriozalna, nie uważasz?

- Tak - przyznałam, upijając drinka. - Muszę jednak przyznać, że ekonomia jest dziedziną, w której mam największe luki, choć zawsze planowałam nadrobić zaległości.

- Ekonomia mnie nudzi - powiedział Matt. - Ale i tak ciągle gram na giełdzie. Ogromne znaczenie ma też czynnik psychologiczny, toteż nie żyję samymi tabelkami. Zazwyczaj działam na polu drobnych firm, w których dostrzegam potencjał. Nie interesują mnie kolosy.

- Jesteś w tym dobry?

Niespodziewanie zawstydził się i tylko wzruszył ramionami. Odniosłam wrażenie, że jest świetny. Musi mieć do tego smykałkę.

Kelnerka przyniosła nasze dania. Wypiłam całego drinka, Mattowi został łyk na dnie kieliszka.

- Jeszcze jedna kolejka? - zapytała kelnerka.

Matt mrugnął okiem.

- Tylko dla pani - zamówił dla mnie.

Kiedy odeszła, podniósł swój kieliszek, aby wznieść toast.

- Wypijmy za... za...

- Za przyjaźń? - zasugerowałam.

- To słowa Millarda Fillmore'a.

- Wydaje mi się, że Johna Quincy Adamsa, który jako pierwszy zapytał: co z tego będzie?

- Prawie nie tknęłaś jedzenia - zauważył Matt.

- Jestem zbyt podekscytowana, by jeść - przyznałam. - Kojarzysz kawę Sanka?

- Tak, a co? Czy jej nazwa to wymysł Jamesa Buchanana?

- Nie. Nie żartuję. Czy wiesz, od czego pochodzi ten skrót? Od słów *sans caféine*.

- Bez jaj.

- Naprawdę - powiedziałam. - A nazwa Haribo wzięła się od pierwszych liter imienia, nazwiska i rodzinnego miasta cukiernika, który je wymyślił: Hans Riegel Bonn.

- Nie miałem pojęcia.

Nie mogłam się powstrzymać.

- A lampy Brillo? To z hiszpańskiego i znaczy „świecę”.

- Jesteś prawdziwą kopalnią wiedzy.

- Zaś skrót trzy M to... Sam zgadnij.

- To proste. Mmm... mmm... dobre.

- To była zupa, głuptasie. Chodzi o skrót od Minnesota Mining and Manufacturing.

- Aha.

- Nazwa nescafe jest akronimem od nazwy firmy Nestlé i słowa café.

Podano mi drugi kieliszek margarity, upiłam spory łyk i odstawiłam drinka na stół.

- Interesuje mnie całe mnóstwo zakręconych spraw. Dużo czytam, ale aktualnie jestem na etapie oglądania stu najlepszych filmów...

- Och... Z listy Amerykańskiego Stowarzyszenia Krytyków Filmowych? Tak, sam planowałem obejrzeć kilka z nich. Przez większość czasu w wypożyczalni kręcę się bezradnie między

półkami, nie wiedząc, na co się zdecydować.

- Mam tak samo, ale wracając do listy, to dzięki niej sięgnęłam po książkę o początkach Hollywood. I dowiedziałam się, że Samuel Goldwyn, założyciel wytwórni Metro Goldwyn Mayer, w rzeczywistości nazywał się Goldfish. Razem z partnerem o nazwisku Selwyn założyli firmę i nazwali ją Goldwyn, łącząc pierwsze sylaby swoich nazwisk. Zastanowiło mnie, dlaczego zdecydowali, że nazwa zacznie się od nazwiska Goldfish. Czemu pierwszy nie miałby być Selwyn? Wtedy uświadomiłam sobie, że powstałaby bardzo samolubna nazwa^[3].

Matt roześmiał się.

- Rozumiem, że na takich rozmyślaniach schodzą ci całe dni.

- Nie - zachnęłam się. - Tym zajmuję się na pierwszej lekcji.

- Nie mów, że układasz sobie dzień, jakbyś chodziła do szkoły.

- Oczywiście. Mam w pokoju siedem budzików, każdy ustawiony na inną przerwę.

- Kłamiesz.

- Najpierw błahostki, potem wuef, lunch, drzemka, czyli mój ulubiony przedmiot, i jeszcze plastyka, a na koniec dnia muzyka. Kiedy wczoraj dzwoniłeś, właśnie byłam na ostatniej lekcji.

- Ściema.

- Masz rację. Wymyśliłam to.

Skończyłam drugą margaritę. Była pyszna. Zlizałam sól z krawędzi kieliszka.

- Nie spóźnisz się do pracy?

- To żaden problem.

Wgryzłam się w moją fajitę. Miałam się na baczności, żeby utrzymać w ryzach śmietanę, salsę i guacamole. Alkohol sprawił, że ostre jedzenie złagodniało.

- Jacy są twoi rodzice? - zapytał Matt.

Musiał mnie naprawdę lubić, skoro poruszył tak poważny temat.

- Moja mama zmarła, kiedy miałam dwa lata - powiedziałam.

- Och, bardzo mi przykro.

- W porządku. Miała raka. Tak naprawdę to wcale jej nie pamiętam. Ojciec czasami mi o niej opowiada. Choć przychodzi mu to z trudem.

- Jeśli kiedykolwiek chciałabyś ze mną o tym porozmawiać...

- Dziękuję. To miłe.

- Po prostu cię lubię.

Spojrzałam na niego. Uśmiechał się.

- Dzięki.

- Jak się poznali? Twoi rodzice.

Zastanowiłam się przez chwilę.

- W pracy.

- Czym się zajmuje twój ojciec?

- Bankowość inwestycyjna. Dużo podróżuje.

- Musisz być bardzo samodzielna.

Wzruszyłam ramionami.

- Robię, co w mojej mocy.

Z jego oczu biło współczucie.

- Jestem pod wrażeniem.

- Musiałam szybko dorosnąć. - Aby jednak temu zaprzeczyć,

nałożyłam guacamole na łyżkę i udawałam, że zaraz nim wystrzelę jak z procy. – Urodziłam się w Londynie, a do Nowego Jorku przeprowadziliśmy się, kiedy miałam dwa lata.

– Nieprawdopodobne – zdumiał się Matt. – Ja urodziłem się w Paryżu.

– Naprawdę?

– Mama pisała doktorat z literatury francuskiej. Oboje rodzice są nauczycielami akademickimi.

Zawsze okazuje się, że interesujący ludzie mieli interesujących rodziców. Choć czasem bywa inaczej. Koszmarna mamuska i potworny tatulek. W każdym razie Matt najwyraźniej miał ogromne wsparcie w swojej rodzinie.

– Chodziłeś do publicznych szkół?

– Tak, rodzice są wielkimi fanami państwowej edukacji – powiedział. – Ale większość wiedzy zdobyłem dzięki nim po lekcjach. Co wieczór przy kolacji omawiali ze mną i z moją siostrą bieżące wydarzenia z kraju i ze świata. Nim skończyliśmy dziesięć lat, mama zaczęła nas uczyć francuskiego. Uważa, że ludzie najlepiej przyswajają języki obce w dzieciństwie.

– Naprawdę? – zdziwiłam się. – Wstydzę się tego, o co zaraz cię poproszę, ale powiedz coś po francusku.

– *Sans caféine*.

– *Très bien* – pochwaliłam go. – Niestety, to jedyne wyrażenie, jakie zapamiętałam z lekcji francuskiego w szkole.

– To dlatego, że nie zaczęłaś się uczyć francuskiego przed ukończeniem dziesięciu lat.

– Ależ tak.

– O! – zdziwił się.

- Francuskiego i hiszpańskiego.
- Powiedz coś po hiszpańsku - poprosił Matt.
- Oto burrito, *gringo*.

Roześmiał się.

- Przyszła mi do głowy kolejna zabawna anegdotka. - Nie mogłam się oprzeć. - Słowo *gringo* pochodzi od hiszpańskiego *griego*, które oznacza „grecki”. Mówimy przenośnie na nieznaną rzecz, że to greka. Z czasem słowo *griego* zmutowało się w *gringo*.

- To naprawdę ciekawe - przyznał Matt.
- Podobnie do Margarity. - Przechyliłam kieliszek do dna.
- Mam nadzieję, że dziś nie prowadzisz.
- Musiałabym najpierw skoczyć na stację po benzynę.
- Stacja to nie tylko paliwo.
- Autorem tego tekstu jest... John F. Kennedy.

Podeszła kelnerka.

- Czy życzą sobie państwo coś jeszcze?
- Nie - burknęliśmy.

Posłała nam takie spojrzenie, jakbyśmy co najmniej dali jej w twarz.

- Proszę bardzo - powiedziała z przekąsem i odeszła.
- Już chce się nas pozbyć - zauważył Matt.

Wzruszyłam ramionami.

- Na jakie tematy dyskutowaliście podczas kolacji? W którym roku w ogóle się urodziłeś?

- Pod koniec lat siedemdziesiątych. Kiedy byliśmy dostatecznie dorośli do rozmów, było już dawno po Nixonie i jego aferach. Głównie zajmował nas Reagan. Mój ojciec jest profeso-

rem historii, wyklada też nauki polityczne. Jego konikiem jest teoria, nie lubi rozdrabniać się na konkretne kadencje. Ciągłe narzeka, że zainteresowania dzisiejszych studentów ograniczają się do kampanii prezydenckich. Ich wymarzona lektura to *Jak zostać prezydentem* Teda White'a, on natomiast narzuca im pozycję Michaela Harringtona *Druga Ameryka*.

- Aha - przytaknęłam, choć nie czytałam żadnej z nich.

Matt jednak założył, że tak, dlatego nie rozwodził się nad treścią, żeby mnie wprowadzić w temat, i z tego powodu poczułam się mile połączona. Zamieniłam się w słuch, a w duchu postanowiłam nadrobić zaległości. Z Harrisonem łączyła mnie analogiczna relacja, w rozmowie ze mną poruszał zupełnie obce mi tematy, zakładając, że jestem na bieżąco. Traktował mnie po partnersku. Uwielbiałam to. Dzięki temu każde nasze spotkanie wzbogacało mnie o przynajmniej trzy nowe rzeczy. To działało w obie strony, bo ja także imponowałam mu swoją wiedzą, odkrywając przed nim trzy nieznane mu zagadnienia. Był to rodzaj budującej wymiany, którą ubóstwiałam.

- Nie zgadzam się we z ojcem wszystkim - kontynuował Matt. - On jest bardziej na lewo, podczas gdy mnie najbardziej odpowiada centrum sceny politycznej. Zawsze jednak pozwalał nam na wyrażanie własnych poglądów. Nie narzucał gotowych rozwiązań ani odpowiedzi, wciąż tylko stawiał pytania. Na przykład mówił: „Rozumiem twój punkt widzenia, ale co będzie, jeśli wydarzy się to lub tamto?”. To było dobre.

Wyobraziłam sobie, że spotykam jego rodziców. W marzeniach widziałam, jak razem siedzimy przy świątecznym stole, podajemy sobie półmiski z daniami, podrzucając doktryny

marksistowskie, podlewamy mięso sosem, wymieniając się argumentami.

- Masz ochotę na deser? - zapytał Matt. - Ja raczej zrezygnuję.

- Ja też - podziękowałam.

- Jeszcze jedną margaritę? - Posłał mi łobuzerski uśmiech, bo ewidentnie miałam dość.

- Kolejna, a nie dojdę nawet do Czternastej Ulicy - odpowiedziałam.

- Odprowadzę cię do domu - zaoferował się.

Zamówił mi jeszcze jednego drinka i poczekał, aż wypiję. Mimo że zaproponowałam podział rachunku na pół, uparł się, że on płaci. Chwiejnym krokiem ruszyłam do wyjścia. Tuż przed drzwiami niespodziewanie objął mnie w pasie i pocałował.

- Przepraszam. Nie mogłem się oprzeć. Nigdy jeszcze w godzinach pracy tak dobrze się nie bawiłem - wyznał.

Uśmiechnęłam się.

- Dzięki.

- Muszę wracać do pracy, choć wierz mi, nie mam na to ochoty.

- Mogłabym spróbować wcisnąć się w twoją aktówkę.

- Teraz poczułem się staro - powiedział.

- W porządku, to może lepiej w plecak.

- Teraz o niebo lepiej.

Na zewnątrz słońce przebijało się przez chmury, ale wiał zimny wiatr.

- Jesteś urocza - powiedział Matt. - Szczerze. Wyglądasz

tak młodo i niewinnie jak dziewczynka. To znaczy, nie mam nic zdrożnego na myśli.

- To wcale nie było obraźliwe.
- A przy tym masz niewyobrażalnie cięty język.
- Dzięki.
- Nie chcesz na chwilę wpaść do mnie?

Nie wahałam się ani przez sekundę.

- Czemu nie.

Wziął mnie za rękę. Najwyraźniej żadne z nas nie miało zamiaru zachowywać się odpowiedzialnie. Przecież mogła nas zobaczyć jego narzeczona.

Matt jakby czytał w moich myślach.

- Shauna jest dziś poza miastem. Umówiła się na spotkanie w White Plains ze współpracownikiem swojego ojca. W interesach. Z kimś ważnym w Krafcie. Może mógłby jej zlecić parę projektów.

Po prostu super.

- Jak jej idzie?
- Wkrótce powinna dograć pierwsze zlecenie. Nie martwię się o to. - Popatrzył w niebo. - Na szczęście mamy stabilną sytuację finansową, ale praca poprawia jej samopoczucie. Myślę, że nie chce tylko siedzieć w domu, czekając na mnie.

Moja ręka w jego dłoni nagle ścierpła. Wciąż używał liczby mnogiej. Ale może to tylko kwestia przyzwyczajenia.

Matt zaczął machać moją ręką, jakbyśmy byli parą dzieciaków zmierzających na plac zabaw. Nie oponowałam, to było zabawne. Znów wrócił mi dobry nastój.

Droga do niego ciągnęła się w nieskończoność.

- Na pewno nie wpadniesz w kłopoty? - upewniałam się.
- Nie, nie martw się.

Zaprowadził mnie na górę. Gdy tylko zamknęły się za nami drzwi, ściągnął ze mnie bluzkę, ukląkł i pocałował mój pępek.

- Przepraszam. Nie mogłem się opanować - powiedział.

Przez moment poczułam się, jakbym patrzyła na całą scenę z boku niczym na film. To wrażenie szybko się ulotniło.

- Chodź. Tutaj.

Weszłam za nim do sypialni, a on zamknął drzwi. Wziął mnie na ręce i położył na łóżku. Potem długo mnie całował. Z języczkiem.

- Nauczyłem się tego we Francji - wyszeptał.
- Kiedy byłeś niemowlakiem?
- Miałem bardzo ambitną nianię.

Zsunął dłonie w dół, aby rozpiąć guziki u moich spodni.

Już dawno nie byłam naga w obecności drugiej osoby. Teraz jednak nie czułam się aż tak skrępowana. Zrzuciłam spodnie i szybko wróciłam w jego objęcia.

Kątem oka popatrzyłam na zdjęcia Shauny.

Wyłącz myślenie, nakazałam sobie. Czemu to zawsze inni mają się dobrze bawić?

Matt mocno naparł dłońmi na moje ramiona, wgniatając mnie w materac, a potem usiadł na mnie okrakiem. Poczuałam, jaki jest silny. Spodobało mi się to.

Całowaliśmy się jeszcze przez chwilę. Aż wreszcie wstał i ściągnął z siebie ubranie. Widać zrozumiał, że nie może w tej kwestii na mnie liczyć. Nigdy jeszcze nikogo nie rozbierałam. Nie byłam aż tak śmiała.

Zaczęłam się zastanawiać, co zrobić, żeby zapomniał o Shaunie, a skupił się wyłącznie na mnie. Nie powinnam iść na całość. Było ciężko, ale wyszeptałam:

- Lepiej przestańmy.

Spojrzał na mnie.

- Dlaczego?

- Uważam, że powinniśmy poczekać do następnego spotkania.

Nie byłam do końca przekonana. Z trudem zdecydowałam się na ten krok, żeby nie męczyło mnie potem sumienie, jak po wszystkim, co ostatnio robiłam.

- Musimy zatem umówić się jak najszybciej - powiedział Matt. - Wykorzystać każdą sytuację. Nie żartuję.

- Zgoda.

Zbierałam ubrania z podłogi, a Matt siedział na łóżku, nie odrywając ode mnie wzroku. Kiedy sięgnęłam po buty, zauważyłam przykurzoną karteczkę wplątaną w kable pod komputerem. Musiała tam spaść. Nie mogłam się powstrzymać i przebiegłam ją wzrokiem. Wiadomość napisano piórem. *Najdroższy, pamiętaj o kablówce. Zadzwoń. Kocham. S.*

Poczułam się podle. To ten ortograf w słowie „najdroższy” sprawił, że Shauną stała się bardziej realna, bardziej słodka, bardziej... Sama nie wiem jaka.

Wkładałam buty, czując smutek. Ona go kocha, ufa mu.

Ale z drugiej strony byłam pewna, że nie miałyby dla mnie cienia litości. Na pewno jej myśli były wolne od zamartwiania się ludźmi, którzy nie mają nikogo, z kim mogliby dzielić codzienne troski i problemy; ludźmi, którzy sami muszą dzwonić

w sprawie swojej kablówki.

Kiedy dotarłam do domu, Matt zdążył zostawić mi wiadomość w poczcie głosowej. Powiedział, że świetnie się bawił. Nie mógł się doczekać kolejnego spotkania.

Jakaś część mnie pragnęła od razu się z nim umówić. Jednak inna część odczuwała wyrzuty sumienia. Wiedziałam, że źle robię. Nawet jeśli nie na mnie spada cała odpowiedzialność, to nie mam żadnego usprawiedliwienia. Poza tym to inni uwielbiali mydlić sobie oczy, ja byłam osobą, która twardo patrzy na siebie i rzeczywistość. Bez owijania w bawełnę. Czy nie byłam zawsze z tego dumna? Nie mogę dłużej przeciągać struny, spychając problemy w głąbiny nieświadomości. Wręcz przeciwnie, należy wreszcie stawić im czoło.

Czy naprawdę kogoś krzywdzę, widując się z Mattem? To podstawowa kwestia. Ranienie siebie to głupota, ale przynajmniej wtedy jestem jedyną pokrzywdzoną osobą. Igranie z własnym zdrowiem na skutek palenia czy picia zazwyczaj nie szkodzi innym, dlatego można uznać, że z moralnego punktu widzenia nie są to czynności do szczytu złe. Pod warunkiem nienarzucania innym niezdrowych nawyków, co niestety należy do rzadkości, a także upewnienia się, że pod wpływem używek nie krzywdzimy innych. Moja relacja z Mattem natomiast podchodzi pod definicję wiarołomstwa i potencjalnie może sprawić innym ból.

Matt i Shauna planowali ślub. Spotykając się z nim w czasie, który uznał za stosowny, pozwalałam mu wierzyć w nieziszczalną, nierealną fantazję. To bezpośrednio uderza w ich związek. Nie pozwalała mu na okazywanie jej należytego szacunku oraz

zakłóca wywiązywanie się z wzajemnych zobowiązań. Ostatnie lata przecież spędzili razem.

Straciłam zdolność wybierania tylko słusznych rzeczy.

Nie znałam nikogo, komu mogłabym się zwierzyć z dręczących mnie rozterek. Kara gardziła wiarołomcami, a nie miałam innych koleżanek. Wkrótce czeka mnie randka z Michałem, ale poruszanie z nim tego tematu nie jest dobrym pomysłem. W końcu nie byliśmy kumplami. Nie mogłam zwierzyć się ojcu ani Ronaldowi Nieśmiałemu Potargańcowi, którego zachowanie sugerowało, że nie miałby nic przeciwko, by mnie bliżej poznać; niestety, nie należał do najłotniejszych ludzi.

Był jeszcze Petrov.

Musiał zachować tajemnicę lekarską, tak? Był po to, żeby mnie słuchać.

Nie muszę mu relacjonować konkretnej sytuacji z Mattem, ale mogę podjąć ogólne rozważania odnośnie moralnych wątpliwości, które krążyły w mojej głowie. Choć tak naprawdę jego rola powinna ograniczać się do wysłuchiwania moich problemów, a nie wspierania ontologicznych dywagacji, ale co z tego? Za to, co mu płaciłam, powinien robić to, na co miałam ochotę. Powinien nawet zapisać się na kurs refleksologii, żeby masować moje obolałe stopy, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Kara zadzwoniła następnego dnia po południu.

Zaprosiła mnie na świąteczną imprezę, którą jej koleżanka organizuje w najbliższą sobotę. Chciałam się z nią spotkać, ale musiałam określić, jaki kształt ma przybrać nasza relacja. Obawiałam się strzelenia gafy, która uświadomi jej, że nie pasuję do jej przyjaciół, bo nie jestem dość fajna. Dlatego, nie-

wiele myśląc, powiedziałam, że mam randkę. Nie wiem, czemu skłamałam. Ułamek sekundy i stało się, od razu jednak tego pożałowałam.

- Z kim? - zapytała. - Z tym co ostatnio? Sypiacie ze sobą?

- Nie - skłamałam znowu. - Z kimś innym.

- No proszę, nabierasz wiatru w żagle! Jak się poznaliście?

- Ghm... przez przyjaciół.

Usłyszałam pikanie.

- Och! Muszę odebrać drugi telefon! - zawołała. - Oddzwonię i umówimy się kiedy indziej.

- W porządku. Cześć.

Rozłączyłam się. Czemu jestem tak okropnie głupia. Chciałam się z nią przecież spotkać.

A jeśli nie oddzwoni? Co jest ze mną nie tak?

Wdrapałam się na okienny parapet. Postanowiłam nie oddzwaniać do niej od razu. Skontaktuję się z nią, jeśli nie będzie się odzywać zbyt długo.

Siedziałam, obserwując przejeżdżające samochody. W deszczowy dzień z aut emanował większy urok niż zazwyczaj. Zachwycały mnie zwłaszcza czarne modele z kwadratowymi reflektorami z przodu, na których składanych dachach zbierały się drobne krople. Klimat jak z gangsterskiego filmu. Może powinnam zacząć zbierać na samochód. Ale z autem w przypadku mieszkańca Nowego Jorku jest jak z małym dzieckiem. Nie tylko wyje w środku nocy, ale wymaga ciągłej pielęgnacji, nie wspominając o tym, że nieustannie trzeba się zamartwiać, gdzie się znajduje.

To popołudnie aż się prosiło o seans starego filmu. Ale to

oznacza spacer do wypożyczalni. Typowy problem w deszczowy dzień. Cudowny plan zostania w domu przed telewizorem zakłada konieczność wyjścia, żeby było co oglądać.

Włożyłam płaszcz przeciwdeszczowy, zaciągnęłam kaptur na głowę, chwyciłam parasolkę i wybiegłam na ulicę.

Chodnik wypełniały kałuże. Rozpryskiwałam wodę, wchodząc w niektóre z nich. Skoro kałuż nie da się uniknąć, lepiej się tym bawić, dlatego robiłam to całą drogę aż do rogu.

Kiedy skręciłam, rzucił mi się w oczy znajomy mężczyzna. Ukryłam się za zaparkowanym samochodem, żeby mnie nie zauważył. Miał na sobie płaszcz i był szczelnie owinięty szalikiem, ale byłam pewna, że to on. Parasol zasłaniała mu twarz.

Przesunęłam się w boczną uliczkę, aby go śledzić. Doktor Petrov wspiął się na podest przed wejściem do stojącego na rogu budynku. Zatrzymał się, aby zamknąć parasol i strząsnąć krople deszczu.

Drzwi otworzyły się i wyszła z nich wysoka, młoda kobieta z włosami zaczesanymi w koński ogon. Pocałowali się. Bardzo namiętnie. Petrov przyciągnął ją mocno do siebie. Potem oboje weszli do środka.

Stałam kompletnie oniemiała. Ostatnim razem, kiedy na niego wpadłam w mojej okolicy, powiedział, że wybiera się z wizytą do przyjaciela. Chyba jednak chodziło o przyjaciółkę.

Spojrzałam w górę. Na pierwszym piętrze zapaliły się światła. Przez moment mignęli mi w oknie, a potem zniknęli w głębi mieszkania.

Dziewczyna wyglądała na dość młodą.

Poczekalam, aż ulicą przejedzie samochód, i przeszłam na

drugą stronę. Stałam w przedsiönku, żeby zastosować moją ulubioną metodę sprawdzania nazwisk na skrzynkach pocztowych.

Na pierwszym piętrze było tylko jedno mieszkanie. S. Rubin, D. Leshko. Wydawało mi się, że już ją kiedyś widziałam w okolicy. I chyba w towarzystwie mężczyzny. Nie miałam pewności. Wiele kobiet w mojej dzielnicy wygląda tak jak ona.

Wracając do siebie, przeszłam ponownie na drugą stronę ulicy, spojrzałam raz jeszcze w okna na pierwszym piętrze. Znow ich sylwetki mignęły mi przez sekundę.

Pozostało mi jeszcze jedno do zrobienia.

Pobiegłam do domu. W książce telefonicznej dla dzielnicy Manhattan zaczęłam szukać ich numeru. Znalazłam kilku Rubinów, ale mieszkali przy innych ulicach. Ale był jeden Leshko, dokładnie pod tym adresem. Daniel Leshko.

Wybrałam opcję ukrywania numeru, żeby nie mogli mnie wysledzić, i zadzwoniłam.

Telefon długo dzwonił. Och, miałam nadzieję, że im w niczym nie przeszkodziłam.

Odebrała kobieta.

- Słucham?

- Czy zastałam pana Daniela Leshko? - zapytałam.

- Wyjechał w interesach - odpowiedziała. - Mówi Sheryl. Może chce pani zostawić wiadomość?

- Tak naprawdę przeprowadzam krótką ankietę dla magazynu „Women’s Weekly” - skłamałam. - Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Czy zgodzi się pani odpowiedzieć na dwa krótkie pytania? Byłabym ogromnie zobowiązana.

Westchnęła.

- W porządku, ale anonimowo.

- Nie ma sprawy.

- Zgoda.

- W ramach przygotowań do nowego wydania dzwoniemy do pięciuset osób - powiedziałam. - A moje pytanie brzmi: Czy mieszka pani sama, ze współlokatorem, z konkubentem, współmałżonkiem, czy żadne z powyższych?

- Z mężem - odpowiedziała. - Ze współmałżonkiem.

- Świetnie. Dziękuję bardzo.

- A drugie pytanie?

Nie wymyśliłam go.

- Och... aby wygrać dziesięcioletnią darmową subskrypcję naszego tygodnika, proszę odpowiedzieć na następujące pytanie: Jakie zdanie w języku angielskim należy do najczęściej używanych?

- Nie mam pojęcia.

- Przykro mi, ale pani odpowiedź plasuje się na drugim miejscu. Życzę miłego dnia. - Rozłączyłam się.

Kobieta zdradza swojego nieobecnego męża z Petrovem! Na pewno nie omieszkam zadać mu kilku wielce kłopotliwych pytań na następnej sesji. Jest rozwodnikiem, więc sam nikogo nie zdradza, ale ona to inna para kaloszy.

Może to właśnie z nią spędzał czas, kiedy w mieście szalała burza śnieżna. Może to właśnie ona kupowała mu nowe skarpetki. Może to o niej Petrov myślał, budząc się każdego ranka.

To z jej powodu ostatnim razem wpadłam na niego na mojej ulicy.

Teraz to ja mogłam ułożyć listę zadań dla Petrova. Nie romansować z dwudziestokilkuletnimi mężatkami. Nie romansować w okolicy zamieszkaney przez własnych pacjentów.

W moim życiu ostatnio pojawili się cudzołożnicy. Matt. Sheryl. Może jestem zbyt przewrażliwiona na tym punkcie. To wcale nie oznacza, że każdy człowiek zdradza. Kara na przykład zarzekała się, że nigdy przenigdy by tego nie zrobiła. Lepiej byłoby, gdybym nie traciła wiary w ludzi. Kilka osób nie stanowi reguły. Czemu ciągle o tym zapominam? Pamiętałam przecież o tym podczas studiów, kiedy piwne popijawy i przygody łóżkowe na jedną noc były dla niektórych na porządku dziennym. Nie chciałam zawieść dawnej Carrie. Wtedy przecież twardo obstawałam przy swoich zasadach.

Nowa ja natomiast patrzy, jak rozmywają się granice. Nie podoba mi się to. Jak bez żadnych wytycznych podejmować decyzje? Skąd je brać, skoro nieustannie się zmieniają?

Miałam jednak jeden stały punkt oparcia: listę Petrova. Postanowiłam wypełnić wszystkie zadania co do joty niezależnie od okoliczności, bo zdobyte dzięki temu doświadczenie pozwoli mi zdecydować, jaką drogą iść. Muszę trzymać się moich punktów.

Na liście znalazły się rzeczy, którym inni nie poświęcali ani chwili głębszego namysłu. Randki. Kluby. Ale w moim życiu tego brakowało. Może powodem, dla którego ich unikałam, było właśnie to, że od innych nie wymagały refleksji. Może mój problem polega na tym, że za dużo myślę. Większość ludzi, mniej inteligentnych, wykonuje rzeczy z mojej listy bezmyślnie, ja natomiast muszę się z nimi zmierzyć, by wewnątrznie je

zintegrować. Jedynym sposobem, żebym się przekonała do ich zrobienia, jest wdrożenie ich w sposób przemyślany, punkt po punkcie.

Z tego, co udało mi się dostrzec, dziewczyna była ładna, wysoka, miała długie włosy. Biedny Petrow. Szary, oddany pracy okularnik po rozwodzie, z dwójką dorosłych dzieci, musi zabiegać o uwagę ciemnowłosej i czarnookiej Barbie. Jest niczym główny bohater *Sieci*, który oniemiał, kiedy uświadomił sobie, że młoda sekretniczka naprawdę go pożąda.

Czemu w ogóle słucham rad Petrova? Czy on rzeczywiście jest szczęśliwy? Może jedyne szczęśliwe chwile w jego życiu są wynikiem podróży służbowych męża jego dziewczyny, bo tylko wtedy ona znajduje dla niego czas.

Rankiem świeciło słońce, ale na chodniku wciąż zachowały się wczorajsze kałuże, namacalny dowód okropieństw minionego dnia. Ciekawe, co dzieje się w mieszkaniu trójki Rubina, Leshko, Petrova. Pewnie wszyscy już dawno siedzą w pracy.

Miałam nadzieję, że Sheryl nie jest jego pacjentką. To byłoby potworne.

Może należy do kobiet, którym w życiu nic nie brakuje. Za dnia cieszy się troskliwym kochankiem, przypominającym ojca, a nocą oddanym, młodym mężem. Czy jej sytuację można podziwiać?

Około dziewiątej zadzwonili ze zleceniem z nowej firmy prawniczej. Dla odmiany to praca w dzień. Spakowałam do plecaka kilka czasopism, karty do gry, notatnik i *Krótką historię czasu*. To powinno wystarczyć na pół dniówki.

Czułam się dziwnie, siedząc w biurze, kiedy za oknem świe-

ciło słońce. Wszyscy byli w garniturach. Zrobiłam kilka rzeczy, ale przez większość czasu się nudziłam. Przez cały dzień udało się: przeczytać cztery kolejne wydania miesięcznika „Atlantic Monthly”; postawić pasjans; ułożyć w skali od jeden do dziesięciu ranking filmów, które ostatnio oglądałam; w myślach skopać tyłek kobiecie, która nagrywała piętnaście wersji powitania na skrzynce głosowej, nim zdecydowała się na zachowanie jednego, najbardziej ją satysfakcjonującego (a to było tylko: „Cześć, tu Trudy”); stworzyć ruchomy komiks w narożnikach stron firmowej książki telefonicznej; stworzyć ruchomy komiks w narożnikach stron leksykonu terminów prawnych; stworzyć ruchomy komiks w narożnikach stron słownika ortograficznego; sześciokrotnie sprawdzić pocztę głosową.

Dla zabicia czasu postanowiłam zadzwonić na bostoński numer Davida Harrisona. Od dawna to planowałam.

Upewniwszy się, że nikt na mnie nie patrzy, przesunęłam telefon nieco w bok i ostrożnie wybrałam numer. Wciąż go pamiętałam, ale nigdy nie miałam kłopotów z przyswajaniem ciągów cyfr. Każdy numer telefonu kojarzył się z innym, i tak w nieskończoność. Nigdy nie zdecydowałam się na zagranie w loterii, bo ilość kombinacji, które byłam zdolna obmyślić, by mnie przytłoczyła.

Telefon dzwonił, a potem usłyszałam kobiecy głos nagrany na sekretarce.

- Cześć, nie ma nas w domu. Proszę, zostaw wiadomość.

Potem rozległ się sygnał. My? Liczba mnoga? Nie miałam pewności, że ten numer wciąż należy do Davida. Ale było to

prawdopodobne, z czym musiałam się pogodzić. Wiedziałam, że moja nadzieja, a raczej założenie, że nie znajdzie nikogo, na kim zależałoby mu bardziej niż na mnie, jest nierealistyczne. Ale urywając z kimś kontakt, w pewnym sensie zamraża się daną osobę w swojej głowie. Zresztą on nie był mi pisany. Miałam takie złudzenie tylko przez kilka pierwszych tygodni. Na początku każdy wydaje się ideałem.

Myśl o automatycznych sekretarkach pozwoliła mi na kolejny przebłysk geniuszu. Wybrałam numer dziewczyny Petrova. Byłam ciekawa, czyj głos usłyszę.

Po dzwonku wysłuchałam nagrania:

- Cześć, tu Dan i Sheryl. Nie ma nas w domu, zostaw wiadomość. Wkrótce do ciebie oddzwonimy.

Zebrałam kolejne informacje na temat domowego gniazdka rogowca.

Przez chwilę rozmyślałam o ludziach w normalnych związkach, którzy nie prowadzą telefonicznych gier ani nie muszą się martwić głosami nagranyymi na automatycznych sekretarkach. Jakie to uczucie być ufnym i spełnionym? Może wtedy pojawiają się inne problemy? Pewnie chodzą po tym świecie ludzie wmawiający nam, że relacja wolna od kryzysów nie istnieje, bo człowiek nie potrafi wykrzesać z siebie uczucia wiecznego, cudownego, racjonalnego i prawdziwego, które jest podstawą związku opartego na wzajemności i zgodzie. Ponury punkt widzenia. Miałam nadzieję, że czarnowidze mylą się, choć ich teorie są prawdopodobne, tak jak założenie o pochodzeniu mężczyzn z innej planety.

Wciąż jednak miałam szansę przekonać się o tym na własnej skórze.

Nadszedł dzień umówionego spotkania z Michaeliem. Wybrałam się do księgarni wcześniej, żeby zająć stolik w tamtejszej kawiarni. Na blacie leżał stos czasopism, otworzyłam pierwszy z brzegu zatytułowany „Lina” i zaczęłam go przeglądać. To był rzeczywiście miesięcznik poświęconym sznurom. Zaskakujące. Dwa stoliki dalej starszy mężczyzna przeglądał gazetę, która miała tytuł „Szczeniaczki”. Nawet nie zamierzałam do niej zaglądać.

Za każdym razem, gdy próg księgarni przekraczał nowy klient, miałam nadzieję, że to nie Michael, bo kolejna osoba wyglądała dziwniej od poprzedniej. Pierwszy wszedł mężczyzna z brodą do pasa. Następny był facet w okularach przeciwsłonecznych, z cygarem w zębach. Potem ogolony na rekruta dziesięciolatek. Wtedy dopiero uświadomiłam sobie, że w swoim ogłoszeniu nie określiłam wymagań odnośnie wyglądu i naprawdę mogę oczekiwać brodacza, kolesia ufarbowanego na zielono czy we fluorescencyjnych legginsach. Na randce z ogłoszenia może cię zaskoczyć milion rzeczy, zwłaszcza gdy nie chcąc wyjść na osobę powierzchowną, nie wspomina się słowa o aparycji. W porządku, każdy zwraca uwagę na wygląd, tyle że różnią nas gusty. Nic się na to nie da poradzić. Niektórych interesują tylko niebieskookie blondynki. Mogłam uściślić, że nie życzę sobie nikogo z irokezem na głowie.

Wreszcie w drzwiach stanął mężczyzna pod trzydziestkę. Miał wysokie czoło i ciemne włosy z długimi bokobrodami. Miał na sobie czarną skórzaną kurtkę, ale nie był punkiem ani

nic w tym stylu. Popatrzył na mnie, zatrzymałam jego spojrzenie. Uśmiechnął się i ruszył w moją stronę. Przez telefon chełpił się swoim wzrostem, ale w rzeczywistości okazał się niewysoki.

Ciekawe, czemu tak trudno być uczciwym.

- Heather? - zapytał.

- Tak, miło cię poznać - przywitałam się.

- Ciebie też.

Uśmiechnął się i lustrował mnie od stóp do głów. Aż nazbyt oczywiste. Brr. Usiedliśmy.

- Poczekaj, niech sobie przypomnę - zaczął - twoje ogłoszenie było o ilorazie inteligencji i tak dalej.

- A ty twierdziłeś, że zazwyczaj nie odpowiadasz na anonse - powiedziałam.

Roześmiał się.

- Nigdy wcześniej, ale jak już wydałem pieniądze, żeby się zalogować, to postanowiłem odpowiedzieć na kilka. Ale wszystko zaczęło się od twojego.

Wzięłam do ręki gazetę ze stolika.

- Właśnie przeglądałam ten magazyn - poinformowałam go.

- W całości poświęcony jest linom. Kto to czyta?

- Nie mam pojęcia - odpowiedział poważnym tonem, jakbym co najmniej zleciła mu przeprowadzenie kwerendy.

Zapowiadało się zabawnie. No cóż.

- Masz... - zaczął.

- Czy... - odezwałam się w tym samym czasie, tak że zagłuszyliśmy się nawzajem.

- Co? - zapytaliśmy równocześnie.

- Chciałam... - zaczęłam.
- Masz... - powiedział i wtedy poddałam się.
- Masz ochotę na kanapkę? - zapytał. - Zazwyczaj nie jadam śniadań.
- A to najważniejszy posiłek w ciągu dnia - zauważyłam.
- Tyle że złożony z samego cukru - stwierdził. - Płatki do mleka. Grzanki po francusku. Muffiny. Budzisz się i na dzień dobry masz w ustach landrynki.
- Najwyraźniej był poruszony tym tematem.
- Możesz zjeść jajka.
- Za tłuste - uciął i pokręcił głową, kierując się do lady.
- Poszłam za nim.
- Proszę kanapkę z indykiem i serem - zamówił, a potem spojrzał na mnie. - Na co masz ochotę?
- Skoro jadłam już dziś śniadanie - zaczęłam szyderczo - może powinnam poprzestać na dietetycznej coli.
- I jedna dietetyczna cola - zamówił Michael, a potem zwrócił się do mnie: - Na pewno nie masz ochoty na bajgla?
- Nie potrafiłam rozmawiać z ludźmi głuchymi na sarkazm.
- Chyba też wezmę kanapkę - powiedziałam.
- Nie musisz czekać na moją zgodę, to twoje pieniądze - oznajmił.
- Gdybym miała przyjaciół, mogłabym im o tym opowiedzieć. Pochyliwszy się nad kontuarem, powiedziałam, że rezygnuję z coli i wezmę kanapkę z indykiem oraz sok jabłkowy. Wróciliśmy do stolika.
- Nie napisałaś nic o swoim wyglądzie, choć nie masz żadnego powodu do wstydu - skomplementował mnie.

- Dzięki.

- A czy ja wyglądam... w porządku? Podobam ci się?

Czy on do szczętu stracił rozum?

- Moglibyśmy znaleźć bardziej zajmujący temat - zauważyłam.

Dalsza rozmowa totalnie się nie kleiła. Wchodziliśmy sobie w słowo, nie śmialiśmy się ze swoich żartów (szczerze mówiąc, nie miałam najmniejszego powodu do śmiechu, bo Michael był śmiertelnie poważny) i zażarcie dyskutowaliśmy po jego opinii, że cała klasyka literatury powinna trafić do kosza z braku odniesień do współczesności. Powiedziałam mu, że ogromna liczba cytatów literackich wciąż funkcjonuje w codziennych rozmowach, a nawet ma stałe miejsce w kulturze masowej.

- Przykładowo ludzie często dla żartu parafrazują słowa: „przyjaciele, Rzymianie, rodacy” - spuentowałam.

Okazało się, że Michael nigdy tego nie słyszał.

Wtedy dodałam tylko:

- Zakładam, że to dla ciebie nowość. Tak przy okazji, to z Szekspira.

- Co takiego?

Poddałam się. Kiedy skończyliśmy jeść kanapki, wstałam.

- Miło było cię poznać - pożegnałam się.

- Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby ktoś pił sok jabłkowy prosto z butelki - powiedział.

Nie wiedziałam, co mu odpowiedzieć. Złożyłam serwetkę i próbowałam zebrać nią okruchy. Też się podniósł.

- Czy... mogę do ciebie zadzwonić?

- Pewnie - zgodziłam się, myśląc, że ma zaskakująco niskie wymagania odnośnie podobieństwa charakterów.

Wyszłam przygnębiona i ponura. Nie mogłam uwierzyć, że tak ma wyglądać moje życie.

Ale sekundę później poczułam się tak niesamowicie wolna, że aż chciałam skakać z radości. Nie muszę już nigdy więcej umawiać się na żadną randkę! Koniec! Randki są prawdziwą męką, a ja zdobyłam na to dowód! Teraz mogłam wykreślić kolejny punkt z listy. Powiem Petrovowi, że próbowałam.

Matt nie liczył się tak naprawdę, bo był zajęty. Prawdziwa randka właśnie dobiegła końca! Teraz mogłam wrócić do domu i robić to, na co mam ochotę. Mogłam wyprawić Pilby Płasy. Nie musiałam z nikim chodzić na kompromisy.

Kiedy wróciłam do domu, zauważyłam, że mam nagraną wiadomość. Modliłam się w duchu, żeby to nie był A-Adam. Jeśli jednak to on, porozmawiam z nim, żeby sprawdzić, czy mamy wspólne zainteresowania. Tylko pod tym warunkiem zgodzę się z nim spotkać. W przeciwnym razie nie zamierzam po raz kolejny narażać się na podobny horror. To jednak nie był on. Jak śmiał mnie odrzucić! Za kogo on się uważa? Zresztą, nieważne. Dzwonił Eppie, żeby potwierdzić spotkanie z Natto na jutro po nabożeństwie. Gdybym zmieniła plany, chyba nie muszę oddzwaniać. Nic się jednak takiego nie szykuje. Jestem wolna i niezależna.

Umówiłam się na prawdziwą randkę i zostałam członkiem organizacji. Mogę skreślić dwa punkty z listy Petrova. Zostały mi jeszcze dwa. Mam wyznać ważnej dla mnie osobie, ile dla mnie znaczy, oraz zorganizować sobie sylwestra. Wtedy do-

piero przyjdzie czas na podsumowanie doświadczeń.

Może punkt czwarty załatwię podczas Bożego Narodzenia. Powiem ojcu, jaki jest dla mnie ważny. To jednak będzie dziwaczne. Odkąd skończyłam dziesięć lat, nie powiedziałam mu, że go kocham, ani on mnie. Byłam pewna, że mnie kocha, tylko sobie tego nie mówimy. Może powinnam wybrać inną osobę. Tylko kogo?

Przypomniała mi się moja randka. Szkoda, że nie spotkałam się z Mattem. On by się śmiał z moich dowcipów. Sam też by żartował. A przynajmniej rozpoznałby ten banalny cytat z Szekspira. Ale nie mogłam do niego dzwonić. Musiałam czekać na jego telefon.

Postanowiłam zadzwonić pod numer działu anonsów. Okazało się, że mam jedną nową wiadomość.

Od czterdziestosześcioletka, który już wcześniej mi się nagrał.

- Heja, dzwonię powiedzieć tylko, że jeśli nie dryndnęłaś do mnie z powodu mojego wieku - na siłę próbował brzmieć młodo - to wszyscy moi znajomi twierdzą, że wyglądam na dużo młodszego. Mam nadzieję, że to nie jest problem. Tak czy siak, jeśli jesteś zainteresowana, dryndnij.

Ani słowa o tym, jakim jest człowiekiem. Nie, dziękuję.

Wiele czterdziestoletnich kobiet szuka partnerów za pośrednictwem ogłoszeń, a tymczasem ten prawie pięćdziesięcioletek uderza do dziewiętnastolatki. To nie fair.

Rano zadzwonił ojciec. Omówiliśmy świąteczne plany. Powiedział, że ostatnio wydaję mu się szczęśliwsza. Zmartwiło mnie to. Może to moje niewłaściwe zachowanie wywiera taki

skutek. A jeśli dobrze być złym? Może zło jest konieczne do szczęścia? Czy dlatego ludzie wymyślili religie, żeby straszyć się piekłem? Bo w obliczu porażki rozumu i moralności, tylko lęk potrafi utrzymać nas w ryzach?

- To chyba z powodu zbliżających się świąt - powiedziałam.

- Cudownie - ucieszył się.

Opowiedział mi o swojej pracy. Poznał człowieka, którego biznes polega na przeprowadzaniu prawnych korekt, dlatego pojawiła się szansa na zlecenia dla mnie. Pożegnaliśmy się. Postanowiłam, że czas wydać trochę pieniędzy. Chciałam kupić ojcu prezent na święta.

Wzięłam parasolkę i wyszłam z domu. Akurat przestało padać, ale wilgotne, ciężkie powietrze muskało mi policzki. Otworzyłam parasolkę, a przechodzący obok mężczyzna krzyknął do mnie:

- Nie pada!

Mieszkańcy Nowego Jorku nie potrafią czasem ugryźć się w język. Jeśli powstrzymują się od napaści na tle seksualnym, nie każą ci się uśmiechać, to pozwalają sobie podważać twój sposób korzystania z parasolki. Było jeszcze bieganie. Spróbuj kiedyś przebiec się naprawdę szybko ulicami Nowego Jorku, a przekonasz się, że w pięć sekund usłyszysz:

- Dalej! Biegiem!

Ludzie, którzy pozwalają sobie na komentowanie zachowania innych, oprócz tego, że budzą twoje wyrzuty sumienia odnośnie spraw niestanowiących wcześniej problemu, to przede wszystkim są częścią ogólnoświatowej konspiracji, narzucającej uniformizację sposobów bycia. A jeśli ktoś ma kompletnie

inne podejście? Jeśli nie jest w nastroju do uśmiechów albo nie chce zamykać parasolki? Dlaczego obcy ludzie pozwalają sobie na wytykanie mnie palcami? Skoro mam się nauczyć akceptować innych, czy oni także nie powinni uszanować mojej odrębności? A może zasada wyrozumiałości nie dotyczy tych, którzy są w mniejszości?

Przyszły mi do głowy jeszcze dwa pytania: Czy łatwo się uśmiechnąć na zawołanie? A może też każą nam kichać? Czy nieuśmiechnięci mężczyźni z rozłożonymi parasolami także są celem powyższych komentarzy, a może kieruje się je tylko do kobiet, od których wymaga się rumieńca zawstydzenia?

Minęłam mieszkanie dziewczyny Petrova mieszczące się w sąsiedztwie mojej kamienicy. Zerknęłam na jej okna, ale nie zauważyłam nikogo, ani jej, ani jej męża. Nie było też Petrova.

Świąteczne dekoracje w sklepach podniosły mnie na duchu. W Macy's zainstalowano figurki tańczących Mikołajów, zarówno czarnoskórych, jak i białych – gdybym była Azjatką, nie omieszkałabym napisać skargi – widziałam też śnieżynki, misie kręcące łebkami i pozytywki łaskawie wybrzękujące wszystkie kolędy, które w dzieciństwie śpiewałam w kościele, kiedy tam jeszcze chodziliśmy. Przy dźwiękach *Słuchaj, brzmi aniołów pieśń* klienci w czapkach i szalikach snuli się w oparach perfum przez alejki działu kosmetycznego. Wybrałam dla ojca drobiazgi biurowe, które zawsze doceniał, elegancki stojący zegar i zestaw do pisania. Na parterze ustawiono piramidy z pudełek słodczy opakowanych w złoty papier i przewiązanych grubą czerwoną wstążką, które wyglądały tak uroczo, że nie mogłam się oprzeć, aby nie kupić choć jednego. Do wyboru

były karmelki, które ubóstwiał ojciec, i czekoladki. Kupiłam po jednym z każdego rodzaju. Nie byłam pewna, kto dostanie czekoladki, ale do świąt zdecydowanie ktoś zasłuży sobie na prezent.

Nowojorski Macy's z zewnątrz wygląda, jakby żywcem przeniesiono go z zeszłej epoki. Fasadę zdobią liczne kolumnienki, gzymsy i szyld R.H. MACY & CO, jednak najlepsze kryje się wewnątrz: drewniane ruchome schody. Muszą liczyć przynajmniej pół wieku. Każdy schodek jest zrobiony z drewna, jeden nachodzi na drugi na zakładkę. Schody ruchome fascynowały mnie ogromnie, kiedy byłam dzieckiem. Inna ich nazwa - eskalator - została wymyślona w firmie Otis specjalizującej się w produkcji wind. Początkowo był to znak firmowy. Istnieje też czasownik „eskalować”. W szkole napisałam na ten temat wypracowanie. Mieliśmy opisać wybrany przez siebie wynalazek. Najpopularniejszym wyborem okazały się żarówka i gramofon. Byłam gotowa się założyć, że nie było dziecka, które nie napisałoby o Thomasie Edisonie. Był drugim w kolejności ulubionym bohaterem szkolnych wypracowań obok Pocahontas.

Poszłam do księgarni, w której kupiłam dwa pełne, nowe wydania słowników dla siebie i ojca. Jeśli kiedykolwiek zachoruję i będę musiała spędzić tydzień w łóżku, sięgnę po słownik i z aplikuję sobie kurację duchową. Czy tak można powiedzieć? Kuracja duchowa? Postanowiłam to sprawdzić po powrocie do domu w moim nowym słowniku.

Idąc prosto przed siebie, uświadomiłam sobie, że doszłam aż pod Times Square. Byłam głodna. W okolicy znajdowała się

pizzeria, stoisko z kurczakami z różną, wielgachny mały browar (nawet jeśli to oksymoron) i meksykańska restauracja, w której po raz pierwszy umówiłam się z Mattem. Tam właśnie postanowiłam się wybrać, ze względu na pozytywne konotacje związane z tym miejscem. Może jeśli będę jadła sama, to kogoś poznam. To z pewnością wpisywało się w definicję drobnych życiowych przyjemności Petrova.

Skręciłam w lewo w Czterdziestą Drugą. Byłam nieco skrępowana, wchodząc sama do tak dużego lokalu, ale kilkoro klientów przy barze też wyglądało na samotnych. Siedzieli ze wzrokiem utkwionym w talerzu albo zagadywali barmana. Wybrałam wolny stół i zamówiłam quesadillę oraz margaritę. Barman poprosił mnie o dowód. Tak przywykłam do picia alkoholu w lokalach mimo nieukończenia dwudziestu jeden lat, że aż oniemiałam. Uświadomiłam sobie, że wcześniej zawsze przebywałam w towarzystwie starszej ode mnie osoby, dlatego nikt nie zwracał uwagi na mój wiek. Powiedziałam, że zostawiłam dokumenty w domu, wtedy popatrzył na mnie wzrokiem, w którym wyczytałam, że wie, że ja wiem, że on wie. Powiedziałam, że zmieniłam zdanie, i poprosiłam o lemoniadę.

Zjawiało się coraz więcej i więcej gości. Sala restauracyjna odbijała się w lustrze zawieszonym na ścianie za plecami barmana. Tafla była pokryta brunatnymi plamkami. Patrzyłam na wchodzących ludzi. Większość była w czarnych i granatowych garniturach. Obłudna dwudziestokilkuletnia progenitura krętańskich sześćdziesięciolatków, tworząca tak zwane pokolenie Y.

W końcu mój wzrok zatrzymał się na znajomej postaci. To

był Matt.

Wszedł z dziewczyną. Pewnie z Shauną. Kelner zaprowadził ich do stolika na końcu sali.

Shauna jednak nie przepadała za meksykańską kuchnią. Dziewczyna zaś nie przypominała tej ze zdjęć. Musiała mieć trzydzieści kilka lat. Była ubrana w elegancki kostium, miała krótkie, proste, lśniące włosy. Oboje się uśmiechali. Matt mnie nie zauważył.

To mogła być jego koleżanka z pracy. Im dłużej im się przyglądałam, tym bardziej wyglądali na osoby świetnie czujące się w swoim towarzystwie.

Jadłam, nie spuszczać wzroku z ich odbicia w lustrze. Śmiali się. Matt kiwał głową. Jedli. Matt wskazał na okno. Jego przyjaciółka pokręciła głową.

Skończyłam jeść, zapłaciłam i ruszyłam w ich kierunku.

Ich złożone dłonie spoczywały na stole.

- Cześć, Matt - przywitałam się.

Chyba go wystraszyłam.

- O, cześć - odpowiedział, a kobieta cofnęła swoją dłoń. - To jest Beth.

Beth skinęła głową. Mnie jednak jej nie przedstawił.

- Pracujecie razem? - zapytałam.

Beth popatrzyła na niego, szukając wskazówek, co odpowiedzieć, Matt zaprzeczył ruchem głowy.

- Poznaliśmy się... całkiem niedawno.

- Na przyjęciu? - zapytałam słodkim głosem.

Beth posłała mu kolejne spojrzenie. Matt milczał.

- Przez przyjaciół - odpowiedziała.

- Ze studiów? - ciągnęłam przesłuchanie.
- Przyjaciół, hm, przyjaciół - odezwał się Matt.
- Życzę w takim razie miłej zabawy - pożegnałam się.

Kiedy wyszłam, nie ruszył za mną. Poznał ją, rzecz jasna, za pośrednictwem anonsu. Jak mogłam być na tyle głupia, żeby wierzyć, że tylko ja jedna mu odpowiedziałam? I że mnie, w odróżnieniu od Shauny, będzie wierny? Cudzołożnicy cudzołożą. Kiedy romansujesz z niewiernym partnerem, nie masz prawa do narzekań, kiedy cię zdradzi. Podobnie kupując na ulicy kokę, która w domu okazuje się cukrem pudrem, nie biegiesz zadenuncjować dilerów na policję.

Byłam wściekła. Miałam ochotę nawrzeszczyć na Matta. Ale nie mogłam tego zrobić. Oficjalnie się nie znaliśmy, nie musiał też się martwić moim oburzeniem ani do mnie dzwonić. Nie ze mną był zaręczony. Jedyne, co mi pozostało, to zgodzić się, lub nie, na propozycję spotkania, która zawsze wychodziła od niego. Koniec kropka. Resztę swojego czasu dzielił między Shaunę a inne osoby, z którymi chciał przebywać. To bez sensu tak się pieklić. Byłam tą drugą. Albo trzecią, czwartą czy piątą.

Nie potrafiłam pojąć jego potrzeby spotykania się z taką liczbą osób. Ale może to pragnienie licznych kontaktów jest równie silne, jak moja potrzeba samotności? Może Kara miała rację. Czy wolno mi potępiać człowieka, którego libido tak totalnie różni się od mojego? Nie wiedziałam. Czasem wydawało mi się to słuszne. Za jakieś cztery czy pięć miesięcy Matt z własnej woli stanie przed ołtarzem, przysięgając wierność Shaunie. Sama składałam ślubowanie jedynie amerykańskiej fladze w szkole każdego ranka, ale nawet w tym przypadku

nie robiłam tego na poważnie, bo sama idea była dla mnie z gruntu faszystowska i często tylko niemo poruszałam ustami. Czasami zdarzało mi się też recytować psalm dwudziesty trzeci, osiemnasty sonet albo przemówienie Nixona.

Wróciwszy do domu, przygnębiona rzuciłam się na łóżko. Miałam wrażenie, że mój żołądek zapadł się głęboko, przechodząc przez materac aż do drewnianej ramy. Nic nie było w stanie poprawić mojego samopoczucia.

Nic, z wyjątkiem jednej rzeczy.

Z torby wyciągnęłam pudełko czekoladek i od razu zjadłam połowę.

Następnego dnia naprawdę nie chciało mi się iść do kościoła. Jaki to ma sens? Po co cokolwiek robić? Im lepiej kogoś poznajesz, im bardziej się zbliżacie, tym boleśniej upadasz, kiedy ten ktoś wbije ci nóż w plecy. Ale z drugiej strony, sama jestem sobie winna.

Z poczuciem wewnętrznej pustki zmusiłam się do wyjścia. Ruszyłam do stacji metra.

Nie wiedziałam, jak mogłabym to inaczej określić, ale kazanie Natto było niezwykle wzruszające.

Opowiadał o powodziach i osuwiskach, które przed tygodniem wydarzyły się w Wenezueli. Wcześniej docierały do mnie jedynie strzępy informacji. Skarciłam się za niewiedzę, bo zginęły tam tysiące ludzi.

- Czemu na to pozwoliłeś, mój Boże? - pytał Natto. - Niemowlęta, ich matki, siostry, zwierzęta. Bez różnicy. Niektórzy mieli złote serca. Inni byli zbyt młodzi, aby cokolwiek dobrego

w życiu uczynić z własnej woli. Czemu ich zabrałeś? Czy ktokolwiek może to wytłumaczyć?

Nie bardzo, choć z pewnością Natto wiedział.

- W Piśmie Świętym, w księdze Izajasza, znajdziecie następujące słowa: „Bo myśli moje nie są myślami waszymi ani wasze drogi moimi drogami - wyrocznia Pana. Bo jak niebiosa górują nad ziemią, tak drogi moje - nad waszymi drogami i myśli moje - nad myślami waszymi”^[4]. Oznacza to, że był ku temu powód, ale jest nam nieznany. Tylko Bóg wie dlaczego. Widzi bowiem rzeczy, których my nie dostrzegamy. Wie o sprawach, które są poza naszym pojmowaniem. Nie jest nam dane zrozumienie Boga.

Na chwilę zawiesił głos.

- Czy w to wierzę? - zapytał. - Czy wierzę, że Bóg miał powód, by tak uczynić? Czy to tłumaczy, dlaczego tysiące poniosły śmierć? Nie jestem pewien. Nawet znawcom Pisma Świętego i ludziom łaknących wiary ciężko dostrzec dobro w tym ogromie zniszczenia i destrukcji. Pośród rzezi i padliny.

Erudyta!

- Jak oni zostaną osądzeni? Jak my będziemy osądzeni? Budzimy się każdego ranka, wierząc, że dobre uczynki zaprowadzą nas do nieba, a złe - do piekła. Potem jednak widzimy sześciolatkę umierającą na raka. Patrzymy, jak w Ameryce Południowej niszczycielska fala i góry błota zmiatają z powierzchni ziemi niewinnych. A nasz zdradzający żonę i okradający szefa sąsiad tylko pomnaża swój majątek. Nasz kuzyn, wierutny kłamca, wygrywa na loterii. Czy to ma jakikolwiek sens?

Kilkoro ludzi pokiwało głowami. Też chciałabym wiedzieć.

- Sam nie wiem - powiedział Natto. - Sam nie wiem. Ale powiem wam jedno. Pragnę się tego dowiedzieć. Łaknę tej wiedzy. Powiem wam jeszcze dwie rzeczy. Pierwsza, to znany frazes, który nieraz słyszeliśmy. Łatwo przyszło, łatwo poszło. Czy tak nie jest?

Kilka osób przytaknęło.

- Przypadek Wenezueli nie ma dobrego wytłumaczenia. Ale pewnego dnia grzesznicy zostaną pokarani, a sprawiedliwi nagrodzeni. We wczorajszych wiadomościach pokazano wenezuelskich bohaterów, ludzi ratujących innych. Byliśmy świadkami ludzkiej współpracy. Widzieliśmy ratowników, pracowników pomocy humanitarnej. Oto dzieło Boże.

Przystanął.

- Oto dzieło Boże - powtórzył.

Na nowo ruszył energicznym krokiem.

- Oni czynili dobro. Ale gdyby ich samolot w drodze do domu rozbił się? Czy miałoby to jakiś sens? Nie wiem. Nie twierdzę, że znam wszystkie odpowiedzi. Z pewnością są przypadki, których nigdy do końca nie zrozumieję. W większości kościołów mają problem z przyznaniem się do tego, ale prawdopodobnie nigdy nie dowiemy się dlaczego. I czasem ta świadomość budzi mój gniew.

Podobało mi się to.

- Ale obiecałem wam powiedzieć o dwóch rzeczach. Po pierwsze, pamiętajmy, łatwo przyszło, łatwo poszło. Jest też druga rzecz. Sądzmy sami siebie. Ci, którzy stracili życie w Wenezueli, jeśli byli dobrymi ludźmi, wiedzieli o tym. Umierali w pokoju. Wiedzieli, że nie zasłużyli na to, że to była kata-

strofa. Ale złoczyńca, gdy nagle usłyszy grzmot, a niebo zapadnie się nad nim, to konając, oprócz fizycznego bólu poczuje w sercu, że to kara dla niego. Nie może z czystym sumieniem wołać do Boga, że nie zasługuje na śmierć. Wie, że źle czynił, dlatego powinien błagać o wybaczenie i zadośćuczynić pokrzywdzonym. W ten właśnie sposób Bóg go pokarał. Wszyscy wiemy w naszych sercach, że po śmierci czeka nas Sąd Ostateczny, nie znamy jednak jego wyroków, ale tu i teraz na ziemi sami bądźmy dla siebie sędziami.

Faktycznie mówił do rzeczy.

- Żaden człowiek, który dopuścił się złych uczynków, nie może z czystym sumieniem prosić Boga o ratowanie życia jego umierającej siostry, dopóki najpierw nie przeprosi i nie obieca poprawy. - Przerwał, omiatając zebranych wzrokiem. - Żaden człowiek, którego coś trapi, nie może prosić Boga o pomoc, dopóki nie zadośćuczyni za wyrządzone krzywdy. Prędzej czy później każdy z nas będzie musiał zapłacić za cierpienie, które spowodował. Dlatego właśnie wszyscy, niezależnie od tego, czy wierzymy w przeznaczenie, czy raczej w przypadek, musimy trzymać się własnego rozeznania, co dobre, a co złe. Wtedy najprawdopodobniej będziemy najbliżsi boskiego rozdzielenia między sprawiedliwym a niesprawiedliwym. Panie i panowie, czytałem Pismo Święte i oczywiście znalazłem tam rzeczy, które wciąż umykają mojemu zrozumieniu, ale każde słowo tam zapisane ma sens. Bądźmy dobrymi ludźmi, ale nie dlatego, że tak każe Biblia, ani nie dlatego, że tak powiedział, czy napisał w swojej książce Joe Natto. Niech nawet nie skłania nas do tego lęk przed tym, iż zamkną przed nami wrota z masy

perłowej. – Pochylił się, złączył w zabawny sposób dłonie i dodał: – Po prostu bądźcie dobrymi ludźmi, a podczas lektury Pisma Świętego albo słuchając kazania, utwierdzajcie się w tym, że wasza wiara jest słuszna. Niech nie powoduje wami strach ani rutyna. Waszymi przewodnikami powinny być wiara i wewnętrzne przekonanie. Jeśli zaś brakuje wam wiary, powiedzcie mi o tym. Chętnie przyjmę wyzwanie. Mogę przecież się mylić. Chciałbym, abyśmy wszyscy zrozumieli. Abyśmy myśleli. Abyśmy wierzyli.

Rozległy się oklaski, zapoczątkowane pewnie przez Eppiego, do którego dołączyli inni.

– Widzę tu dziś więcej ludzi niż tydzień temu. Przyprawialiście ze sobą innych, tym samym spełniając dobry uczynek. Wszelkie katastrofy powinny nas omijać, jeśli prawda jest prawdą, ale gdyby któremuś z nas zdarzyło się nieszczęście, możemy być pewni, że nie stało się to z naszej winy. Byliśmy bowiem sprawiedliwi. Czyniliśmy dobro, choć nikt nas do tego nie zmuszał. Nie odejdziemy z tego świata z nieczystym sumieniem. Ze wszystkich sił powinniśmy pozostać wierni sobie, nawet w obliczu okrucieństwa świata. Jesteśmy silni. Chciałbym usłyszeć, jak każdy z was to powtarza. Czy jesteście silni?

– Jesteśmy silni.

Natto stanowczo pokiwał głową.

– A teraz pomódlmy się w ciszy za ludzi w Wenezueli.

Tak zrobiliśmy, potem Natto jeszcze przez chwilę przemawiał i msza się skończyła. Kilkoro wiernych zgromadziło się przy drzwiach, by kupić jego książkę, ja natomiast ruszyłam

w przeciwnym kierunku. Podeszłam do Eppiego.

- Tędy proszę. - Eppie wskazał mi drogę.

Weszłam do niewielkiego pomieszczenia. Stała tam niepozorna, brązowa lodówka oraz trzy biurka, na których piętrzyły się stosy książek, gazet i czasopism, na ścianie zaś wisiała tablica z korka.

Czekałam kilka minut, aż wreszcie przyszedł Natto, ocierając czoło ręcznikiem.

- A nie mówiłem? - zwrócił się do Eppiego znużonym głosem, tak odmiennym od podniosłego tonu, którym wygłaszał kazania.

- Ach - zreflektował się na mój widok. - Ty pewnie jesteś Carrie?

Rzadko mi się to zdarzało, ale odniosłam wrażenie, że wpadłam mu w oko. A nie należałam do osób, które zwracają na to uwagę. Niektóre kobiety uważają, że każdy przechodzący mężczyzna ma na nie ochotę. Według mnie, brakuje im wiary w siebie, dlatego w ten sposób próbują się podbudować. Jednak na twarzy Natto na mój widok odmalowało się tak wielkie zdumienie, jakby niespodziewanie uderzył go podmuch wiatru, podobny do wiru powietrza, który tworzy się w metrze tuż przez wyjazdem pociągu z tunelu.

- Dziękuję ci, Ep - odezwał się i Eppie wyszedł.

- Pan Bronson skontaktował się ze mną w sprawie grupy dla dwudziestolatków - zaczęłam.

Starłam się odgadnąć, ile ma lat. Na pewno był dużo starszy ode mnie, ale znacznie młodszy do Petrova. Na oko, czterdziestolatek. Miał rzymski nos i ciemne włosy starannie zacze-

sane na bok.

- Tak. To grupa wiekowa, z którą całkowicie się rozmijamy - przyznał Natto, siadając. - Przepraszam za bałagan.

- Nic nie szkodzi. Moje biurko wygląda podobnie.

- Dużo czytasz?

- Tak - potwierdziłam i szybko dodałam, żeby wzbudzić jego sympatię: - To moje ulubione zajęcie.

- Moje także. Gdzie studiowałaś?

- Na Harvardzie.

- Nieźle - uśmiechnął się, opierając się wygodnie. - Kiedy się obroniłaś?

- W zeszłym roku.

- Co cię skłoniło, by przyjść do kościoła?

- Dostałam ulotkę na ulicy i chciałam sprawdzić, czy czasem nie jest to sekta.

- I? - Odchylił się do tyłu. Jego oczy błyszczały.

- Podobało mi się dzisiejsze kazanie. Szczególnie, że pan się przyznał do niewiedzy. Na pierwszym roku studiów miałam profesora literatury, który rozpoczął zajęcia stwierdzeniem, że nie cierpi Josepha Conrada. Spodobało mi się to. Nie zgadzałam się z nim, co prawda, ale podziwiałam jego odwagę. Najzabawniejsze zaś było to, że okazał się najlepszym specjalistą od Conrada, jakiego w życiu spotkałam.

- Czy Conrad był jednym z jego studentów? - zapytał Natto.

- Och, nie. On... - zawahałam się.

- Żartowałam - uśmiechnął się Natto. - Wiem, kim jest Conrad. Nawet zdarzyło mi się przeczytać *Lorda Jima*.

- Akurat tej książki nie znam - przyznałam się.

Teraz sama wyszłam na ignorantkę.

- I dobrze, nie czytaj, to jego najśłabsza powieść - poradził mi. - Jaką epokę literacką najbardziej lubisz?

- Epokę wiktoriańską i modernizm.

- To dopiero absurdalny termin, nie sądzisz? Każdy chce być nowoczesny. Słyszałaś może anegdotę o szefie amerykańskiego urzędu patentowego, który pod koniec dziewiętnastego wieku oznajmił, że już wszystko zostało wynalezione? Choć, jak się orientuję, prawdziwość tej anegdoty została podważona, ale przekaz jest jasny: ludzie zawsze uważają się za najnowocześniejszych. Minęło kolejne sto lat z okładem i znów twierdzimy, że żyjemy w erze nowoczesności, jakby dalszy postęp był już niemożliwy. Przepraszam, nasza epoka to więcej niż modernizm, to postmodernizm. Czy nie tak nazywa się czas, w którym przyszło nam żyć?

- Zgadza się.

- Jak można żyć w ponowoczesności? To przecież nie ma sensu. Co ma nastąpić potem?

- Podejrzewam, że tak już będzie do końca świata.

Pochylił się w moją stronę.

- Przyszłaś więc tutaj, żeby sprawdzić, czy nie jesteśmy sektą. Kto ci dał ulotkę?

- Facet z... łysiejący, niski. Głównie kierował się do Hiszpanów, ale przechodziłam nieopodal.

- Skąd wiesz, że to byli głównie Hiszpanie?

Roześmiałam się.

- Chodziło mi o to, że zwracał się do ludzi o latynoskiej urodzie. Przepraszam. Hiszpańskojęzycznych. Nie ograniczał się

wyłącznie do obywateli Hiszpanii.

- Aha. Może odpowiadali mu uprzejmiej niż młodzi, bogaci yuppie. Kiedy zakładasz nową wspólnotę religijną albo cokolwiek innego, i robisz to od postaw, to nie masz co liczyć na zmiłowanie. Najgorzej mieli mormoni. Nie będę cię jednak teraz zanudzał wykładem z historii religii.

- Mormoni to ciekawy temat.

- Bardzo. Pisałem pracę z religioznawstwa. Religia, teologia, filozofia to moje dziedziny. Literatura ciut mniej.

- Gdzie pan studiował?

- W City College - odpowiedział. - Świetnie mi się tam studiowało. Choć tak naprawdę nie jest ważne, jaką kończysz uczelnię, ale jak w przyszłości wykorzystasz zdobytą wiedzę. - Wiedziałam, że ma rację. - Przed ukończeniem osiemnastego roku życia wychowywałem się w trzech różnych rodzinach zastępczych, książki były jedynym stałym punktem w moim życiu.

Rozejrzałam się. Liczne tomy piętrzyły się na biurkach, regałach, podłodze.

- Jak sądzisz, czy jesteśmy w stanie przyciągnąć do naszego kościoła więcej młodych? - zapytał mnie Natto.

Wiedziałam, że chce jedynie dobrze sprzedać swoją książkę. Wiedziałam, że utrzymuje, jakoby doznał objawienia. Ale nie czułam się na siłach, aby stawić mu czoło.

Znów działo się to samo. Wymiękałam pod wpływem emocji. Wybierałam łatwiejsze wyjście, podobnie jak reszta świata. Nie wydałam Matta przed narzeczoną (jeszcze). Całowałam się z Karą. Z Mattem też. Teraz zaś dawałam się wciągnąć w sektę. Pomocy!

Czy nie ożywiałam się w tym miejscu? Czy nie tak właśnie działały sekty? Ale może powinnam dalej w to brnąć, żeby mieć głębszy wgląd w sytuację.

- Uważam, że możecie przyciągnąć więcej młodych ludzi - odpowiedziałam.

- Jak?

- Trzeba kazać ludziom z ulotkami zwracać się do młodych, a nie tylko do mniejszości etnicznych - poradziłam. - Powinni stać w okolicy Wall Street, Union Square czy Times Square, czyli tam, gdzie pracują młodzi ludzie.

- Ale co zrobić, żeby nie wyrzucali ulotek?

On naprawdę liczył się z moim zdaniem.

- Musicie określić, czym jest wasz kościół, a szczególnie, czym się różni od pozostałych. Weźmy przykład z Żydów dla Jezusa. Mają fantastyczne broszury. Czytając je, niemal mam ochotę przejść na judaizm, żeby tylko do nich dołączyć.

Nie kłamałam, ich ulotki były pełne komiksów, żartów i odniesień do popkultury. Jednak przejście na judaizm, żeby dołączyć do Żydów dla Jezusa, można porównać w moim przypadku do operacji zmiany płci, żeby zostać gejem. Co wcale nie byłoby aż takim absurdem, zwłaszcza dla niektórych. Gdybym zmieniła płeć i została mężczyzną, mogłabym się umawiać ze znacznie bardziej zajmującymi facetami. Ciekawe, czy poznaliby, że wcześniej byłam kobietą. A gdybym tak przebrała się za mężczyznę i umówiła z gejem, a potem rozkochała go w sobie. Co wtedy? Czy nagle stałby się heteroseksualny? Jak by zareagował, gdybym przyznała się do swojej prawdziwej płci? Czy od razu straciłby zainteresowanie moją osobą? Czy wciąż bym

go kręciła i zostałyby hetero? Mogłabym nakręcić film na ten temat.

- Co według ciebie powinno się znaleźć w ulotkach? - Natto drażył temat. - Co zachęciłoby kogoś w twoim wieku?

Rozejrzałam się po ścianach jego pokoju. Były tam kościelne ulotki, afisz sztuki wystawianej w City College of New York, kupon na pizzę Domino, plakat z wierszem zatytułowanym *Ślady na piasku*.

- Nie wiem - przyznałam. - Może podobny przekaz jak w dzisiejszym kazaniu. „Nie mamy gotowych odpowiedzi”. Albo jeszcze mocniej. Na okładce: „Religia to opium”. A w środku: „Z wyjątkiem Kościoła Pierwszych Proroków. To nowa, czadowa wspólnota otwarta na młodych”. Coś w tym stylu. Nie chodzi tylko o słowa. Ważny jest obraz. Potrzebujecie osoby z doświadczeniem w reklamie, dobrego grafika.

- Hm - zastanawiał się chwilę Natto. - Komu mógłbym to zlecić?

Wpadłam na pomysł. Shauna. Rozkręcała własną agencję reklamową. Szukała klientów.

- Znam kogoś - powiedziałam. - Tak jakby. Przez znajomych.

- Świetnie! - ucieszył się. - Byłby zainteresowany?

- Zainteresowana - poprawiłam go. - Dopiero o niej usłyszałam. Niedawno założyła własną firmę, może mogłaby to zrobić za darmo, jeśli pomogłoby to jej zdobyć klientów.

Zbeształam się w duchu, bo zaczęłam skanować jego biurko i szafy w poszukiwaniu zdjęć żony i dzieci. Wydało mi się bowiem osobliwe, że kawaler założył kościół. Były takie rzeczy, które można zrobić tylko i wyłącznie przy ogromnym wsparciu

ze strony bliskich. Może Eppie Bronson był jego kochankiem.

- Główna pracuje - skomplementował mnie Natto. - Od razu widać, że studiowałaś na Harvardzie.

Promieniował ze szczęścia, jego oczy przypominały świetliste szparki, które pojawiały się zawsze na sekundę przed zgaszeniem ekranu telewizora.

- Po prostu myślę - powiedziałam.

Jego uwaga przypomniła mi Davida, który zawsze pytał mnie o zdanie. David Lance Harrison, profesor literatury angielskiej. Ciekawe, czy skojarzenie go z Natto było złym czy dobrym znakiem.

- Świetnie. - Natto wstał i klasnął w dłonie. - Muszę wracać do moich owieczek. Zadzwoń do ciebie, może uda ci się skontaktować z tą specjalistką od reklamy.

- Postaram się z nią umówić - obiecałam.

Wychodząc, zauważyłam, że podszedł do starszej, otyłej kobiety i uścisnął jej dłoń. Była w towarzystwie swojej matki, staruszki. Natto przechylił głowę, słuchając uważnie. Kobieta zamasyście gestykulowała. Niesamowite, że potrafił tak słuchać bez cienia znudzenia czy protekcjonalizmu. Widać taki właśnie był. Autentycznie zainteresowany. Inni automatycznie otwierali się przed nim, i to było niezwykle. Był typem osoby, której towarzystwa łaknęłam. Ale najwidoczniej nie ja jedna.

Ze względu na swój wiek miałam przewagę w przyciąganiu jego uwagi. Ciekawe, czy to był mój jedyny atut. Każdy potrzebuje asa w rękawie, wszyscy starają się podkreślić swoje zalety. Mężczyźni biegają po boisku, brzdąkają na gitarze albo startują w wyborach prezydenckich, wszystko to dla tysiąca

pożądliwych spojrzeń. Kobiety wkładają mini i szeptają aksamitnym głosem, rzucając adoratorów na kolana. To seksistowskie, zgoda. Ale czasem tak właśnie jest. Reasumując, chodzi mi o to, że w większości przypadków się różnimy, mamy inne mocne strony i inne słabości, które często wyolbrzymia się w stereotypach. Czy jednak odzwierciedlają one rzeczywistość? Nie. Niektóre rzeczy po prostu się dzieją. Przykład Wenezueli. Nie zawsze musimy się z tym godzić. Ale tak właśnie jest.

Rozdział 10

Kilka dni później z samego rana poszłam na sesję do Petrova.

- Dziś potrzebuję całej godziny - oznajmiłam, siadając. - To znaczy, wiem, że wizyta trwa czterdzieści pięć minut, ale chcę wszystkich czterdziestu pięciu minut co do sekundy. Nie zamierzam się spierać. Zaczynamy.

- W porządku - uśmiechnął się. - Czy lista działa?

- Nie ma dramatu.

Prawdą było, że Matta poznałam jakby przy okazji pracy nad listą, co niekoniecznie wyszło mi na dobre, ale przynajmniej było ciekawe. Prawdą było, że poszłam do kościoła ze względu na listę. Choć w tym temacie nie ma szału, to nie nudziłam się. Gdybym została w domu, nic by się nie wydarzyło. Wychodząc do ludzi, na przyjęcie czy randkę, choć narażałam się na rozczarowanie, to mogłam też liczyć na kolejne zaproszenia na bardziej udane spotkania czy imprezy. Nazwałabym to towarzyskim efektem motyla.

- Co udało ci się zrobić? Randka? Członkostwo w klubie?

- Obie rzeczy - przyznałam. - Umówiłam się z facetem o imieniu Michael.

- Wspaniale! Jak się poznaliście?

Musiałam skłamać.

- W pracy - powiedziałam. - Nie była to udana randka, ale

podchodzę do sprawy optymistycznie, licząc, że następna będzie lepsza.

Bo gorzej już być nie może.

- Świetnie - ucieszył się Petrov. - Chciałabyś mi o tym szerzej opowiedzieć?

- Czekałam na zlecenie w bibliotece firmy prawniczej - wymyśliłam.

Choć przez myśl przeszło mi mnóstwo niezbyt odpowiednich pomysłów, jak zacząć, musiałam zdusić ten impuls. Moja opowieść musiała mieć ręce i nogi.

Podeksytowany Petrov nachylił się w moją stronę.

- Pracę skończyliśmy około czwartej nad ranem. Okazało się, że on mieszka niedaleko mnie, dlatego wróciliśmy jedną taksówką.

A potem, puściłam wodze fantazji, zatrzymaliśmy się przed wjazdem do okazałej wili, a on powiedział: „Tutaj mieszkam. Nie miałabyś ochoty na kąpiel w basenie? Nago?” Zerwaliśmy z siebie ubrania i popędziliśmy do wody. Tylko niebo było świadkiem pieszczot naszych mokrych ciał. W chwili spełnienia jego zaczerwienione od chloru oczy iskrzyły miłością.

- W drodze do domu rozmawialiśmy i okazało się, że właśnie obronił dyplom. Wydawało mi się, że mamy dużo wspólnego. Umówiliśmy się w weekend w Barnes & Noble.

- Bardzo dobrze - pochwalił mnie Petrov. - Jak było?

- W porządku. Choć rozmowa się nie kleiła i okazał się dziwakiem. Ma mnóstwo rozmaitych tabu jedzeniowych.

- Na przykład?

Boże, ale byliśmy ciekawscy.

- Nie je śniadań. Poczułam się winna na samą myśl o zamówieniu czegoś kalorycznego. A na koniec powiedział, że nigdy nie widział, żeby ktoś pił sok prosto z butelki.

Petrov roześmiał się. Pewnie chciał mnie podbudować, abym poczuła, że zachowałam się zupełnie normalnie.

- Może w jego ustach to był komplement - zauważył. - Może chciał... nieważne.

Ach, czyżbym tylko ja miała kosmate myśli? Postanowiłam grać niewiniątko.

- Co takiego?

- Nic. Zamierzacie się jeszcze umówić?

- Nie. Był dziwny.

- Ale...

- Miała być jedna randka. Za każdą kolejną kasuję półtorej stawki.

Petrov rozsiadł się wygodnie.

- Czy to było aż tak przykre doświadczenie? Z ręką na sercu, czy cieszysz się, że to zrobiłaś?

Chwila namysłu.

- Nie zmieniło to mojego życia - powiedziałam. - Ale pewnie siedząc w domu, nie dokonałabym niczego ważniejszego.

- I to lubię - przyklasnął mi Petrov. - Co jeszcze udało ci się zrobić?

- Poszłam do tego kościoła - oznajmiłam. - Wcale nie jest taki tragiczny. Mam im pomóc w przygotowaniu reklamy dla dwudziestokilkuletniego odbiorcy. Chcą zachęcić młodych, pracujących ludzi, by przyłączali się do wspólnoty.

- Fantastycznie!

- Początkowo podejrzewałam, że to sekta. Nie chciałam dać się wciągnąć w coś takiego, ale wydają się w porządku.

- Powinnaś zaufać swojej intuicji - zachęcił mnie. - Może zmierzasz we właściwym kierunku.

- Może - przyznałam.

Rozpromienił się.

- Jednak chcę dziś poruszyć temat cięższego kalibru - zaczęłam. - Ostatnio bardzo nurtuje mnie jedna sprawa.

- Dobrze - zgodził się.

- Znam chłopaka, który zdradza narzeczoną. Wiem, że mnóstwo ludzi kręci na boku. Cały ten temat niewierności bardzo mnie męczy. Od zawsze uważałam, że ludzie są obłudni i zmienni jak chorągiewki na wietrze. Byłam jednak pewna, że wstępując w związek małżeński, nie planują zdradzać. W końcu składają przysięgę. Ale tak wiele osób pozwala sobie później na skoki w bok. Rozumiem, że życie małżeńskie może okazać się za nudne i za długie, ale czy to usprawiedliwia cudzołóżników?

Petrov głęboko nabrał powietrza.

- Wydaje mi się, że to zależy od sytuacji. Każdy powinien podjąć właściwą dla siebie decyzję.

- Czy chce pan powiedzieć, że bywają przypadki, kiedy zdrada jest dobra? Nawet jeśli druga osoba nic nie wie, bo dowiedziawszy się, na pewno poczułaby się zraniona? Mimo że taka sytuacja niesie ze sobą ogromne ryzyko?

- Zgadza się, że zdrada jest zła - powiedział Petrov. - W ten sposób można kogoś skrzywdzić.

- Czyli mając ochotę na skok w bok, kiedy zauroczy nas ktoś

inny, powinniśmy się rozwieść i zacząć budować życie od nowa?

- Czasem trzeba rozważyć różne okoliczności - odpowiedział.

Popatrzyłam na jego zdjęcie, na którym pozował z dwójką swoich dzieci.

- Pana córka ma mniej więcej dwadzieścia osiem lat, prawda?

- Samantha? Tak.

- Jak by się pan poczuł, gdyby zaczęła się spotykać z pięćdziesięciolatkiem?

- Myślę, że... dość dziwnie - przyznał Petrov. - Chciałbym się upewnić, że jej nie wykorzysta.

- Czyli pan sam by się nigdy nie umówił z kobietą w jej wieku.

Milczał przez chwilę. Zastanawiał się.

- To zależy - stwierdził. - Mentalny wiek wielu ludzi różni się od tego z metryki. Na przykład ty, mimo dziewiętnastu lat, jesteś osobą bardzo dojrzałą.

- Podobnie twierdził profesor Harrison.

- Nie wątpię.

- Wracając jednak do naszego tematu: Czy cudzołóstwo jest złe? - zapytałam. - Jeśli nie można go niczym usprawiedliwić. Gdy osoba w związku małżeńskim dopuszcza się zdrady tylko dlatego, że pociąga ją ktoś inny. Wykluczam przypadki ofiar przemocy ze strony partnera czy generalnie fatalnej sytuacji w związku.

- Na te pytania... Carrie... nie mogę...

- Dwadzieścia lat temu... - ciągnęłam - jestem się w stanie założyć, że dwadzieścia lat temu nie zawahałby się pan przed udzieleniem odpowiedzi. Powiedziałby pan, że zdrada to samo zło.

- To prawda - przyznał Petrov. - Miałem wtedy przyjaciela, który zdradzał żonę, i uważałem go za kawał drania.

- A teraz? - Nie dawałam mu spokoju. - Jest pan bardziej tolerancyjny? Czy może bardziej znieczulony?

- Więc...

- Ujmując rzecz najprościej, zmieniamy zasady w zależności od sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy. Kierujemy się twardym kodeksem moralnym tylko do momentu, w którym pod wpływem chwili wydamy się sobie inni. Wierzymy w słuszność naszych przekonań, ale nagle zaczynają nas uwierać. Moralność jest uciążliwa. Czuje pan miętę do dziewczyny mieszkającej w mojej okolicy, aż tu nagle okazuje się, że dopuszcza się pan czynów, które wcześniej budziły w panu obrzydzenie.

Petrov zaniepokoił się.

- Proszę się nie obawiać, potrafię zachować tajemnicę - uspokoilał go. - Pan nie powiedział mojemu ojcu o profesorze Harrisonie, ja też nie zamierzam kontaktować się z rodzicami Sheryl Rubin.

Aż się wyprostował.

- Sheryl Rubin - powtórzył.

- Mieszka niedaleko mnie.

- I...?

- Widziałam, jak się całowaliście.

Petrov głośno wypuścił powietrze. Spuścił wzrok.

- Może mi pan powiedzieć - zachęciłam go. - Nikomu tego nie zdradzę. Słowo honoru.

- Nie ty jesteś związana tajemnicą lekarską tylko ja. Zresztą to ja mam pomagać tobie.

- Niedawno powiedział pan, że czeka na dzień, w którym przyjdę wesolutka jak szczygiełek, żeby tylko pogadać - przypomniałam mu. - Zrozumiałam, że mogę potraktować pana jak przyjaciela. Nie jest to jednak możliwe, bo nasza relacja nie jest partnerska. Pan wie o mnie wszystko, a ja o panu nic. A chciałabym tylko wiedzieć, jak pan to sobie tłumaczy. Bardzo by mi to pomogło. Choć może nawet nie zawracał pan sobie głowy szukaniem usprawiedliwienia? Nie jest moim zamiarem ocenianie pana. Ale dylematy moralne, etyka sytuacyjna to tematy, które bardzo mnie interesują. Czy zmiana przekonań automatycznie czyni z nas hipokrytów? Czy warto się od czasu do czasu zabawić czy może lepiej dożyć osiemdziesiątki, nie spróbawwszy pewnych rzeczy, bo to niewłaściwe? Dlaczego kandydat na prezydenta nie powinien nigdy palić trawki, bo nawet jedna próba skreśla go w oczach wyborców? Dlaczego między zerem a jedynką jest taka ogromna różnica? Dlaczego osoba, która nigdy nie uprawiała seksu, jest dziewicą albo prawiczkim, a jeden stosunek od razu to odmienia? Dlaczego jedna czynność wykonana tylko raz od razu przerzuca nas w inną kategorię? Skoro narkotyki są szkodliwe i niebezpieczne, to przez całe życie powinniśmy trzymać się z dala od trawki. Ale jeśli ktoś spróbowałby raz zapalić, tylko żeby zobaczyć, jak to jest, czy od razu stanie się zły do szpiku kości? Czy są granice, których absolutnie nigdy nie powinniśmy prze-

kraczać, i czy jednokrotne ich naruszenie jest równe tysiącu wykroczeń? Czy jeśli raz złamawszy tabu, postanowimy już nigdy więcej tego nie robić, to wciąż możemy uważać się za moralnych? Czy jednak lepiej nigdy przenigdy nie sprzeniewierzać się zasadom?

- Całe mnóstwo pytań - zauważył Petrov.

- To wszystko przez ten kościół, pobudza mnie do myślenia - wytłumaczyłam się.

- Zazwyczaj bywa na odwrót.

- Twierdzi pan tak tylko dlatego, że jest pan żydem - odgryzłam się.

- Niepraktykującym.

- Widzi pan, może się pan zatem śmiało otworzyć.

Roześmiał się i byłam pewna, że zacznie mówić. Przez chwilę milczał zatopiony w myślach. Popatrzył na swoje brązowe mokasyny ozdobione małymi chwostami. Potem przeniósł wzrok na dywan, a wreszcie na mnie.

- Udzielałem konsultacji w agencji Sheryl - zaczął. - Ona pracuje z pokrzywdzonymi dziećmi. Dużo czasu spędzaliśmy razem.

Kiwnęłam głową.

- Zaprosiłem ją na kawę. - Wzruszył ramionami. - Rozmawialiśmy. Dużo rozmawialiśmy. Chcieliśmy się coraz częściej spotykać.

- I?

- Naprawdę nie powinniśmy o tym rozmawiać.

- Teoretycznie to prawda - przyznałam. - Ale jest pan przyjacielem rodziny. Poza tym nie ma zbyt wielu osób, którym

mógłby się pan zwierzyć. Ja natomiast tego potrzebuję. Przy sięgam, że zapomnę o wszystkim, co dziś usłyszę, przekraczając próg gabinetu. Nawet więcej, udam, że zrobił to pan dla mojego dobra. Proszę mi tylko powiedzieć. Czy nie gryzie pana sumienie? Wiem, że Sheryl ma męża. Daniela Leshko.

Nie zaprzeczył. Znów spuścił wzrok na swoje buty.

- Czy pogodził się pan wewnętrznie z tym, co pan robi? - zapytałam. - Tylko tego chcę się dowiedzieć. Czy według pana jest to w porządku?

Przez sekundę milczał. A potem miękkim głosem odpowiedział:

- Nie, nie pogodziłem się z tym. Ale gdybyśmy tego nie zrobili, siedziałbym tu, myśląc o niej przez cały czas, i nie mógłbym pracować. Znalazłem się w potrzasku. Muszę się z nią spotykać.

- Czy pan ją kocha?

- Przejdźmy...

- Ciężko się przyznać w tak nietypowej sytuacji. Gdyby miał ją pan cały czas dla siebie, a nie tylko przez jedną czwartą jej czasu, czy wciąż byłoby to równie ekscytujące? A jeśli dopadłaby was rutyna, zniknąłby czynnik ryzyka i nie byłoby przeszkód do pokonywania?

Petrov nie podnosił wzroku z dywanu.

- Nie wiem - odpowiedział. - Ona jutro może ze mną zerwać.

- I jak się pan z tym czuje? - zapytałam poważnym tonem, pochylając się do przodu i łącząc dłonie.

Zrobił gest, jakby opędzał się od natrętnej muchy.

- Musimy przestać.

- Przepraszam, ale tak wiele rzeczy nie daje mi spokoju - powiedziałam.

Westchnął.

- Wiem. Powiedz w takim razie, co myślisz.

- Ludzie mówią, że świat nie jest czarno-biały, a może powinien być - powiedziałam. - Ale nawet jeśli nie da się uniknąć odcieni szarości, to przynajmniej warto, aby każdy miał jasno określone granice.

- To prawda.

- Są rzeczy, które wydają się niewłaściwe, a mimo to ludzie się na nie decydują, co gorsza, namawiają innych. I to jest bardzo złe.

Kiwnął głową.

- Chciałabym jednak wiedzieć jedno. Kiedyś uważał pan, że zdrada jest zła. Teraz sam pan bierze w niej udział. Jak sobie pan to tłumaczy?

Milczał przez chwilę.

- Jeśli nie mam wyjścia... - zaczął. - To znaczy, byłem kiedyś bardzo religijny, i choć żydzi nie wierzą w piekło ani nie mają sakramentu pokuty, mimo wszystko starałem się być wierny zasadom. Kiedy zaczęliśmy się spotykać... pomyślałem sobie... że może Bóg nie pozwoliłby mi na to uczucie, gdyby nie było dobre. Poznałem ją podczas pracy z dziećmi. To nie mogło być złe.

- Wierzy pan w to?

- Nie. - Popatrzył na dłonie. - Jestem, jak wielokrotnie powtarzałaś, hipokrytą. Nie przeczę. Może nie jestem w porząd-

ku. Ale nie jest to najgorsza z możliwych rzeczy. Ludzie dopuszczają się większych zbrodni. W chwili obecnej nikogo swoim zachowaniem nie ranimy.

- Ale możecie. Na przykład męża Sheryl.
- Często wyjeżdża na kilka dni...
- Kiepska wymówka.
- Sam może mieć romans...
- Kiepska wymówka.
- Ale może...
- Kiepska wymówka.
- Nawet nic nie powiedziałem...
- Kiepska wymówka.
- Ja...
- Kiepska wymówka.

Siedzieliśmy w fotelach naprzeciwko siebie ledwo żywi, ale w pełni gotowi do dalszej gry, jak tenisiści.

- Może odejdzie od niego - powiedziałam.

Milczał pogrążony w myślach. Może wcale nie chciał, żeby się rozwiodła. Albo o tym marzył, i dlatego gryzło go sumienie. Nie wiedziałam, czego chce. On sam nie wiedział. Nie miał pojęcia, do czego dąży. Tak jak Natto, dla którego zamiary Boga pozostają wielką niewiadomą. Tak jak ja. Przecież sama nie wiem, czego chcę. Ale nie do końca. Mniej więcej wiem.

Chcę być uczciwa.

I szczęśliwa.

Czy moje pragnienia są niekompatybilne?

Czy powinnam na wzór Petrova odrobinę obniżyć poprzeczkę? Czy nie doprowadzi to jednak do stopniowego jej zaniża-

nie to, co ten łańcuszek lekarzy oznacza dla pana, czy dla kogośkolwiek z nich, ale przede wszystkim dla Nowego Jorku.

Popatrzyliśmy na siebie. Wtedy nagle Petrov oznajmił:

- Nasz czas dobiegł końca.

Zerknęłam na zegar za moimi plecami. To prawda. Byliśmy pięć minut po czasie.

- Nie będę pana dodatkowo obciążać, po prostu skrócimy kolejną sesję o te dodatkowe pięć minut - oświadczyłam.

Petrov z trudem podniósł się, jakby opuszczał wrak pociągu.

- To była bardzo zajmująca sesja - przyznał.

- Zgadza się.

- Widzimy się za tydzień.

- Mam nadzieję - powiedziałam. - Wiem, że musi się pan czuć dziwnie, ale z ręką na sercu, bardzo dużo mi to dało.

- Czyżbym usłyszał nutę sarkazmu?

- Nie, mówię poważnie - zapewniłam. - Jestem przekonana, że dla pana to była równie ciekawa lekcja.

- Tak - przyznał. - Uświadomiłem sobie, że powinienem zaciągać rolety.

Petrov nie mógł nikomu opowiedzieć o naszej rozmowie. Ale na pewno wyjdzie mu ona na dobre. Miał teraz o czym myśleć, a Sheryl także powinna na tym skorzystać. Kiedy na następną randkę stawi się zmiętoszony i roztrzęsiony, ona z lubością wcieli się w rolę pocieszycielki, która go ukoi. Kobiety to uwielbiają.

Z drugiej strony poczuł się winny. To dobrze czy źle? Czy to coś zmieni? Czy każdy z nas w końcu ulega swoim pragnieniom?

W drodze do domu odtwarzałam całą sesję w głowie, a do rzeczywistości wróciłam dopiero na widok nowego neonu nad drzwiami kawiarni. Fluorescencyjny napis informował, że są otwarci przez całą dobę.

Weszłam do środka. Nieśmiały Potarganiec spał z głową wspartą o kontuar.

- Ronald! - wykrzyknęłam.

Obudził się.

- Cappuccino?

- Nie pijam kawy. To trucizna. O co chodzi z tym nowym szyldem?

Miał spierzchnięte i spuchnięte wargi w kolorze psiej karmy. Przetarł usta rękawem.

- To pomysł naszego nowego menedżera. Na nocnej zmianie płacą o dolara więcej za godzinę. Myślę, że się zdecyduję.

Zrobiło mi się go żal. A także wszystkich innych, którzy zmuszali się do nieprzyjemnych rzeczy ze względu na dodatkowego dolara za godzinę. Zawsze, kiedy patrzyłam na ludzi myjących okna wieżowców, miałam nadzieję, że nie są to biedacy szukający dodatkowego zarobku, tylko ryzykanci spragnieni mocnych wrażeń. Sama na takiej wysokości po prostu skoczyłabym, by skrócić swoje cierpienia.

Chciałam pomóc Ronaldowi. Poczułam się winna, bo nie musiałam martwić się o czynsz, a przez połowę czasu wylegiwałam się w łóżku. Potem z politowaniem patrzyłam na innych, borykających się z życiem. Jaki miałam problem?

Nagle po raz kolejny nadszedł ten moment i poczułam w dole brzucha pustkę oraz mgliste, przytłaczające wrażenie,

że to nie w porządku. Musiałam chwilę odczekać, aby to minęło. Choć może nie powinnam. Może należało wreszcie stawić temu czoło.

Czy wiem, kim jestem? Czy jestem w stanie zaakceptować w sobie to, czego nie lubię? Czy oceniam ludzi wedle czarno-białej podziałki tylko po to, by ukryć własną niezdolność do rozmowy z nimi? Ronald nie należy do najbystrzejszych. I co z tego? Przecież mogę z nim porozmawiać.

- Czy widziałeś ostatnio Cy? - zapytałam.

- Raz czy dwa - odpowiedział. - Rozglądałaś się na schodach przeciwpożarowych?

- Tak - przyznałam. - Ale nie miałam szczęścia.

- To fajny człowiek - powiedział Ronald. - Cy jest naprawdę przemiły. Zawsze, gdy tu wpada, ze wszystkimi się wita, nawet z nieznanymi. Ale w długie rozmowy wdaje się tylko ze mną.

Uśmiechnęłam się.

- To miłe.

- Pracuje w nietypowych godzinach. Pewnie będziemy się częściej widywać, jeśli wezmę poranną szychtę.

- Szychtę? - powtórzyłam. - Tak chyba mawiają górnicy.

- Może.

- Ciekawe, skąd się wzięło to słowo.

- Szychta, zmiana czy nocka. Bez różnicy.

- Zmiana. Szybka zmiana - przypomniało mi się. - Nie było czasem takiego teleturnieju? Do wygrania dwadzieścia pięć tysięcy albo pół miliona dolarów. Dostajesz listę ze słowami „szybka, nocna lub popołudniowa”, a prawidłowa odpowiedź brzmi: „słowa występujące przed wyrazem zmiana”.

Ronald wzruszył ramionami.

- Nie mam kablówki.

- To nie z kablówki - sprostowałam. - Film sprzed trzydziestu lat.

- Nie było mnie wtedy na świecie - zauważył.

- Mnie też, ale ciągle go powtarzali na wszystkich kanałach, gdy byliśmy dziećmi.

- Nie pamiętam - powiedział Ronald.

Zapadła kilkusekundowa cisza. Nie zamierzałam się jednak poddawać. Byłam mu to winna, sobie zresztą też. Muszę dokładać starań w kontaktach z ludźmi.

- A ogólnie jak ci leci? - zapytałam.

Uśmiechnął się.

- Dobrze - odpowiedział. - Na prawdę super. Rodzice chyba mi pomogą w przeprowadzce do sutereny. Wreszcie będę niezależny.

- Świetnie.

- Słuchaj, wiem, że jesteś zajęta, ale czy nie chciałabyś się wybrać kiedyś... na kawę?

- Ronald, to jest kawiarnia i jestem tu częstym klientem, ale nigdy nie zamawiam kawy - wyjaśniłam.

- Myślałem tylko... - zmieształ się.

To było podłe z mojej strony.

- Co jeszcze lubisz robić poza piciem kawy? - zapytałam.

- Och, nie pijam kawy - wyjaśnił. - Pomyślałem, że ty mogłabyś mieć ochotę. Nie lubię kawy. Dlatego Murray, nasz menedżer, tak mnie ceni. Wie, że nie piję firmowej kawy ukradkiem, za jego plecami.

- Przypominasz eunucha w haremie.
- Słucham?
- Nieważne. Lubisz kino?
- Pewnie, ale nie mam kablówki.
- Nie o to mi chodziło - sprostowałam. - Moglibyśmy któregoś dnia wybrać się razem do kina. Albo na lunch czy kolację.
- Super - rozpromienił się. - Moglibyśmy umówić się wieczorem przed moją pracą.

Często przez kilka dni z kolei z nikim się nie kontaktowałam, miło byłoby wyskoczyć na kolację z kimś z sąsiedztwa. Chciałabym też poznać lepiej Ronalda, wyjść poza zdawkowe rozmowy, które prowadziliśmy, wpadając przypadkiem na siebie. Może nawet moglibyśmy się zaprzyjaźnić.

- Odwiedzę cię na twojej kolejnej nocce i dogramy szczegóły
 - zaproponowałam.
 - Świetnie! - ucieszył się.
 - Moglibyśmy skoczyć na homary - rzuciłam.
- Roześmiał się.
- Byleby nie były żywe.
 - Widziałeś *Annie Hall*?
 - Nie mam kablówki.
 - No... nieważne. Do zobaczenia.
 - Hej, Carrie!
 - Tak?
 - Ty też jesteś miła.
- Aż przystanęłam. To nie była prawda.
- Chciałabym, żeby tak było.
 - Ale taka właśnie jesteś - upierał się. - Bez dwóch zdań. Je-

steś taka jak Cy. Pamiętasz, gdy zapytałaś, czemu układam wieżę z kubeczków? Zawsze, kiedy wpadniemy na siebie na ulicy, pytasz, co słyhać. Za każdym razem poświęcasz mi chwilę. To miłe.

- Dzięki - odpowiedziałam nieśmiało.

To prawda, że nigdy nie zauważyłam, aby ktoś inny poza mną i Cy rozmawiał z Ronaldem. Ale to było naprawdę minimum, sąsiedzi zasługują na znacznie więcej.

- Z ciebie też miły człowiek.

Uśmiechnął się.

- Do zobaczenia wkrótce - pożegnałam się.

Tamtego wieczoru położyłam się wcześniej i dlatego o czwartej nad ranem byłam już na nogach. Wyspałam się. Przeczłołam się do okna i wyjrzałam na ulicę, zerknęłam na budynek, w którym mieszkali Sheryl i Dan. Ciekawe, czy Petrov jest u niej. Może ograniczył wizyty w moim sąsiedztwie, od kiedy został przyłapany in flagranti. Ale nie przeszkadzało mi to w snuciu domysłów.

Zastanawiałam się też, czy daleko za górami i lasami przewodów wysokiego napięcia, gzymsów upstrzonych gołębimi odchodami, latarni ulicznych i anten telewizyjnych Matt śpi u boku Shauny z głową wspartą o jej ramię, podczas gdy ona, przeczesując dłonią jego włosy, niewzruszenie wierzy, że jej życie będzie dokładnie takim torem, jaki sobie zaplanowała. Ciekawe, czy Kara leży teraz zwinięta w kłębek przy jakimś barmanie lub kelnerce, a Stephen i Pat wtulają się w siebie nawzajem? Czy Natto też śpi u czyjegoś boku? Miałam pewność co do jednego. Ja jestem sama. W chwili obecnej mi to jednak

nie przeszkadzało. Obecność drugiej osoby potrafi komplikować życie.

Znów ogarnęła mnie senność. Ponownie obudziłam się o dziesiątej.

Na tydzień przed Bożym Narodzeniem postanowiłam zadzwonić do Shauny. Matt nigdy nie podał mi ich domowego numeru, ale znałam jego nazwisko, więc namierzyłam ich w książce telefonicznej. Zadzwoiłam około drugiej po południu. Telefon odebrała Shauna.

- Halo?

Miała uroczy głos. Poczułam się przez to jeszcze podłej.

Skłamałam, że współpracowałam z jej dawnym pracodawcą, który zarekomendował jej osobę do projektu z mojego kościoła. W kilku słowach streściłam sytuację i podałam jej numer Natto. Następnie sama do niego zadzwoniłam. Chyba przerwałam mu posiłek.

- Cieszę się, że dzwonisz - rozpromienił się. - Będę w takim razie czekał na jej telefon. Zdaję sobie sprawę, że należysz do zapracowanych młodych dam...

Brrr.

- Jeśli kiedykolwiek będę ci zawracał głowę w wolnym czasie, nie omieszkaj mi tego wypomnieć. Uważam, że jesteś w stanie wnieść wiele dobrego do naszej wspólnoty. Oczywiście nie za darmo. Chciałbym zaproponować ci pracę. Na stanowisku konsultanta PR. I pensję, rzecz jasna.

Praca? Prawdziwa praca?

- Naprawdę nie trzeba... - zaczęłam.

- Zdobyłaś dobre wykształcenie. Masz głowę pełną pomys-

słów. Jesteś bystra, dużo czytasz, uważam, że świetnie reprezentowałabyś nasz kościół na zewnątrz. Twoja praca zaś zasługiwałaby na wynagrodzenie. Umiesz pisać? Redagować teksty? Wspomniałaś, że zajmujesz się korektą dokumentów prawnych.

- Myślę, że nie sprawiłoby mi to problemu.

- Nie zamierzam ci płacić za lojalność. Wiem, że jak przystało na prawdziwego inteligenta, jesteś z natury cyniczna. Myślałem raczej o kilku zleceniach od czasu do czasu. Bywa, że mam trudności z wyborem tematu kazania. To znaczy, oczywiście ich źródłem zawsze jest boska inspiracja, ale...

Roześmiałam się.

- Ale pięćdziesiąt dwa razy do roku to dla Boga zbyt wiele...

- To prawda i na pewno twoja pomoc w tej kwestii byłaby nieoceniona - przyznał.

Nie tylko mnie docenił, ale też ośmielił do działania. Już dawno się tak nie czułam.

Usłyszałam kliknięcie.

- Och, mam drugi telefon - powiedział Natto.

- Może to Shauna.

- Prawdopodobnie. Wkrótce się odezwę, żeby omówić kilka spraw.

- Świetnie.

- Szczęść Boże - pożegnał się.

Pobłogosławił mnie, jeśli nie zauważyliście.

Na wszelki wypadek sięgnęłam po słownik, aby upewnić się, że przez lata nie żyłam w błędnym przekonaniu. Zgadzało się. Potem sprawdziłam jeszcze słowo „słownik”. Teoretycznie mo-

głam znaleźć tam hasło w rodzaju: „właśnie z niego korzystasz, ty durniu”. Ale oczywiście zasady formułowania definicji nie pozwalają autorom na tak daleko idącą bezpośredniość. Definicja brzmiała następująco, i to nie żart: „zbiór wyrazów ułożonych alfabetycznie i objaśnianych pod względem znaczenia, pisowni, etymologii, a często także właściwego użycia”. Poniżej znalazłam jeszcze trzy inne hasła, które sprowadzały się do tego samego. Podejrzewałam, że zbyt krótkie objaśnienie sprawiłoby zawód dociekliwym. Zawód to rozczarowanie, ale też praca. Stała, zlecona, na zmiany.

To mi przypomniało, żeby poszukać słowa „szychta”. Ale nie znalazłam definicji w moim słowniku.

A to cygaństwo.

Kupiłam malutką choinkę, żeby zmieściła się w moim niewielkim mieszkaniu, ale i tak zatarasowała wejście do kuchni. Ozdoby ograniczyłam do lampek, jasnych, białych kulek przypominających popcorn, a pod spodem położyłam zapakowane prezenty dla ojca. Na dwóch gwoździach w ścianie zawiesiłam ozdobne skarpety, które wypełniłam po brzegi słodyczami. Sama je przygotowałam i ich zawartość nie kryła dla mnie niespodzianek, ale i tak nie mogłam się doczekać, aż sięgnę po łakocie w bożonarodzeniowy poranek.

Rozłożyłam sofę w salonie, żeby przygotować miejsce do spania dla ojca. Powinnam ustawić ją z dala od frontowych drzwi, żeby przypadkiem nie obudził się w środku nocy i, luna tykując, nie wyszedł na zewnątrz, by spojrzeć w okna Sheryl, przez które dostrzegłby, jak oboje z Petrovem grają w rozbieganego pokera.

Rozpyliłam nad drzewkiem sztuczny śnieg, który niesamowicie cuchnął – wiedziałam o tym, ale i tak to zrobiłam. Nie czekają nas niestety białe święta.

Kiedy nuciłam pod nosem, przechadzając się po mieszkaniu w grubym, ciepłym, zielonym swetrze, który niedawno kupiłam, zadzwonił ojciec.

– Ubrałam choinkę, nawet zadbałam o skarpety z łakociami. Muszę jeszcze tylko postarać się o koc na sofę.

– O! – Zaskoczyłam go. – Nie wiedziałem, czy zaprosisz mnie do siebie, czy lepiej zarezerwować hotel.

– Musisz spać u mnie. Chciałabym, żebyśmy spędzili normalne święta jak wszyscy wokół. Włączając w to żydów.

– Zgoda. O której powinienem przyjechać?

– Wolałbyś, żebym coś upichciła, czy zamówimy jedzenie? – zapytałam.

– Możemy zamówić, nie chciałbym ci sprawić za dużo kłopotu – powiedział.

– W takim razie przyjeźdź o piątej, zamówimy kolację, a potem obejrzymy film. Chciałabym, żebyśmy obudzili się następnego dnia rano i wspólnie rozpakowali prezenty, tak jak wtedy, kiedy byłam mała. I skarpety oczywiście.

– Skarpety?

– W twojej czekają karmelki, które tak lubisz i... nie, to będzie niespodzianka.

Roześmiał się.

– W porządku. Cieszę się, słysząc, że jesteś szczęśliwa. Do zobaczenia w piątek.

Na przedświątecznej sesji u Petrova opowiedziałam mu

o rozmowie z ojcem.

- Powiedział, że jestem szczęśliwa.

- Czy to źle?

- Nie, ale nie lubię, kiedy inni oceniają moje samopoczucie.

Jeśli nie będę szczęśliwa, a usłyszę, że jestem, to zrobi się niezręcznie.

- Jesteś zatem nieszczęśliwa?

- Nie, nie wydaje mi się.

- Zgadza się z tobą - powiedział. - Uważam, że czeka cię życiowa zmiana.

- Moje przekonania wciąż pozostają niezmiennie.

- To prawda, ale sądzę, że uświadomiłaś sobie ich dyskusyjność i płynącą z tego wartość, a także otworzyłaś się na nowe rozwiązania. Założę się, że jeśli zadam ci pytanie, które już kiedyś ci postawiłem, dasz mi inną odpowiedź.

- To znaczy?

- Kiedy zdarza ci się płakać?

Zastanowiłam się przez chwilę.

- Raczej nie płaczę. Ale w niektórych sytuacjach robi mi się smutno.

- W porządku. Co w takim razie cię zasmuca?

Nim zdążyłam cokolwiek odpowiedzieć, Petrov dodał:

- Nie mów tego, co zamierzałaś.

- Dlaczego?

- Bo chciałaś być sarkastyczna.

Wzruszyłam ramionami.

- Ja...

- Tego też nie kończ - zabronił mi.

- Skąd pan wie?
- Nie myliłem się, prawda?

Teraz nie miałam wyjścia, nadeszła chwila prawdy.

- Słowo „mamusia”.
- Zasmuca cię słowo „mamusia”?
- Tak. Od zawsze - odpowiedziałam.
- Dlaczego?

- Nie wiem. To słowo wiąże się z osobą, którą łatwo zranić. Używa go osoba, która znalazła się w biedzie. Ale nie materialnej.

- Hm - zamyślił się Petrov. - A co ze słowem „tatuś”?

- To zazwyczaj pada z ust księżniczki proszącej o nowy samochód. Tak, też mnie zasmuca.

Petrov roześmiał się.

- Prawie mi się udało. Mówiłaś o swoich emocjach i to aż w dwóch pełnych zdaniach.

- Może następnym razem dojdziemy do trzech.

Petrov zatarł dłonie.

- Nadejdzie dzień, w którym znajdziesz się w niebezpiecznej sytuacji otworzenia się przed drugą osobą.

Popatrzyłam na niego. Pewnie sam chciałby mnie lepiej poznać. To wcale nie byłoby takie okropne.

Na dwa dni przed Bożym Narodzeniem mój telefon milczał. Nie miałam nowych zleceń, telemarketerzy też jakby o mnie zapomnieli.

Po raz ostatni wybrałam numer z anonsów, aby upewnić się, czy nie pojawiły się nowe odpowiedzi. Okazało się jednak, że czekał na mnie jeden maruder.

- Cześć, tu John - usłyszałam. - Jestem trzydziestoośmioletnim kawalerem w stabilnej sytuacji ekonomicznej i emocjonalnej, który szuka partnerki do wspólnych wypadów na drinka, kolację i wakacje. Nie interesują mnie kokietki, kobiety po przejściach, ciepłe kluchy ani panie rozglądające się za sponsorem. - Byłam przekonana, że czytał z kartki. - Mierzę metr siedemdziesiąt osiem, ważę siedemdziesiąt siedem kilo. Mam ciemne oczy i włosy. Szukam osoby energicznej, atrakcyjnej, pogodnej i seksownej, wolnej od emocjonalnego bagażu. Moim ideałem jest kobieta, której do twarzy zarówno w sukience, jak i w dresach, która dobrze się czuje na obcasach i w trampkach. Jeśli ten opis odpowiada...

Uważam, że najpierw powinien poszukać osobowości... dla siebie.

Należałoby oddzwonić, żeby mu to uświadomić. Czy nikt mu do tej pory o tym nie powiedział? Przerazał mnie jego wiek. Miał trzydzieści osiem lat.

Zapisałam sobie jego numer, a potem zadzwoniłam. Połączyłam się z pocztą głosową.

- Cześć, John - przywitałam się. - Chciałam uprzedzić, że nie będzie to typowa odpowiedź, jakiej mógłbyś oczekiwać, ale całe nagranie czytałeś z kartki. Poza tym powinieneś poszerzyć horyzonty. Może lepiej zamiast szukać manekina w szpilkach i sukience, rozejrzyj się za osobą z krwi i kości z całym bagażem nawyków, zainteresowań, obaw i marzeń. Nie ma bowiem ludzi bez przeszłości. Choć może uda ci się znaleźć kobietę wolną od emocjonalnych rozterek, przy okazji piękną i radosną, a potem będziecie mieć razem dwójkę dzieci, ale

jedno urodzi się upośledzone. Albo któreś z was zachoruje. Jak dacie radę? Co zrobisz? Życie jest dalekie od ideału, dlatego warto nauczyć się radzić sobie z jego niedoskonałościami zawczasu, nim okaże się, że jest za późno.

Rozłączyłam się. Miałam nadzieję, że nie byłam zbyt obcesowa. Poza tym w połowie kierowałam te słowa do siebie samej.

Odłożyłam słuchawkę. Przedświąteczna cisza przytłaczała mnie.

Postanowiłam ją wykorzystać do rozważenia paru kwestii.

Zauważyłam, że wyrażenie „podatek VAT” to pleonazm.

Pomyślałam, że „prawie” naprawdę robi wielką różnicę.

Zastanowiło mnie, kto płaci prawnikom reprezentującym bankrutów.

Oraz czy nie byłoby lepiej, gdyby Jerzy Waszyngton nie ściął tej przeklętej czereśni.

Wreszcie poszłam wypożyczyć kilka filmów: *Koniec roman-su*, *Niezapominany romans*, *Love Story* i *Jane Eyre*. Ciekawe, czy nie było to zbyt tendencyjne. Czytałam, że filmy i lektury, które wybieramy, mają na celu poprawę naszego nastroju, bo obserwując cudze upadki i porażki, podbudowujemy się. Oglądanie zakazanych romansów dostarcza ludziom pocieszenia.

W Wigilię byłam podenerwowana. (Skąd się w ogóle wzięło słowo „wigilia”?) To uczucie zawsze towarzyszyło mi podczas czekania na gości, których ojciec zapraszał na moje urodziny, kiedy byłam małą. Biegałam wtedy od okna – zerkałam na ulicę, by sprawdzić, czy nikt się nie zbliża – do salonu, w którym

ojciec ustawiał tablicę do zabawy w kalambury i rozkładał kartki do gry w państwa-miasta. Kiedy skończyłam osiem lat, nie urządzaliśmy już więcej przyjęć urodzinowych, bo moi koledzy i koleżanki z klasy byli ode mnie starsi. Od tego czasu nie miałam też przyjaciół w szkole, tylko fanów, czyli dzieciaki, które potrzebowały pomocy w pracy domowej albo którym matki kazały być dla mnie miłe, albo które uważały, że przynajmniej nie byłam podła. Nigdy nie nauczyłam się dbać o przyjaciół, bo nigdy ich nie miałam.

Czekałam z nosem przyklejonym do szyby, aż wreszcie sedan zatrzymał się przed głównym wejściem. Zbiegłam na dół, żeby po raz pierwszy od wakacji zobaczyć ojca. Zawsze był wysoki, od dawna miał szpakowate włosy i brodę, ale teraz odniosłam wrażenie, że dominuje w nich siwy kolor. Kiedy ojciec zdążył się tak postarzeć?

Uśmiechnął się do mnie i wiedziałam, że jest szczęśliwy. Wyglądał jak wielki pluszowy miś. Wybiegłam na zewnątrz, by go uściskać.

- Ale dorosłaś! - skomplementował mnie.

Uśmiechnęłam się, a Bobby wyjrzał przez swoje okno. Pojejrzałam, że ojciec widział go tylko raz, kiedy wynajmował mi to mieszkanie.

- Hej, Bob! - krzyknął do niego. - Jak leci? Dbasz o moją Carrie?

Bobby nerwowo pokiwał głową, a potem zniknął w swojej gawrze.

Płaszcz przeciwdeszczowy ojca ciągnął się za nim po schodach, kiedy wchodził na górę, taszcząc dwie walizy i zawieszono-

ną na ramieniu torbę z chińszczyzną, którą kupił dla nas po drodze. Postawił bagaże na podłodze, a ja wyciągnęłam talerze.

Kiedy usiedliśmy przy stole, powiedział:

- Musisz mi opowiedzieć, co u ciebie słyhać. Ze szczegółami. Bo Phil Petrov nic mi nie chce zdradzić.

- Dobrze o mnie dba - podkreśliłam, rozsmarowując śliwkowy sos po żeberkach.

- Wiem. Wiem, że o ciebie dba. - Popatrzył na mnie. - Teraz moja kolej. Przez większość przyszłego roku będę w Nowym Jorku. Tak to zaplanowałam. Dlatego stawiam kolację wszystkim twoim przyjaciółom.

- Nie zrujnujesz się.

Uśmiechnął się.

- Powiedz mi w takim razie, co u ciebie słyhać - poprosił.

Wzięłam do ręki pałeczki, a ojciec poszedł za moim przykładem, choć nigdy nie radził sobie z nimi tak dobrze jak ja.

- Tak więc - zaczęłam - zainteresowała mnie jedna nowa wspólnota religijna. Próbują dotrzeć do młodych, sarkastycznych ludzi pracujących w mieście, którzy przestali chodzić do kościoła. Spodobało mi się tam bardziej, niż mogłam się spodziewać. Mam wrażenie, że ich założyciel szuka ludzi, którzy samodzielnie myślą.

- Kościół, który pozwala ludziom na samodzielne myślenie? - zdziwił się. - To coś nowego.

- Tak samo powiedział doktor Petrov.

- Sam jest żydem. Nie powinien tak mówić. Każdy może czepiać się tylko swojej religii. - Wyciągnął papierosa. - Czy mogę

tu zapalić?

- Zdajesz sobie sprawę, że to cię zabija?

- Sięgam po papierosy tylko sporadycznie.

- Wydłużę twoje życie o siedem sekund, nie pozwalając ci zapalić.

Zamarł. Poczułam, że czas na wyzwanie.

- Gdybym miał dożyć do siedemdziesiątki, to jaką część mojego życia byś uratowała, nie pozwalając mi teraz zapalić? - zapytał.

Kiedy chodziłam do podstawówki, cały czas zasypywał mnie podobnymi pytaniami. Uwielbiałam to. Nie było sensu się oszukiwać, uwielbiałam życiowe wyzwania. Byłam jak Matt. Niech to szlag!

- Uratowałamby dwie miliardowe twojego życia - powiedziałam.

Oszupiał.

- Jesteś niesamowita!

- Nieprawda. Wymyśliłam to. - Pobiegłam do pokoju po kalkulator. - Ups. Pomyliłam się o jedną miliardową. To byłyby trzy miliardowe.

- Mimo wszystko jestem pod wrażeniem, że potrafiłaś to policzyć na kalkulatorze.

- Zawsze ubóstwiałam matkę - zauważyłam.

- Zawsze zastanawiało mnie dlaczego. Bez przerwy czytałaś, a w szkole najlepsze oceny zbierałaś na matematyce, fizyce i filozofii. Wypracowania czy plastyka to nie było dla ciebie. Dlaczego?

- Nauki ścisłe są ścisłe - wyjaśniłam.

- A filozofia? Przecież nie jest ścisłą dziedziną.

- Ale dąży do ścisłości.

- Jak to?

- Choćby rozważania o przyczynowości. Na przykład stwierdzenie, że gdy upuszczę piłkę, to spadnie na ziemię. Fizyka uświadamia nam, że to siła grawitacji ściąga ją w dół. Stworzyliśmy nawet wzory, aby określić jej prędkość, sprawdzić, ile razy się odbije, a nawet policzyć, na jaką maksymalną wysokość. To wszystko jednak domena nauk ścisłych. W filozofii, badając związki przyczynowe, zadajemy sobie pytania typu: „A jeśli jest to tylko przypadek? Nawet jeśli stało się tak podczas stu miliardów prób? Skąd pewność, że za sto miliardów pierwszym razem nic się nie zmieni?”. W naukach ścisłych zakłada się, że tak się wydarzy, i my tak uważamy. Wszystko, a przynajmniej większość rzeczy, ma określony porządek, wzór. Ale dla filozofa to za mało. On pragnie być ściślejszy niż fizyk. To dziedzina, w której ludzie, żeby udowodnić, że istnieją, podważają to. Naukowiec mówi, że przyspieszenie spadającej piłki zawsze wyniesie dziewięć przecinek osiem metra na sekundę do kwadratu, bo zawsze tak było. Filozof jednak stwierdza, że nie sposób tego udowodnić. Fakt, że w stu miliardach sytuacji się tak wydarzyło, mógł być czystym przypadkiem. Filozofia dąży do większej ścisłości niż fizyka. Za to ją uwielbiam i jednocześnie nie cierpię.

Tata był pod wrażeniem mojego wywodu, ale równocześnie widziałam, że poczuł się lekko zmieszany.

- Tak, teraz rozumiem, czemu niewiedza to prawdziwe błogosławieństwo. Każdy chciałby wierzyć, że słońce wzejdzie

także jutro.

- I że Pismo Święte mówi prawdę, że niebo istnieje i że trzeba być dobrym, aby tam trafić - przekomarzałam się. - Że wszyscy wiemy, co jest dobre, a co złe, że zawsze wiadomo, jak się zachować, że moralność popłaca. Z czasem jednak granice się zacierają i w końcu sami nie jesteśmy pewni, czy aż tak bardzo potrzebujemy prawd absolutnych.

Tata odłożył pałeczki.

- Nigdy się tego nie nauczę - stwierdził.

Podaliśmy mu widelec.

Obejrzelśmy razem ostatnie piętnaście minut *Tego wspa-
niałego życia* - reszta to nudy na pudy, dlatego co roku przez ostatnie pięć lat celowo włączaliśmy telewizor tylko na końcówkę. Potem ojciec zapytał, czy nie chciałabym posiedzieć z nim w kuchni i pogadać. Mimo że rozmawialiśmy przez całą kolację, widocznie miał mi coś ważnego do powiedzenia. Od czasu huraganu nigdy nie prowadziliśmy długich rozmów. Przygotował nam kakao i usiedliśmy przy stole.

Potańczył policzki dłońmi.

- Jeśli chodzi o Wielkie Kłamstwo... - zaczął.

Pokręciłam głową.

- Ja...

- Mówiąc to, wierzyłem, że tak będzie - tłumaczył się. - Myślałem...

Od początku planowałam, że podczas rozmowy o Wielkim Kłamstwie wzbudzę w nim wyrzuty sumienia. Dzięki temu poprawiłabym własny nastrój. Teraz jednak, gdy sam poruszył ten temat, poczułam się niezręcznie. Nie chciałam, żeby wziął

całą winę na siebie.

- Masz prawo do rozczarowania - powiedział ze wzrokiem wbitym w stół.

- Może potraktowałam to zbyt dosłownie - odparłam. - Wtedy sądziłam, że na studiach poznam ludzi, którzy będą dokładnie tacy sami jak ja. Tak bardzo tego pragnęłam. Nie mogłam się doczekać, kiedy wreszcie znajdę się w miejscu, do którego pasuję. Nie uświadamiałam sobie, że od reszty dzieli mnie przepaść. Musiałam wykonać ogrom pracy, żeby zrozumieć innych.

Wyglądał na przygniecionego ciężarem trudu wychowawczego, który był jego troską przez te wszystkie lata, ale wciąż nie było wiadomo, jaki przyniesie efekt.

- W szkole podstawowej - zaczął - tak bardzo wyprzedzałaś rówieśników, że całe grono pedagogiczne wraz z dyrekcją uznało za właściwe, abyś przeskoczyła klasę. Kiedy wreszcie znalazłaś się w odpowiedniej dla twojej inteligencji grupie, naukowo rozkwitłaś. Wtedy uznałem, że na studiach, wśród tych wszystkich genialnych młodych ludzi, rozwinięsz skrzydła także pod względem towarzyskim.

- To prawda, na początku czułam, że tylko nieznacznie odbiegam od reszty - stwierdziłam. - Ale założyłam, że każdy będzie tam szukał jedynie intelektualnych podniet i wyzwań, a przy okazji kierował się niewzruszonymi zasadami moralnymi. W miarę zacieśniania studenckich więzów, ludzie zaczęli się coraz bardziej zmieniać. Ta metamorfoza sprawiała, że coraz bardziej od nich odstawałam. Zaczęłam sobie zadawać pytanie, czemu tak bardzo się od nich różnię?

Tata uśmiechnął się do mnie i oparł podbródek o dłoń.

- Jesteś dobrym dzieckiem - powiedział. - Wiesz co? Nie wiedziałem, co z ciebie wyrośnie. Ale dobry z ciebie człowiek i to mnie cieszy. Uważam, że nie powinnaś się zgadzać na ustępstwa, tylko trzymać się dobra, które jest w tobie. - Oparł się wygodnie na krzesło. - Nie nauczyłem cię, jak zdobywać przyjaciół w twoim wieku, i to moja wielka porażka wychowawcza. Skoro sama nie chcesz zaniżać własnych standardów, to czy będziesz w stanie zaakceptować innych, którzy moralnie i intelektualnie od ciebie odstają? Czy będziesz umiała odzielić grzechy od grzeszników?

Miał rację, to był najbardziej palący problem, nad którym musiałam się teraz pochylić. Ale nawet gdybym przestała ustawać innym tak wysoko poprzeczkę, wiedziałam, że oni nie zaprzestaną wysiłków, żeby mnie zmieniać. Dlaczego ludzie, tolerancyjni i postępowi, nie dają nikomu prawa do osądzania ich liberalnego postępowania, sami jednak pozwalają sobie na ocenianie osób o nieugiętych zasadach moralnych?

Tata przez chwilę wpatrywał się we mnie z dziwnym wyrazem twarzy. Wreszcie powiedział:

- Czasem przypominasz mi swoją matkę. Im jesteś starsza, tym bardziej. Ale to chyba oczywiste.

Mówienie o niej zawsze przychodziło mu z trudem. Milczałam.

- W dzieciństwie obie z siostrą połykały książki: beletrystykę, historię, wszystko - ciągnął. - Wiesz, że w jej rodzinie żadna kobieta nie studiowała. Ale twoja matka postanowiła dosłownie w ostatniej chwili wydać zaoszczędzone pieniądze na

szkołę, aby zostać nauczycielką angielskiego. Dorabiała jako sekretarka czy asystentka i pewnie nie zwróciłbym na nią uwagi, ale pewnego wieczoru dyskutowałem z kolegami w księgowości o historii polityki brytyjskiej. Któryś z nich upierał się przy jednym z argumentów i krytykował moje wywody. Wtedy podeszła do nas twoja matka. Myślałem, że ma jakieś pytanie związane z pracą, ale gładko włączyła się do dyskusji. Powiedziała, że mój kolega nie ma racji, a następnie wykazała dlaczego. Im dłużej mówiła, tym bardziej się w niej zakochiwałem. I nie chodziło tylko o to, że broniła mojego punktu widzenia. Każdego dnia zostawałem po godzinach, gdy wszyscy już wyszli, i wtedy prowadziliśmy długie rozmowy. Była niesamowita. Każdemu bez ogródek mówiła, co myśli. Nie zawahałaby się nawet wytknąć błąd samemu szefowi. Pod względem zasad moralnych nie dorastałem jej do pięt. A przy okazji, dobry Boże, ten jej umysł...

Popatrzyłam na jego kubek. Brązowa tafla kakao drżała.

- Muszę ci powiedzieć jeszcze jedno - kontynuował. - Prawdopodobnie nigdy nie było i nigdzie nie ma miejsca, w które wpasowałby się geniusz. Może sto lat temu twoje zasady moralne współgrałyby z większością, ale nawet wtedy nie opuszczałoby cię poczucie odrębności, które dziś odczuwasz. Chciałabyś się intelektualnie rozwijać, ulepszać świat, ale nie pozwolono by ci na to. Dziś natomiast żyjemy w świecie, w którym wszystko wolno. W konsekwencji jednak kwestie moralne stały się płynne. Dlatego właśnie ty i twoje rozważania nad słusnością pewnych zachowań wydają się anormalne. Czy to źle? Bardzo kochałem twoją matkę. Też różniła się od reszty.

Tak jak ja. To nas połączyło. Nigdy nie chciałem, żeby się zmieniła ani zrezygnowała z rzeczy dla niej ważnych. Podobnie jest w twoim przypadku. Czy powinnaś raz jeszcze prze-myśleć swoje zasady? Może czasami. Jednak nigdy nie ulegaj presji łatwych rozwiązań. Są ludzie, którym różne dylematy nie dają spokoju przez całe życie.

- Do nich właśnie należę - przerwałam mu zrezygnowana. - Jestem taką osobą.

Uśmiechnął się.

- Jesteś przeklęta. Twój umysł to twoje przekleństwo. Korzystaj z niego, nie bój się. Nie pozwól jednak, żeby myślenie zabiło w tobie radość życia.

Później ojciec położył się na rozkładanej sofie w salonie, a ja poszłam do siebie. Wdrapałam się na parapet i usiadłam, tuląc w ramionach kwadratową czarną poduszkę. Światelka wokół okna Guarinów szybko migotały: czerwone, zielone, żółte i białe. Ten widok ukoił mnie i jednocześnie pobudził.

Zgasiałam światło i zrobiłam coś, co dawno mi się nie zdarzyło.

Uklękłam przy łóżku i złożyłam dłonie do modlitwy.

- Boże - zaczęłam. - Nie zamierzam kłamać. Nie wiem, czy istniejesz ani jak powinnam się do ciebie zwracać, jeśli istniejesz. Chcę być dobra. Nie jestem jednak pewna, z czym to się wiąże. Każdego dnia sprawy coraz bardziej się komplikują. Niedawno odwiedziłam nową wspólnotę. Pomagasz mi widać niezależnie od tego, czy istniejesz czy nie. I może o to właśnie chodzi. Sprawiasz, że zaczynam zastanawiać się nad tym, co to znaczy być dobrym człowiekiem. Dziś jest Wigilia, dlatego

musisz być zasypywany prośbami. „Proszę pomóż mi poprawnie zaśpiewać *In excelsis Deo*” i tak dalej. Chciałabym się modlić za bezdomnych, starych, chorych i za każdego, komu się nie wiedzie w życiu. Przykro mi, że tak łatwo oceniam innych. Żałuję także niektórych rzeczy, które ostatnio były moim udziałem... ale czasem tak trudno się oprzeć. Czy to wymówka? Wiem, że nie.

Pomyślałam o Matcie, który do mnie nie zadzwonił od czasu, kiedy przyłapałam go z Beth. Gdyby się odezwał, musiałabym go spławić, ale przerażało mnie, że jedynym powodem była jego niewierność wobec mnie. Taka jest prawda. Nie zrobiłabym tego ze względu na Shaunę. Musiałam zobaczyć go z kimś innym, żeby to zakończyć. W głębi duszy czułam, że gdybym przypadkowo na nich nie wpadła, na pewno poszłabym z nim do łóżka. Jak to się stało, że byłam gotowa na cudzołóstwo? Stałam się bardziej tolerancyjna czy bardziej wyrozumiała? To dobrze czy źle?

- Tak czy siak, Boże - ciągnęłam - dziękuję ci za dobre życie, które mam. Doceniam to, naprawdę, i będę ze wszystkich sił starała się być dobra. Amen.

Kolejna wymówka do listy. Będę się starała.

Naprawdę będę lepsza.

Od Nowego Roku.

Kiedy wreszcie skończę z listą.

Rozdział 11

Zostały mi dwa punkty: wyznanie i impreza sylwestrowa.

Ale na dwa dni przed Nowym Rokiem nie miałam żadnych planów.

Musiałam się bardziej postarać. Oczywiście mogłam spędzić ten wieczór samotnie, ale byłaby to nędzna wymówka. Skoro planowałam zabawę, należało to zrobić właściwie. To w końcu tylko jedna noc.

Zebrałam się na odwagę i zostawiłam wiadomość w poczcie głosowej Kary.

- Wiem, że jesteś zajęta, ale tak się właśnie zastanawiałam... Czy nie słyszałaś o ciekawych propozycjach na wieczór sylwestrowy...?

To było żałosne. Jeśli nie oddzwoni, muszę poradzić sobie inaczej. Ale Kara skontaktowała się ze mną chwilę później.

- Carrie! Gdzie ty się podziewałaś? - zapytała.

- W sumie to nigdzie - przyznałam.

Powiedziała, że wybiera się na „progresywny melanż”, czyli razem z przyjaciółmi zamierzają przez całą noc przemieszczać się z jednego mieszkania do drugiego, jedząc po drodze przekąski i pijąc drinki przygotowane przez gospodarzy. Punktem wyjścia był jej dom. Obiecałam, że wpadnę.

W sylwestrowy poranek część mnie zatęskniła za moim dawnym życiem, w którym podekscytowana planowałabym zama-

wianie chińszczyzny i lodów, aby we własnym towarzystwie spędzić wieczór w łóżku przed telewizorem. Mogłabym też słuchać muzyki i tańczyć po całym mieszkaniu. Dobrze bym się bawiła. Pilby Płasy były bezpiecznym pomysłem. Miałabym wszystko, czego mi potrzeba, bez poczucia nadciągającej katastrofy. To było bardzo kuszące. Ale już to przerabiałam.

Zostając w domu, nie miałabym poczucia, że odstaję od innych. Ale jeśli do czterdziestki nie uda mi się wyjść na imprezę, może się okazać, że świat totalnie o mnie zapomni. Dlaczego nie mam innych możliwości do wyboru?

Mogłabym otworzyć przewód doktorski, gdyby można było się specjalizować w socjalizacji korekcyjnej.

Okolo siódmej wieczorem zaczęłam się ubierać. Do kieszeni spodni włożyłam dowód i pieniądze. Na łóżku zostawiłam notatnik, żeby później zdać w nim relację z imprezy. Z trudem odwróciłam wzrok od ukochanego łóżka. Czułam, jak mnie wzywa. Pragnęłam wtulić się w jego miękkość. To wydawało się takie proste.

Wyłączyłam światło i wyszłam.

Było zimno.

Mroźno!

Zrewidowałam raz jeszcze moje możliwości. Mróz szczypał mi policzki, nos i uszy. Z zimna cierpły mi palce u rąk, nóg i pośladki. W planach imprezy było wychodzenie na zewnątrz i potrzebowałam co najmniej pięciu swetrów i szalika. Ale nie podejrzewałam, żeby ktokolwiek na „progresywnym melanzu” był tak ubrany. Przecież kobiety, które mijałam na ulicy, nie

miały na sobie nawet palta. Zdrowy rozsądek w starciu z modą przegrywał z kretesem, jak zawsze.

Zeszłam po schodach na ulicę. Obejrzałam się. W pokoju Bobby'ego był włączony telewizor. Pewnie spędza sylwestra w pojedynkę.

Mnie to nie grozi. Dla odmiany.

Wokół kręciło się mnóstwo dziwacznie wyglądających ludzi, ubranych w kapelusze z lamparciej skóry, skórzane spodnie, z puszystymi, różowymi boa, z obrożami wokół szyi, w zielonych włosach. Dlaczego mnie to odrzuca? Co złego jest w różnorodności? Przerażali mnie, bo oznaczali ryzyko.

Miałam nadzieję, że znajomi Kary okażą się normalni. Czym jednak jest norma? Gdybym to wiedziała, poznałabym odpowiedzi na wszystkie pytania.

Przyszłam do Kary nawet nie za wcześnie. Było dziesięć minut po wyznaczonym czasie, postanowiłam jednak, że dla odmiany mogę się spóźnić. Przed budynkiem kłębił się tłum ludzi. Za ścianą dudniły głośniki. Leciała piosenka z lat siedemdziesiątych *Get Off* i wszyscy goście, włączając w to gospodarzy, czyli Stephena i Pata, zawodzili „ua, ua, ua”. Cieszyłam się, że nie żyłam w latach siedemdziesiątych. Nie przypadłyby mi do gustu. Sześćdziesiąte też budziły mój niesmak. Uderzyła mnie myśl, jak odmiennie potoczyłyby się nasze losy, gdybyśmy urodzili się w innej dekadzie. Matt i Shauna z lat siedemdziesiątych zamieszkaliby w domku na prerii.

Wreszcie udało mi się wejść do mieszkania Kary. W jej salonie miseczki dipów, nachos i precli oraz plastikowe kubeczki i butelki rozmaitych kształtów i kolorów, ustawione na drew-

nianych stołach, tworzyły prawdziwy miszmasz. W rogu trzy długonogie dziewczyny, lekko otumanione, siedziały po turecku na podłodze i paliły. Oparty o ścianę wysoki, szczupły chłopak w pomarańczowym podkoszulku pochylał się nad blondynką, która nie pozostawała mu obojętna. Jasnowłosa dziewczyna okazała się gospodynią. Kara utleniła włosy.

- Carrie! - zauważyła mnie. - Świetnie wyglądasz!

Potem spojrzała na szczupłego chłopaka u jej boku.

- Jak w ogóle masz na imię?

Męczyła ją czkawka.

- Ken - odpowiedział, na co wybuchnęła śmiechem.

- Nie masz ochoty na darmowego żelka? - zapytała mnie, wciąż tuląc się do niego.

- Nie, dzięki - odpowiedziałam.

Minęła zaledwie ósma, a ona już była kompletnie pijana. To nie wróżyło nic dobrego.

- Ile mieszkań przed nami?

- Co?! - wrzasnęła, próbując przekrzyczeć panujący wokół harmider.

- Ile jeszcze mieszkań przed nami?

- Nie wiem.

- Siedemdziesiąt pięć - poinformował mnie Ken, a potem nachylił się, żeby ją pocałować.

Na obu bicepsach miał tatuaże przypominające tkaną opaskę, ale najdziwniejsze było to, że pasowały do niego. Ja ze strachu nigdy nie dałabym się wytatuować, ale sama idea pociągała mnie. Bez powodu. Przeróżające.

Kara odsunęła się od niego i krzyknęła w moim kierunku.

- Nigdzie się nie wybieram! Ty też tu zostań, Carrie! Dobrze?

- W porządku.

Tylko ją jedną tu znałam.

- Czas na mnie - powiedział Ken, przecierając usta.

- Świetnie - ucieszyła się Kara. - Teraz potrzebuję macho.

Niektórzy goście wyszli, ale pojawili się nowi. Kara usiadła przy stole, zachęcając mnie do tego samego.

- Jeszcze nie paliłam - zwierzyła się. - Trawki, znaczy się... A czuję się jak na haju. Jestem dziś biernym palaczem. - Roześmiała się.

- Najwyraźniej tak też działa.

Męczyła ją czkawka.

- Na co masz ochotę? Czy już coś piłaś?

Zauważyłam zmrożony dzbanek z niebieskawym płynem. Nalała mi pełny kubek, upiłam łyk. To było dobre, w ogóle nie czułam alkoholu, choć na pewno go tam nie brakowało.

- Co to jest? - zapytałam.

- Nie wiem. Trucizna. Auć! - jęknęła, podniosła się, wyciągając spod siebie kapsel i ponownie usiadła. - Ktoś tu chce mnie zabić!

- Nie sądzę, żeby komuś udało się zabić cię kapslem.

- To może i wygląda na kapsel... - zaczęła, ale urwała w pół zdania, nie kończąc myśli.

Włożyła palec do miseczki z salsą, a potem pomazała sobie policzki.

- Nazywam się Conchita Rivera de Salsa. - Podniosła się, klasnęła w dłonie. - *Olé!* Gdzie mój latynoski kochanek? -

Spojrzała na mnie. - Nie chciałabyś zostać moim latynoskim kochankiem?

- Chyba nie.

Podniosłam kubeczek pełen niebieskiego napoju i wypiałam do dna.

- Oto chodźło! - wykrzyknęła Kara. - Następna kolejka dla Carrie!

Wręczyła mi kolejny pełny kubeczek, a potem starła salsę z policzków i podeszła do mnie tak blisko, że nasze nosy się niemal stykały. Wiele bym dała za tak perfekcyjny zarys nosa jak jej.

- Chodź ze mną na dach - rzuciła.

W suficie składziku było przejście prowadzące na dach. Kiedy Kara uniosła klapę, automatycznie wysunęła się drewniana drabina. Urocze. Kara weszła pierwsza, a ja za nią, ostrożnie trzymając kubeczek z drinkiem. Drewno skrzypiało i pewnie dawno nikt tam nie sprzątał, bo od kurzu kręciło mnie w nosie. Kiedy pomyślałam o kichaniu, poczułam, że to niewykonalne. Robiłam postępy i cofałam się w tym samym czasie.

Nikt za nami nie szedł i Kara zamknęła wyjście na dach.

Uderzył mnie podmuch zimnego powietrza. Ponad nami iskrzyły się gwiazdy. Piękno bezkresnej galaktyki.

Wyprostowałam się. Pode mną rysowały się artystycznie zaaranżowane nowojorskie ogrody na dachach, dzięki którym w centrum miasta jest więcej zieleni niż na przedmieściach. W oddali zauważyłam błyski fajerwerków, światła samolotów i migającą czerwoną lampę na wieży kontroli lotów.

Miałam wrażenie, że jesteśmy najwyższymi istotami na zie-

mi. Niebo wirowało nade mną. Kara stała przy mnie. Piłam niebieskiego drinka. Wciąż było zimno, ale ledwie to czułam.

- Popatrz na księżyc - zachęciła mnie.

- Kara! Gdzie jesteś?! - dobiegło nas wołanie z dołu.

- Nie mam ochoty z nimi gadać - oznajmiła.

Podeszła do składanego fotela przykrytego kocem.

- Weź sobie coś do siedzenia.

Przeciągnęłam krzesło przez całą długość dachu, jego nogi głośno obijały się o podłogę. Nisko pod nami ulice tętniły życiem: hałaśliwe hordy w pijackim amoku krzyczały, śmiały się i piszczały.

- Sylwester, wielkie mi święto - powiedziała Kara, jak gdyby to nie ona zaprosiła ludzi do siebie z tej okazji. - To czysto ludzki wymysł. Ani to przesilenie, ani równonoc. To dopiero kosmos. Prawdziwie duchowe przeżycie. Wtedy dopiero warto się bawić. - Podniosła pięść wysoko w górę. - Równonocny melanz!

Jej głos niósł się wysoko po nowojorskim niebie ponad drapaczami chmur, aż na przedmieścia.

Kara ściągnęła koc z fotela, rozłożyła go na dachu i położyła się na nim na plecach. Patrzyła w niebo.

- Chodź do mnie! - zawołała, prostując nogi. - Stąd jest o wiele lepszy widok.

Podniosłam się z krzesła i dotarłam do niej na chwiejnych nogach. Wyciągnęłam się na kocu, nasze głowy się stykały. Nagle uświadomiłam sobie, że niebieskie drinki musiały być wysokoprocentowe. Bardzo wysokoprocentowe.

Kara popatrzyła na mnie.

- Już myślałam, że nigdy nie zadzwonisz - powiedziała. -
Chciałabym, żebyśmy zostały najlepszymi przyjaciółkami.

- Czy powinnam oddać ci pieniądze, które dostałam na kup-
no lunchu?

- Czy tak robią twoi przyjaciele? To podłe.

- Nie należałam do lubianych dzieciaków. Inaczej niż ty.

- Tutaj jesteś lubiana - powiedziała.

Ujęła moją dłoń i pocałowała ją. Potem się wyciągnęła na
kocu.

- Kara! Gdzie jesteś?! - dobiegł głos z dołu.

- O matko! - wrzasnęła. - Ale z was lalusie! Cicho tam! Zaj-
mijcie się lepiej paleniem fajek na czas czy inną perwersją!

Zawyła policyjna syrena. Biedni mundurowi w taką noc mu-
sieli mieć ręce pełne roboty.

- Usiądźmy - zaproponowała Kara. - Zimno mi.

Usiadłyśmy. Otuliła się ramionami.

- Nie przepadam za swoimi znajomymi - zwierzyła się.

- Poszukaj sobie nowych - poradziłam.

- Gdzie?

- W kościele.

Roześmiała się.

- Niektórzy z moich przyjaciół zachowują się bardzo niedoj-
rzale - powiedziała. - To ostatnia impreza, którą urządzam.
Bo jak zwykle przyszła cała masa niewłaściwych osób.

- Przychodzą tacy, którzy lubią imprezować.

Popatrzyła na mnie.

- Jesteś taka mądra. Bystra i w ogóle. I masz niebieskie
usta.

Przestraszyłam się, że znów będzie chciała mnie pocałować, ale tylko na mnie spojrzała i zrobiła dzióbek.

Wiał wiatr. Popatrzyłam w niebo.

Kara spojrzała na mnie.

- Co chciałabyś robić? - zapytała.

- Siedzieć tutaj.

- Nie teraz, tylko w życiu?

- Dlaczego uważasz, że teraz inaczej ci odpowiem?

Uśmiechnęła się.

- Z czego pisałaś pracę?

- Z filozofii.

- W takim razie to była dobra odpowiedź na oba pytania. Ale uważam, że praca dyplomowa powinna łączyć teorię z dziedziną przydatną w życiu. Na przykład magister z filozofii smażenia w głębokim tłuszczu.

Odchyliłam się do tyłu i popatrzyłam na gwiazdy. Od zmrozonego dachu zimno ciągnęło wzdłuż moich pleców.

- Jaki rodzaj pracy najbardziej cię odstręcza?

- Śpiewanie hymnu na rozgrywkach golfowych. Bo czy istnieje nudniejszy sport i nudniejsza pieśń?

Zaintonowałam pierwszą linijkę refrenu, Kara dołączyła do mnie i kolejną wywrzeszczałyśmy już wspólnie.

- Wymiatasz! - zawołała i zaczęła śpiewać hymn skautów.

Nie musiała mnie długo namawiać.

Okropnie fałszowałam. Potwornie. Ale kiedy tak śpiewałyśmy wspólnie, czułam się świetnie. Zrozumiałam, dlaczego tak wiele osób ma muzyczne zamiłowania i próbuje swoich sił w kapelach, chórach czy zespołach. Zbiorowe śpiewanie daje

poczucie przynależności, wspólnoty.

Kiedy przerobiłyśmy wszystkie znane nam piosenki, włączając w to dziecięce rymowanki, Kara zapytała:

- Jakie masz postanowienia noworoczne?

Odkryłam tajemnicę jej popularności. Zawsze trafiała w sedno.

- Zdobyć nowych przyjaciół i mniej krytycznie podchodzić do rzeczywistości.

- Nieźle - pochwaliła mnie. - Ja chciałabym znaleźć stałą pracę. Mam dość zleconych śmieciówek.

Zakręciła kapslem od piwa, który szybko zawirował.

- W zeszły weekend zadzwonili z nagłym zleceniem w nieznaney mi firmie prawniczej. Następnego dnia z samego rana zadzwoniła do mnie szefowa z informacją, że już mnie tam nigdy nie wyślą.

- Dlaczego?

- Bo tamtejszy menedżer poskarżył się, że bez pytania weszłam do czyjegoś biura, żeby posłuchać sobie radia. Nie wiedziałam, o co chodzi. - Odwróciła się w moją stronę. - Przysięgam. Nie miałam pojęcia.

- Wierzę ci.

- Kiedy jej to powiedziałam, nie chciała słuchać. Podobno byli pewni, że to ja - głos się jej załamywał. - Nie uwierzyła mi. Nieważne, że długo z nimi współpracuję. I że zawsze byli ze mnie zadowoleni... - zachmurzyła się.

Nigdy nie widziałam, żeby była taka smutna. Może alkohol pogłębia także podły nastrój.

- A jeśli nigdy nie załapię się na etat? - zapytała.

Uścisnęłam ją. Nie pamiętam, żebym przytuliła się do kogośkolwiek poza moim ojcem.

- Myślisz, że nie zadzwonią już z Dickson, Monroe?

- Chyba zadzwonią, ale podpadłam szefowej z agencji. Wcześniej byłam gwiazdą - zachlipała. - Bez stałej pracy jesteś nikiem. Tylko mięsem umiejącym pisać na maszynie. Sama opłacam sobie ubezpieczenie zdrowotne. Inni moi znajomi na zleconych mają w tej kwestii wsparcie ukochanych rodziców.

Oparła głowę o moje kolana. Patrzyłam na samolot przecinający niebo, jego przednie światła rozświetlały chmury.

- Kara! - ktoś krzyknął.

- Och, co ja robię - powiedziała. - To jest w końcu impreza. - Podniosła się. - Dobra z ciebie przyjaciółka. - Uściskałyśmy się. - Musimy się spotkać i omówić temat na trzeźwo. Wracajmy na dół.

Schodząc, znów poczułam, że marznę. W salonie ktoś zawołał Karę. Podeszłam z nią do grupki osób zajętych rozmową.

Stanełam z nimi, ale tak szybko przeskakiwali z tematu na temat, że dałam za wygraną. Dyskutowali o branży rozrywkowej, ale nie o konkretnych ludziach, tylko o swoich poglądach, a w tym nigdy nie byłam za dobra. Przypomniało mi to szkolne czasy, kiedy dzieciaki popisywały się znajomością popkultury, rzucając przykładami jak z rękawa, i choć oglądałam telewizję i kojarzyłam kilka nazwisk, to nigdy nie byłam w stanie zabrać odpowiednim komentarzem, który wpasowałby się w powszechny osąd. Tematy dyskusji ograniczały się do uwag typu: „Ale przytyła!”, „Okropna fryzura”, „Widziałaś, z kim chodzi”. A ja nie miałam pojęcia, dlaczego niektóre zachowania były

fajne, a inne nie, i skąd większość dzieciaków brała taką wiedzę. Uważam, że znajomość popkultury jest równie ważna, jak ogólna wiedza o świecie, ale mogłam sto razy oglądać serial, a i tak komentarz, że chłopak głównej bohaterki jest przystojniakiem, przychodził mi z trudem. Wiedziałam także, kto króluje na listach przebojów, ale nie potrafiłam się ustosunkować do oceny fryzury głównego wykonawcy. Podstawowe fakty były mi dobrze znane, ale nie dbałam o szczegóły, i to wcale nie dlatego, że zadzierałam nosa, po prostu nie interesowało mnie to, podobnie jak niektórych moich rówieśników nie zajmowały rzeczy budzące mój entuzjazm. Różnica polegała tylko na tym, że oni stanowili większość, i dlatego ja powinnam się przystosować.

Teraz na imprezie u Kary znalazłam się w analogicznej sytuacji.

- Musi zgolić te bokobrody - zauważyła jedna z dziewczyn.
- Jego laska to prawdziwa żoźa - zauważył ktoś inny.
- Ta z serialu czy prawdziwa?
- Obie!
- Powinna poprzestać na aktorstwie.
- Ale musiała z nim współpracować.
- Nie sądzisz, że strasznie schudł?
- Mnie się podoba.
- Czy on nie śpiewa w jakimś zespole?
- Tak. Równie świetnie radzi sobie w filmie.
- Ale przypomina tego i tego.
- Przystojniak z niego, choć we wszystkich filmach wygląda jak neandertalczyk.

- Ma chyba wysokie czoło - zauważyła Kara.

Była pochłonięta rozmową. Poczułam się niezręcznie, stojąc bez słowa. Postanowiłam zabić czas poszukiwaniem kolejnego drinka. Może Kara znudzi się tymi ludźmi. Ruszyłam do kuchni.

Było to wąskie pomieszczenie. Ludzie tkwili po obu stronach jak dwa szwadrony policji. Na blacie stała butelka wina. Nalałam trochę do plastikowego kubeczka.

Wysoki chłopak skończył rozmowę ze stojącą obok dziewczyną i patrzył, jak nalewam sobie wino. Potem udzielił mi wykładu na temat mieszania mocnych i słabych alkoholi, że upijasz się szybciej i masz większego kaca albo że szybciej masz większego kaca, nie byłam pewna. Liczba zasad dotyczących picia zdumiała mnie. Kiedy ci wszyscy ludzie zdążyli się tego nauczyć? To musiało być w klasie, którą przeskoczyłam.

Stałam w wolnym miejscu pod ścianą.

- Kogo tu znasz? - zapytała mnie jakaś dziewczyna.

- Karę - odpowiedziałam.

Posłała chłopakowi pytające spojrzenie.

- Kim jest Kara?

- Nie mam pojęcia - odparł.

- To jej mieszkanie - wyjaśniłam.

- Ach. Racja!

Inny chłopak zapytał wtedy:

- Ile za nie płaci? Jak sądzicie?

- Słyszałem, że tysiąc sto.

- Wspaniale - ocenił dryblas. - Uwielbiam, kiedy komuś udaje się tanio wynająć chatę. To można porównać tylko z dobrym

orgazmem.

- W przypadku Nowego Jorku to prawda.

Dziewczyna zaszepiała coś do ucha wysokiego chłopaka. Kiwnął głową, a potem nachylił się do mnie i powiedział:

- Nagrzewamy. Idziesz z nami?

Oczywiście odruchowo chciałam powiedzieć „nie”, bo nie miałam pojęcia, co będą nagrzewać, z drugiej strony, byłam ciekawa. Chciałam zobaczyć, jak to wygląda, bo jeszcze nigdy nie widziałam nikogo zażywającego narkotyki. Nigdy nie byłam na tyle fajna, żeby ktokolwiek mi to zaproponował. Poza oczywiście dilerami z parku na placu Waszyngtona, którzy nieustannie każdemu, kto tylko przekroczył bramę wejściową, szeptali do ucha:

- Zioło, zioło.

Chodziło, rzecz jasna, o trawę. Pewnie policja mogła ich wszystkich zamknąć, ale najwidoczniej powtarzanie: „zioło, zioło” w żaden sposób nie łamało prawa. Niektórzy z nich mieli ogromną inwencję, aż brał żal, że nie wykorzystywali jej na legalną działalność.

- Pewnie - odpowiedziałam, okazując więcej zapału, niż miałam w rzeczywistości.

Dryblas kiwnął głową. Miał lekko falujące, rozczochrane na czole krótkie włosy, a na szyi nosił naszyjnik z drewnianych paciorków. Dziewczyna ujęła go za rękę i pociągnęła do wyjścia. Poszłam za nimi.

Minęliśmy grupkę osób, wśród których znajdowała się Kara. Pomachałam do niej, żeby mnie zauważyła.

- Wychodzisz? - zapytała.

- Tak, ale może jeszcze wrócę - odpowiedziałam.

- Super! - wykrzyknęła. - Jakbyś nie wróciła, to szczęśliwego Nowego Roku! Zadzwoń do mnie! Nie zapomnij!

Uśmiechnęłam się.

- Szczęśliwego Nowego Roku!

- Zadzwoń wkrótce, auć! Do cholery, złaż z mojej nogi!

Złapałam palto i ruszyłam do wyjścia.

Na korytarzu stało kilka osób, które próbowały dostać się do sąsiedniego mieszkania. Wśród nich dostrzegłam znajomą twarz.

- Carrie!

Zmrużyłam oczy i sobie przypomniałam. Douglas P. Winters!

- To cudownie, że się spotykamy - powiedział. - Przytulasz!

Uścisnął mnie. Stojący przy nim facet w czarnej muszce pod szyją obrzucił nas zde gustowanym spojrzeniem.

- Ona naprawdę jest mężczyzną - wyjaśnił mu Doug.

- Brawo, siostró - powiedział jego przyjaciel i przybiliśmy piątkę.

Dziewczyna i chłopak z imprezy Kary czekali na mnie na korytarzu.

- Zaraz do was dołączę - zapewniłam ich.

- Trzy B - powiedział chłopak. - I żadnych glin.

Uśmiechnął się, a dziewczyna puściła do mnie oko.

Razem z Dougiem weszłam do mieszkania Stephen'a i Pata. Ludzie tańczyli, a jakiś facet siedział na drewnianej komodzie i śpiewał. Doug jedną ręką objął mnie, drugą swojego przyjaciela i stworzyliśmy chórek. Śpiewanie wywoływało pozytywne wibracje. Doug oprowadził mnie po mieszkaniu.

- To moja dziewczyna - przedstawił mnie komuś.

- Tak, a ja jestem Elvis Presley.

Uświadomiłam sobie, że w ciągu dnia w pracy większość gości Stephena i Pata musi ukrywać własną orientację. Teraz, wśród przyjaciół, nie musieli już mieć się na baczności. To było na swój sposób rozczulające.

Podeszłam do barku i nalałam sobie do szklanki czegoś różowego. Nie była to jednak lemoniada. Dym gryzł mnie w oczy. Rozejrzałam się za Dougiem, ale przecież nie przyszedł tu, żeby się mną zajmować.

Podszedł do mnie jakiś chłopak i razem zaśpiewaliśmy. Z zaskoczeniem odkryłam, że wcale mnie to nie zmieszało. Prawie nie dostrzegałam innych ludzi. Wszystko wokół było jakby zamglone. Tylko ten chłopak przede mną, dobra muzyka, pyszny drink - ogólnie czułam się świetnie. Mieszkanie wypełniał dym i tłum ludzi. Nie przejmowałam się jednak, bo pierwszy raz od dłuższego czasu byłam zbyt oszołomiona, żeby myśleć.

Śpiewający ze mną chłopak ruszył dalej. Pokręciłam się trochę, ale nagle uderzyło mnie dziwne uczucie. Rozejrzałam się i zauważyłam, że jestem tu jedną z trzech dziewczyn. Poprawka: dwóch. Na szyi trzeciej dojrzałam wyraźnie zarysowaną grdykę.

Och, kolejna poprawka. Byłam jedyną dziewczyną.

W drodze do wyjścia minęłam mężczyznę rozmawiającego z innym.

- Może zachowam swoją kurtkę, a ciebie rzucę na łóżko.

Wreszcie dostrzegłam Douga. Właśnie ściągał z siebie koszulę. Podeszłam i, próbując przekrzyczeć muzykę, pożegna-

łam się. Pochylił się, aby mnie pocałować w policzek, i powiedział, że koniecznie musimy zająć się tym sprzedawaniem tajemnic handlowych. W pracy nigdy nie widziałam, żeby był aż tak wyluzowany. Co w nas ludziach takiego siedzi, że przez większość czasu ukrywamy swoje prawdziwe ja?

Na korytarzu nie było chodnika, biała podłoga lśniła, a kiedy szłam, moje buty aż skrzypiały.

Zapomniałam, w którym mieszkaniu mieliśmy się spotkać.

To było głupie. Nie miałam ochoty na kontakt z narkotykami. Nie potrzebowałam ich. Mogłam się zgodzić, że sięganie po niektóre szkodliwe używki nie jest do końca niemoralne, ale wiąże się z bezsensownym ryzykiem i jest po prostu niemądre. Dlatego nie mając na nie ochoty, nie musiałam się zmuszać. Choć mogłam pozostać w roli widza. To była noc rewelacji i odkryć.

Ogarnęło mnie dobrze znane uczucie pustki, osobliwie ścisnąjące dół brzucha, i pewien nieokreślony smutek. Uświadomiłam sobie, że nachodzi mnie zawsze, kiedy odczuwam wewnętrzne rozdarcie, kiedy moje postępowanie budzi mój opór.

Chyba powiedzieli, że to 3B.

Aby to sprawdzić, weszłam na piętro i zapukałam. Nikt nie odpowiedział. Poczekałam i jeszcze raz zastukałam do drzwi. Znów nic.

Bardzo dobrze.

Zeszłam na sam dół, kończąc różowego drinka. Byłam zbyt zakręcona, żeby już wracać do domu. Przez moment rozważałam kontynuację imprezy u Kary. Ale co niby miałam tam ro-

bić? Więcej pić?

Poczułam ochotę, żeby tańczyć w ciemności, zeskakując z krawężników niczym bohater *Deszczowej piosenki*, którą obejrzałam w minionym tygodniu. Chciałam chwycić czyjąś dłoń, kręcić się, wirować. Pragnęłam wskoczyć na dach miejskiej kolejki, aby ją ujeżdżać jak mechanicznego byka.

Zostawiłam pusty kubeczek na dole schodów i wkroczyłam w zimny, hałaśliwy świat.

Na ulicach kłębiły się tłumy. Ludzie przemieszczali się w grupkach, głośno rozmawiając. Niektórzy byli poprzebierani. Sylwester był połączeniem juwenaliów z Halloweenem.

Było mroźno, ale bezwietrznie. Wtopiłam się w tłum, pozwalając nieść się ludzkiej fali. Wciąż jednak pamiętałam o tym, że jestem samotna. Ludzie na obu imprezach byli w porządku, ale między nami nie iskrzyło. Nie twierdziłam, że nie mogłabym ich polubić ani że się źle bawiłam, jednak była ogromna różnica między znajomymi, z którymi miło spędzasz czas, a bliskimi przyjaciółmi. Żadna ze spotkanych dziś osób nie pasowała do drugiej kategorii. Tak naprawdę nie znałam nikogo, z kim byłabym tak blisko.

Zataczając się, ruszyłam na zachód, szłam boczną uliczką, przy której mieściła się szkoła podstawowa. Na piętrze piłka do nogi zaklinowała się w jednym z uchylnych poziomych okien, na dole przyklejono plakat ze zdjęciem chomika szukającego domu. Była także zapowiedź przedstawienia i kiermaszu wypieków. Przez minutę poczułam się jak mieszkaniec przedmieść.

Idąc wciąż w kierunku zachodnim, zorientowałam się, że

zbliżam się do Times Square. Żeby nie było, że nie spróbowałam. To powinno na dobre zamknąć usta Petrovowi.

Na skrzyżowaniu z Szóstą Aleją dobiegł mnie dobrze znany odgłos dudniących basów. Nieraz słyszałam ten głuchy dźwięk dobiegający z imprezy, na którą mnie nie zaproszono. Głośne, ale stłumione grzmocenie płynęło z głośników przeznaczonych dla innych ludzi, dla gości. Wypełniało łoskotem przestrzeń, aż pękały bębunki. A wysoko w górze niósł się ludzki śmiech, dym i zapach piwa.

Po raz kolejny zawirowało mi w głowie. Odprężyłam się. Tymczasowa przerwa w działaniu alkoholu minęła. Byłam gotowa na każdy dar nadchodzącej nocy. Potykając się, szłam przed siebie. Przede mną stała dziewczyna z karmazynowymi włosami splecionymi w warkoczyki. Noc należała do odmieńców. Ja jednak wyróżniałam się nawet w tłumie cudaków. O normalnych ludziach nie wspominając. Do jakiej kategorii należałoby mnie przypisać? G.B. Geniusz banita.

Ruszyłam Szóstą Aleją w kierunku północnym. Niektórym budynkom cudem udało się zachować dawny urok tak charakterystyczny dla Village. Podziwiałam niedziałające już lampy gazowe, żelazne balustrady i zaułki. Kamienice z brunatnej cegły liczyły po cztery piętra, a prowadziły do nich schody szerokie jak ramiona matki. Malowane drzwi garażowe musiały jeszcze kilka dekad temu prowadzić do stajni. Jednak kiedy numery ulic zaczęły rosnać do dwucyfrowych, pojawiło się coraz więcej sklepów, a budynki stawały się coraz wyższe i wyższe.

Włożyłam ręce do kieszeni i, starając się nie wpaść na niko-

go, co wcale nie było takie proste, wciąż szłam na północ. Budynki były żywym dowodem na kulturowy miszmasz. Białe kolumny, różowe schody przeciwpożarowe i seledynowa lamperia sąsiadowały z zapuszczonymi, niemalże czarnymi ceglasty-fasadami zwieńczonymi parą przepastnych, szarych zbior-ników wodnych na dachu, przypominających tłusciutkie bliź-niaki w stożkowatych chińskich kapeluszach. Między te dwa ikoniczne przykłady odmiennej architektury wciśnięto wypoży-czalnię filmów. Jej krzykliwy wystrój podkreślały neony w technikolorze stylizowane na lata siedemdziesiąte, a ściany mogły służyć za tło reklamy džinsów. Zziębnięta szłam dalej, przechodząc pod niebieską siatką chroniącą rusztowanie, na której widniała reklama poczty. Mijałam gabinety wróżek, sklepy jubilerskie i skład z elektroniką, w którym serwisowali odtwarzacze DVD i mikrofalówki, choć na pewno wcześniej, zdradzały to resztki szyldu, specjalizowali się w radiach i tele-wizorach. Nagle zauważyłam biały budynek stylizowany na willę z tysiącem okien i wnęk. Zastanowiło mnie, kto może tam mieszkać, ale przy bliższym oglądzie okazało się, że to kolejny sklep. Wahałam się, rozdarta między pragnieniem powrotu do prostszych minionych czasów a skoczeniem w ciemno w nie-zniszczalne okno przyszłości.

Nagle mój wzrok zatrzymał się na jednym powtarzającym się coraz częściej szczególe. Na ceglastych budynkach, ciągnących się po obu stronach ulicy, widniały wyblakłe napisy dawnych reklam. Większość związana była z przemysłem kon-fekcyjnym. Nie zdziwiło mnie to, bo przecież znalazłam się w dzielnicy handlowej. Niektóre mogłam bez trudu odczytać.

Było ich tak dużo, że zastanowiło mnie, jak mogłam wcześniej ich nie zauważyć, przecież dorastałam w okolicy.

Na Dwudziestej Szóstej ulicy reklamował się zakład kuśnier-ski Goldsteina. Na Dwudziestej Siódmej sklep z damską bieli-zną Hollander Co. Na Dwudziestej Ósmej Brucker Bros. & Aronof, Konfekcja damska, Futra, Freedman & Clotzer, Man-dzurskie skóry. Niedaleko Dwudziestej Dziewiątej: Suknie Maid Rite Co., Hoffman & Horowitz, Płaszczce i garnitury. I da-lej skóry, futra, jedwabie, barwiarze i dostawcy. Na jednym z budynków wymalowano na żółto ogłoszenie, aby zaintereso-wani przestrzenią reklamową dzwoniли do firmy Berley & Co., Inc., mieszczącej się pod numerem jedenastym na Wschodniej Trzydziestej Szóstej. Niestety nie byłam w stanie odcyfrować numeru telefonu, który podano we współczesnym formacie, a nie, jak to bywało dawniej, z dwoma literami na początku, na przykład MU 6-5000. Uwielbiałam ten system zapisu.

Co robią teraz panowie Aronof, bracia Brucker? Czy widok kobiet w dzinsach jest dla nich do zniesienia? Co stało się z partnerami w interesach Freedmanem i Clotzerem albo Hof-fmanem i Horowitzem? Czy ich rodziny wciąż są w kontakcie? Czy ich wnukowie, mijając te budynki, wiedzą, że widnieją na nich nazwiska ich dziadków? Ciekawe, jakie historie mogliby opowiedzieć wszyscy ci mężczyźni, gdyby wciąż żyli?

Zastanowiło mnie także, czy podobne myśli przychodzą do głowy innym ludziom? Rozejrzałam się wokół. Nikt nie zadzie-rał głowy, aby przeczytać, co napisano na budynkach. Wszyscy patrzyli przed siebie.

Poszturchiwana przez innych, ruszyłam dalej wśród klakso-

nów taksówek, przekleństw płynących przez uchylone okna i ujadania psów. Minęłam terytorium napisów na budynkach, wkraczając do raju konsumenta. Minęłam sklep z zabawkami i kilka sklepów z ubraniami. Wysoko ponad Trzydziestą Drugą Ulicą zaśniedziały, kryty pasaż łączył dziesiąte piętra biurowca i domu handlowego. Dlaczego i kiedy go zbudowano to, tak podejrzewam, tajemnica znana tylko ludziom tam zatrudnionym. Minęłam rząd niebieskich budek telefonicznych, przy których migdałiła się jakaś para. Trzecia z kolei słuchawka zwisała luźno z aparatu. Po powrocie do Nowego Jorku po ukończeniu studiów zawsze odkładałam wiszące słuchawki na widełki, aż pewnego razu nagle, nie wiadomo skąd wyskoczył na mnie facet, wrzeszcząc, że jest w trakcie rozmowy. Błyskawicznie zrozumiałam, że w sprawę wmieszane są narkotyki, więc przeprosiłam i szybko się stamtąd oddaliłam. Teraz pozwalam dyndać słuchawce, a kiedy zauważam, że ktoś ją odwiesza, zawsze jestem ciekawa, kto to.

Szłam pełna zachwyty dla czarnych latarni ulicznych. Ich kształt przypominający literę „m” przywodził na myśl mewy. Miało się wrażenie, że lśniące żarówki to krople wody ściekające z ich skrzydeł. Maszerowałam w chmurze perfum, których nuta bazowa, nuta głębi, musiała budzić jakieś wspomnienie z mojego dzieciństwa, bo czułam się szczęśliwa.

Dostrzegłam najwyraźniejszy jak dotąd napis na murze: Stylowa Bielizna. Dla dzieci. Na miarę. Bielizna. Koszule nocne. Piżamy. Akuku Mfg Co. Bracia i siostry. Razem i osobno. Ubrania. Bambetle. Co to są „bambetle”? Trzeba to sprawdzić. Słowo, którego nie znam, doprowadza mnie do szaleń-

stwa. Przecież dostałam najlepszy wynik na teście maturalnym z leksyki, nie powinnam zatem napotykać nieznanych wyrazów. Czy to na pewno poprawna pisownia? Ktoś mnie szturchnął. W sylwestra nie ma czasu na zatrzymywanie się.

Szłam dalej na północ, mijając światła dla pieszych – zielony biegnący i czerwony stojący ludzik – biurowce, sklepy z butami, kluby fitness. Niewielki biały kwadratowy kawałek papieru przyklejony do latarni ulicznej z napisem „Zakaz parkowania w niedziele. Komendant policji”, a poniżej, przykład ludzkiego geniuszu marketingowego: na fluorescencyjnopomarańczowej karteczce reklama: „Holowanie. Czynne całą dobę”.

W pobliżu Trzydziestej Ósmej zobaczyłam węża.

Barwny, świetlisty, drgający gad sunął po rogu budynku. Kiedy podeszłam bliżej, uświadomiłam sobie, że to tylko widziana z boku ogromna podświetlona reklama z Times Square.

Zbliżając się do kolorowego stwora, zauważyłam kolejne charakterystyczne znaki: elektroniczne pomarańczowoświecące чудо, wyświetlające najnowsze wiadomości sponsorowane przez Dow Jones, okna biurowców odbijające miliony maleńkich lampek, restauracje typu Steak & Grill oraz ESPN Zone, sprzedawców orzechów, karykaturzystów, stragany z kadzi-dełkami, ponad którymi wirowały smużki dymu, drażniące nosy i zachęcające do otwarcia portfeli.

Hałas przypominał zanieczyszczenie powietrza. Głośny, kipiący gwar narastał przy akompaniamencie wyjących syren, alarmów, pisków i krzyków. Tłum gęstniał i szybko utknęłam bez możliwości dalszego ruchu.

Wszyscy wydawali się szczęśliwi. Śmiechy, rozmowy, uściski.

Znów poczułam się żałośnie. Otoczona przez wysokich ludzi i jeszcze wyższe budynki, stałam tam na samym dole.

Nagle usłyszałam tuż obok:

- Jesteś sama?

Odwróciłam się.

- Zapraszamy do nas!

Kobieta w czarnym wełnianym płaszczu rozmawiała przez telefon.

- Spotykamy się z Eddiem o dziesiątej. Nie, już jest tłum. Ledwie można się precyzyjnie. Auuu. Znów ktoś na mnie wpadł. Tak, już kończę.

Nie cierpiałam komórek.

- Hej! Ed? Nie wiem, co mi strzeliło do głowy, ale właśnie zaprosiłam Jessicę. Zadzwoiła jakby celowo. Wiem. Nie musisz się do niej odzywać. Poczekaj chwilkę. Halo? Jess! Tak, na Broadwayu. Tak, dokładnie. Do zobaczenia! Pa! Halo, Ed? To znów ona. Żal mi jej było. Co zrobisz?

Miałam ochotę dalej podsłuchiwać, ale wrzaski tłumu ją zagłuszały. Czy ludzie nie mogli zachowywać się przyzwoicie, widząc, że ktoś rozmawia przez telefon?

Kobieta torowała sobie drogę w morzu ludzi, ruszyłam za nią w nadziei na dalsze podsłuchiwanie. Starłam się też wyłapywać rozmowy innych, strzępy zdań, na których podstawie oceniałam, czy prowadzone przez nich dyskusje są zajmujące. Natrafiłam na kilka perełek.

- Nie tylko nie wytresowali psa, ale wystawili sery tak, żeby każdy mógł po nie sięgnąć.

- Pisuary? Zapomnij. Nie potrafię się skupić w obecności in-

nych.

- Nie miałem pojęcia, widocznie w Anglii to znaczy zupełnie coś innego i nikt do samego końca wycieczki już się do mnie nie odezwał.

- Czy to nie były pieniądze przeznaczone na studia?

- Myślę, że tylko udawał. Wcale się nie całowali.

- Kupiła ciuchy w New Jersey, bo tam jest tylko trzyprocentowy podatek na ubrania, a potem chciała je zwrócić w Macy's w Nowym Jorku, bo tu podatek wynosi osiem i pół procenta, to my wtedy wszyscy od razu do niej, że przecież to tylko pięć procent więcej od sztuki, poza tym od razu się zorientują. Przecież na paragonie widać, że nie kupiła tego w Nowym Jorku. Ale wiesz, jaka z niej idiotka.

Petrov uważał, że niby to ja nastawiam się negatywnie do ludzi, ale proszę, oto każdy każdego obgaduje za plecami! Sama zazwyczaj unikałam obmawiania innych, dlaczego zatem moja wewnętrzna irytacja na świat jest tak niewłaściwa?

Przyspieszyłam kroku, żeby nie stracić z oczu kobiety z komórka. Jednak wcale zbyttnio się ode mnie nie oddaliła. Cały czas rozmawiała.

- Wszyscy tam będą! - krzychała. - Nawet David i Alcott. Musisz przyjść! Tak, na szóstym piętrze!

Podawała adres. Przy Broadwayu. Może powinnam za nią pójść. Mogłabym spotkać Jessicę, która najwyraźniej potrzebowała nowych przyjaciół. To było miejsce w samym centrum Times Square. Powoli kierowałyśmy się do celu.

Po chwili jednak nie dało się zrobić ani kroku do przodu.

Prawdziwy impas. Ludzie rozpychali się łokciami. Smugi ko-

lorowych świateł przemykały ponad naszymi głowami: czerwień, błękit, róż, zieleń. Rozmowy zlewały się w jeden wielki ryk. Zewsząd spadał kolorowy deszcz konfetti. Reklamy na ekranach eksplodowały. Znaleźliśmy się w fantasmagorycznym kalejdoskopie rodem z krainy snów.

- Utknęłam - powiedziała ta z komórką. - Chyba będę musiała się przeczołgać między nogami ludzi.

- Dziś wieczorem... - zagrzmiało z głośników.

Ludzie jeszcze mocniej się ścisnęli. Stali ramię przy ramieniu.

- Wystąpi...

Kiedy się rozejrzałam, uświadomiłam sobie, że nikt nie przyszedł sam. Mężczyźni obejmowali kobiety w lśniących sukienkach, krzepcy siłacze zaśmiewali się wraz ze swoimi kompanami. Czemu zawsze tylko ja jedna miałam na tyle odwagi, żeby działać w pojedynkę? Dlaczego Petrov interpretował moje męstwo jako problem? Czy jeszcze ktoś na całym Times Square jest sam?

Nie miałam jednak pewności, czy mogę ich za to winić. Trudno być samotnym. Najdziwniejsze jednak jest to, że wystarczy tylko druga osoba, żeby poczuć się dobrze na tym świecie. Para to przecież tylko jeden plus jeden. Zaledwie jedna osoba sprawia, że twoje życie staje się osiem razy lepsze i automatycznie gładko wpasowujesz się w towarzyską strukturę społeczną. Dlaczego jeden plus jeden daje ośmiusetprocentowy wzrost? Bez tej jednej osoby było się skazanym na samotne spacerowanie, samotne posiłki, samotne podróże, samotne noce. Gdybym spotkała tylko jedną pasującą do mnie osobę,

która okazałaby mi wzajemność, z pewnością nie musiałabym nic udowadniać reszcie świata. Bez wątpienia zdarzały się pary złożone z dwojga odmieńców, ale wtedy ich odmienność przestawała razić, bo pasowali do siebie.

Nagle uświadomiłam sobie, że mam obstawę w postaci dwóch wysokich mężczyzn.

- Chyba zgniatamy dziewczynę - powiedział jeden do drugiego.

- Nie szkodzi! - wrzasnęłam.

Wtedy pierwszy powiedział:

- Jim, przesuń się. - A potem dodał w moim kierunku: - Jesteś tutaj sama?

- Mam się spotkać z przyjaciółmi.

- Tutaj? - zapytał. - Umówiliście się na Times Square? To możesz o nich zapomnieć.

- Pewnie masz rację - stwierdziłam, nie tracąc pogody ducha.

Otworzyło się malutkie okienko możliwości i postanowiłam skorzystać, nim się zamknie na dobre.

- A wy co porabiacie?

- Czekamy, aż kula opadnie - odpowiedział Jim, a potem pociągnął nosem.

Wydychane przez niego powietrze przybierało postać mglistej pary. Na szyi miał łańcuch.

- Czy zawsze jest tu tak zimno? - Pochuchał w złączone dłonie.

- W sylwestra? Zawsze - odpowiedziałam. - Skąd jesteście?

- Z Kalifornii - oznajmił kolega Jima. - Wpadliśmy do znajo-

mych ze studiów. Ale posprzeczałyśmy się. – Wyciągnął do mnie rękę. – Jestem Rudy, tak w ogóle.

– Carrie – przedstawiłam się, ściskając jego dłoń. Wielgachną.

– Jak? Shari?

– Carrie.

– A ja Jim – przestawił się drugi.

– Masz chłopaka? – zapytał Rudy.

– Nie – odpowiedziałam, a kiedy rzucili mi zdziwione spojrzenia, dodałam: – Trudno spotkać ludzi, z którymi da się normalnie porozmawiać.

– No wiesz, może powinnaś ograniczyć relację do samego seksu – poradził Jim.

Roześmiałam się.

– Mówię najzupełniej poważnie – sprostował.

– Bardzo zabawne.

Był śmiertelnie poważny. Obaj tacy byli.

– Jest w końcu sylwester – zauważył Rudy. – Można się zabawić.

– Poszedłbyś do łóżka z nieznaną osobą?

Wymienili spojrzenia, a potem Rudy odpowiedział:

– No pewnie, jeśli dziewczyna jest ładna.

– A gdyby nie była ładna, ale lubiłbyś ją?

– Skąd miałbym wiedzieć, jaka jest?

– Nie zagadałbyś dziewczyny, która ci się nie podoba fizycznie?

Popatrzyli po sobie i ryknęli śmiechem.

Spojrzałam na nich. Rudy musiał ważyć ze sto czterdzieści

kilo. Jim był ubrany w poplamioną koszulkę z Cliffordem Wielkim Czerwonym Psem.

- A cztery, dziewięć, jeden? - Rudy powiedział do Jima.

- Nie - odpowiedział zagadnięty.

- Co to jest cztery, dziewięć, jeden? - zapytałam.

Jim pochylił się nade mną tak blisko, że czułam jego piwny oddech, i wyszeptał mi do ucha:

- Dziewczyna, którą oceniasz na cztery, kiedy pijesz piwo, na dziewięć, kiedy jesteś totalnie pijany, i na jeden następnego dnia rano - wyjaśnił.

Z ust Rudy'ego wydobył się skowyt.

- Żadnych dziewiątek na horyzoncie - powiedział.

- Rozglądaj się dalej - poradził mu Jim.

- Raczej pij dalej.

Zarechotali.

Rudy oparł lewą dłoń na moim ramieniu.

- A teraz szczerze - wymamrotał - czy Jim jest w twoim typie?

Popatrzyłam na jego kolegę z wielką dozą tolerancji.

- Nie przeczę, to zależy, czy mielibyśmy wspólne zainteresowania - uściśliłam.

- Jesteś jedyna w swoim rodzaju, wiesz - z sarkazmem zauważył Jim. - Przy twoim podejściu to naprawdę szokujące, że nie masz chłopaka.

Wiedziałam, czym sobie zasłużyłam na jego pogardę. Ale to naprawdę ciekawe, czemu ludzie wybierający partnera tylko na podstawie wyglądu automatycznie uznają cię za snoba, słysząc, że liczą się dla ciebie pozafizyczne aspekty człowieka.

- Miło było was poznać, chłopcy - pożegnałam się. - Mam nadzieję, że los się dziś do was uśmiechnie.

Wymijając ich, usłyszałam, że jeden za mną wołał:

- Hej!

Nie byłam jednak zainteresowana. Tylko załamana. Kiedy ucieszyłam się, że wcale nie jest tak źle, to musiałam wpaść na dwóch mięśniaków. Czy nic lepszego tu na mnie nie czeka?

Jeśli tak, czemu chcę tu zostać?

Odwrociłam się, żeby zobaczyć, jak Jim rzuca swojemu kole-dze spojrzenie w stylu „ale suka”.

Nawet kiedy wychodziłam ludziom naprzeciw, napotykałam osobników z innej planety. Czułam się przez to podle.

Próbowałam sobie przypomnieć adres imprezy wspomniany przez kobietę z komórką. Grupa ludzi wchodziła do wysokiego budynku, w którym mieścił się hotel. Ruszyłam za nimi. Ktoś się obrócił i rzucił na mnie okiem, ale wszyscy byli tak sobą pochłonięci, że nie zwracali na mnie uwagi. Boy hotelowy też mnie nie zauważył. Wcisnęliśmy się do windy.

Mężczyzna, który wcześniej się na mnie obejrzał, zapytał:

- Które piętro?

Popatrzyłam na przyciski i wybrałam ostatnie. W ten sposób mogłam zdecydować, gdzie wysiąść, kiedy wszyscy wyjdą.

Winda zatrzymała się na czwartym piętrze. Cała grupa wysiadła. Było głośno, ktoś coś zapowiadał przez mikrofon. Na korytarzu wisiały balony i serpentyny. Drzwi się zamknęły, zostałam sama.

Nagle owładnęło mną poczucie...

...że muszę dostać się wyżej.

I wyżej.

Wysoko ponad cały świat.

Gdy mijałam kolejne piętra, na niektórych słyszałam muzykę, na innych panowała cisza.

Postanowiłam wysiąść na dziesiątym piętrze. Było tam bardzo spokojnie. Przeszłam do samego końca korytarza. Mijałam pokoje pogrążone w ciszy, pokoje z włączonymi telewizorami, pokoje, w których ludzie rozmawiali, śmiali się. Stałam przed czerwonymi drzwiami prowadzącymi na klatkę schodową.

Popchnęłam je.

Za nimi ujrzałam białe, niechlujnie pomalowane ściany. Jedną przecinał brunatny zaciek.

Ruszyłam w górę. Na kolejnej kondygnacji zobaczyłam szare, nieoznakowane drzwi z dziurą w miejscu klamki. Popchnęłam je.

Uderzył mnie podmuch zimnego powietrza. Wyszłam na zewnątrz i poczułam, jakbym wylądowała na Księżycu. Byłam na niskim dachu, z którego wystawały zagięte przy końcu metalowe i kwarcowe rury. Powyżej miasto lśniło niczym przybrana na święta choinka, a ponad nim błyszczwały gwiazdy.

Ruszyłam po czarnej, perforowanej gumowej macie do leżącego nieopodal krawędzi stosu przewróconych skrzynek po mleku. Ciekawe, czy kiedykolwiek kogoś aresztowano za nielegalne przejście skrzynki na mleko? Na Harvardzie spotkałam ludzi, którzy montowali z nich stoły i krzesła.

Zauważyłam pety i puszkę po piwie, ale chyba nikt tu nie przebywał w sylwestrowy wieczór. Czy martwiłam się, że to

niebezpieczne siedzieć tu samej? Nie. Czy martwiłam się, że nielegalnie wkroczyłam na prywatny teren? Nie.

Czy wypiałam dziś dziwne drinki?

Tak.

Siedziałam na niebieskiej skrzynce na mleko na wysokości dziesięciu pięter ponad Times Square, wsłuchana w dobiegające z dołu trąbienie klaksonów, wycie syren, radosne okrzyki tłumu oraz najróżniejsze połączenia tych trzech odgłosów. Nagle ludzie zawyli jak kibice na stadionie piłkarskim. Wiał mroźny wiatr, ale czułam się dobrze. Wreszcie znalazłam się na tyle wysoko, żeby bez trudu odczytać numer z billboardu rodzicielskiego telefonu zaufania, którego hasło brzmiało: „Decyzja o powrocie do pracy. To najlepsze wsparcie dla twojego dziecka” oraz „Decyzja o pozostaniu w domu. To najlepsze wsparcie dla twojego dziecka”. I numer telefonu, czyli 1-855-NYC-COPE.

Oto numer w sam raz dla mnie.

Rozejrzałam się wokół. Zauważyłam czarne, metalowe schody przeciwpożarowe. Popatrzyłam na ciągnące się w dole dachy, na których stały donice, walały się najróżniejsze odłamki, a w jednym przypadku nawet cały stół z połamanymi nogami zmiażdżony tak, że z góry przypominał rozgniecionego pająka. W oknach, w których świeciło się światło – przyciemnione, niebieskie, czerwone lub blade – dostrzegałam ludzkie głowy, tańczące pary, koty, lampy, komputery. Przez jedno wyglądała kobieta, której po chwili mężczyzna wręczył drinka.

Uświadomiłam sobie wtedy jedną rzecz.

Uwielbiam to miasto. Dobry Boże, kocham je.

To nie miało najmniejszego sensu. Zawsze irytowali mnie wierszokleci opiewający Nowy Jork. Ich podziw przypominał nostalgię za obowiązkowymi szczepieniami przeciwko gruźlicy. To przecież miasto. Brud, smród i ubóstwo. Co tu można kochać? Deklaracja miłości wobec takiego miejsca podchodzi pod pseudoartystowski frazes. Woody Allen w *Manhattanie*, który znalazł się na liście stu najbardziej popularnych filmów Amerykańskiego Stowarzyszenia Krytyków Filmowych, stwierdził, że to cudowne miasto i ma w nosie opinie innych. Może w ustach czterdziestopięciolatka uwikłanego w romans z nastolatką, któremu wciąż w głowie dzwoni *Błękitna rapsodia*, podobnie jak w filmie, była to prawda, ale w prawdziwym życiu jest bardziej prawdopodobne, że w twojej głowie rozlegnie się głos tuzina bezdomnych. Czy można szczerze pokochać takie miejsce?

Mnie się to przydarzyło.

Podniosłam się ze skrzynki, przyklęłam, a potem położyłam na gumowej macie i spojrzałam w niebo. Kilka kamyków kłuło mnie w plecy, ale poza tym było całkiem wygodnie. Biała smuga niczym kurtyna na zakończenie przedstawienia zakryła gwiazdy.

Otulało mnie mroźne powietrze. Snopy kolorowych świateł ślizgały się po budynkach. Czerwone. Niebieskie. Zielone. Żółte. Byłam częścią całości. Wszyscy razem znaleźliśmy się w ogromnej lava lampie.

Leżąc na plecach, szykowałam się na przyjście dobrych rzeczy. Czekałam na eksplozje żarówek i deszcz lśniących złotych, fioletowych i białych odłamków. Kipiałam entuzjazmem.

Ciekawe, czy są ludzie, którzy czują się tak przez cały czas?

Może naprawdę na co dzień męczyła mnie depresja. Może mój obecny stan ducha dla innych, którzy w odróżnieniu ode mnie czerpali przyjemność z życia, był zwyczajny i powszedni. Może to wina fizjologii. Może Petrov ma rację. Jeśli nigdy nie poczułabym się inaczej niż zazwyczaj, to nie uświadomiłabym sobie, że to możliwe. Czy mój obecny nastrój jest do odtworzenia dzięki antydepresantom? Mimo że to leki o narkotycznym działaniu, czy nie powinnam po nie sięgnąć, skoro gwarantują tak dobre samopoczucie? Czy właśnie o to chodzi?

W głębi duszy nie wierzyłam w swoją depresję. Ale pytanie, czy należy odrzucać środki wprawiające nas w pozytywny nastrój – na przykład narkotyki czy leki – było warte rozważenia.

Tego wieczoru jednak, leżąc pod surowym, czarnym niebem, miałam ważniejsze rzeczy do przemyślenia.

To prawda, że oceny były dla mnie zawsze źródłem ogromnej wewnętrznej satysfakcji. Uśmiech na twarzy nauczyciela znaczył tyle, co mocny uścisk ramion. Dlatego zaczęłam o niego rutynowo zabiegać i staranniej przykładalam się do prac domowych czy testów. Nie sprawiało mi to żadnego problemu i zasługiwałam na uśmiech po kilka razy w tygodniu. To leżało w zakresie moich możliwości. Nagrodą za ciężką pracę był wirtualny uścisk.

Terminy, zadania, konkursy, olimpiady. Kumulowałam komplementy. Nauczyciele ze łzami radości w oczach pochylali się nad moimi świadectwami. Każda najwyższa ocena była jak przyjazne klepięcie w plecy. Podobnie działo się na studiach.

Teraz szkoła się skończyła. Nawet gdy coś dobrze wyko-

nam, nikt mnie nie przytula.

Dlatego zamknęłam się w czterech ścianach. Dla poczucia bezpieczeństwa i ładu.

Musiałam nauczyć się, że nie należy oceniać wartości człowieka, siebie czy innych, w zależności od wyników testów czy renomy uczelni – nie każdy przecież kończy studia. W głębi duszy to wiedziałam. Mogłam zaakceptować innych, choć różnili się ode mnie. Byłam tego w pełni świadoma.

Ale źródłem największej życiowej przyjemności, podstawą mojej motywacji do działania, było uczenie się i poznawanie nowych rzeczy. Taka jestem, i kropka. Gdybym zyskała nowe spojrzenie na świat, moja radość nie miałaby końca. Jeśli druga osoba byłaby gotowa odkryć przede mną nowe perspektywy, włączyć mnie w swój fascynujący, nieznaną świat, który mogłabym wzbogacać, dorzucając swoje pomysły, i dzięki temu połączyłaby nas ekscytująca i szaleńcza wymiana wiedzy, wtedy doświadczyłabym czegoś najcudowniejszego. Taka już jestem. Jeśli ludzie chcą, żebym ich zaakceptowała, muszą odwdziaczyć się tym samym.

Wiedziałam też, że część mnie, która uwielbia analizować rzeczywistość aż do najdrobniejszego szczegółu, łączy się z innym aspektem mojej osobowości, dążącym do wiedzy i trzymającym się twardych zasad moralnych. Rezygnując choć z jednej rzeczy, przestaję być sobą. Naśladując innych, mam poczucie dyskomfortu. Byłam jednak gotowa na pewne kompromisy. Mogę nie zadzierać nosa wobec ludzi, którzy całkowicie się ode mnie różnią, wciąż trzymając się swoich zasad. W tym celu nie muszę się zmieniać. Mogę pozostać niewzruszona

i dzięki temu zniechęcać tych, którzy próbują wywierać na mnie presję. Mogę wyjść ludziom naprzeciw, nie łamiąc swoich zasad.

Były też inne rzeczy, które sobie uświadomiłam.

Dzisiejszy wieczór pomógł mi zrozumieć, że nigdy nie będę dziewczyną, która wsparta o ścianę pozwoli Kenowi się lizać.

Nigdy nie będę dziewczyną mocującą się na niby z chłopakiem przed uczelnianą biblioteką.

Nigdy nie będę dziewczyną czarującą jednocześnie czterech facetów na zjeździe absolwentów.

Nigdy nie będę dziewczyną palącą trawę w mieszkaniu pod numerem 3B.

I to mi nie przeszkadza.

W życiu potrzebowałam dwóch rzeczy: pewności, że dobrze robię, i przy odrobinie szczęścia zdobywania nowej wiedzy. Jeśli inni tym gardzą, to ich problem, nie mój.

Uwielbiałam towarzystwo profesora Harrisona. Przy nim nigdy nie czułam się jak odmieniec, choć nie przestawałam wyróżniać się z tłumu, on zresztą miał podobnie. Wszystkie jego słowa, które w normalnym towarzystwie uznano by za dziwactwa, umacniały uczucie, jakie do niego żywiłam. Wydawało się, że on myślał podobnie o mnie. Kiedy wspominał trudne dzieciństwo, miałam ochotę go przytulić. Łączyło nas tak silne podobieństwo, że nie miałam ochoty opuszczać tej spokojnej krainy.

Ludzie myślą, że relacja łącząca młodą dziewczynę i starszego mężczyznę o ugruntowanej pozycji jest szkodliwa. Tak czasem bywa. Początkowo ekscytująca różnica może stać się

problematiczna, a wywyższanie się jednej strony jest źródłem rozczarowania i smutku. Jednak zrzucanie całej winy na Davida byłoby niesprawiedliwe. Gdybym go nie spotkała, pewnie całą zimę spędziłabym w swoim pokoju, pochłonięta studiami i lekturami. Nie odzywałabym się do nikogo. Nie wychodziłabym na spotkania towarzyskie. Byłabym cały czas sama.

Ale kiedy teraz czasem zostaję sama, to wcale nie jest takie straszne.

Nie jestem alfą i omegą, ale lubię siebie.

Usiadłam. Wiał wiatr. Było zimno. Ryk tłumu narastał.

Dobrze się dziś bawiłam, wcześniej bym się do tego nie przyznała. Nie zrobiłam nic złego i pozostałam wierna sobie.

Choć wciąż jestem sama.

Kto by pomyślał, że można tak siedzieć ponad tłumem pięciuset tysięcy ludzi w mieście zamieszkanym przez osiem milionów i wciąż czuć się samotnym.

Zeszłam schodami, zjechałam windą na parter i, torując sobie drogę wśród tłumów, doszłam na stację metra pełną ludzi.

Czekając na peronie, usłyszałam fragment rozmowy:

- Na studiach nigdy nie pił, bo miał ojca alkoholika, ale w akademiku nikt o tym nie wiedział i wszyscy traktowali go jak ciula.

Nie powinnam się przejmować, nawet jeśli różniłam się od tysiąca ludzi wokół mnie. Ja okazałabym zrozumienie temu nieznanemu chłopakowi, który odmawiał picia i twardo trzymał się swoich zasad. Uszanowałabym jego decyzję. Ale niestety nie wiedziałam, czy kiedykolwiek będzie mi dane go spotkać.

Kiedy przyjechało metro, tłum wcisnął się do środka. Było tyle ludzi, że ledwo dało się oddychać. Wreszcie wysiadłam na mojej stacji i wyszłam na mróz.

Wciąż jednak nie chciało mi się spać. Świat wariował i chciałam w tym uczestniczyć. Nawet gdyby było inaczej i tak unieвозмоżliwiłby mi to uliczny szal.

Zauważyłam, że okna Bobby'ego są zasłonięte. Albo wyszedł, albo spał. Cichutko wbiegłam do środka i otworzyłam drzwi kluczem. W mieszkaniu było przyjemnie ciepło.

W pół do dwunastej. Co teraz?

Odsłuchałam sekretarkę, ale nikt się nie nagrał. Powinnam opłacić opcję zapamiętywania przychodzących numerów, wtedy wiedziałabym, że ktoś dzwonił, nawet nie zostawiwszy wiadomości. Połowa ludzi korzystających z tej usługi miała czysto psychologiczne motywacje.

Nagle przyszedł mi do głowy pomysł. Wybrałam numer 1-855-NYC-COPE.

Odebrał mężczyzna.

- Rodzicielski telefon zaufania, słucham.

- Co tam robisz w sylwestra? - zapytałam.

Po chwili milczenia odpowiedział:

- Jestem wolontariuszem.

- To miłe.

- Ktoś musi.

- Jak masz na imię?

- Bob.

- Bob... - powtórzyłam. - Chyba cię kocham.

Roześmiał się.

- Czy chciałabyś o czymś porozmawiać?
 - O wielu sprawach, ale na razie wszystko ogarniam - powiedziałam. - Chciałabym ci życzyć szczęśliwego Nowego Roku. To miłe, że robisz dziś wieczór coś dobrego.
 - Nie jestem tutaj sam. To dla nas wszystkich masa radości.
 - Cieszę się, że jesteś szczęśliwy.
- Jest więcej ludzi stroniących od narkotyków i używek. Na dodatek zrezygnowali z imprez, żeby zrobić coś pożytecznego!
- Szczęśliwego Nowego Roku, anonimowy rozmówco - złożył mi życzenia.
 - Szczęśliwego Nowego Roku, Bob.
- Odłożyłam słuchawkę.
I co teraz?

Wzięłam notatnik, pisaki i wyszłam na schody przeciwpożarowe. Nie martwiło mnie, że nikt ich nie sprawdzał. Usiadłam na rdzewiejących metalowych stopniach. Poczułam zimno. Na zewnątrz było tak jasno, że nie potrzebowałam latarki.

Postanowienia noworoczne, napisałam.

Określić, których zasad powinnam się twardo trzymać.

Filozofować.

Musiałam wymyślić coś lepszego.

Nagle usłyszałam jakiś pisk. Dźwięk odsuwanej siatki na owady. Na trzecich schodach po lewej ktoś wyszedł na zewnątrz.

To był Cy, tylko tym razem bez melonika. Miał na sobie spodnie na szelkach, uczesany był nienagannie. Jak zawsze. Boże, wyglądał cudownie. Spodziewałam się, że zaraz dołączy

do niego kobieta na obcasach i oboje zaczną wolno tańczyć w blasku księżyca. Był jednak sam, a w dłoni trzymał jedną ze swoich książeczek z tekstami.

- Hej! - zawołałam.

- Hej! - odpowiedział mi. - Miałem zamiar poćwiczyć. Pomyślałem, że dziś nikomu nie będzie to przeszkadzać.

Byłam pod wrażeniem. W pół do dwunastej w sylwestra nie miał czkawki ani nie bełkotał.

- Wychodziłeś gdzieś?

- Nie, dopiero teraz! - odkrzyknął.

Pod nami grubas w berecie tańczył z wypchaną świnią.

- To zbyt wiele jak na mój gust - wyjaśnił. - Pochodzę z innej epoki. Wszystkiemu winna reinkarnacja. - Uśmiechnął się. Był gładko ogolony. - Znasz *Człowieka z La Manchy*?

- Tak - przyznałam.

Spojrzał w trzymaną w dłoni książeczkę, a potem wyciągnął rękę w przód i zanucił przewodnią piosenkę *Śnić sen*.

Z oddali dobiegło wycie syren.

- Widzisz, co narobiłeś? - zażartowałam.

Roześmiał się.

- Zazwyczaj tylko pęka szkło.

Usłyszałam trzask.

- Może miałabyś ochotę wpaść? - zapytał. - To sylwester. To znaczy, normalni ludzie zazwyczaj nie spędzają go w pojedynkę. Nie żebym był normalny.

Jego słowa sprawiły, że musiałam się uśmiechnąć.

- Miałeś przecież ćwiczyć.

- Nie zaszkodzi mi mała przerwa. Zapraszam do cztery R.

Tego numeru mieszkania nie zapomnę. Wróciłam do siebie, rzuciłam okiem na swoje odbicie w lustrze. W porządku, poza odrobiną zielono-błękitnego konfetti we włosach wyglądałam całkiem nieźle. Dobiegło mnie rytmiczne dudnienie, pewnie z przejeżdżającego auta, strząsnęłam ze swetra okruch kukurydzianego chrupka. Zamknęłam za sobą drzwi i zbiegłam po schodach. Ruszyłam do trzecich drzwi po lewej.

Wystrój mieszkania Cy nie powinien mnie zaskoczyć, a jednak nie sądziłam, że będzie tak gustowny. W kuchni wisiały oprawione plakaty broadwayowskich musicali, obok gramofonu piętrzyła się kolekcja płyt i stał keyboard.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że wreszcie mieszkam w Nowym Jorku - powiedział Cy. - To jest fantastyczne.

- Ile ci to zajęło? - zapytałam, ciekawa, ile ma lat.

- Ronald ci powiedział, tak? Pochodzę z South Jersey. Może nie powinienem się przyznawać, ale mieszkałem w garażu moich rodziców. Wiem, jak absurdalnie to brzmi, ale postanowiłem przeprowadzić się do Nowego Jorku na własnych warunkach. Chciałem być niezależny finansowo, zarabiać graniem na scenie i niekoniecznie wynajmować pokój w domu z czterema innymi osobami. Niektórzy przecież tak robią.

- Innym w ogóle się nie udaje. Powinieneś być z siebie dumny - pochwaliłam go.

Mój nos znajdował się na wysokości jego podbródka. Miałam ochotę wtulić się w jego gładko ogoloną skórę twarzy. Być może powodował mną alkohol, ale nie przejmowałam się tym.

- Skończyłeś szkołę teatralną?

- Tak, studiowałem na Mason Gross - odpowiedział.

Kiedy wymienił rocznik, obliczyłam, że ma dwadzieścia dziewięć, trzydzieści lat. Był jedenaście lat ode mnie starszy, ale według Petrova byłam nad wiek dojrzała.

Cy przechadzał się po przestronnej kuchni z białą, lśniąca podłogą.

- To jedyne pomieszczenie w całym mieszkaniu, w którym jest trochę miejsca. Poczekaj. - Położył płytę na gramofonie. - Należał do mojej babci. Od dziecka go uwielbiałem. Zawsze wyróżniały mnie moje dziwactwa.

W odpowiedzi musiałam się uśmiechnąć. Podobało mi się, że coś go całkowicie fascynowało, i nie były to ani narkotyki, ani alkohol. Odwrócił się na pięcie i wyciągnął do mnie ręce.

Cy okazał się najbardziej niezwykłą osobą, jaką poznałam, od kiedy tu mieszkam. Przez chwilę tańczyliśmy, wolno sunąc, potem posadził mnie na sofie, aby pokazać mi milion rzeczy. Jakby całą dekadę czekał na właściwego rozmówcę. Miał pokazną kolekcję winyli, elektryczny keyboard i pisał musical. Potrafił zagrać i zaśpiewać każdą piosenkę, jaka komukolwiek przyszłaby do głowy.

Nie było w tym za grosz wyrachowania ani zarozumiałości. Nie tłumaczył się, nie szukał wymówek, słuchał winyli i nosił melonik, taki po prostu był. Oczarował mnie.

Nie pytałam go o wyniki testów maturalnych, nie interesowało mnie jego zdanie na temat moralnych uchybień ani twórczości Rabelais'go. Może wcale nie istniał.

- Popatrz. - Wyciągnął swój melonik. - To mój strój sceniczny.

Wykonał kilka tanecznych kroków. Chaotycznie, ale zabaw-

nie.

- Kiedy cię po raz pierwszy zobaczyłam, miałeś go na głowie
- wyznałam. - Czekaleś na metro i podśpiewywałeś pod nosem. Wzięłam cię za wariata.

- Słusznie - powiedział, wskakując na krzesło, a potem na stół i wreszcie na kuchenny blat. - Czy kiedy byłaś mała, bawiłaś się, że podłoga to ocean i kiedy jej dotkniesz, to utoniesz? Dlatego trzeba było jak najdłużej chodzić, unikając parkietu.

Nie dziwiło mnie, że nie pił. Nie musiał.

- Tak - przyznałam. - Pamiętam, że uwielbiałam się bawić w rozbitka na łodzi.

- Łodzią było łóżko? - upewnił się. - To było dobre do czasu, aż skończyły się chipsy i trzeba było pójść po nową paczkę.

Zeskoczył na podłogę i stanął naprzeciw mnie. Nasze twarze się niemal stykały.

Uklęknął przede mną.

- Oddam wszystko za najgorszy dowcip świata.

Momentalnie przyszedł mi do głowy kawał o Pinokiu, który usłyszałam od Douglasa P. Wintersa, ale nie mogłam go przecież powtórzyć. Powiedziałam za to stary dowcip. Wchodzi facet do windy, a tam schody. Roześmiał się. Kiedy opowiedziałam go Michaelowi w Barnes & Noble, w ogóle nie zrozumiał.

Cy założył mi melonik na głowę.

- Pasuje ci - stwierdził.

- Jest ciut za duży - zauważyłam.

- To z *Wiktor, Wiktoria*. - Usiadł obok mnie na sofie. - Kobieta udająca mężczyznę...

- Udającego kobietę udającą mężczyznę udającego kobietę udającą mężczyznę...

Uśmiechnął się.

- Znasz ten musical!

- Jest dość popularny.

- Zdziwiłabyś się, jak ludzie niewiele wiedzą. Wystawialiście musicale w szkole średniej?

- Nie. Choć zawsze wybierano obsadę i umawiano próby, ale ludzie nie przychodzili i rozchodziło się po kościach. Każdy zainteresowany aktorstwem przenosił się do szkoły o profilu teatralno-filmowym. Utalentowani uczniowie szybko uciekali z mojej szkoły.

- Poza tobą - powiedział.

- Nie mam nadzwyczajnych talentów.

- Oczywiście, że masz. Znam się na tym.

- Nie.

- Ależ tak. - Na sekundę nacisnął palcem mój nos. - Czym zajmowałaś się w szkole średniej? Jaką byłaś nastolatką?

- Kujonowatą i dziwolągowatą.

- Przestań. Musiałaś chyba brać udział w jakiś zajęciach pozalekcyjnych.

- Kółko matematyczne, kółko fizyczne, olimpiada matematyczna, olimpiada fizyczna, brałam też udział w programach College Bowl, Quiz Kids, w konferencji Harvard Model Congress, a także w finale konkursu dla geniuszy Westinghouse...

- Kujon, kujon, kujon - powtórzył.

- Szansonista - odgryzłam się.

- Kujon.

- Szansonista.

Nasze twarze się stykały.

- Kujon.

- Szansonista.

- To nie jest właściwy termin - poprawił mnie Cy. - W mojej szkole mówiono na mnie raczej „sceniczna dziwka” lub „aktorka za spalonego teatru”. Kiedy zaś przez chwilę grałem w zespole na klawiszach, okrzyknięto mnie „discomułem”. Kto to w ogóle wymyśla?

- Nie mam pojęcia. To do ciebie kompletnie nie pasuje - zdziwiłam się.

- Akceptuję te epitety, ale tylko po części - powiedział, przyśuwając się do mnie, z bliska był jeszcze przystojniejszy. - Ale w życiu liczy się tylko to, z czym utożsamiasz się w pełni.

Prawą ręką ujął mnie za jedną dłoń, lewą sięgnął po drugą.

- Jakies życzenia? - Rzucił okiem na stos płyt.

- Może polka?

- Zgoda.

Znalazł odpowiednia płytę. Ze stosu winyli unosił się lekki zapach stęchlizny, ale wcale mi to nie przeszkadzało, wręcz przeciwnie, przypominało woń domu moich dziadków. Cy ostrożnie nastawił płytę. Po chwili trzasków rozległa się muzyka. Dźwięczna, skoczna melodia. Tańcząc, przemierzyliśmy całą kuchnię, korytarz, aż dotarliśmy do kanapy.

Objął mnie lewą ręką w tali.

Popatrzył mi głęboko w oczy.

Nagle przerwał nam głośny łomot.

- Szczęśliwego Noweego Roooku! - dobiegł nas krzyk

z dołu.

Po nim nastąpiła seria wycia, tupania, gwizdania i śmiechu. Po raz ostatni byłam świadkiem podobnego wybuchu radości, kiedy Jankesi zdobyli puchar.

Cy znów na mnie popatrzył. Oboje milczeliśmy.

- Miałem nadzieję, że prędzej czy później tu trafisz - powiedział.

Nachylił się nad moją szyją. Poczułam jednocześnie dotyk jego ust i nosa. Był rozpalony.

- Założę się, że byłaś najlepszą laureatką olimpiady matematycznej wszech czasów.

- Odwrotność cosinusa podniesiona do kwadratu minus tangens podniesiony do kwadratu równa się jeden - powiedziałam.

- Powtórz to szeptem - poprosił, całując mnie w dekollet.

- Odwrotność cosinusa podniesiona do kwadratu minus tangens podniesiony do kwadratu równa się jeden.

Podniósł głowę i pocałował mnie w usta. Przez całe moje ciało przeszedł dreszcz.

- Chodź ze mną - powiedział, biorąc mnie za rękę.

- Jak masz na imię? - zapytałam. - Cy to skrót. Od czego?

- Od cyborga - uśmiechnął się. - Czy dzięki temu pokonałem cię w konkursie na najślabszy dowcip świata? Choć założę się, że w szkole zbierałaś laury w tej kategorii.

- Niestety zaprzestali organizować ten konkurs po tym, gdy wszyscy utalentowani uczniowie przenieśli się do szkoły teatralnej.

Zatrzymał się na progu sypialni.

- A Carrie to skrót od czego?

- Carrie to Carrie.

- A jak masz na drugie?

Och, chciał wiedzieć, jakie jest moje drugie imię.

- Carrie Constance Pilby.

- Bardzo ładnie - przyznał.

- A ty?

- Cyril George Panatogolous.

- Poprzestanę na Cy.

W jego sypialni panowały egipskie ciemności. W oknie wisiały czarne zasłony. Może dlatego, że pracował do późna i potem odsypiał w dzień. Och, był taki sam jak ja.

Zamknął drzwi i wtedy zrobiło się ciemno, choć oko wykol. Przez moment zamarłam ze strachu, ale wtedy ujął mnie za rękę i znów zaczęliśmy tańczyć, bardzo, bardzo wolno. To trwało wieki. Jakby Cy z minuty na minutę nabierał sił.

Wkrótce zatrzymaliśmy się. Pocałował mnie w ciemności.

Na koniec okazało się, że w każdej kategorii bił na głowę profesora jak-mu-tam-na-imię.

Okolo czwartej nad ranem ulicą przejechała śmieciarka. Obudziłam się. Leżałam koło zwiniętego w kłębek, śpiącego Cy. Spojrzałam na zmiętoszoną pościel. Usiadłam. Zauważyłam, że mam na sobie koszulkę z musicalu *Mamma Mia*. Kiedy to się stało? Kto może żyć bez tego? Bez piosenki czy tańca, czym jesteśmy?

Nie czułam się bynajmniej źle, ale nieco dziwnie, bo nie należało to do repertuaru moich typowych zachowań.

Wstałam z łóżka. Co ja takiego zrobiłam?

Potem jednak uderzyła mnie nowa myśl.

Zaliczyłam wszystkie punkty z listy!

Poza jednym.

Zaczęłam po omacku szukać ubrań.

- Gdzie się wybierasz? - zapytał wtulony w poduszkę Cy, wyciągając do mnie rękę.

- Zaraz wracam - odpowiedziałam, ruszając do wyjścia.

Imprezowicze na chwiejnych nogach wracali do domów, na ulicach dominował warkot ciężarówek usuwających dowody nocnego rozpasania. Dosłownie wszędzie wały się śmieci, zdeptane konfetti i kapiszony. Czasem wśród kamyczków zwiru połyskiwały metalowe przedmioty, monety albo nakrętki. Ciekawe, jakie historie się za tym kryją? Skręciłam na rogu, zauważyłam, że kawiarnia jest otwarta. Nieśmiały Potarganiec nawet o czwartej nad ranem stał za kontuarem.

Na mój widok rozpromienił się.

- Cześć, Carrie - przywitał się.

Był szczerze uradowany. Ucieszyło mnie to. Przy czterech czy pięciu stolikach siedzieli ludzie, ale wszyscy milczeli. Albo bawili się, skręcając papierowe opakowania na rurki, albo nie-
mo wpatrywali się w siebie. Męczył ich kac, to było jasne.

- Cześć, Ronald! - wykrzyknęłam.

Facet, którego posklejane włosy przypominały pajęcze odnóża, tylko łypnął na mnie okiem.

Ronald uśmiechnął się.

- Szkoda, że musisz pracować w sylwestra - ulitowałam się nad nim.

- Nie przeszkadza mi to - odpowiedział. - Na zewnątrz jest

dla mnie zbyt głośno.

- Wiesz, jesteś moją pokrewną duszą, dopiero niedawno sobie to uświadomiłam.

Uśmiechnął się zażenowany i spuścił wzrok na blat.

- Siedziałam w domu i pomyślałam, że tu będziesz, a chciałam ci coś powiedzieć. Jesteś wspaniałym człowiekiem i bardzo cię lubię. Nigdy nie kłamiesz. Zawsze jesteś szczerzy i prawdomówny. Ze święcą można szukać takich jak ty. Chciałabym, żebyś nigdy się nie zmienił.

Ronald uśmiechnął się szeroko.

- To było miłe, Carrie. Twoje słowa sprawiły mi radość.

- Zależy mi na tobie - powiedziałam, a wtedy uściskaliśmy się.

- Też cię lubię.

- Miałyś ochotę jutro wyskoczyć ze mną coś zjeść? - zapytałam.

- Jutro jutro czy jutro dziś? - chciał się upewnić.

- Chyba jutro jutro - odpowiedziałam.

Kolejny szeroki uśmiech.

- Pewnie. Super. Naprawdę super.

-To mój numer. - Napisałam go na serwetce, którą mu wręczyłam. - Zadzwoń do mnie jutro. Jutro jutro.

Tym razem uczucie pustki nie pojawiło się. On chyba naprawdę mnie lubił. Nie kłamał.

Popatrzył na mnie w taki zabawny sposób.

- Masz ochotę na kawę?

- Nie, dzięki. Naprawdę nie pijam kawy.

- W porządku. Szczęśliwego Nowego Roku - powiedział.

Uśmiechnęłam się.

- Szczęśliwego Nowego Roku.

Zapowiadał się naprawdę dobry rok.

Wracając, zauważyłam, że Bobby w samej podkoszulce wygląda przez okno. Pomachałam do niego. Odpowiedział mi uśmiechem. Pogodnym, bez grama wyuzdania.

Kawałek dalej Cy siedział na schodach wejściowych ubrany w koszulę z kołnierzykiem i pomięte spodnie. Miał podkrążone oczy. Kiedy mnie zauważył, podniósł się i wyciągnął do mnie rękę. To było prawdziwe poświęcenie, że wstał z łóżka o czwartej nad ranem, aby na mnie poczekać.

Rozdział 12

Kiedy obudziłam się po raz kolejny, było kwadrans po dziewiątej. Cy wciąż spał.

Teraz, kiedy alkohol całkiem ze mnie wyparował, poczułam się zażenowana. Wydarzenia ubiegłego wieczoru wydały mi się surrealistyczne.

Ogarnęło mnie dziwaczne uczucie. Światło przebijające się przez zasłony, meble odbijające się w lustrze, zapach leżącego nieopodal stosu upranych ubrań – to wszystko było bardzo osobliwe. Nie wiem, jak to możliwe, że niektórym wchodzi w krew budzenie się w obcych miejscach. Przyzwyczajają się. Ja bym tak nie potrafiła.

Usiadłam. Na twarzy Cy malowało się napięcie. Musiał twardo spać. Był uroczy. A ja spóźniam się właśnie do kościoła.

A chciałam być punktualnie, szczególnie zależało mi na kazaniu. Wysłałam Natto kilka pomysłów i byłam ciekawa, czy je wykorzysta.

Ubrałam się po cichu i pobiegłam do domu, by wziąć prysznic. Do kościoła oczywiście dotarłam spóźniona. Zająłam miejsce w ostatnim rzędzie. Przyszło bardzo dużo ludzi. Mimo tłumy Natto zauważył mnie, uśmiechnął się i mrugnął porozumiewawczo. Ciekawe, czemu wierni przybyli tak licznie w pierwszy dzień nowego roku. Musiało ich wszystkich dręczyć sumie-

nie.

Kilka rzędów przede mną zauważyłam osobę, która na pewno musiała się czuć paskudnie. Matt siedział u boku Shauny, która wyglądała uroczo w krótkich, jasnych włosach. Kiedy odwróciła się w stronę narzeczonego, w jej niemalże pozbawionej makijażu twarzy i ubraniu rozpoznałam ten typ kobiety, która nie zabiega o męskie zainteresowanie. Nawet jeśli Matt ją zostawi, nie będzie musiała się zmieniać ani dostosowywać. Nie dla niej kompromisy czy walka o miejsce. Szczęściara z niej. Tak mi się wydaje.

Niechętnie musiałam przyznać, że Matt w eleganckim garniturze wygląda naprawdę świetnie. Miał wciąż wilgotne włosy, choć jej fryzura była idealna. To pewnie oznaczało, że nie brali prysznicą razem. Z niejasnych przyczyn poczułam ulgę. To było głupie. Nie powinnam już się nim przejmować. Zdradzał swoją dziewczynę.

- Sytuacjonizm etyczny. Czy to uczciwe stanowisko? - powiedział Natto, stając na środku podium.

Wszyscy go słuchali.

- Czy powinniśmy dopuszczać się rzeczy, o której wiemy, że jest zła, tłumacząc się sami przed sobą, szukając wymówek, bo w innym kontekście to wcale nie byłoby aż tak niesłuszne? Wczoraj świętowaliśmy sylwestra. Ilu z obecnych tutaj wstydzi się tego, co wczoraj zrobili?

Każdy rozejrzał się wokół. Wcisnęłam się w siedzenie, żeby Matt mnie nie zauważył.

- Ale to był sylwester, tak? Byliście pijani. Nie odpowiadaliście zatem za wasze czyny. Teraz zaś wam się wydaje, że

przychodząc do kościoła, zmażecie poczucie winy.

Nikt nawet nie drgnął.

- Większość ludzi, inaczej niż wy, nawet nie wstała dziś rano z łóżek. Wasza obecność napawa mnie dumą i szczerą radością. Dlaczego jednak tu przyszliście? Aby dawać czy aby żądać?

Zamilkł. Wiedział, kiedy należało zrobić przerwę. Dzięki temu dawał nam czas na refleksję, ale też budził niepokój. Sama obserwacja jego osoby była wyśmienitą lekcją retoryki.

- Ilu z was dopuściło się zła, przez cały czas licząc na wybaczenie? W ilu filmach widzieliście scenę, kiedy bohater, biorąc do ręki pistolet lub kij bejsbolowy woła: „Panie, wybac mi to, co zaraz uczynię”. Skoro zdarza wam się tak mówić, lepiej nie róbcie tego, co zamierzacie!

Wyprostował się.

- Wybaczenie należy się wtedy, gdy szczerze żałujemy za popełnione czyny. Tak, jesteśmy tylko ludźmi. Targają nami emocje i potrzeby, stojące w sprzeczności z naszym sumieniem, i czasem im ulegamy. Ale jeśli świadomie dopuszczamy się zła, decydujemy się na nie mimo wszystko, jest to niewybaczone. Jeśli zbłądzimy, prosimy o wybaczenie. Ale jeśli z premedytacją ranimy bliźniego, wtedy nasz czyn jest znacznie gorszy. Nasze grzechy nie zostaną nam odpuszczone tylko dlatego, że tak chcemy. W innym wypadku nasze złe zachowanie nie miałoby granic, wystarczyłoby tylko w każdą niedzielę wpaść do kościoła, aby się ukorzyć.

Powiedz to, pomyślałam.

- Cudzołóstwo - powiedział Natto. - Oszukiwanie.

- Jakie są szanse, że spełniony życiowo pięćdziesięcio- czy sześćdziesięcioletek, od trzydziestu lat w związku małżeńskim, jest wierny swojej żonie? Od dnia pierwszego spotkania? Dziś wydaje się to prawie niemożliwe, nieprawdaż?

Matt aż zeszywniał.

- Co złego w małym skoku w bok? Czy od razu trzeba trąbić o zdradzie? Małżonka pewnie nie pochwaliby tego. Dopuszczamy się rzeczy, których nie powinniśmy robić. Złożyliśmy przysięgę, do której nikt nas nie zmuszał. Może zdradzając, wystawiamy na szwank nasze zdrowie. Może trwonimy środki, czas i uczucia, które należą się żonie i dzieciom. Łatwo o wymówki. Niektórzy pewnie stwierdzą, hej, mały skok w bok jest lepszy niż rozwód.

Shauna z uśmiechem popatrzyła na Matta, a potem znów skierowała wzrok na Natto. Musiała mieć pewność, że nigdy jej nie zdradził. Och, nie!

Zaświtała mi pewna myśl. Shauna musiała należeć do zacieklej przeciwniczek zdrad. Jak większość kobiet w długoletnich związkach. Czemu nie? Łatwo gromić wiarołomców, żyjąc z partnerem, któremu się ufa. Satysfakcja życiowa pozwala na łatwe szafowanie moralnymi ocenami.

- Czy nie mam racji? - ciągnął Natto. - Skok w bok to rozwodowe antidotum. Zdradę małżeńską potocznie nazywamy skokiem w bok, bo to działanie na boku, poza wiedzą partnera. To dopuszczanie się rzeczy, które mogłyby go zranić. Już sama nieuczciwość wystarczy, żeby sprawić drugiemu ból. W pewnych przypadkach cierpimy bardziej, w innych być może mniej.

Przypomniał mi się film *Pożegnanie z Afryką*, który obejrzałam dzięki liście stu najbardziej popularnych filmów. Główna bohaterka, Karen Blixen, przeprowadza się do Afryki, aby poślubić mieszkającego tam barona. Po pewnym czasie zaczyna chorować i uświadamia sobie, że to syfilis. Poza mężem nie spała nigdy z żadnym innym mężczyzną, więc wie, że on musiał ją zarazić. Baron, nie mając wyjścia, przyznaje się do związku z inną kobietą. Łajdak!

Natto zatrzymał się i spojrzał na mężczyznę ubranego w prążkowany garnitur.

- Nie przyszedłem tutaj, by was osądzać - powiedział. - Nie jestem Bogiem. Sami znacie siebie najlepiej. Przypomnę wam jednak złotą regułę etyczną. Małżonkowie romansujący na lewo i prawo zdenerwowaliby się, dowiedziawszy się o zdradzie ślubnego partnera. Jeśli nie planujecie zachować wierności, lepiej jasno określić, że żyjecie w otwartym związku. I choć budzi to we mnie duży opór... muszę stwierdzić, że jest to uczciwsze niż zdrada.

Zastanowiłam się, czy czasem nie popełnił błędu, przyznając się, że w skrytości ducha popiera takie rozwiązanie. To było dobre pytanie.

- Zdradzając, dopuszczacie się rzeczy, która byłaby dla was bardzo niemiała, gdyby to partner was zdradził. - Pogroził palcem. - Wszystko więc, co byście chcieli, żeby wam ludzie czynili, i wy im czynicie^[5]. To maksyma streszczająca podstawy niejednej religii. W judaizmie i jeszcze kilku wschodnich religiach brzmi to nieco inaczej. Nie czyn drugiemu, co tobie nie-miłe. Sens jest ten sam. Traktuj bliźnich z szacunkiem. Określ

swoje zasady etyczne i twardo się ich trzymaj niezależnie od sytuacji. Jeśli namieszasz, oczywiście możesz prosić o wybaczenie. Ale nie czyn tego, o czym w głębi serca wiesz, że jest niewłaściwe, i nie szukaj sobie wymówek.

Zauważyłam, że Matt patrzy na Shaunę. Nie uśmiechał się. Byłam przekonana, że później sobie to wszystko i tak dogodnie wytłumaczy. Bez najmniejszego poczucia winy będzie kontynuował to, co zamierzał.

Natto rozwinął skrzydła. Kiedy skończył kazanie, zeskoczył z podium. Otarł czoło ręcznikiem, który podał mu Eppie. Przy boku Eppiego stała drobna kobieta, jego żona. Ucieszyło mnie to, nie wiem dlaczego. Moje podejrzenia o jego romans z Natto okazały się niesłuszne. Choć z drugiej strony, nie mogłam być tego pewna.

Zobaczyłam, że Shauna i Matt zbliżają się do mnie alejką. Miałam szansę ujawnić tej dziewczynie prawdę o jej narzeczonym.

Rozważyłam to po raz kolejny. Jeśli cokolwiek mam jej powiedzieć, to kieruje mną niewłaściwa motywacja. Moje słowa by jej nie pomogły. Przyniosłyby jedynie satysfakcję choremu pragnieniu zemsty. Tym samym nie byłoby to do końca słuszne. Choć krzywdził ją i miała prawo się o tym dowiedzieć. Powiedzenie jej prawdy byłoby zatem słuszne, choć moja motywacja niewłaściwa, ale też nie miałam pewności, czy do końca byłoby to dobre, bo wcale nie wiedziałam, czy się rozstaną albo czy on się zmieni. Może jedynie Shauna zrobi się bardziej uważna, co byłoby jednocześnie dobre i złe. Moje słowa przyniosłyby jej tylko ból. Może Matt powinien się zmienić sam

z siebie. Wahałam się, co zrobić. Ujawnienie prawdy wydawało się równocześnie dobrym i złym krokiem.

Czy to możliwe, że nie ma dobrej odpowiedzi? Może to właśnie jest przykład sytuacji, do której czarno-biały podział zupełnie nie przystaje.

Niesamowite. Naprawdę może tak być.

Stałam dokładnie naprzeciw nich, jakbym stała na brzegu morza z palcami w wodzie, czekając na uderzenie fali.

Kiedy Matt mnie zauważył, miałam wrażenie, że oczy wyskoczą mu z orbit.

- Cześć, Shauna - przywitałam się, ściskając jej rękę.

- Carrie? - upewniła się, ku zaskoczeniu Matta. - To Matt.

A to Carrie.

Matt uściskał moją dłoń. Wyglądał, jakby zobaczył ducha.

- Razem z Shauną odwalamy tu kawał dobrej roboty - powiedziałam.

Matt wciąż milczał skonfundowany.

- Wszystko w porządku? - zapytałam go.

- Przedślubna trema - wytłumaczyła go z uśmiechem Shauna. - Pobieramy się w kwietniu.

- To wspaniale - przyznałam.

- Cześć - przywitał się wreszcie Matt.

- Lepiej późno niż wcale - zachichotała Shauna.

- Co sądzisz o kazaniu? - zapytałam go.

- Fantastyczne - pochwalił, ale bez cienia uśmiechu.

- Często chodzicie do kościoła? - zapytałam słodkim głosem.

Shauna uśmiechnęła się i popatrzyła na Matta.

- Kiedyś chodziliśmy - powiedziała. - Ale myślę, że teraz

znów zaczniemy.

- Cieszę się, że zajęłaś się tym zleceniem - zwróciłam się do Shauny.

- Jestem tym bardzo podekscytowana - przyznała.

- Bardzo cenię Joego Natto - ciągnęłam. - Nie udaje, że zna wszystkie odpowiedzi. - Popatrzyłam na Matta. - Sami mamy ich szukać.

Podszedł do nas Natto i przywitał się z Mattem. Potem we trójkę, Natto, Shauna i ja, poszliśmy do biura, a Matt pożegnał się, mówiąc, że jest już umówiony ze „znajomymi” na lunch. Choć byłam pewna, że za tym eufemizmem kryje się inna kobieta, nie obchodziło mnie to. Miałam nadzieję, że Matt sam zrozumie, co należy zrobić.

Nie zamierzałam nic mówić Shaunie. Przynajmniej na razie. Najpierw musiałam upewnić się, co jest słuszne.

We trójkę odbyliśmy bardzo dobrą naradę. Shauna była podekscytowana, bo to miało być jej pierwsze samodzielne duże zlecenie. Czy mogłam ją winić? Zaangażowała się w nowe przedsięwzięcie o potencjalnie szerokim zasięgu. Wraz z nią miałam być twarzą Kościoła Pierwszych Proroków. Każdy będzie patrzył na zgromadzenie przez pryzmat naszej kampanii reklamowej. Naszym celem było zwabienie jak największej liczby, w porównaniu do wszystkich ruchów religijnych w ciągu ostatnich lat, młodych, pracujących nowojorczyków.

Ach, przeczytałam też książkę Joego. To prawdziwy geniusz. Początkowo jego agitacja na rzecz własnego dzieła nie przypadła mi do gustu, ale okazało się, że to bardziej filozoficzna rozprawa niż duchowe dywagacje. W innych czasach z pewnością

wydałby własną książkę jako traktat filozoficzny, ale obecnie nie miało to żadnej wartości. Znajomość z osobą, której działalność nie była związana ze światem finansjery ani informatyki stała się dla mnie źródłem ogromnej satysfakcji. Dowiedziałam się też, że jego „wizja” jest bardziej zbiorem pewnych życiowych konkluzji, a nie iluminacji. Joe nie był świrusem. Przy najmniej, nie do końca. Czy to jednak powód do zmartwienia?

Po wyjściu Shauny zostałam jeszcze w biurze Joego. Skomplementowałam jego książkę, ale zwierzyłam się też ze swoich obaw z tym związanych. Zazwyczaj kiedy uznawałam kogoś za wartego uwagi, to natychmiast paraliżował mnie strach, że dalsza znajomość przyniesie same rozczarowania, w miarę odkrywania nieprzyjemnych rzeczy związanych z tą osobą. Tak dotąd bywało.

Roześmiał się.

- Twoja przenikliwość jest naprawdę zachwycająca, zwłaszcza że masz dopiero dziewiętnaście lat - powiedział. - Czasem w twoim towarzystwie mam wrażenie, że to ja jestem młodszy.

- Cieszę się, że tak jest.

- Mnie też się to podoba - przyznał. - Już dawno tak się nie czułem.

Uśmiechnęłam się.

- Nie chciałbym wprowadzić cię w zakłopotanie, ale zbliża się pora lunchu i zastanawiałem się, czy nie miałabyś ochoty zjeść ze mną. Mogliby do nas dołączyć także Eppie i jego żona, jeśli wciąż są gdzieś w pobliżu.

- Pewnie - zgodziłam się, egoistycznie licząc na ich nieobecność.

Kiedy wychodziliśmy z kościoła, podchodzili do nas ludzie, aby porozmawiać z Joem. Słuchał każdego, a potem doradzał, wywołując radość na ich twarzach. Nie mogłam uwierzyć, że mogę spędzać czas z osobą o tak niezrównanej charyzmie.

Na kolejnym spotkaniu z Petrovem opowiedziałam mu o mojej nocy sylwestrowej, o Cy (choć oszczędziłam mu bardziej soczystych detali) i o Natto. Zapytałam, jak on spędził ostatni wieczór minionego roku. Powiedział, że był z córką, zięciem i wnukami. Miałam pewność, że wolałby spędzić wieczór u boku Sheryl. Ale ona najprawdopodobniej została z mężem.

Chyba musiał czytać w moich myślach.

- Sheryl była z...

- Wiem.

Nic nie powiedział.

- Nie znam odpowiedzi na to pytanie.

Skoro ani psychologowie, ani kaznodzieje, ani nawet ja nie mieliśmy odpowiedzi, to kto ją ma?

Na pewno nie ludzie podtrzymujący, że ją znają. Oni ze wszystkich wiedzieli najmniej.

- Doktorze, jak Sheryl ma na drugie imię? - zapytałam.

Odchylił się w fotelu.

- Stephanie.

Wpadł jak śliwka w kompot.

Ale co mógł na to poradzić?

Tamtej nocy wreszcie udało mi się stworzyć bardziej rozbudowany wpis do mojego dziennika.

Są rzeczy, co do których mam pewność. O innych zaś nie mam pojęcia. Wiem jednak, że jesteśmy odpowiedzialni za nasze czyny. Twarde trzymanie się zasad moralnych nie zawsze pozwala nam na obiektywny osąd innych ludzi, ale ważne jest, aby w życiu mieć stały punkt odniesienia. Nawet jeśli czasem przez to cierpimy. Nie mam żadnych wątpliwości, że na świecie są rzeczy absolutnie złe i absolutnie dobre. Nie zawsze jednak wiemy, z czym mamy do czynienia, i popełniamy błędy, kiedy pragniemy się tego dowiedzieć. Ale nie możemy zaprzestać prób.

Stwierdzenie, że prawdy absolutne nie istnieją, jest ścieżką na skróty. Każdy, kto tak twierdzi, z definicji sobie zaprzecza. Przecież mamy drogowskazy, którymi możemy się kierować. Może dorastając, uczymy się wybierać między sprawami istotnymi bardziej i mniej. Choć zdarza się i tak, że z wiekiem stajemy się głupsi.

A jeśli twarde trzymanie się zasad wyklucza nas poza nawias? Jeśli nie spotkamy ani jednej osoby, która by się z nami zgodziła? Podejrzewam, że wtedy należy przemyśleć, czy czasem nie jesteśmy zbyt surowi. Możemy także poszukać osób akceptujących nasze zasady, które możemy poddać różnorodnym testom, żeby przekonać się o ich wartości. Poza tym należy dawać z siebie wszystko i iść do przodu.

*Odłożyłam pióro i wzięłam płytę z filmem *Pan Smith jedzie do Waszyngtonu*, by ją oddać do wypożyczalni. Rozczarował mnie. Współcześni politycy często cytowali Jeffersona Smitha jako nieskazitelną model do naśladowania, ale prawda była zupełnie inna. Bałamucił młodych chłopców i z pięściami rzucał*

się na dziennikarzy. To nie było fajne.

Po wyjściu na ulicę zauważyłam RONALDA.

- Carrie! - zawołał.

- Ronald!

- Jaką kuchnię wybierasz na dzisiejszy wieczór?

- Nie wiem. Co proponujesz?

Wzruszył ramionami.

- Włoska? Chińska? Meksykańska?

- Tylko nie meksykańska - zastrzegłam.

- Będzie super.

Jego optymizm był naprawdę uroczy.

- Spotkamy się przy kawiarni o szóstej? - zapytałam.

- Pewnie. Jaki masz tam film?

- Och - westchnęłam.

Cofnęłam rękę, chowając płytę. Chyba zapomniał o naszej rozmowie.

- Przykro mi, ale po prostu nie lubię pokazywać filmów, które wypożyczam. Nie bierz tego do siebie.

- W porządku. Przepraszam.

- Nie przepraszaj. Mnóstwo ludzi mnie o to pyta. Ale takie ze mnie dziwadło. To nie twoja wina.

Uśmiechnął się.

- Fajnie, że jesteś dziwna.

- Tak, więc do zobaczenia.

- Do zobaczenia - pożegnał się.

W wypożyczalni oddałam film i wybrałam kilka musicali. Miałam zamiar udowodnić Cy, że jestem prawdziwym ekspertem w tej dziedzinie. Choć brak wiedzy sprawiał mi przyjem-

ność. Dla odmiany. Jako wyzwanie.

(Przy okazji dodam, że tamtej nocy między mną a Cy do niczego nie doszło, nawet jeśli odnieśliście inne wrażenie. Oczywiście nie nudziliśmy się ze sobą, ale zatrzymaliśmy się tuż przed końcem. Widzicie sami, jakie mieliście kosmate myśli.)

Kiedy dziewczyna w wypożyczalni wręczyła mi płyty, nie zapytała, czy potrzebuję torebki. Musiałam ją o nią poprosić. Nigdy się nie nauczą.

Po powrocie do domu dodałam jeszcze parę słów do dziennika.

Nigdy nie powinno się rezygnować z racjonalnych, logicznych, spójnych i stanowiących bazę naszej osobowości zasad, nawet jeśli cały świat twierdzi inaczej.

Nic się nie zmieniło w tej materii w ciągu ostatnich trzech miesięcy.

Zamknęłam dziennik, włożyłam ciepłutkie nowe skarpetki, włączyłam film i wtuliłam się w poduszki. Musical był w porządku, ale i tak na nim usnęłam.

[1] *Fox* (ang.) - lis.

[2] Robert Moses (1888-1981) - budowniczy dwudziestowiecznego Nowego Jorku.

[3] *Selfish* (ang.) - samolubny.

[4] Biblia Tysiąclecia, Iz 55, 8-9.

[5] Biblia Tysiąclecia, Mt 7,12.

Tytuł oryginału: Carrie Pilby
Pierwsze wydanie: Red Dress Ink, 2003

Opracowanie graficzne okładki: Robert Dąbrowski
Redaktor prowadzący: Małgorzata Pogoda
Opracowanie redakcyjne: Anna Kubalska
Korekta: Jolanta Nowak

© 2003 by Caren Lissner
© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa 2015

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych i umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

HarperCollins jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce wykorzystana za zgodą Harlequin Books S.A. Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

www.harlequin.pl

ISBN 978-83-276-1729-3

Konwersja do formatu MOBI:
Legimi Sp. z o.o. | www.legimi.com

Spis treści

Strona tytułowa
Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Przypisy
Strona redakcyjna